



ŁUKASZ  
KOTKOWSKI

# FANABERIA

NOVAE RES

ŁUKASZ KOTKOWSKI

# FANABERIA



*Beyond the shadow you settled for,  
there's a miracle illuminated.*

*Thomas Zane*

# PROLOG

Procesja pogrzebowa posuwała się w kierunku cmentarza, niosąc ze sobą przesywającą powietrze w całej okolicy pieśń żałobną. W kondukcje szli niemal wszyscy mieszkańcy wsi – nie było tylko tych, którzy byli zbyt starzy, żeby ruszyć się z łóżka, i tych zbyt młodych, żeby brać udział w tego typu uroczystościach. Atmosfera była nabrzmiąta od niedowierzania, choć mogło to być tylko ułudą; tego typu zdarzenia w małych miasteczkach i wsiach zawsze były wodą na młyn plotek, domysłów i debat, cała społeczność żyła nimi, a pod maską żalu, szczelnie okrywającą twarze podczas pogrzebu, malowały się pełne pokrętnej satysfakcji uśmiechy, gdy każda kobieta i każdy mężczyzna w głowie układali swoją wersję historii, którą opowiedzą innym, przekonując, że to właśnie ich wersja jest jedyną słuszną.

Marek szedł wraz z tłumem, wsłuchany w tupot setki ludzkich stóp i fałszujące głosy staruszek, które jako jedyne prócz księdza pamiętały tekst pieśni (a że od urodzenia uczestniczyły w każdym pogrzebie, który odbywał się we wsi – trudno się temu dziwić), i za wszelką cenę starał się nie myśleć. Nie wychodziło mu. Obrazy kumulowały się w jego głowie, siłą wtłaczając do niej prawdy, których tak bardzo nie chciał przyjąć do wiadomości.

Kondukt dotarł na cmentarz. Po odprawieniu obrzędów właściwych katolickiemu pochówkowi trumna została opuszczona do przygotowanego wcześniej dołu w towarzystwie samotnych dźwięków trąbki (ot, taki amerykański akcent, bonus – „Tylko dziś! Wynajmij nasz zakład pogrzebowy. All inclusive”. Litości). Wraz z opadającą na dębowe wieko trumny ziemią do Marka stopniowo docierało to, nad czym grobem stoi, choć wciąż ciężko mu było w to uwierzyć... Przecież znał tę dziewczynę od zawsze. Była najlepszą przyjaciółką jego młodszej siostry, miała zaledwie dwadzieścia lat, a teraz leżała w drewnianym pudełku na kości, zostawiona na pożarcie czerwiom (kremacja na wsi równała się społecznemu wykluczeniu rodziny denata).

Dzień był upalny, więc żałobnicy nie udawali zbyt długo, że kontemplują tajemnice życia wiecznego, pospiesznie rozchodząc się do domów, gdy tylko ksiądz zdecydował się opuścić zgromadzenie. Marek jednak stał dalej,

przyglądając się z pewną nutą zaciekawienia pracy grabarzy, którzy kończyli usypywanie grobu i przykrywali go przyniesionymi przez mieszkańców kwiatami, tworząc żywy nagrobek, nim zastąpi go trwalszy, z kamienia. Stał tak około godziny, nie myśląc o niczym, nie czując niczego, oderwany od siebie i od miejsca, w którym się znajdował. Dlaczego? – nie wiedział. Oprócz pośredniej znajomości poprzez jego siostrę, z Martyną nie łączyło go absolutnie nic, a jednak przeżył jej śmierć bardzo boleśnie.

Boleśniej przeżyli ją chyba tylko jej rodzice i siostra Marka, Dorota, która była w takim szoku, że nie była w stanie pojawić się na pogrzebie; pogrążona w pogłębiającej się apatii siedziała w swoim pokoju, patrząc przez okno, wychodząc tylko na posiłki i do łazienki; i tak już od niemal tygodnia, od momentu, w którym zadzwonił telefon z informacją, że Martyna nie żyje.

„Nie żyje?! Ale jak to się stało?!” – niemal krzyczała do telefonu ich matka, gdy usłyszała przez telefon głos ciotki Anety, która przyjaźniła się z rodzicami Martyny. „Zatrzymanie akcji serca” – usłyszała. „Zawał?” – „Nie, lekarz stwierdził zgon z przyczyn naturalnych”. Matce aż odebrało mowę ze zdumienia, więc odłożyła słuchawkę, nieco bezceremonialnie przerywając konwersację. „I co ja mam powiedzieć Dorocie?” – zapytała Marka, na co on tylko odpowiedział krótko – „Nic. Ja jej o tym powiem”.

Może wyczytała to z jego twarzy, gdy otworzył drzwi, może wyczuła podświadomie, co chce jej powiedzieć – może po prostu słyszała strzępy rozmowy, którą jej matka odbyła piętro niżej. Tego Marek nie wiedział, jednak kiedy tylko wszedł do jej pokoiku i spojrzał na nią, ona wiedziała. „Nie żyje, prawda? Martyna nie żyje?”, a on nie był w stanie nic powiedzieć, tak bardzo oszołomiony był tonem jej głosu, jak gdyby słuchał o czymś, czego jesteście pewni, a jednak do samego końca mamy nadzieję, że nas to ominie. „Tak, skąd... skąd wiesz?”. „Nie wiem, braciszku...” I wybuchła płaczem.

Marek przytulił ją i bez słowa pozwolił jej płakać, aż potok łez wysechł w jej oczach, a wsiąkł w jego koszulę.

Teraz, wracając z pogrzebu, myślał o tym, czego sam się dowiedział z rozmowy z komisarzem Dąbrowskim, starym znajomym ojca, który, choć nie powinien, opowiedział mu o szczegółach śmierci Martyny. Dziewczyna wyjechała na studia jakiś rok temu. Dorota bardzo to przeżyła, ponieważ Martyna wyjechała do innego miasta – nie dostała się na wymarzony kierunek studiów, więc spróbowała szczęścia na innej uczelni, gdzie wymagania przy rekrutacji były niższe. Wynajmowała pokój w kamienicy, u starszego małżeństwa, bo była to najtańsza

możliwa oferta, jaką udało się znaleźć, a jednocześnie lokalizacja była bardzo dobra - samo centrum miasta, duży pokój. Jedyne niedogodności to kuchnia i łazienka wspólna z właścicielami, no i trochę nienormalni sąsiedzi w tym samym korytarzu. Oprócz tego - ideał.

Pośrodku tego ideału pani Basia, od której Martyna wynajmowała pokój, znalazła dziewczynę martwą na podłodze przy łóżku, ubraną w czerwoną piżamę w złote liście. Cudem zdarzyło się tak, że akurat chciała o coś Martynę poprosić (nie zeznała policji o co, bo już nie pamiętała); inaczej dziewczyna zostałaby znaleziona dopiero wtedy, kiedy smród rozkładu zacząłby przebijać się przez zatęchłą woń spowijającą cały korytarz, a sąsiedzi zauważyli, że tym razem to nie oni tak cuchną.

Wokół Martyny nie było nic, co mogłoby wskazywać, że noc przed jej śmiercią różniła się jakkolwiek od innych nocy jej życia - biurko wypełnione notatkami ze studiów, wysprzątnany pokój, poukładane w szafie ubrania, na wierzchu ubiór na następny dzień; dziewczyna zdecydowanie nie spodziewała się dokonać żywota tak prędko. Pani Basia, pytana o to, czy w ostatnich dniach Martyna zachowywała się jakoś inaczej, odpowiedziała tylko, że wyglądała na bardzo nerwową, ale przypisała to w całości zbliżającej się letniej sesji egzaminacyjnej.

Zgon był na tyle tajemniczy, że Wojewódzka Komenda Policji zdecydowała się za zgodą rodziny przeprowadzić dokładną sekcję zwłok, jednak nie wykazała ona nic ponad to, co stwierdził patolog pięć minut po obejrzeniu ciała - zgon z przyczyn naturalnych, jakkolwiek irracjonalnie to brzmi, biorąc pod uwagę, że umiera osoba w wieku, w którym śmierć z przyczyn naturalnych bynajmniej nie jest... naturalna.

Wśród prywatnych rzeczy Martyny również nie znaleziono nic, co mogłoby wskazywać na jakiegokolwiek odstępstwa od normy w jej życiu. Policja była w kropce. Marek także.

Po powrocie z pogrzebu pierwsze kroki skierował do pokoju siostry, gdzie zastał ją siedzącą przy oknie, wpatrującą się tępo w przestrzeń, z wyrazem twarzy nie odbiegającym zanadto od ekspresji człowieka uderzonego pałką w łeb. Niewiele tam było emocji, jedynie lekko dostrzegalny wyraz zdziwienia, jakby nie była do końca świadoma, skąd spadł cios i kto go zadał.

- Halo, ziemia do Doroty? Siostrzyczko, jesteś jeszcze z nami, czy dla ciebie również mam już zamawiać zakład pogrzebowy i powiedzieć proboszczowi, żeby rozśpiewał się dobrze na „Anielski orszak”?

Nie mogła się nie roześmiać. Choć było to tylko ciche parsknięcie, przywołało

ją do rzeczywistości.

- Tak, jestem, jestem... po prostu... wciąż nie mogę dojść do siebie.

- Ja też... wiem, jak dużo znaczyła dla ciebie Martyna...

Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, a potem niespodziewanie Dorota wstała i podeszła do biurka, otworzyła szufladę, grzebała w niej przez chwilę i wyciągnęła niebieską, zapinaną teczkę.

- Pisałyśmy do siebie listy. To głupie, prawda? Mamy przecież Facebooka, telefon, e-mail... a jednak pisałyśmy do siebie. Dzięki temu czułyśmy, że dalej coś dla siebie znaczymy, nawet gdy jesteśmy daleko od siebie. Często rozmawiałyśmy przez telefon, ale listy zawsze były obowiązkowe. Taka jakby niepisana umowa. List co dwa tygodnie. Nawet w tym tygodniu dostałam od niej list...

Dorota wybuchła płaczem po raz drugi, tym razem ciszej i mniej gwałtownie, a jednak łzy płynęły potokiem po obydwu policzkach, bezgłośnie skapując na ziemię.

- Powinnam była tam pojechać - powiedziała, krztusząc się łzami. - Ona tak bardzo się bała... powinnam być przy niej, powinnam ją stamtąd zabrać, powinnam...

- Heeej, już spokojnie... spokojnie. - Przytulił ją mocno do siebie i pogładził jej długie blond włosy. Gdy nieco się uspokoiła, odsunął ją od siebie i zapytał: - Czego się bała? Czy coś się stało, ktoś jej groził?

- Nn... nie... To wszystko jest w listach... dlatego je wyciągnęłam, chciałam ci je pokazać, bo tak naprawdę ja... ja... ja nie wiem, co o tym myśleć, nie wiem, czy pokazać to na policji, czy wyrzucić, czy co z tym zrobić, nie wiem...

- Usiądź, pomału, spokojnie. Pójdę zrobić herbatę; ty w tym czasie masz siedzieć, głęboko oddychać i uspokoić się na tyle, żeby mi wszystko składnie opowiedzieć, okay? Zaraz wrócę.

Zszedł na dół, do kuchni, nastawił wodę w czajniku, po czym zaparzył sobie i siostrze po kubku mocnej, owocowej herbaty, żadnej z tych uspokajających, ale ich ulubioną - zieloną z mandarynką, liściastą, niezwykle aromatyczną, którą zawsze pili razem, gdy tylko oboje przyjeżdżali do domu. Wrócił do pokoju na piętrze, postawił kubek przed Dorotą i wyjął jej z rąk teczkę, którą w dalszym ciągu trzymała zamkniętą na kolanach.

- Wyciągnij najpierw ten z samego dołu, pierwszy, który mi przysłała. Pisze w nim, jak wyglądało miejsce, gdzie mieszkała.

Posłuchał i przerzuciwszy plik kartek, wyciągnął arkusz ze spodu. Upił łyk gorącej jeszcze herbaty i zaczął czytać.

*Droga Doro,*

*wiem, że mówiłam Ci już o tym wszystkim przez telefon, ale wprost nie mogę się powstrzymać, żeby Ci o tym jeszcze raz nie napisać - taka okazja! Pokój w samym centrum, 400zł, bez żadnych dodatkowych opłat, w dodatku ci państwo są tacy mili. Pani Basia ciągle przynosi mi jabłecznik (jest okropny, za każdym razem wyrzucam go do śmieci, ale nie mam serca jej tego powiedzieć) i zawsze pyta mnie, jak idą mi studia. Ale, ale - miałam Ci przecież napisać jak mieszkam. To trochę dziwne miejsce. Gdy wejdiesz z klatki schodowej przez drzwi, gdzie normalnie spodziewałabyś się wejścia do mieszkania, tutaj wchodzisz na szeroki korytarz, a po obydwu jego stronach są drzwi. Są też drzwi naprzeciwko, jedyne z szybką z hartowanego szkła, przez którą nic nie widać, jednak wpada przez nią światło, bo pokój wychodzi na południe. Oprócz mnie i Pani Basi mieszkają tu dwie rodziny, widzę je codziennie, bo pokoje mają z jednej strony korytarza, a kuchnie z drugiej. Dziwne, prawda? Szczerze mówiąc... kiedy ich pierwszy raz zobaczyłam, myślałam, czy nie zmienić lokum, ale pomału zaczynam się przyzwyczajać. Para, która mieszka przy samym wyjściu, to z tego, co zrozumiałam, małżeństwo (ale cholera wie), które wypuścili z ośrodka dla niepełnosprawnych umysłowo (tak też wyglądają i się zachowują). Okropnie od nich cuchnie, jak otwierają drzwi do kuchni, to nie da się przejść przez korytarz, oddychając - przysięgam, odkąd tu jestem, ani razu nie słyszałam, żeby korzystali z łazienki! Drzwi w drzwi ze mną mieszka matka z dwójką dzieci, ale mam szczerą nadzieję, że opieka społeczna szybko pozbawi tę babę tytułu matki, istna patologia, po prostu masakra - przechodzę raz przez korytarz, a tu słyszę, jak drze się na sześciolatka: „jak możesz nie rozumieć matematyki, przecież to jest proste jak jebanie!”, uwierzysz? Nie wspominając o krzykach, których słucham na co dzień. Korytarz jest trochę straszny, nie ma na nim światła, a ja co wieczór muszę przez niego przejść, żeby dostać się do łazienki. Znasz mnie - wcześniej niż o północy się nie kładę, a jedynym źródłem światła na korytarzu jest to małe okienko w drzwiach, przez które wpada trochę światła lampy z ulicy. Żebyś mnie widziała, jak szybko biegłam przez korytarz pierwszy raz, gdy zawiał wiatr przez szparę w tych drzwiach. Pomyślałam, że pewnie okno jest otwarte, ale może było po prostu nieszczelne. Podobno nikt tam nie mieszka od długiego czasu, a pokój stoi pusty, właściciele wyjechali do Anglii, czy coś. W sumie to dobrze, czuję, że nie zniosłabym jeszcze jednego sąsiada! Tęsknię za Tobą, Dorciu... Czasem myślę, czy nie uciec do Ciebie, może pójdę na pierwsze lepsze studia u Ciebie*



*i zamieszkamy razem w jakimś mieszkanku? Płonne nadzieje, rodzice by mnie zabili! Napisz mi, jak Twój pierwszy miesiąc w akademiku, dają Ci tam żyć? Na pewno nie możesz opędzić się od chłopaków, jesteś przecież taka śliczna. :-)*

*Buziaczki,  
Twoja Marcysia*

- Nie wydawała się szczególnie zadowolona ze stancji, prawda? - spytał Marek.

- Na to wyglądało z pierwszego listu, ale potem chyba przywykła do tego wszystkiego, o czym pisała. No, może nie do końca, na pewno nie była osobą, która przyzwyczaja się do czegoś, czego nie toleruje - odpowiedziała Dorota, parskając śmiechem.

Marek wyciągnął z teczki wszystkie listy i zaczął wertować kartki, poczynawszy od najstarszych. Większość z nich nie wносиła nic ciekawego - ot, opowieści o nowo poznanych ludziach, chłopakach, narzekania na wykładowców, kolegów ze studiów, chłopaków, historie o przeżytych imprezach, poznanych chłopakach...

- Daj mi to - powiedziała Dorota, widząc coraz większy wyraz dezaprobaty na twarzy brata. Przejrzawszy kartki, wybrała kilka z samej góry i podała Markowi. - Czytaj od tego na dole, jest sprzed dwóch miesięcy.

Po rewelacjach na temat życia osobistego Martyny (jak potem oświeciła go siostra - w większości nieprawdziwych opowieści, pisanych po to, by zamaskować samotność; przez telefon rozmowa wyglądała nieco inaczej) odrobinę stracił ochotę na czytanie, ale odwrócił kartkę i przyjrzał się zapisanym na niej słowom.

*Droga Doro,*

*jak minęła Wielkanoc? Wszystko u Ciebie w porządku? Ja w tym roku nie pojechałam na święta do domu. Wiem, może przesadzam, ale chciałam się dobrze przygotować do tych wszystkich kolokwiów, które nasi przeuprzejmi wykładowcy zapowiedzieli na po świętach. Nazwij mnie paranoiczką, proszę bardzo, ale potem to ja będę miała czyste konto! :-) Wiesz, ostatnio chyba naprawdę trochę mi odbija. Pamiętasz, jak w Wielki Piątek dzwoniłam do Ciebie i mówiłam, że sąsiedzi chyba zostawili otwarte okno, bo w całym korytarzu było zimno jak w zamrażarce? Jak tylko odłożyłam telefon, wyszłam na zewnątrz, żeby zobaczyć, czyje okno jest niedomknięte, wiesz, myślałam, że pewnie ci cholerni syfciarze znów coś narobili, ale to nie ich okno było otwarte, tylko okno w pokoju obok, w tym, w którym nikt nie mieszkał od kilku lat. Co zabawne, jak wróciłam do*

*środką, na korytarzu nie było już zimno. Pomyślałam, że może Pani Basia tam weszła, otworzyła okno, żeby trochę wywietrzyć, a potem zamknęła, ale zapytałam ją o to następnego dnia i powiedziała, że nikt nie ma klucza do tego pokoju i że na pewno nikt do niego nie wchodził od dobrych pięciu lat. Dziwne, nie? Pewnie nie pisałabym Ci o tym, gdyby nie to, że często wydaje mi się, jakby ktoś był za ścianą, słyszę skrobanie, raz nawet słyszałam, jak ktoś chodził po pokoju, przysięgam! A może to tylko moja wyobraźnia płata mi figle? Muszę na jakiś czas odstawić Stephena Kinga. :-) Sama nie wiem, co o tym myśleć, ale czasem naprawdę się boję. Chyba jednak doskwiera mi samotność, ciężko myśleć racjonalnie, kiedy nie mam się do kogo przytulić w nocy i boję się własnego cienia.*

*Tęsknię za Tobą, mam nadzieję, że zobaczymy się za tydzień, tak jak rozmawialiśmy!*

*Twoja Marcysia*

- Czytaj następny - poleciła Dorota.

*Droga Doro,*

*to już przestaje być zabawne! Poszłam dzisiaj do Pani Basi powiedzieć, żeby zrobiła coś z tymi przekłętymi bachorami, które mieszkają z matką naprzeciwko, bo nie da się normalnie spać. Co dzień słyszę jak drą mordy, a na domiar złego przez cały ostatni tydzień beczą po nocach. Nie mogę spokojnie zasnąć, bo ciągle je słyszę, niemal tak wyraźnie, jakby były za ścianą, a nie po drugiej stronie korytarza. A wiesz, co powiedziała mi na to Pani Basia? Że to niemożliwe, bo dzieci były przez cały tydzień u swojego ojca, na Mazurach. Jasne. To ciekawe przez kogo nie mogłam spać?*

*Przepraszam, że tak wylewam swoje frustracje, ale nie chciałam Cię tym męczyć przez telefon, poza tym od razu czuję się lepiej, jak przelałam to na papier. Mam nadzieję, że nie będziesz na mnie zła. :-)*

*Buziaczki,*

*Twoja Marcysia*

- Chyba jednak miałaś rację, nie przywykła do sąsiadów - zaśmiał się Marek.

- Wiesz, co jest w tym wszystkim dziwne? Pamiętam jak dziś, że widziałyśmy się krótko po tym, jak przysłała mi ten list. I okazało się, że te dzieci naprawdę były w tym czasie u swojego ojca. Powiedziała mi, że pewnie słyszała płacz dzieci,

które mieszkają piętro wyżej, ale...

- Co?

- Pani Basia twierdziła, że oprócz tej baby w całej kamienicy nikt inny nie ma dzieci.

- Może przyjechały do kogoś z wizytą? I płakały po nocach, bo tęskniły do domu?

- Może tak... a może nie. Czytaj następny list.

*Droga Doro,*

*chyba naprawdę wariuję, albo coś tu jest nie tak. Coraz częściej i głośniejszy słyszę drapanie za ścianą - może to szczury? Nie byłoby fajnie, gdyby przegryzły się do mojego pokoju. Muszę o tym porozmawiać z Panią Basią. Ostatnio, wracając z uczelni, spojrzałam na okna na moim piętrze i widziałam kobietę w średnim wieku stojącą w oknie w pokoju, który jest za moją ścianą. Tego samego dnia, myjąc naczynia, zagadałam do Pani Basi, że w końcu ktoś wprowadził się do tego mieszkania, ale ona spojrzała na mnie jak na wariatkę, więc nie powiedziałam jej, co widziałam. Ale ta kobieta naprawdę tam była! Znasz mnie, przecież wiesz, że nie wymyśliłabym sobie tego, chora wyobraźnia to jedno, ale przywidzenia to co innego, a ta kobieta na pewno mi się nie przywidziała!*

*A może po prostu jestem przemęczona i naprawdę nikogo tam nie było? Sama już nie wiem.*

*Poczułabym się o wiele lepiej, gdybyś przyjechała do mnie na weekend. Co Ty na to? Poszłajębyśmy się po sklepach, poszły na jakąś dyskotekę, spędziły razem trochę czasu.*

*Daj znać, co o tym myślisz.*

*Twoja Marcysia*

- I co, pojechałaś do niej?

- Tak, byłam u niej tydzień po tym, jak przysłała mi list. To był całkiem miły weekend, ale naprawdę nie wiem, jak ona wytrzymała w tamtej norze.

- Aż tak źle?

- Wiesz, sam pokój był naprawdę w porządku, ale cała reszta? Masakra. Jak ta szurnięta dwójka miała otwartą kuchnię lub łazienkę, to zwyczajnie nie dało się przejść przez korytarz, a do tego dwa popieprzone psy, które szczekają o piątej rano... A jeszcze bardziej popieprzona była właścicielka, wyobrażasz sobie? Sobota, piąta rano, a ty słyszysz darcie mordy na cały korytarz: „Tuśka, ty

popierdolona pipo, chodź tutaj”.

Marek nie mógł się powstrzymać i śmiech po prostu z niego eksplodował. Dorota też nie wytrzymała i przez chwilę śmiali się razem, na moment zapominając o tym, że dziś pochowali bliską osobę.

- O... opowiadaj dalej - powiedział Marek, wciąż zanosząc się śmiechem.

Dorota otarła wilgotne od łez rozbawienia oczy i podjęła opowieść.

- No więc... no. Stacja nie była najfajniejsza, ale Martynie wydawało się to nie przeszkadzać, a przynajmniej dobrze grała przez ten czas, kiedy u niej byłam. Widziałam jednak, że coś jest nie tak.

- Powiedziała, o co chodzi?

- Powiedziała mi tylko tyle, że myśli o zmianie stacji, bo tutaj ma problemy ze spaniem. Jak ją zapytałam, co się dzieje, powiedziała tylko, że jest za blisko ruchliwej ulicy i w nocy nie może zasnąć, bo jeździ zbyt dużo samochodów. Faktycznie, było dość głośno, ale na pewno nie przeszkadzało to w spaniu.

- Nie uwierzyłaś jej, co?

- Ani trochę. Nie drążyłam tematu. Pomyślałam, że jeśli dzieje się coś bardzo poważnego, na pewno kiedyś mi o tym powie. Ale chyba wiedziałam już wtedy, co ją niepokoi.

- Co takiego?

- Wiesz, drugiej nocy u niej słyszałam to chrobotanie w ścianie. Od razu pomyślałam, że to szczury, tak też to brzmiało. Lecz potem... potem usłyszałam, jak ktoś wychodzi na korytarz i puka do drzwi Martyny. Pomyślałam, że to pani Basia coś chciała, więc wstałam i otworzyłam drzwi, ale... nikogo tam nie było.

- Co ty mówisz?

- No poważnie. Skoro już wstałam, to poszłam do łazienki po drugiej stronie korytarza i kiedy wracałam... na korytarzu było tylko światło wpadające przez to małe okienko z pokoju obok Martyny. I...

- I co?

- I jestem pewna, że widziałam, jak ktoś po nim chodzi. Na pewno widziałam. To nie mógł być cień drzewa, bo tam nie było drzew. To wyglądało jak cień człowieka...

- Niech zgadnę... Kobiety?

Dorota spojrzała poważnie na brata.

- Widzę, że zaczynasz myśleć o tym, co ja?

- Trudno nie myśleć... Pamiętaj, że ja też czytam dużo Stephena Kinga. - Marek uśmiechnął się, mówiąc to, ale jakoś bez przekonania. - Powiedziałaś jej

o tym?

- Zwariowałaś? Oszalałaby ze strachu, a ja nie chciałam jej bardziej martwić.

Przez dłuższą chwilę oboje milczeli, pogrążeni każde w swoich rozważaniach. W ręku Marka został już tylko jeden list. Dopił do końca herbatę i przeczytał. Ten list różnił się od pozostałych. Na początku nie wiedział, w czym tkwi różnica, jednak po chwili zrozumiał – pismo było niechlujne, pospieszne, jakby pisała je stara babcia w późnym stadium parkinsona, a nie młoda dziewczyna, która przepisywała całą kartkę, jeśli tylko zdarzyło się jej choć jedno skreślenie. Zaciekawiony zaczął czytać.

*Droga Doro,*

*boję się. Spędziłam cały dzień na szukaniu stacji, nie chcę zostać tu ani chwili dłużej. Naprawdę się boję. Dziś w nocy wydawało mi się, że ktoś jest w moim pokoju, naprawdę tak myślałam. Kiedy wychyliłam głowę spod kołdry, zobaczyłam, że drzwi są lekko uchylone, a przecież zamykałam je na noc na klucz! Pytałam Pani Basi, czy była po coś w moim pokoju, tylko ona miała klucz, ale powiedziała, że nie. Kiedy opowiedziałam, że ktoś otworzył drzwi, tylko się uśmiechnęła i powiedziała, że pewnie zapomniałam ich zakluczyć, jak wróciłam z łazienki, a przeciąg je uchylił, nie ma powodu do obaw. Jasne. Nie mówiłam Ci o tym wcześniej, ale czasem wieczorem, gdy wracam z łazienki, wydaje mi się, że ktoś chodzi po tym zamkniętym pokoju. Widzę cień przesuwający się przez plamę światła, na pewno mi się nie przywidziało! Zastanawiam się, czy nie pojechać na jakiś czas do domu, dopóki nie znajdę czegoś innego. Tak bardzo bym chciała, żebyś tutaj ze mną była, przy Tobie zawsze czuję się znacznie lepiej.*

*Marcysia*

- Nie rozumiem, dlaczego nie zadzwoniła, skoro tak bardzo się bała? Po co pisała list, który przy naszej poczcie będzie szedł co najmniej trzy dni?

- Ależ dzwoniła, Marek. Dzwoniła niemal codziennie, ale pisała też listy, bo chyba już weszło nam to w nawyk, że nawet jeśli o czymś rozmawialiśmy przez telefon, pisałyśmy sobie o tym potem w listach. Pokazuję ci je, bo pewnie nigdy byś mi nie uwierzył, gdybym ci po prostu opowiedziała, albo powiedziałbyś, że przesadzam. A tak zobaczyłeś na własne oczy.

- Przyznaję, masz rację. Kiedy przyszedł ten ostatni list?

- Dwa tygodnie temu, jakieś cztery dni przed śmiercią Martyny.

- Rozmawialiście o tym jeszcze?

- Tak, gdy tylko przeczytałam ten list, od razu do niej zadzwoniłam, ale zachowywała się bardzo dziwnie.

- To znaczy?

- Nie chciała rozmawiać, drżał jej głos, powtarzała tylko w kółko, że jutro musi wrócić do domu, że nie wytrzyma tam ani minuty dłużej. Chciała nawet od razu się spakować i jechać autostopem, ale wybiłam jej to z głowy, kazałam poczekać do rana.

- Nie pojechała następnego dnia, prawda?

- Nie. Dzwoniłam do niej przez cały dzień, ale nie odbierała. I wtedy, dzień przed jej śmiercią, zadzwoniła do mnie. Było bardzo późno w nocy.

- Co mówiła?

- To było... straszne. Na początku nie poznałam jej głosu, bo mówiła szeptem. Marek, ona krztusiła się łzami, tak bardzo się bała podczas rozmowy ze mną.

W oczach Doroty zebrały się łzy i popłynęły bez ostrzeżenia. Marek podszedł do siostry, objął ją, po czym delikatnie odsunął się na długość ramion.

- Co ci powiedziała? - zapytał, z powagą patrząc w lśniące od łez oczy.

Dorota, wciąż zanosząc się urywanym szlochem, zaczęła opowiadać.

- Powiedziała, że wczoraj w nocy przyszła do niej kobieta. Powiedziała, że była prawie dokładnie taka, jak w japońskim „Ringu”, tylko że prawdziwa. Kobieta zapytała ją, dlaczego chce od niej uciec, czy Martynie nie podoba się jej towarzystwo. Na samo wspomnienie jej głosu robi mi się zimno... Nigdy nie słyszałam nikogo tak przerażonego.

- Nie pomyślałaś, że może po prostu miała zły sen?

- Tak, pomyślałam. Nawet ją o to zapytałam, ale ona tylko się zaśmiała. Tak... sztucznie, nienaturalnie. Jak obłąkana. A potem... potem powiedziała, że ta kobieta przyjdzie do niej jutro. Tak jej powiedziała. „Jutro przyjdę do ciebie, żebyś nie bała się ciemności”, tak mi opowiedziała Martyna. Potem powiedziała tylko jedno zdanie.

- Hm?

- „Boję się”. I zakończyła rozmowę. Następnego dnia znaleźli ją martwą.

Już nie płakała. Może nie miała już czym, tak wiele łez wylała w przeciągu ostatnich kilku dni, a może po prostu spod łagodnej powłoki zaczęła wyzierać wściekłość, bo z jakiejś nieznannej, nielogicznej przyczyny straciła swoją najlepszą przyjaciółkę. Jeszcze raz sięgnęła do szuflady i wyciągnęła z niej nieotwartą jeszcze kopertę.

- To przyszło wczoraj, spójrz na datę nadania.

- Dzień śmierci Martyny?

- Dokładnie. Musiała go napisać jeszcze zanim do mnie zadzwoniła. Śmiertelnie bałam się go otworzyć, ale teraz, kiedy ty tu jesteś... możesz go przeczytać? Ja nie jestem w stanie.

Marek bez słowa wyjął kopertę z rąk siostry, rozerwał ją, rozprostował papier zapisany chwiejnym, pospiesznie kreślonym pismem i, wzięwszy głęboki oddech, zaczął czytać na głos.

*Droga Doro,*

*ona nie pozwoli mi wyjść, tak mi powiedziała. Ten list wyślę przez Panią Basię. Telefon nie działa i nie mam Internetu. Wiem, że to wszystko JEJ sprawka. Powiedziała mi, że zabiłam jej dzieci i teraz muszę za to zapłacić. Gdy odpowiedziałam, że nie wiem, o co chodzi, powiedziała mi tylko: „Nie kłam, ty szmato, dobrze wiem, że to z tobą uciekł ten sukinsyn, który spłodził mi synów, zostawił nas, cholerny kurwiarz”, a ja nie miałam nawet słów, żeby zaprzeczać, tak bardzo się bałam. Powiedziała mi, że jeśli ucieknę, to i tak mnie znajdzie i dalej będzie odwiedzać. A potem zabierze mi wszystko, co dla mnie najważniejsze, tak jak ja rzekomo zabrałam jej to, co było najważniejsze dla niej. Boję się, tak bardzo się boję, ale nie ucieknę, bo wtedy ona przyjdzie do Ciebie... bo to Twoja przyjaźń jest i zawsze była dla mnie najważniejsza. Dziękuję. Pozdrów też Marka. Wiesz... od zawsze się w nim podkochiwałam. Ty pewnie i tak to zauważyłaś, ale mam chociaż nadzieję, że on nie, nie chciałbym, żeby taką mnie zapamiętał.*

*Muszę kończyć. Słyszę, jak do mnie idzie. Jest środek dnia, ale to jej nie przeszkadza. Nie widzę jej wtedy, ale czuję jej zimny dotyk. Boję się, Dorciu. Śmiertelnie się boję. Nie wiem, jak się wydostać, tak bardzo się boję, tak bardzo, bardzo się boję. :-(*

*Twoja Marcysia*

Gdyby ktoś podłączył Marka w tym momencie do EKG, właśnie wołaliby pielęgniarkę z dożylnym środkiem na obniżenie ciśnienia. Jego serce galopowało jak wściekłe, przysięgłby, że słysząc je było w domu po drugiej stronie ulicy. Spojrzał na Dorotę; jej organizm chyba podobnie przyjął tę ostatnią wiadomość od najlepszej przyjaciółki; cały kolor odpłynął z jej twarzy, oddychała spazmatycznie, wydawało się, że za chwilę zemdleje. Marek, widząc to, zerwał się z krzesła, złapał siostrę i mocno nią potrząsnął.

- Hej, już, spokojnie, Dorota. Dora! Hej! Już, wystarczy.

Otworzył okno, żeby wpuścić do środka świeże, choć ciężkie, majowe powietrze i pobiegł po wodę dla siostry. Kiedy wrócił, jej oddech nie był już tak urywany, ale w dalszym ciągu nie wyglądała najlepiej. Napila się wody, spoglądając z niemą wdzięcznością na brata, a potem zapytała:

- Myślisz, że ona...?

- Umarła ze strachu? Tak.

- Tak... - powtórzyła Dora. Chyba o tym wiedziałam, gdy tylko powiedziałeś mi, że nie żyje. A ja... a ja nie byłam w stanie jej pomóc. A teraz już nawet nie jestem w stanie płakać. Już nie. Teraz jest mi już tylko źle, wiesz... jakby ktoś wyrwał ze mnie wnętrze i zostawił pustą przestrzeń, którą zalewa krew. Tak chyba wygląda żal...

- Nic już na to nie poradzimy, siostrzyczko - powiedział Marek i raz jeszcze objął siostrę, mając nadzieję choć odrobinę ukoić jej ból.

- Myślisz, że powinniśmy pokazać te listy policji? - zapytała Dora. - Chociaż nie... pewnie uznaliby Martynę za obłąkaną, a za przyczynę śmierci podali przedawkowanie jakiegoś środka, który jest niewykrywalny po dostaniu się do krwiobiegu, prawda?

- Tak, pewnie masz rację - przyznał Marek i uśmiechnął się w duchu, słysząc znajomą nutkę cynizmu w głosie siostry. - Teraz możemy tylko o niej pamiętać. Najlepiej jak umiemy.

Siedzieli w milczeniu jeszcze jakiś czas, a potem poszli na długi spacer. Nie rozmawiali. Nie musieli. Wszystko zostało już powiedziane. Za kilka dni pewnie wszystko wróci do normy i przy okazji wspólnych spacerów, ku którym mieli coraz mniej okazji, znów będą sobie dogryzać i śmiać się z rzeczy, których nikt inny by nie zrozumiał.

Kiedy wrócili, był już wieczór. Zjedli kolację i poszli spać, każde do swojego pokoju.

Marek leżał przez długi czas, wpatrując się tępo w ciemność nad głową. „Wiesz... od zawsze się w nim podkochiwałam...”, dźwięczało mu w głowie wypowiedziane głosem Martyny, który, choć dotąd nie zdawał sobie z tego sprawy, zawsze sprawiał mu przyjemność. Miał ciepły, lekko ochrypnięty ton, jednocześnie zadziorny, jak i bardzo... seksowny. Czy to dlatego tak bardzo żałował jej śmierci? Cały czas wydawało mu się, że żałował, bo zmarła najlepsza przyjaciółka jego siostry, ale teraz... czy nie czuł dziwnej pustki po tym, jak Martyna wyjechała na studia? Po tym, jak przestała przychodzić codziennie do ich domu? Nie wiedział.



Nic już nie wiedział. Wpatrywał się w nicość, a nicość go ogarniała, powoli porywając w krainę snu. Już prawie spał, gdy nagle gwałtownie zerwał się z łóżka i usiadł na jego skraju, wytężając słuch.

Przez chwilę nie słyszał nic, a potem wyraźnie, choć niezbyt głośno dotarł do niego dźwięk, który go rozbudził.

Skrobanie. Ciche skrobanie przy łóżku, które mogło być pazurkami szczurów drążących w ścianie. Albo kobiecymi paznokciami, trącymi tynk.

# ROZDZIAŁ I

## I

Promień oślepiającego światła padający z okna przez nie do końca szczelne zasłony powalił mnie na łóżko z siłą równą tej, z jaką senny koszmar mnie z niego wyrwał. Oszołomiony, zlany potem, czując szaleńcze bicie serca szamoczącego się w potrzasku żeber, leżałem na łóżku, a w moim mózgu wciąż kołatały się przebłyski obrazów, zamglone sceny dopiero co przeżytego koszmaru. Sceny znane mi bardzo dobrze. Za dobrze. Może powinienem zacząć się tak przedstawiać? „Dzień dobry, nazywam się Tomasz i miewam koszmary”. Nie, raczej nie brzmiałoby to zbyt zachęcająco.

Leżałem, po raz kolejny przeżywając pustkę, jaką każdorazowo niósł ze sobą sen. Paradoksalnie – dzisiejszy nie należał do najgorszych. Obfitował w obrazy i dźwięki, dzięki którym byłem w stanie choć odrobinę zrozumieć przerażenie i rozpacz, z jaką budziłem się po obejrzeniu tych mentalnych projekcji. Niósł ze sobą w potężnej dawce jak najbardziej rzeczywisty i namacalny wymiar strachu, a mimo to... nie, ten zdecydowanie nie należał do najgorszych.

Najgorsze koszmary to te, w których wszystko spowija ciemność. Ciemność znacznie gęstsza od tej, która zapada za zamkniętymi powiekami. Ciemność nieprzenikniona, a dookoła tej ciemności ze wszystkich stron rozlegają się głosy. Głosy, które nawołują, błagają o pomoc. Czasem pełne rozpacz i strachu, a czasem pełne żalu i pretensji. Dobiegają ze wszystkich stron, z daleka i z bliska. Bez powodu, bez uprzedzenia, bez celu. Po prostu pojawiają się, wychodząc z siebie tylko znanego źródła, dewastując spokój nocy. Każdy poranek był jak środek uspokajający. A przynajmniej pozwalał choćby na czas trwania tej części doby, w której świeciło słońce, zapomnieć o jej ciemnej stronie, którą sny czyniły jeszcze bardziej mroczną.

Ponure rozmyślenia przerwało mi delikatne muśnięcie ciepła na moim ciele. Czując, jak ten sam promień, który uderzył mnie w twarz, leniwie przesuwają się na moją wciąż moką od zimnego potu klatkę piersiową, z równą co on dozą lenistwa zerknąłem na stojący przy łóżku budzik. 5.47 – zły sen jak zwykle nie dał mu

najmniejszych szans, żeby obudzić mnie swoim donośnym alarmem o godzinie, którą można by nazwać chociażby przyzwoitą.

Jako że dłuższe leżenie w łóżku mogłoby grozić powrotem do spowitej cieniem krainy snu, ostatni raz pozwoliłem moim kościom i mięśniom wyciągnąć się w należyty sposób, po czym bez szczególnego entuzjazmu podniosłem ociężałe ciało z łóżka, po czym podszedłem do okna, aby do końca rozsunąć zasłony i rzucić nieco więcej światła na sypialnię. Mętym wzrokiem ogarnąłem skąpane we wschodzącym słońcu pomieszczenie i przechodząc przez korytarz, udałem się do łazienki.

Zapaliłem światło i spojrzałem w lustro. Jak co dzień o tej porze w jego szklanej tafli ujrzałem Tomasza Radziejowskiego, nie do końca ubranego, z rozczochraną parodią fryzury i mętymi, przekrwionymi oczami, których nie powstydziliby się zawodowy alkoholik w samym środku wyjątkowo obfitego ciągu. Niespełna trzydziestodwuletnią skórę wokół oczu pokrywała delikatna sieć zmarszczek, a szczękę i policzki zdobił twardy, szorstki, dwudniowy zarost. Gdy zyska status trzydniowego, bez większych skrupułów się go pozbędę, by następnie dać mu kolejne trzy dni na ponowne przyozdobienie twarzy. Zapewne gdyby dokładniej przyjrzeć się włosom, tu i ówdzie znalazłyby się pojedyncze siwe pasemka, jednak zdecydowanie nie leżały one w kręgu moich zainteresowań.

Wychodząc z łazienki, zgasilem światło, po czym chwyciłem pilota i pozwoliłem dojść do głosu prowadzącemu poranny serwis na kanale informacyjnym. Czasem ciężko mi uwierzyć, że program ten naprawdę jest nadawany na żywo. Szósta rano z całą pewnością nie wpływa dobrze na świeżość umysłu i ogólną nienaganną prezencję, którą prezenter wprost emanował, podając swym mocnym głosem informacje o wydarzeniach mających miejsce po drugiej stronie globu. Podczas gdy przygotowywałem śniadanie, dobiegały do mnie, wychwycone spoza szumu gotującej się w czajniku wody, strzępy informacji o dramatycznych, jeszcze bardziej dramatycznych, a czasem też skandalicznych wydarzeniach z całego świata (nic tak człowieka nie pobudza o szóstej rano jak solidna dawka optymistycznie nastawiających treści).

Można by pomyśleć, że świat to nie tylko umierający ludzie, wypadki, sceny swą drastycznością dorównujące najlepszym horrorom, skandale oraz plotki z życia gwiazd i polityków. Można by tak pomyśleć, jednak współczesna telewizja zdecydowanie nie dopuszczała do publicznej informacji takiej wersji wydarzeń.

Nie zwracając szczególnej uwagi na to, co znajdowało się na moim talerzu, przystąpiłem do konsumpcji, popijając pochłaniane kalorie mocną, czarną kawą.

Ona jedna miała wyrazisty smak. Zawsze tak samo czarna, zawsze tak samo mocna, budząca organizm do życia o tak niesprawiedliwie wczesnej porze, z jaką od pięciu lat przychodziło mi się budzić. Cała reszta nie miała znaczenia. Posiłki jedzone z powinności nie mają smaku.

Pół godziny później wyszedłem z domu, żeby przejść na drugą stronę ulicy, gdzie w kamienicy pamiętającej czasy Hitlera mieściło się moje biuro. Minąłem stojących pod budynkiem pijaczków, ignorując ich „kierowniku, poratuj do winka”, i przed wejściem do środka rzuciłem szybkie spojrzenie na wiszącą nad drzwiami (pomiędzy „Stowarzyszeniem przyjaciół Wilna i Grodna” oraz „Zrzeszeniem kombatantów - Zarząd”) niebieską tabliczkę, na której białe, pogrubione litery głosiły: „Tomasz Radziejowski - Prywatny Detektyw”. Pod spodem, mniejszą czcionką dopisane było: „Spraw rozwodowych nie przyjmuję”.

Otworzyłem drzwi i wszedłem do środka. Kamienica przy Sosnowej 22a nie była co prawda typową miejską szczytą, przeznaczoną na mieszkania komunalne, ale szczerze mówiąc - nie brakowało jej wiele. Ściany nie czuły na sobie świeżej farby od dobrych dziesięciu lat, a skrzypiące schody błagały o wizytę stolarza. Wszedłem na drugie piętro, gdzie za drzwiami równie starymi jak cały budynek mieściła się moja baza wypadowa.

Przekręciłem staroświecki klucz w zamku i wszedłem do środka, zapalając światło. Był tam korytarz mający pełnić rolę poczekalni, mała łazienka oraz dwa biura. Pierwsze znajdowało się na wprost wejścia, na końcu korytarza.

Był to przestronny gabinet, wyposażony we wszystko, co było niezbędne do prowadzenia działalności detektywistycznej. Przy dużym oknie stało sporych gabarytów biurko, a na nim biurowa lampka, pojemnik z długopisami, jakiś przycisk do papieru oraz serce całego centrum dowodzenia - laptop o parametrach wystarczających do wykonywania wszelkich zadań, z jakimi tylko miał pomóc mi się zmierzyć. Co wieczór na biurku lądowały dokumenty z prowadzonych aktualnie spraw, wraz z kopią zapasową na zewnętrznym dysku. W szufladzie, w metalowej kasetce, spoczywała połyskująca regularnie polerowaną czernią Beretta 92F, a cała reszta pierdółek, jak dyktafon, dokumenty i stos innych rzeczy, zamknięta była w szafce. Tak naprawdę całe biuro mieściło się w tym jednym meblu.

Wnętrze gabinetu ożywione było kilkoma kwiatami, stojącymi w donicach na przylegających do obu ścian niskich regałach (zapewne długo tam nie pobędą, przynajmniej nie żywe, znaczy się, przy moich zdolnościach florystycznych - wymienię na nowe, jak zawsze), oraz wiszącym z jednej strony obrazem (sto

dwadzieścia na dziewięćdziesiąt centymetrów, zakupiony w Castoramie za niecałe siedemdziesiąt złotych – nie było to dzieło sztuki, ale spełniało swoje zadanie; przynajmniej teoretycznie). Mimo tych ozdobników wewnątrz miało nieco surowy, spartański charakter. Odróżniało się oczywiście od ponurego wnętrza kamienicy, ale samo w sobie, choć jasne, miało coś przygnębiającego. W sam raz do stanu mojego umysłu. Przy biurku od strony okna stał wygodny, skórzany fotel, od drugiej zaś dwa krzesła dla ewentualnych interesantów. Na ścianie po lewej stronie biurka rozwieszona była sporych rozmiarów mapa Miasta z zaznaczonymi wszystkimi obszarami i ulicami, mogąca być bardzo pomocna przy ewentualnych poszukiwaniach.

Obok tego gabinetu znajdował się mniejszy, przygotowany na ewentualne (nadchodzące od pięciu lat) „później”, kiedy przyjdzie mi zatrudnić sekretarkę (koniecznie młodą, koniecznie ładną i koniecznie długonogą; kolor włosów bez znaczenia), dzięki której chociaż moje kwiaty będą miały jakąś szansę przetrwania.

Po godzinie zabijania czasu grą w szachy na moim laptopie (zanim zauważyłem, że można obniżyć poziom trudności, poniosłem największą liczbę miażdżących klęsk w tej grze w moim życiu) poszedłem na chwilę do drugiego pokoju, aby zaparzyć kawę.

Stojąc przy oknie z kubkiem gorącego napoju, usłyszałem dzwonek u wejścia, a następnie odgłos otwieranych drzwi. Gdy dotarłem na korytarz, ujrzałem stojącego w nim mężczyznę.

Na pierwszy rzut oka zbliżał się do piątego krzyżyka. Miał krótkie, rzadkie włosy, przyprószone na skroniach sporą dozą siwizny, która znaczyła też jego skrętnie przystrzyżony zarost, uformowany w literę „W”. W blasku oświetlających korytarz lamp wyraźnie widoczna była delikatna sieć zmarszczek, nie była to jednak sieć okalająca oczy i kąciki warg, charakterystyczna dla ludzi o wesołym usposobieniu, lubiących często się śmiać i nie szczędzących uśmiechu nawet przygodnie napotkanym osobom. Te zmarszczki spowodowane były wyłącznie wiekiem. Z całej twarzy przybysza, a zwłaszcza z oczu o nieokreślonym kolorze, schowanych za szklami w prostokątnych oprawkach, biła wyniosłość i chłód.

Nieznajomy wyciągnął rękę i spytał twardym, głębokim basem:

– Detektyw Radziejowski?

– Tak, z kim mam przyjemność?

– Grzegorz Przybylski, miło mi – powiedział, ściskając moją rękę.

Jego dłoń była niespodziewanie delikatna i wypiełgnowana. Świadczyło to o tym, że mój potencjalny klient wiele się w życiu nie napracował fizycznie, jednak markowy ubiór, zapach drogiej wody kolońskiej i ogólna postawa wskazywała na to, że mam przed sobą człowieka, któremu się w życiu powodzi, w każdym razie finansowo.

Zaprosiłem mojego interesanta do biura. Wskazałem mu jedno ze stojących przed biurkiem krzesel, sam zaś rozparłem się wygodnie w fotelu, po czym skierowałem wzrok na siedzącego przede mną mężczyznę i siłąc się na uprzejmy ton, rozpocząłem konwersację.

- Słucham, w czym mogę panu pomóc?

Mężczyzna nie odpowiedział od razu. Rozglądał się po gabinecie i wyraźnie krytycznym spojrzeniem lustrował nieco surowy wystrój pomieszczenia, wyraźnie nie odpowiadający jego wyobrażeniom o tym, jak powinny wyglądać biura (obraz z Castoramy był tu wręcz bluźnierstwem). Mijały kolejne sekundy. Już miałem zamiar powtórzyć pytanie, gdy mój klient wyprostował się na krześle i odezwał do mnie.

- Przyszedłem pana wynająć - powiedział tonem pełnym nieskrywanej wyższości. - Potrzebuję prywatnego detektywa.

- Domyślam się, że po to pan przyszedł. - (Przecież nie po to, żeby wynająć pokojówkę). - Słucham, w czym rzecz?

- Chodzi o moją żonę - powiedział przybysz, a jego głos obniżył się, pobrzmiwała w nim złość i pogarda. - Suka mnie zdradza i dobrze o tym wiem, chociaż... nie mam dowodów. Ale ona wcale się z tym nie kryje. I nie chce się zgodzić na rozwód, bo dobrze wie, że zostałaby bez grosza przy dupie. - Przerwał na moment, łapiąc oddech i najwyraźniej próbując opanować emocje, po czym przemówił, tym razem spokojnym, ale zdecydowanym głosem: - Chcę, żeby pan ją śledził. Żeby pan ją przyłapał z tym gołodupcem, z którym się puszcza. I chcę to mieć na zdjęciach - zakończył i wyciągnął się na krześle, czekając na moją odpowiedź.

Zamyśliłem się na chwilę, rozważając słowa mojego rozmówcy. Potarłem dwudniowy zarost zdobiący twarz i zwróciłem się do Grzegorza Przybylskiego, już nie siłąc się na przesadne uprzejmości:

- Czy dobrze zrozumiałem? - spytałem, waząc słowa. - Chce pan, żebym śledził pańską żonę i podał panu na tacy obciążające ją dowody, żeby mógł pan zażądać rozwodu?

- Tak, dokładnie tego oczekuję - odpowiedział mężczyzna. - Widzę, że się

rozumiemy.

Sięgnąłem do szuflady. Wyciągnąłem z niej paczkę papierosów i małą, zdobioną chińskimi znaczkami popielniczkę. Tę ostatnią położyłem przed sobą na biurku, a z paczki wyciągnąłem cristala, po czym wetknąłem go sobie do ust (nałóg całkiem dobrze sprawdzał się jako antydepresant, do tego był dostępny bez recepty – z dwojga złego lepsza dziura w płucach niż w mózgu). Wygrzebałem jeszcze z szuflady stalową, żarową zapalniczkę, przypaliłem cristala, wypuściłem z ust pierwszy kłęb dymu i zwróciłem się do klienta:

– Mogę zadać panu pytanie?

– Oczywiście, powiem panu, co tylko będzie potrzebował pan wiedzieć – odpowiedział skwapliwie Przybylski, sądząc, że właśnie rozpoczynam wstępny wywiad.

– To dobrze. Wobec tego niech pan mi powie... czy potrafi pan czytać?

Grzegorz Przybylski przez krótką chwilę był wyraźnie zbity z tropu tym pytaniem, po czym zdumienie na jego twarzy ustąpiło rozdrażnieniu.

– Ależ oczywiście! Co to za głupie pytanie?!

– Cóż – odparłem spokojnie, zaciągając się papierosem – przychodząc właśnie tutaj, z taką właśnie sprawą, dostarcza mi pan wystarczający dowód, że mam do czynienia z osobą niepiśmienną.

– Jak pan śmie?! – oburzył się klient. – Jak...

– Domyślam się, że wchodząc tu, spojrział pan na tabliczkę przy drzwiach? – przerwałem mu.

– Tak, i co z tego? – odburknął mężczyzna.

– Bardzo wiele – powiedziałem, kładąc przed nim wizytówkę, różniącą się od tabliczki przy wejściu tylko numerem telefonu w prawym dolnym rogu. – „Spraw rozwodowych nie przyjmuję”. To powinno panu wystarczyć jako powód, dla którego nie wezmę tej sprawy.

– Nie weźmie pan? – powtórzył z niedowierzaniem mężczyzna.

– Zgadza się, nie wezmę.

– Nie ma pan pra...

– Owszem, mam – uciałem krótko. – To moje najświętsze prawo: wybór zleceń, które przyjmuję.

– Za żadną cenę? – nie poddawał się klient.

– Za żadną. Nie zajmuję się bruźdzeniem w cudzym pożyciu małżeńskim, nawet jeśli jest tak cholernie nieudane.

– Ale...

- Ale - przerwałem mu - tylko w tym Mieście znajdzie się co najmniej dwóch detektywów nie widzących problemu w uganianiu się za pańską żoną z aparatem. Nie mówiąc o tym, jak wielu chętnych znajdzie się w skali kraju. Jednak zamiast zwrócić się do któregoś z nich - kontynuowałem, nie bacząc na nieme protesty mojego rozmówcy - udał się pan akurat tu, do człowieka, który akurat tylko takich spraw nie przyjmuje. Doprawdy, godny podziwu... niefart - skończyłem, strząsając jednocześnie popiół do popielniczki.

- Przeszedłem do pana, bo jest pan wiarygodnym źródłem dla sądu. A pański kodeks mnie nie interesuje. Zapłacę, ile będzie trzeba.

- To zabawne... próbuje mnie pan kupić? - W moim głosie nie było ani krztyny wesołości. Świdrowałem mężczyznę chłodnym spojrzeniem.

- Każdy ma swoją cenę - bezczelnie odpowiedział klient. - Bez pana nie rozwiodę się z tą zdziwą!

- Tam są drzwi - powiedziałem, nie podnosząc się z fotela. - Trafi pan do wyjścia. Do widzenia. To moje ostatnie słowo.

Wzburzony do ostatnich granic Grzegorz Przybylski zerwał się z krzesła, narzucił płaszcz i ruszył w kierunku wyjścia. Zatrzymał się przy drzwiach i odwrócił się w moją stronę.

- Nie pociągnie pan długo, postępując w ten sposób, tak traktując zleceniodawców.

- Na szczęście - odpowiedziałem - to nie pański biznes. Do widzenia.

I ponownie gestem wskazałem mu drzwi.

## II

Gdy tylko usłyszałem trzask, świadczący o tym, że mój upierdliwy klient opuścił biuro, obróciłem się na fotelu w stronę okna, w spokoju paląc papierosa i patrząc na budzącą się do życia ulicę Sosnową. Był początek czerwca. Dzień zapowiadał się przyjemnie, jednak pogodzie daleko było do upałów, którymi raczyła tę część globu jeszcze w ostatnim tygodniu maja, jak gdyby słońce złapało zadyszkę i musiało nieco zwolnić. Obserwowałem, jak ludzie wchodzili i wychodzili z kamienic po przeciwnej stronie ulicy; widziałem sąsiadów, których imion dotąd nie poznałem, choć od pięciu lat mieszkałem w tym samym co oni budynku, spieszących ku swoim sprawom, do pracy, na zakupy, do lekarzy, burdeli... Ilu ludzi, tyle kierunków. Dzieci zaczynające lekcje o późniejszej porze



również wybiegały na zewnątrz, wypełniając swoimi krzykami poranną ciszę.

Pozwalając myślom błąkać się swobodnie, dokończyłem papierosa. „Palenie zabija” – pomyślałem. Zapaliłem jeszcze jednego. Nie zdążyłem zaciągnąć się nawet dwa razy, gdy po raz drugi tego dnia zabrzmiał dzwonek u drzwi.

- Proszę – zawołałem, widząc, że ktokolwiek stał za drzwiami, nie chciał wejść nieproszony.

Drzwi otworzyły się z przeciągłym jęknięciem i zostały delikatnie zamknięte. Stukot obcasów na wyłożonej panelami podłodze wzmógł się i do biura weszła druga tego dnia obca osoba.

Gdy podniosłem wzrok w wypełnionym dymem papierosowym pomieszczeniu, pomyślałem, że brakuje mi tylko fedory na głowie, by ta scena była skrajnie kliszowa, niczym żywcem wyjęta z czarnego kryminału lat pięćdziesiątych: samotny detektyw, zadymione biuro i piękna kobieta. Bo taka istotnie była dziewczyna, która stanęła w przejściu: długie blond włosy, twarz anioła przyozdobiona delikatnym makijażem i ciało, które choć drobne, musiało przyciągnąć niejedno spojrzenie, a to wszystko opakowane w czerń – począwszy od opaski na głowie, poprzez ciasno opinającą sylwetkę sukienkę, po okrywające zgrabne nogi rajstopy i buty na średniej wysokości obcasie. Nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat.

- Dzień dobry, czy można? – zapytała nieśmiało dziewczyna.

- Oczywiście, oczywiście – odparłem. – Niech pani siada.

Wstałem, żeby (jak przystało na dżentelmena) odsunąć damie krzesło i pomóc jej zająć miejsce.

- Dziękuję – powiedziała, widząc oznaki mojej kurtuazji, i usiadła, podobnie jak mój poprzedni klient rozglądając się po gabinecie.

- Ależ proszę. Czy napije się pani czegoś?

- Jeśli to nie problem, to poproszę wody.

- Naturalnie, już podaję – odpowiedziałem, ruszając do kuchni po szklanekę wody mineralnej.

Pozwoliłem mojej interesantce zaspokoić pragnienie, po czym rozpocząłem konwersację:

- Tak więc, pani...

- Doroto. Mam na imię Dorota Lutowska – odparła, wyciągając dłoń w moją stronę.

- Tomasz Radziejowski, bardzo miło mi panią poznać, pani Doroto – powiedziałem, ściskając dłoń tak delikatną, jak można było się spodziewać po tak

drobnej postury kobiecie. – Co panią do mnie sprowadza?

Na chwilę odwróciła wzrok, jak gdyby zbierając myśli, po czym, wciąż patrząc w podłogę, nieśmiało rozpoczęła:

– Nie bardzo wiem, od czego zacząć...

– Najlepiej od początku – powiedziałem najbardziej przyjaźnie, jak to było tylko możliwe. Sprawa musiała być poważna, widać to było na pierwszy rzut oka.

– Widzi pan... dwa tygodnie temu zmarła moja najlepsza przyjaciółka, Martyna. A niespełna dzień po jej pogrzebie mój... mój starszy brat trafił do szpitala w stanie ciężkiego szoku i zapadł w śpiączkę...

– To tłumaczy kolor pani garderoby...

– Tak, to...

Głos jej się załamał. Byłem pewien, że wybuchnie płaczem, jednak opanowała się i podniosła wzrok. Spojrzała mi prosto w oczy. W jej zielono-błękitnych oczach, choć zasnutych bielmem żalu, płonął ogień.

– Przychodzę do pana, bo chcę, żeby pomógł mi pan rozwiązać zagadkę jej śmierci i stanu mojego brata. Jest pan ostatnią osobą, do której mogę się udać, ostatnią, która może być w stanie mi pomóc. Przynajmniej tak twierdzi komisarz Dąbrowski...

– Dąbrowski? To on dał pani namiary na mnie?

– Tak. Powiedział, że jest pan osobą, która mnie wysłucha i być może będzie w stanie pomóc, bo on, jak sam powiedział, nie potrafi zrobić już nic więcej.

Ziarno ciekawości, zasiane we mnie przez przybycie pięknej nieznajomej, kiełkowało w zawrotnym tempie, gotowe niebawem w pełni rozkwitnąć. W twarzy tej dziewczyny widziałem żal i determinację, a także... strach? Cokolwiek przydarzyło się jej najbliższemu, nie było zwyczajne (cóż, żadna śmierć nie jest, nieprawdą? Nieważne, jak na to patrzeć, zawsze jesteśmy zdziwieni). I do tego przysłał ją Dąbrowski...

– Proszę opowiedzieć mi wszystko od początku.

– Dobrze, lecz zanim zacznę, bardzo proszę, żeby słuchał pan do końca, bez względu na to, co powiem. Komisarz Dąbrowski powiedział, że spośród wszystkich ludzi, jakich zna, pan nigdy nie odrzuca żadnej, nawet najbardziej nieprawdopodobnej możliwości. Że pan jeden potraktuje mnie poważnie.

– Postaram się nie odstawać od tego, co powiedział pani komisarz Dąbrowski. Proszę, niech mi pani opowie, co dokładnie się wydarzyło.

– Pozwolę sobie opowiedzieć nieco od końca. Widzi pan, uważam, że to, co przytrafiło się mojemu bratu, jest bezpośrednio związane ze śmiercią Martyny.

- Często po śmierci bliskich nasz stan psychiczny się pogarsza. Może dopiero po pogrzebie do pani brata dotarło to, co się właściwie stało i...

- Nie, to nie to. Proszę, niech mi pan pozwoli opowiedzieć całą historię.

- Oczywiście, przepraszam. Niech pani kontynuuje.

- Dziękuję. Mój brat, Marek... jest dla mnie najważniejszą osobą na świecie.

Drugą najważniejszą osobą była Martyna. Gdy dowiedziałam się o jej śmierci, byłam zdruzgotana. Czułam, że tylko Marek może mnie zrozumieć, więc pokazałam mu to...

- Co pani pokazała bratu?

- Przepraszam, zdaje się, że się zapędzam. To wszystko jest tak trudne... Chce pan wiedzieć, jak zmarła moja przyjaciółka?

- Owszem - odparłem, starając się nie okazywać drażącej mnie ciekawości.

- Według patologów była to śmierć naturalna. Dodam, że Martyna miała tylko dwadzieścia lat, tak jak ja.

- Śmierć naturalna w tym wieku? - spytałem szczerze zdumiony, nieco unosząc głos.

- Może pan wierzyć lub nie, ale tak właśnie stwierdzili patolodzy po sekcji zwłok. Sprawa była tak niezwykła, że postanowiono zrobić dokładną sekcję, jednak ta tylko potwierdziła pierwszy osąd: zgon z przyczyn naturalnych, zatrzymanie akcji serca.

- Ciężko w to uwierzyć...

- A jednak. Niemniej... może pan to uznać za głupie, ale nie uwierzyłam w wyniki tej sekcji. Nie po tym, co przeczytałam w listach od Martyny. Pokazałam je Markowi, on również nie uwierzył.

- O jakich listach pani mówi?

- A, racja, przepraszam, znów się zapędzam... - mówiąc to, sięgnęła do swojej torebki (czarnej, a jakże) i wyciągnęła z niej prostą, niebieską teczkę z gumką. - Ja i Martyna pisałyśmy do siebie listy. Głupie, prawda? W dobie Internetu, telefonów... Ale to nas zbliżało do siebie, nawet gdy zaczęłyśmy studiować w różnych miejscach, te listy sprawiały, że czułyśmy prawdziwą więź.

- Rozumiem. Proszę powiedzieć, co dokładnie było w tych listach, które pokazała pani bratu?

- Przyczyna śmierci Martyny - powiedziała niemal szeptem Dorota. - Marek doszedł do tego samego wniosku, gdy tylko je przeczytał. Wiedziałam, że inaczej mi nie uwierzy, nikt by nie uwierzył, więc dałam mu je, żeby przekonał się na własne oczy. Tak samo proszę, niech pan je przeczyta. Ułożyłam je po kolei, niech

pan przeczyta wszystkie, od początku do końca. Wtedy i pan się przekona, że Martyna, ona... ona... umarła... ze strachu – dokończyła łamiącym się głosem.

- Ze strachu? Nie sądzę, żeby to było moż...

- Proszę, niech pan czyta – powiedziała cicho, lecz stanowczo.

Wręczyła mi teczkę. Odciągnąłem gumkę, wyjąłem pierwszą kartkę i zacząłem czytać. „Droga Doro...”. Mijały minuty, a z każdym kolejnym listem, który czytałem, narastał we mnie niesprecyzowany niepokój i uczucie, że stoję przed czymś, z czym raczej wolałbym się nie zetknąć. Mimo to czytałem dalej, gdyż ziarno ciekawości w moim umyśle już dawno nie tylko zakwitło, ale wydało dorodne owoce. Starając się zachować spokojny wyraz twarzy, po blisko dwudziestu minutach lektury dotarłem do ostatniej kartki. Czytając ją, czułem, jak z każdą linijką odpływa kolor z mojej twarzy, jednak starałem się nie okazać mojej klientce tego, co działo się we mnie.

Odłożyłem kartki z powrotem do teczki i z sercem bijącym mocniej niż powinno, zwróciłem się do siedzącej naprzeciw mnie kobiety:

- To...

- Ciężko uwierzyć, prawda? – spytała tonem „a nie mówiłam?”.

- Prawda... Pani Doroto, jakiej pomocy właściwie pani ode mnie oczekuje? I co właściwie powiedział Dąbrowski, że zdecydowała się pani przyjść właśnie do mnie?

- Panie Tomaszu, komisarz Dąbrowski prowadził sprawę śmierci Martyny, jednak po orzeczeniu patologów sprawa została uznana za zamkniętą. Tylko ja nie mogłam dać temu spokoju, więc poszłam do niego i pokazałam mu listy... Gdy tylko je obejrzał, powiedział, że nie jest w stanie mi pomóc, ale powiedział też, że pan, panie Tomaszu, jest wolny od wszelkich uprzedzeń i będzie skłonny mi pomóc. Powiedział też... że ma pan niejako doświadczenie w takich przypadkach. Czy to prawda?

Doświadczenie, co? – pomyślałem. Cholerny Benny... (tak nazywaliśmy Dąbrowskiego już w szkole policyjnej). Wcale nie masz mniej „doświadczenia” ode mnie, cwaniaku. A jednak odesłałeś ją do mnie...

- Cóż, można tak powiedzieć, choć nie do końca; wolałbym jednak nie wdawać się w szczegóły. Pani Doroto, czy może pani zostawić u mnie te listy? Chciałbym je przeczytać raz jeszcze.

- Czy to znaczy, że zgodzi się pan mi pomóc? – zapytała z nadzieją w głosie.

- Jeszcze nie wiem, pani Doroto. Powiem szczerze: to, z czym prawdopodobnie mamy tutaj do czynienia, może mnie przerosnąć.

- Bardzo pana proszę... jest pan moją ostatnią szansą.

- Mimo wszystko, muszę się nad tym zastanowić, dobrze?

Młoda kobieta siedząca przede mną posmutniała, jednak szybko na jej twarzy pojawił się delikatny uśmiech, którym mnie obdarzyła, powodując delikatną sensację w okolicach mostka.

- Oczywiście - powiedziała, podnosząc się z krzesła. Wyciągnęła z torebki kawałek kartki i długopis, zapisała coś i podała mi kartkę. - To jest mój numer telefonu, jestem w mieście, bo mojego brata przewieźli tu przedwczoraj ze szpitala w mojej miejscowości. Podobno tu będzie miał lepszą opiekę, jest większa szansa na to, że obudzi się ze śpiączki. Proszę do mnie zadzwonić, gdy już pan postanowi, co dalej, dobrze? - I wyciągnęła dłoń na pożegnanie.

- Naturalnie - rzekłem, raz jeszcze czując delikatność jej dłoni. Obiecuję zadzwonić jeszcze dziś, po przejrzeniu na spokojnie tych listów, które mi pani pokazała.

- Dziękuję, będę czekać na telefon - powiedziała, po czym odwróciła się, z niewymuszoną zmysłowością zarzuciła włosami i skierowała swe kroki do wyjścia. - Do zobaczenia!

Do zobaczenia - pomyślałem. Do zobaczenia.

### III

Gdy tylko drzwi zamknęły się za moją nową klientką, postanowiłem wywiesić na nich kartkę „Nieczynne, przepraszamy”, by przy kolejnym kubku kawy i papierosie (no, może trzech) raz jeszcze, w spokoju, przejrzeć zawartość niebieskiej teczki. Czytałem, popijając niezwykłą treść dawkami kofeiny w płynie i pozwalając nikotynie wspomóc przewodzenie synaps. Śmierć tej młodej dziewczyny nie była zagadką. Ona naprawdę umarła ze strachu... i nikt nie powinien jej za to winić. Stan psychiczny brata Doroty... Jedyne wnioski, do jakiego byłem w stanie dojść - jakkolwiek paranoicznie brzmiało to nawet wewnątrz mojej głowy - był taki, iż prawdopodobnie tajemnicza kobieta i jemu złożyła wizytę, jednak był na tyle odporny, by nie umrzeć na zawał.

Siedziałem w niemal kompletnym bezruchu ponad pół godziny, rozważając wszelkie za i przeciw, po drodze starając się nie dać się obezwładnić wspomnieniom, które gwałtownie, bez ostrzeżenia, zaczęły wdzierać się do mojego umysłu. Starłem się wydychać niepokój wraz z dymem papierosowym,

jednak tak jak dym osadza się w płucach, tak niepokój zostawiał pokaźne plamy na moim mózgu.

Wstałem z fotela. Przez chwilę krążyłem po pokoju, pozwalając krwi dopłynąć do zasiedziałych części ciała, po czym sięgnąłem po leżącą na stole kartkę, wyjąłem telefon i wybrałem zapisany na niej numer.

- Tak, słucham? - usłyszałem po drugiej stronie.

- Witam, pani Doroto, Tomasz Radziejowski z tej strony.

- Tak? - zapytała niepewnie.

- Zapraszam panią do mojego biura jeszcze raz, dziś po południu, jeśli nie stanowi to dla pani problemu. Chciałbym omówić z panią szczegóły tego zlecenia.

- O... Oczywiście. Czy to oznacza, że zgodził się pan mi pomóc? - zapytała z nadzieją w głosie.

Przez moment milczałem, zastanawiając się nad odpowiedzią. Westchnąłem w duchu, mając nadzieję, że nie pożałuję swojej decyzji.

- Tak, pani Doroto. Pomogę pani, jednak chcę raz jeszcze omówić to, o czym rozmawialiśmy rano.

- Naturalnie - odparła, wyraźnie starając się opanować narastającą ekscytację.

- Czy godzina szesnasta panu odpowiada?

- Jak najbardziej. Będę na panią czekał - odpowiedziałem.

- W takim razie do zobaczenia o szesnastej - powiedziała z wyraźną ulgą w głosie, po czym zakończyła rozmowę.

- Do zobaczenia... - rzuciłem w stronę głuchego sygnału, po czym sam odłożyłem telefon.

# ROZDZIAŁ II

## I

Dorota zamknęła za sobą drzwi biura detektywa Radziejowskiego, przywarła do nich na moment plecami i odetchnęła głęboko trzy razy, po czym zeszła po schodach, by wyjść na rozświetloną przedpołudniowym słońcem ulicę Sosnową. Lekko dezorientowana rozejrzała się w lewo, w prawo, niepewna, w którą stronę powinna iść, jednak znajomo wyglądający budynek pomógł jej dokonać właściwego wyboru.

Wsluchując się w stukot własnych obcasów na brukowanym chodniku, cofnęła się myślami do dnia, w którym Marek wrócił z pogrzebu, i nocy, której obudził ją jego krzyk, pełen przerażenia, którego nigdy wcześniej nie słyszała w głosie brata. Potem był już tylko nerwowy telefon, skrajny lęk, pulsujący sygnał karetki pogotowia. Marka najpierw zabrano do lokalnej przychodni, jednak miejscowi lekarze błyskawicznie ocenili, że wymaga on specjalistycznej pomocy, wobec tego niemal natychmiast podjęto decyzję o transporcie brata Doroty do szpitala w Mieście, gdzie otoczono go fachową opieką, choć nadal, po ponad tygodniu, żaden z lekarzy nie był pewien, co mu dolega. Faktem pozostawało, że po ataku przerażenia tamtej nocy Marek pozostawał w śpiączce. Co ją spowodowało? To wiedział tylko Marek.

Rytmiczny stukot obcasów sprzyjał rozmyślaniom i wspomnieniom. Wpatrując się we własny cień wytyczający szlak przed nią, pozwoliła napłynąć wspomnieniom i odczuciom towarzyszącym jej przez ostatnie dni. To był ciężki tydzień, lecz nic nie zapowiadało, by kolejne dni miały przynieść poprawę. Ponownie poczuła tę samą dezorientację i niepewność, którą czuła, gdy po raz pierwszy usiadła na szpitalnym krześle przy podłączonym do kroplówek Marku.

Dorota wiedziała, że nieustanne czuwanie przy łóżku brata wcale nie pomoże mu dojść do siebie, jednak przez pierwsze trzy dni nie była w stanie od niego odejść. Opuszczała pokój tylko po to, by skorzystać z toalety albo się czegoś napić. Chciała być obok, gdy jej brat otworzy oczy, jednak przez trzy dni od pogrzebu swojej najlepszej przyjaciółki nie doczekała się tego momentu. Dopiero

piątego dnia jakaś jej część zbuntowała się przeciw całości i kazała jej wstać. Martynie niepotrzebny był pusty żal, podobnie jak Markowi towarzystwo w stanie, w jakim się znajdował. Obojgu za to potrzebne było działanie. Czuwanie nad Markiem przejęła ich matka, a Dorota postanowiła udać się na komisariat policji, by porozmawiać z komisarzem Dąbrowskim, który, jak dowiedziała się od swojego ojca, prowadził sprawę śmierci Marty.

Teraz, idąc słoneczną ulicą i czując, jak robi jej się gorąco od palących promieni wchłanianych przez czerń materiału, po raz kolejny nie mogła oprzeć się rozgoryczeniu, które czuła, udając się na komendę, tuż przed rozmową z komisarzem.

Nie dało się ukryć – liczyła na więcej. Liczyła na to, że policja ma już choćby jakiś ślad, jakikolwiek punkt zaczepienia mogący przyczynić się do wyjaśnienia tej zagadkowej śmierci. Zamiast tego dowiedziała się jedynie, że śledztwo niechybnie zostanie umorzone, jako że prokuratura uznała opinię patologa za wystarczającą podstawę, by uznać sprawę za zamkniętą. Brak widocznego działania osób trzecich tym bardziej przemawiał za zakończeniem śledztwa.

Nie pomogło święte oburzenie, gniewne spojrzenia i pełne wyrzutu słowa – komisarz Dąbrowski miał związane ręce.

- Dorotko, uwierz mi – próbował jej tłumaczyć – gdyby to zależało tylko ode mnie, prowadziłbym tę sprawę dalej. Nie daje mi ona spać po nocach i prawdopodobnie nie zasnę spokojnym snem, dopóki nie dowiem się, do czego tak naprawdę doszło. Jednak muszę słuchać przełożonych, a skoro oni uważają sprawę za zamkniętą, ja też muszę ją za taką uznać. Bardzo mi przykro...

- Niech pan nie przeprasza, to ja powinnam – westchnęła Dorota. - Nie chciałam być nieuprzejma. Martyna... Martyna była moją najlepszą przyjaciółką. I wiem, że przed śmiercią bardzo się bała...

- Bała się? Czego? Czy ktoś jej groził, prześladował ją? – zapytał ostrożnie Dąbrowski.

- Nie, panie komisarzu... choć, może tak. Trudno to wyjaśnić...

- Proszę, opowiedz mi.

- Obawiam się, że mnie pan wyśmieje... albo uzna za nienormalną.

- Dorotko kochana – zaśmiał się Dąbrowski – znam twojego ojca od bardzo dawna i wiem, że ostatnim, co można by powiedzieć o jego dzieciach, to że są nienormalne. Nie martw się, cokolwiek powiesz, potraktuję to poważnie – zapewnił ją komisarz.

- Skoro pan tak mówi... Lecz jak by pan zareagował, gdybym panu



powiedziała, że Martyna była... nawiedzana?

- Nawiedzana? - zapytał z pewną rezerwą komisarz. - Masz na myśli „prześladowana”? Przez kogo?

- Nie, panie komisarzu. Mam na myśli „nawiedzana”, nie „prześladowana”, ani tym bardziej „nawiedzona”. Nawiedzana przez coś, co sama opisywała jako kobietę w średnim wieku, jednak z jej opisów wynikało, że ta kobieta na pewno nie była... człowiekiem. Opisywała mi ją w listach...

- W jakich listach?

- W listach, które do siebie słałyśmy, ot, taki nasz zwyczaj. Pokazałam je mojemu bratu, a on zgodził się ze mną, że to, co opisywała, nie było naturalne, podobnie jak jej śmierć. Chce pan zobaczyć te listy?

- Dorotko, wybacz mi, ale nawet gdybym je przeczytał, nie mógłbym zrobić już nic więcej - powiedział wyraźnie zakłopotany.

- Rozumiem... - odparła ze smutkiem Dorota. - Panie komisarzu, ja po prostu już nie wiem, do kogo się zwrócić o pomoc. Nie wierzę w naturalną śmierć Marty, po prostu nie wierzę! Muszę się dowiedzieć, dlaczego moja najlepsza przyjaciółka nie żyje, a mój brat leży jak roślina w szpitalnym łóżku!

W tym momencie nie wytrzymała i wybuchnęła donośnym płaczem, a jej ciałem zaczęły wstrząsać drgawki. Komisarz Dąbrowski podszedł do niej i objął ją, starając się ją uspokoić. Gdy w końcu dziewczyna opanowała się do tego stopnia, że była w stanie wysłuchać drugiej osoby, Dąbrowski odsunął ją na długość ramion, spojrzał w zaszklone łzami oczy i powiedział:

- Znam kogoś, kto być może będzie mógł ci pomóc.

- Nn... naprawdę? - wyszlochała Dorota.

- Naprawdę. Podam ci adres biura mojego przyjaciela, Tomasza Radziejewskiego. Jest prywatnym detektywem, specjalizującym się w zaginięciach, ale jestem niemal pewny, że tobie także będzie w stanie pomóc. A na pewno spróbuje.

- A co jeśli potraktuje mnie jak wariatkę, jak nawiedzoną paranoiczkę?

- Na pewno tego nie robi. Tomasz jest... cóż, człowiekiem wolnym od wszelkich uprzedzeń. Nie odrzuca żadnej możliwości, taki już jest, zawsze był, nawet w szkole policyjnej. Co więcej... ma pewne doświadczenie z czynnikami, jak to ujęłaś... nienaturalnymi. Uważam, że powinnaś z nim porozmawiać o śmierci twojej przyjaciółki i stanie zdrowia twojego brata. Powiedz mu o wszystkim. Jeśli możesz, pokaż mu także listy, o których wspomniałaś.

- I naprawdę sądzi pan, że ten detektyw będzie w stanie mi pomóc?

- Dorotko, jeśli on ci nie pomoże, to nikt inny nie zdoła, uwierz mi.

- Dobrze, wobec tego pójdę do niego. Niech mi pan da jego adres. Proszę.

- Sosnowa 22a. Jedna ze starych kamienic, nie powinnaś mieć problemu z jej znalezieniem. Wsiądź w najbliższy autobus jadący na osiedle Słoneczne i wysiądź na przystanku Sosnowa. Stamtąd powinnaś trafić bez większych trudności.

- Sosnowa 22a... Dziękuję, panie komisarzu - powiedziała Dorota, delikatnie się uśmiechając. - Naprawdę dziękuję, wiedziałam, że mogę liczyć na pana pomoc.

- Żałuję, że tylko tyle mogłem zrobić. Gdybym mógł się na coś przydać podczas waszego śledztwa, proszę, zadzwoń do mnie. Zrobię, co tylko będę w stanie.

- Raz jeszcze dziękuję, panie komisarzu.

To powiedziawszy, zostawiła Dąbrowskiego z wyrazem troski na twarzy i opuściła komisariat.

Teraz przemierzała nieznane jej Miasto, odtwarzając w wyobraźni na zmianę sceny rozmowy z Dąbrowskim oraz dopiero co odbytej rozmowy z detektywem. Miała nadzieję, że zadzwoni. Dąbrowski miał rację, ona też podświadomie to czuła. Jeśli ten człowiek nie będzie w stanie jej pomóc - nikt nie będzie.

## II

Była tak pogrążona w myślach, że nawet nie zauważyła, jak przekracza bramę terenów szpitalnych. Lekko dezorientowana rozejrzała się dookoła, szukając wejścia na właściwy oddział. Gdy udało się jej go zlokalizować, weszła do środka, minęła rejestrację i poszła prosto do windy, by wjechać na drugie piętro. Podróż windą nie trwała długo, dzwonek zabrzączał i już znajdowała się na piętrze, po którego drugiej stronie leżał jej brat. Z braku łóżek umiejscowiono go na oddziale geriatry, więc idąc wzdłuż korytarza, Dorota minęła sporą liczbę pacjentów, spieszących do łazienek i innych pokoi, kurczowo zaciskających dłonie na swoich drabinkach i cewnikach.

Gdy dotarła przed pokój 247, nim przekroczyła jego próg, odetchnęła głęboko kilka razy, starając się uspokoić skołatane nerwy. Weszła do środka. Pokój był tak samo surowy i chłodny jak w momencie, gdy ostatnio z niego wychodziła; jedno łóżko, aparatura do podtrzymywania życia, dwa krzesła, umywalka, mały telewizorek na monety i obdrapane ściany. Typowa szpitalna rzeczywistość. Na jednym z krzeseł drzemała matka Doroty i Marka. Dorota podeszła do niej

i delikatnie szturchnęła ją w ramię. Ta poderwała się gwałtownie i chyba nie do końca wiedząc, gdzie się znajduje, zaczęła nerwowo przetrząsać torebkę.

- Co, gdzie... która godzina? Cholera, miałam gdzieś tu telefon...

- Mamo, spokojnie, to tylko ja - starała się uspokoić ją córka.

- O, Dorota, już jesteś? - spytała zdziwiona.

- Tak, już jestem. Jakieś nowe informacje od lekarzy? - zapytała z nadzieją w głosie.

- Niestety nie - odparła ze smutkiem jej matka. - W dalszym ciągu nie wiemy, co mu się stało. Jedyne logiczne wytłumaczeniem, jakie potrafią przedstawić, jest „szok pourazowy”, ale przecież Marek nie doznał żadnego urazu...

„Przynajmniej fizycznego...” - pomyślała Dorota, jednak zachowała to wyłącznie dla siebie.

- Racja, przecież to się stało podczas snu...

Tu temat się wyczerpał, więc siedziały tylko obok siebie, wpatrując się w leżącego na łóżku Marka, jak gdyby samym spojrzeniem mogły sprawić, by się obudził. Dorota spojrzała przez okno na przebijające się przez zasłonę chmur słońce... Nigdy nie była zbyt wierząca, ale myślała: „Boże, jeśli istniejesz, to choć raz się pokaż... Naprawdę przydałaby mi się twoja pomoc, wiesz?”. Jakaś jej część czuła, że to przelewanie z pustego w próżne - nawet gdyby Bóg istniał, jakie miała prawo wołać go akurat teraz, kiedy przez całą resztę życia uparcie odmawiała mu rozmowy? A z drugiej strony... nie zaszkodziło spróbować.

Zanim zdążyła popaść w pełne gorczy odrętwienie, z zadumy wyrwał ją dzwonek telefonu. Spojrzała na ekran - numer nieznany.

- Tak, słucham?

- Witam, pani Doroto, Tomasz Radziejowski z tej strony.

- Tak? - zapytała niepewnie.

- Zapraszam panią do mojego biura jeszcze raz, dziś po południu, jeśli nie stanowi to dla pani problemu. Chciałbym omówić z panią szczegóły tego zlecenia.

- O... Oczywiście. Czy to oznacza, że zgodził się pan mi pomóc? - zapytała z nadzieją w głosie.

Na moment w słuchawce zaległa cisza, jednak nim stała się nieznośna, głos odezwał się znowu.

- Tak, pani Doroto. Pomogę pani, jednak chcę raz jeszcze omówić to, o czym rozmawialiśmy rano.

- Naturalnie - odparła, ze wszystkich sił starając się opanować narastającą ekscytację. - Czy godzina szesnasta panu odpowiada?

- Jak najbardziej. Będę na panią czekał - odparł detektyw.

- W takim razie do zobaczenia o szesnastej - powiedziała z wyraźną ulgą w głosie, po czym zakończyła rozmowę.

Rozłączyła się i schowała telefon do torebki. Ponownie spojrzała w okno i pomyślała: „Nie wiem, czy to ty, Boże, ale tak czy inaczej - dziękuję”.

# ROZDZIAŁ III

## I

Od rozmowy z Dorotą Lutowską minęło już kilka godzin, a ja zdążyłem w tym czasie nieco ochłonąć i przyswoić odsłaniające się przede mną fakty. Postanowiłem zabić nieco czasu w oczekiwaniu na umówione spotkanie, wyszedłem więc z biura, by po części załatwić odkładane na później sprawy (jak choćby zakupy...), a po części po prostu wpuścić nieco świeżego powietrza do mojego zmęczonego umysłu.

Mijałem setki szarych twarzy, ludzi, których jedynym przeznaczeniem było istnieć, wypełniając dziury w przestrzeni. Każdy z nich miał swoją historię, swoje życie, a jednak w tym bezimiennym tłumie byli dla mnie mniej niż tłem do rozmyślań. Gdzieś na starówce młody chłopak grał na gitarze i śpiewał znaną piosenkę. Szło mu naprawdę dobrze, zapracował na dziesięć złotych, które wrzuciłem do futerału leżącego u jego stóp. Być może kiedyś będzie wielki? A być może zostanie wciągnięty w tło egzystencji? Kto wie...

- Otrząśnij się, do cholery! - powiedziałem sam sobie. - Nie czas teraz na te egzystencjalne bzdury, którymi wypychasz sobie ten durny łeb! Masz ważniejsze sprawy na głowie!

Fakt, miałem. Sprawa tej dziewczyny, Doroty... Gdzieś w głębinach duszy czułem, że postąpiłem słusznie, decydując się jej pomóc, bałem się jednak, że leży to poza zakresem moich możliwości. To prawda - byłem dobrym detektywem. W ciągu ostatnich pięciu lat, od mojego odejścia z policji, miałem niemal stuprocentową skuteczność odnajdowania zaginionych, jak gdyby ktoś niewidzialny podpowiadał mi, gdzie ich szukać. Jednak tym razem nie chodziło o zaginięcie, a o coś o wiele bardziej mrocznego. Coś, z czym nie miałem do czynienia od co najmniej pięciu lat.

Nie, w kwestiach nadnaturalnych nie miałem żadnych doświadczeń... być może wyjąwszy owe dziwne przeczucia, niejasne sygnały, które odbierałem z niewiadomego źródła za każdym razem, gdy prowadziłem śledztwo. Mimo wszystko sprawę śmierci Martynty spowijał cień i gęsty mrok, porównywalny na



Charakterystyczny pstryk oświadczył: „woda zagotowana”. Zalałem pocukrzoną i pomleczoną kawę Doroty oraz swoją, czarną, po czym zaniósłem do gabinetu, postawiłem na biurku i zająłem miejsce po jego drugiej stronie.

Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy, upijając kawę drobnymi łykami. Dorota wyraźnie zaczynała czuć się bardziej swobodnie, postanowiłem więc rozpocząć rozmowę.

- Pani Doroto...

- Proszę, bez „pani” - przerwała mi. - Jak będę miała czterdzieści lat i zmarszczki na całej twarzy, wtedy można mi będzie mówić per „pani” - zaśmiała się. - Na ten moment proszę mi mówić po prostu „Dorota”, dobrze?

- Skoro tak pani stawia sprawę... - również się zaśmiałem.

Spojrzała na mnie krytycznie, więc poprawiłem się szybko.

- Doroto. Lepiej?

- Lepiej, o wiele - odparła, uśmiechając się porozumiewawczo.

- Wobec tego bardzo proszę, żebyś do mnie także zwracała się po imieniu. Szczerze mówiąc, jestem okropnie zmęczony tym „panem Tomaszem”. Czuję się staro, kiedy ludzie tak do mnie mówią.

- Nie jest z panem jeszcze aż tak źle - powiedziała, taksując mnie spojrzeniem.

- Tomaszu.

- No, tak lepiej. To skoro już się poznaliśmy, chciałbym z tobą porozmawiać o zleceniu, które zgodziłem się przyjąć. Prawdę mówiąc... dalej nie jestem pewien, czy dobrze zrobiłem. Sprawa wydaje się mi przerastać, niemniej jednak chcę spróbować.

- Bardzo się cieszę z tego powodu. Co chciałby pan wiedzieć?

- Wydaje mi się, że przed chwilą przeszliśmy na „ty”?

- Racja, racja, ale pewnie jeszcze przez moment będę się zapominać. Więc... co chciałbyś wiedzieć? Powiem wszystko, co tylko może w jakikolwiek sposób pomóc.

### III

Rozmawialiśmy zatem, aż kolor nieba za oknem zmienił się z jasnego błękitu w ciemnogrnatowy, stopniowo ciemniejąc. Poznałem wiele faktów, między innymi historię przyjaźni Doroty z Martyną, ich wzajemnych uczuć, a także bardzo wiele faktów o bracie Doroty, Marku, którego zdecydowanie bardzo kochała. Byłem pod wrażeniem jej szczerych uczuć i otwartości, z jaką o nich mówiła. Coś takiego

bardzo rzadko zdarza się w dzisiejszym świecie, gdzie jedyne uczucia, jakie wolno publicznie okazywać, to ból i smutek, a miłość to tylko puste sześć liter, którymi maskuje się uprawianie seksu ze wszystkim, co ma dwie nogi i potrafi jęczeć. Miłość braterska (czy też „siostrzana”) tym bardziej wydaje się nieistniejącą abstrakcją, a jednak jej żywy dowód siedział przede mną.

Mimo wszystko żadna z rzeczy, których dowiedziałem się podczas tej konwersacji, w żaden sposób nie przybliżyła mnie nawet o milimetr do rozwiązania zagadki, która stała przede mną. Pozwoliła jednak poznać lepiej Dorotę, a ta z każdym kolejnym zdaniem rysowała się w moim umyśle jako szczerą, dobroduszną osobą, niemniej jednak skryta za maską ciężkiego momentami sarkazmu.

Nie przybliżyłem się do rozwiązania tajemnicy, jednak czułem, że zacząłem zdobywać zaufanie mojej klientki, co na pewno będzie pomocne w późniejszym czasie.

Kilka godzin i trzy kawy później, zegarek wskazywał blisko dwudziestą drugą.

- Zrobiło się naprawdę późno, przepraszam, nie powinienem był cię tak długo tutaj trzymać - powiedziałem przeproszającym tonem.

- Nic się nie stało, ja też jakoś szczególnie się nie streszczałam, prawda?

Pozwoliłem pytaniu rozejść się w okalającej nas ciszy, po czym powiedziałem:

- Doroto, chciałbym jutro pojechać do kamienicy, w której mieszkała Martyna i chciałbym, żebyś pojechała tam ze mną.

- Pozwolą ci tam wejść?

- Możesz być spokojna, do dziś mam bardzo dobre układy z miejscową policją, więc wejście tam będzie najmniejszym z naszych zmartwień. Czy możemy się umówić na... powiedzmy... dziewiątą?

- Dziesiątą. Rano muszę pójść do szpitala i zanieść tam parę rzeczy. Potem cały dzień mogę być gdzie indziej.

- Wobec tego dziesiątą. Mam nadzieję, że znajdziemy tam coś, co choć trochę rozjaśni nam sytuację.

- Policja sprawdziła każdy centymetr kwadratowy tego miejsca... - powiedziała sceptycznie.

- Wybacz, ale mam dość niskie mniemanie o dokładności ich przeszukiwań. Wiem z doświadczenia, jak to wygląda, gdy jedyne, o czym myślą technicy, to jak najszybsze zwinięcie się z miejsca zbrodni i pójście do domu. Zbierają trzy, cztery najbardziej oczywiste dowody, jakie wpadną w ich ręce, a potem piszą raport, z którego wynika, że zrobili, co w ich mocy.



- Cóż, musimy spróbować, prawda? - zapytała, podnosząc się z miejsca.

- Musimy. Poczekaj chwilę, odwiozę cię. Gdzie się zatrzymałaś? W hotelu, czy masz może kogoś...?

- Zatrzymałyśmy się z mamą u jej siostry, ale... nie, nie trzeba, naprawdę, na pewno za chwilę będzie jechał jakiś autobus...

- Nie sądzę, o tej porze autobusy kursują najczęściej raz na godzinę. Co więcej, nie jest zbyt mądre, żeby dziewczyna sama wracała o tej porze do domu, to miasto nie jest bezpiecznym miejscem. Mój samochód stoi w głębi podwórza po drugiej stronie ulicy, zawiozę cię. I bez protestów.

- Dobrze, już dobrze, skoro tak stawiasz sprawę, to nie mogę odmówić.

Wyszliśmy z biura. Zamknąłem za sobą drzwi, dwukrotnie sprawdzając trwałość zamka szybkimi pociągnięciami za klamkę. Upewniwszy się, że żaden pijaczyna nie da rady złożyć mojemu lokalowi niespodziewanej nocnej wizyty (a zdarzało się już, że próbowali, najczęściej jednak zastawałem ich rano śpiących na schodach, tuż pod drzwiami), zszedłem na dół z Dorotą, kierując swoje kroki w stronę podwórza, gdzie stał mój samochód - piękna, czarna Kia Sportage, rocznik 2010. Kupiłem ją okazji od jednego z moich klientów, który był szefem salonu samochodowego i w podziękowanie za odnalezienie jego zaginionej córki udzielił mi rabatu, bez którego nie byłbym w stanie pozwolić sobie na takie auto.

Jak przystało na gentlemiana (ta, jasne) otworzyłem drzwi pasażera mojej klientce, po czym sam zająłem miejsce za kierownicą. Uruchomiłem silnik i wyjechałem na Sosnową. Właśnie zaczęło padać; krople ciepłego, letniego deszczu leniwie uderzały w tafle szkła przedniej szyby.

- Na jakiej ulicy mieszka twoja ciocia?

- Niech pomyślę... Dębowa? Chyba tak, Dębowa. Niedaleko budynku uniwersytetu.

- I ty chciałaś tam jechać autobusem? Przy sprzyjającym wietrze byłabyś tam przed wschodem słońca...

- Bardzo zabawne, no naprawdę - odpowiedziała, jednak na jej ustach zagościł delikatny uśmiech.

Choć obie nosiły podobne nazwy, ulicę Sosnową i Dębową dzieliło niemal całe Miasto. Włączyłem radio i przez moment szukałem audycji nadającej się dla moich uszu. Po kilku próbach natrafiłem na znajomo brzmiące dźwięki fortepianu rozpoczynające „Bring me to life” zespołu Evanescence, zakończyłem więc zabawę pokręciłem i nieco podniosłem głośność, dając się otoczyć muzyce.

- Nie przeszkadza ci taka muzyka? - zapytałem szybko. - Bo jeśli tak, to mogę

zmie...

Ona jednak zdawała się mnie nie słyszeć, śpiewając pod nosem wraz z Amy Lee pierwsze linijki tekstu. Miała cudowny głos. Po kilku wersach zauważyła, że przyglądam się jej kątem oka i dopiero wtedy dotarło do niej moje pytanie.

- Co...? Nie, skąd, niech leci - odpowiedziała, wyraźnie wyrwana z kontekstu. Po chwili znów odpłynęła, podśpiewując wraz z nagraniem.

Ucieszyło mnie, że gustuje w tej samej muzyce. Nie przerywałem jej, pokonując w spokoju kolejne ronda i skrzyżowania, jednocześnie starając się wychwycić uchem jak najwięcej z jej śpiewu. Gdy piosenka się skończyła, a na antenie zaczęły się reklamy, odwróciła się w moją stronę i nieśmiało zaczęła mówić.

- Wiesz... chciałam ci podziękować za to, że zgodziłeś się przyjąć tę sprawę.

- Nie dziękuj mi, przecież jeszcze w niczym nie pomogłem, prawda?

- Nie do końca... Po raz pierwszy, odkąd mój brat trafił do szpitala, mogłam z kimś szczerze o tym wszystkim porozmawiać, nie powstrzymując się, nie bojąc się, że zostanę wyśmiana. Dziękuję za to.

- Nie masz mi za co dziękować - powtórzyłem. Byliśmy już prawie na Dębowej, zapytałem więc: - Który dom należy do twojej cioci?

- To będzie... trzeci po prawej stronie, taki z żywopłotem. Ciężko go przegapić.

Na skrzyżowaniu skręciłem w lewo i spojrzałem na prawą stronę ulicy. Faktycznie ciężko było przegapić ten dom. Nie był szczególnie duży, jednak wyróżniał się na tle innych wyglądem podwórza. Tak zadbanych krzewów i rabat nie widziałem w ciągu całego mojego życia.

- Widzę, że twoja ciocia ma rękę do kwiatów.

- Tak, to jej prywatna obsesja. W zasadzie czego innego można spodziewać się po właścicielce kwiaciarni? - zaśmiała się.

- Masz rację - odparłem, kiwając ze zrozumieniem głową. - Jutro czekać na ciebie tutaj, czy pod szpitalem?

- Pod szpitalem, postaram się być punktualna.

- Na ile to oczywiście możliwe u kobiety.

- Ha, ha, ha, przezabawne. Do zobaczenia jutro - powiedziała, wysiadając z samochodu.

- Do zobaczenia - powiedziałem bardziej do siebie niż do niej, po czym zawróciłem na pustej ulicy. Nacisnąłem mocniej pedał gazu (silnik Sportage'a wydał z siebie przyjemny pomruk) i pojechałem z powrotem w stronę ulicy Sosnowej.

Z głośników dobiegł głos spikera „...a teraz, specjalnie dla państwa, Metallica i «Nothing Else Matters», by podkreślić nastrój tego deszczowego wieczoru”. Spokojne dźwięki gitary zaczęły sączyć się do moich uszu, zmuszając do przemyślenia całego dzisiejszego dnia i kroków, które powinienem podjąć jako następne. Przy wtórze ballady, kropel deszczu i powolnego „szu... szu...” wycieraczek, patrzyłem na rozświetlone blaskiem latarni ulice, które utraciły swoją wyrazistość, tworząc mesmeryzujący obraz, idealnie pasujący do stanu mojego umysłu.

Kilka chwil później otrzepywałem się z wody na progu mojego mieszkania. Wstawiłem wodę na późną herbatę, obmyłem twarz, nieco rozluźniając mięśnie mimiczne po kilkugodzinnej konwersacji. Niewiele pozostało mi do zrobienia tego wieczoru.

Usiadłem w fotelu, łyknąłem herbaty, po czym wyciągnąłem telefon i wybrałem numer, którego nie wybierałem od dość dawna. Zbyt dawna. Pora była późna, wiedziałem jednak, że mój rozmówca na pewno nie śpi. Po dwóch sygnałach moje założenie okazało się właściwe, a w słuchawce rozległ się nieco ochryply, męski głos.

- Halo? - padło niepewnie.

- Powiedz mi, Dawidzie - zacząłem bez zbędnych wstępów - w coś ty mnie wpakował, co?

Po drugiej stronie Dawid Dąbrowski, na którego też czasem wołałem „Benny”, zaśmiał się krótko i odpowiedział:

- Więc młoda Dorotka dotarła do ciebie? Cieszę się, wiedziałem, że zdecydujesz się jej pomóc.

- Skąd wy się w ogóle znacie?

- Poznałem jej ojca jeszcze w akademii, prowadził wykłady z historii, na które ty tak uparcie nie chciałeś chodzić. Wspaniały facet, do dzisiaj mamy dobry kontakt, już na stopie przyjacielskiej. Nie mogłem odmówić pomocy jego córce, ale wiedziałem, że sam niewiele zdziałam. Także odesłałem ją do ciebie.

- Troskliwy jak zawsze - rzuciłem w słuchawkę. - Wiesz, po co dzwonię, prawda?

- Tak, stęskniłeś się za mną i desperacko chcesz mnie błagać o wybaczenie i nadrobienie straconego czasu - usłyszałem po drugiej stronie.

Dobry, stary Benny.

- Hmm, nie do końca, chociaż przynajmniej część czasu warto by było nadrobić - odparłem.

- Oczywiście, że byłoby warto. Wiem, chcesz wejść na miejsce zbrodni. Nie ma sprawy, jutro z rana napiszę ci upoważnienie i przefaksuję do twojego biura.

- A klucze?

- Naciśnij klamkę, przejdź pod taśmą i jesteś w środku.

- Nie zabezpieczyliście go? - spytałem z niedowierzaniem.

- Wiesz, jak jest. Na szczęście policyjna taśma odstrasza przypadkowych ciekawskich skuteczniej niż zamknięte drzwi. Ludzie chyba mają zakodowane w głowach podglądanie przez taśmę, jednak nigdy nie stawiają kroku poza nią, także możesz być spokojny. Obydwa pokoje są otwarte, ale na pewno nienaruszone.

- Wierzę ci na słowo, Benny. Ale wyjaśnij mi proszę... obydwie pokoje?

- Tak, postanowiłem zajrzeć też do mieszkania sąsiadującego z pokojem ofiary.

- I co znalazłeś?

- Imponujących rozmiarów tygrysy z kurzu, nic więcej. W tamtym miejscu nikt nie mieszkał od ładnych paru lat, więc nie było tam zbyt wiele do oglądania.

- Rozumiem. Mimo wszystko wolałbym przekonać się o tym jutro na własne oczy.

- Wiedziałem, że to powiesz. Jeśli chodzi o mnie, masz zielone światło.

I Tomasz...

- Tak?

- Gdybym tylko mógł ci jakoś pomóc, zadzwoń.

- Myślałem, że śledztwo zostało zakończone, a tobie nie wolno się do niego zbliżać?

- Bo tak jest, ale przecież mogę trochę popracować w czasie urlopu, nikt z góry nie musi o tym wiedzieć, prawda?

- Prawda. A więc masz kilka wolnych dni?

- Tak, najbliższe dwa tygodnie poświęcam tylko czytaniu książek, oglądaniu telewizji i łowieniu ryb. Chyba że będziesz mnie potrzebował, wtedy ryby poczekają. Moglibyśmy też w końcu się zobaczyć. Ile czasu już minęło, pół roku?

- Nie przesadzaj, najwyżej pięć miesięcy - odpowiedziałem. - Zobaczę, co da się zrobić.

- No ja myślę. A tymczasem dobrej nocy, Tomaszu. Cieszę się, że pomożesz tej dziewczynie.

- Mam nadzieję, że pomogę. Póki co mam dziwne przeczucie, że pakuję się w niezłe bagno, przyjacielu.

- Czas pokaże. Dbaj o siebie. Dobranoc.

- Dobranoc.

Rozłączyłem się. Zapaliłem ostatniego tego dnia papierosa, a tłący się czubek był jedynym źródłem światła w pogrążonym w ciemności pokoju. Wbijałem wzrok w sufit, uparcie usiłując go dostrzec, jednak widziałem tylko plamy i sieć kształtów, których nie da się opisać słowami, z rodzaju tych, które pojawiają się za zamkniętymi oczami. Niedopałek umieściłem w popielniczce, po czym umyłem się i położyłem do łóżka, mając nadzieję obudzić się o normalnej porze.

Ta, jasne.

## IV

Stałem pośrodku bezkresnej polany, wśród źdźbeł trawy delikatnie smaganych wiatrem. Niebo miało nieokreślony kolor, jakby krwi rozlanej na kobaltowym szkłe, przez które padało nikłe światło. Słońce chyliło się ku zachodowi, tym bardziej sprawiając, że sceneria zapierała dech w piersiach. Ruszyłem przed siebie, chłonąc kojącą ciszę otoczenia, czując orzeźwiające podmuchy krzepiąco pachnącego powietrza na twarzy, ukontentowany każdym krokiem, pod którym chrzęściła trawa. Całkiem tu przyjemnie – pomyślałem. Gdziekolwiek było „tu”. Zamknąłem oczy.

Gdy tylko je otworzyłem, sceneria drastycznie się zmieniła. Zamiast porastającej bezkresne pole trawy, przed moimi oczami rysował się obraz spustoszonej jakby przez jakiś kataklizm ziemi, suchej i spękanej. Jak okiem sięgnąć nie widać było śladów roślinności, a jedynym elementem odcinającym się na tle krajobrazu był majaczący w oddali budynek o nieokreślonym kształcie i rozmiarze.

Z braku innych sensownych opcji, zacząłem iść niepewnym krokiem w stronę widniejącej na horyzoncie budowli. Im bliżej niej się znajdowałem, tym więcej szczegółów uzupełniało mój obraz. Na początku pojawił się spadzisty dach, pokrywająca go dachówka, zarys cegły, z której zbudowane były ściany, krzyż na szczycie. Czyżby kościół? Jeśli tak, był bardzo mały, co mogłem dostrzec nawet z tak dużej odległości. Kawałek dalej dostrzegłem otaczające budynek miniaturowe pagórki, z których wystawał las krzyży. Cmentarz. Kaplica cmentarna. Co, do cholery? Kto stawia kaplicę cmentarną pośrodku niczego? Wiedziony wrodzoną ciekawością parłem jednak dalej, powoli zbliżając się do kapliczki.

Słońce niemal w całości schowało się za linią horyzontu, jednak nadal było dostatecznie jasno, żebym widział, dokąd idę. Pomyślałem, że może w kaplicy znajdę latarkę albo przynajmniej świecę, żeby oświetlić sobie drogę i iść dalej. Dokądkolwiek, byle dalej.

Im bliżej kaplicy się znajdowałem, tym bardziej coś wydawało się nie na miejscu. Dopiero po chwili zrozumiałem, co powodowało mój niepokój. Każdy krok, który stawiałem, był coraz cichszy i cichszy, a wraz z nimi cichły też dźwięki otoczenia. Wiatr ustał. Nawet ziemia przestała chrzęścić. Jak gdyby kapliczka wytwarzała własne pole grawitacyjne, niwelujące wszelki dźwięk, który ją otaczał.

Spróbowałem coś powiedzieć. Nie usłyszałem ani słowa.

Powoli, ostrożnie wszedłem między groby okalające kapliczkę. Były równie suche i popękane jak cała ziemia, która je otaczała. Nie miały oznaczeń. Wiekowe, żeliwne krzyże stały samotnie, choć w grupie, miejscami powykrzywiane, zapewne pod naporem wiatru i upływającego czasu.

Wszystko spowijała absolutna cisza.

Spojrzałem na kapliczkę. Była czarna jak sama śmierć (jeśli śmierć jest czarna, oczywiście. Tego nie wiemy). Drzwi były proste, dębowe, jednak sam odcień drewna, z którego były zrobione, przypominał o ciarki.

Wyglądały, jakby ociekały krwią.

Po obydwu stronach drzwi znajdowały się haki, zapewne do powieszenia lamp naftowych. Żeliwną klamkę wieńczył ornament przypominający trochę głowę węża.

W pewnym momencie coś dotknęło moich nóg. Z krzykiem, którego nie dane mi było usłyszeć, odskoczyłem w bok i odwróciłem się gwałtownie. Za mną stało dziecko.

Nie wiem, czy było chłopcem, czy dziewczynką, mogło mieć najwyżej pięć, może siedem lat, nieważne. Ważne było to, że praktycznie nie miało twarzy. Skóra na czaszce obwisła i spłowiała, z oczodołów wypływała galaretowata maź, spływając po policzkach, na głowie zostały kępki kruczoczarnych włosów. Od stóp do głów pokryte było suchą ziemią.

Wtedy moją uwagę na moment przykuł widok za makabrycznym dzieckiem: w miejscu, gdzie chwilę wcześniej znajdował się jeden z grobów, teraz ziała nieco przysypana dziura, a krzyż leżał przewrócony tuż przy niej. Przebiegając wzrokiem przez sąsiadujące groby, dostrzegłem ruch, jakby coś znajdowało się pod nimi, próbując się wydostać.

Nie musiałem formować myśli, żeby wiedzieć, skąd wzięło się to dziecko, oraz

że muszę natychmiast uciec – instynkt to potężne narzędzie.

Nie było jednak dokąd uciekać. Pusta przestrzeń zniknęła, a na jej miejscu, jak okiem sięgnąć, ukazał się las żeliwnych krzyży wyrastający z niezliczonych kopczyków.

Serce utkwilo mi na moment gdzieś w okolicach krtani, po czym wróciło na miejsce, gdy desperacko, na oślep, próbowałem wyczuć rękami klamkę drzwi do kaplicy. Gdy poczułem pod palcami chłód metalu, nacisnąłem na klamkę i gwałtownie wpadłem do środka, zatraskując za sobą drzwi i zasuwaną stalową zasuwę.

Dyszząc ciężko, wsłuchiwałem się we własny, dziwnie obco brzmiący oddech. Po absolutnej ciszy na zewnątrz powrót do świata dźwięków był wyzwalający, choć bolesny.

Rozejrzałem się po wnętrzu kaplicy. Na ścianach płonęły świece (nie uznałem tego za nic nienormalnego). Podłogę pokrywał marmur, na którym w trzech rzędach po obu stronach stały proste, drewniane, czarne ławy dla żałobników. Dokładnie na wprost mnie znajdował się równie prosty, drewniany ołtarz, a za nim niewielki witraż, jedyny w całej kaplicy.

Tam, między ołtarzem a jedynym źródłem naturalnego światła w pomieszczeniu, na ziemi stały obok siebie dwie trumienki. Przyciągnięty niewytłumaczalną siłą, wbrew sobie, podszedłem bliżej, powoli, bojąc się zobaczyć ich zawartość.

W środku leżało dwóch chłopców. Wyglądali o wiele lepiej niż monstra, które czekały na mnie na zewnątrz, jednak przerażali mnie nieporównywalnie bardziej. Nie byłem w stanie się poruszyć, patrzyłem jak zahipnotyzowany na ich spokojne twarze, bladospine usta, zamknięte oczy.

Oczy się otworzyły. Zobaczyłem w nich czerwień, jeszcze głębszą niż ta, która spowijała polanę, przez którą szedłem, zmierzając w stronę kaplicy. Nagle, bez ostrzeżenia, jeden z chłopców otworzył usta, lecz nie wydobył się z nich dźwięk. Zamiast tego gdzieś w kącie mojej głowy usłyszałem cichy, dziecięcy głos.

*- Spójrz na nas. SPÓJRZ NA NAS! I ZOBACZ, CZYM SIĘ STALIŚMY!*

Wtem twarze chłopców jakby zaczęły się topić, oczodoły eksplodowały z porażającym rozrzutem, pozostawiając po sobie ziejącą czernią pustkę ociekającą resztkami białek. Skóra na rękach zsiniała i nabrzmiała, a wokół dało się czuć fetor rozkładu.

*- SPÓJRZ, CO Z NAS ZOSTAŁO! PRZYPATRZ SIĘ DOBRZE, BO TO SAMO ZOSTANIE Z CIEBIE!!!*

Nie byłem zdolny się ruszyć, nie byłem zdolny oddychać ani wykrztusić z siebie słowa. Niczym katatonik poruszałem wargami, jednak była to tylko autonomiczna reakcja organizmu. Wewnątrz byłem sparaliżowany jak posąg, a głos w mojej głowie przybierał na sile.

- *Ty nas nie odnalazłeś... za to MY ODNAJDZIEMY CIEBIE!! I przyjdiesz tu do nas... ZOSTANIESZ Z NAMI! ZOSTANIESZ I BĘDZIESZ TAKI SAM JAK MY!!!*

*JAK MY!!*

*JAK MY!!*

*JAK...*

## V

Obudziłem się z krzykiem, siadając na łóżku i kurczowo trzymając za serce, które zdawało się pędzić z prędkością trzystu kilometrów na godzinę. Spazmatycznie chwytałem oddech, walcząc z żołądkiem, który bardzo chciał oddać swoją zawartość.

- Boże, to był tylko sen... tylko sen. To był tylko sen...

Tak realny koszmar nie zdarzył mi się od pięciu lat. Pościel była cała mokra od potu, ja również. Wyglądałem bardziej jakbym wyszedł z basenu, niż jakbym obudził się ze snu.

Spojrzałem na zegarek.

4.28.

Tyle, jeśli chodzi o budzenie się o przyzwoitej porze.



# ROZDZIAŁ IV

## I

Podczas gdy Tomasz Radziejowski otarł się o zawał serca, budząc się z koszmarne snu, Dorota spokojnie spoczywała w objęciach Morfeusza, dziwnie uspokojona poprzedniego dnia przez detektywa. Czuła, że wszystko będzie dobrze. Bardzo chciała w to wierzyć i kładąc się spać, przepełniona była tą pewnością.

Kiedy wstała z łóżka o siódmej rano, na zewnątrz niemal nie było śladu po wczorajszym wieczornym deszczu. Poranne słońce zdążyło osuszyć ziemię z wody i rozjaśnić jej barwę. Dorota usiadła na łóżku i wyciągnęła się porządnie, wyglądając jednocześnie przez okno, ciesząc się z promieni słońca. Jej włosy były w kompletnym nieładzie, jednak wcale nie ujmowało jej to urody, wprost przeciwnie, nadawało wyglądowi młodej dziewczyny nieco drapieżnego charakteru.

Po porannej toalecie poszła do kuchni, skąd pomimo wczesnej pory dobiegały odgłosy krzątania i zapach smażonej jajecznicy.

- Dzień dobry, ciociu.

Beata, ciotka Doroty, była postawną kobietą w średnim wieku, o bardzo życzliwym usposobieniu i twarzy, z której nie znikał uśmiech. Klienci jej kwiaciarni musieli uwielbiać tę pogodną twarz, gdy wręczała im do rąk idealnie ułożone bukiety kwiatów.

- Dzień dobry, Dorotko - odpowiedziała, uśmiechając się serdecznie do swojej siostrzenicy. - Jak się dziś czujesz?

- Jeszcze za wcześnie, żeby to stwierdzić - odpowiedziała Dorota, odwzajemniając uśmiech. - Na pewno poczuję się lepiej po porządnej kawie.

- Właśnie się parzy. Z mlekiem i cukrem, prawda?

- Tak, ciociu - odparła Dorota, widząc dezaprobatę na twarzy cioci, która uważała słodzenie kawy za największą profanację, jakiej można się dopuścić, jednak tym razem odpuściła sobie komentarz. - Dwie łyżeczki.

Dorota mogła niemal dostrzec, jak cioci trzęsą się ręce podczas wsypywania

takiej ilości białych kryształków do zabarwionego mlekiem napoju.

- Zrobiłam ci na śniadanie jajecznicę, może być?

- Oczywiście, ciociu, ale naprawdę nie musiałaś. Wiesz dobrze, że mam ręce, umiem sama przygotować sobie coś do jedzenia. Już dostatecznie ci się narzucam, żebyś jeszcze przyrządzała mi posiłki...

- Coś jeszcze? - pogroziła łyżeczką ciocia. - Nie? To dobrze. Jesteście z mamą moimi gośćmi, więc pozwól, że chociaż odpowiednio się wami zaopiekuję.

- Ehh, dziękuję, ciociu - powiedziała Dorota, wiedząc, że dalsza argumentacja nie ma najmniejszego sensu.

Zjadły śniadanie przy wtórze radia, od czasu do czasu komentując wydarzenia z wiadomości, to znów rzucając krótkie uwagi o niczym. Z radia dobiegał kobiecy głos: „...Zapowiada się słoneczny, choć chłodnawy jak na początek czerwca dzień, warto nieco cieplej się ubrać, jednak parasolki śmiało można zostawić w domu...”.

- Uff, całe szczęście... Jeszcze jedna taka ulewa i świeżo zasadzone kwiaty przed domem trafiłyby szlag...

Dorota uśmiechnęła się pod nosem, widząc nieustanne zmartwienie swojej ciotki roślinami porastającymi jej podwórze. Dopiła kawę, podziękowała za wspólny posiłek, po czym wstała od stołu, żeby do reszty się ubrać i wyjechać do szpitala, gdzie miała być przed dziewiątą. Była już w połowie drogi na piętro, gdy ciocia zawołała z dołu:

- Jedziesz dziś do szpitala, Dorotko?

- Tak, ciociu, za chwilę mam autobus - odkrzyknęła niemal spod drzwi pokoju Dorota.

- Nie śpiesz się, zawiozę cię - dobiegł ją głos z dołu. - Jadę jeszcze załatwić parę spraw, zanim otworzę kwaciarnię, więc po drodze mogę cię podrzucić do szpitala. Pozmywam tylko naczynia i możemy jechać!

- Dobrze, ciociu - krzyknęła Dorota, w głębi duszy ciesząc się z takiego obrotu sprawy, gdyż dobór kobiecej garderoby nie sprzyjał punktualności, a zanim wybrałaby ubrania stosowne na dzisiejszy dzień, autobus z całą pewnością zdążyłby odjechać.

Znając swoją ciotkę, miała co najmniej pół godziny, więc bez zbytniego pośpiechu dobrała spodnie i zwykłą, niebieską bluzkę na ramiączkach, na którą planowała zarzucić sztruksowy żakiet. Kiedy już uporała się z garderobą, pomyślała, że dobrze byłoby uczesać włosy, także chwyciła za leżącą na komodzie szczotkę, po czym na przemian gwałtownymi i pociągłymi ruchami zaczęła rozczesywać pozostałe po nocy kołtuny, nadając swym włosom reprezentacyjny

wygląd. Pomału zatracala się we własnych myślach, wykonując automatyczne ruchy szczotką, gdy zawołała ją ciotka.

- Dorotko, jesteś już gotowa?

- Tak, ciociu, już schodzę na dół! - odpowiedziała, po czym upewniła się, że w jej torebce znajduje się wszystko, czego potrzebowała, i razem z ciotką poszła do samochodu.

## II

Pod szpitalem była dziesięć minut przed dziewiątą. Podziękowała cioci, zatrzasnęła drzwi, pokonała kilka metrów dzielących ją od wejścia do szpitala i poszła bezpośrednio do pokoju 247. Mama spała na krześle, z głową kiwającą się bezwładnie na lewym ramieniu. Z ust spływała jej cienka strużka śliny. Widocznie poddała się krainie snów, nim zdążyła doczekać się przyjścia swojej córki. Podobnie jak poprzedniego dnia, Dorota obudziła ją delikatnym szturchnięciem w ramię.

- Pobudka, mamó. Już jestem.

- Aa, awww, Do... Dorota, dob... dobrze - odpowiedziała nie do końca jeszcze przytomna matka. - Ja... jak ci się... ci się spało u... u cioooociiii? - spytała, ziewając przeciągle. - Oj, przepraszam. Wyspana?

- Najwyraźniej bardziej niż ty - zaśmiała się Dorota, na co jej matka obdarzyła ją zmęczonym uśmiechem.

Trwające od tygodnia czuwanie przy łóżku pogrążonego w śpiączce syna odbijało na niej swoje piętno: włosy miała przetłuszczone, w nieładzie, cerę bladą i napiętą, a pod oczami rysowały się ciemne plamy, właściwe ludziom pozbawionym stosownej ilości snu. Na co dzień była właściwym przykładem „przystojnej”, zadbanej kobiety, jednak dziś mogłaby śmiało posłużyć za twarz akcji reklamowej promującej pomoc bezdomnym. Dorota westchnęła głęboko, widząc swoją matkę, zazwyczaj ułożoną i wypielęgowaną, w takim stanie.

- Jakież zmiany? - spytała na wpeł rozbudzoną kobietę.

- Tak... tak - powiedziała niemal radośnie matka Doroty. - Wczoraj robili mu tomografię i podobno nieaktywne w ostatnim czasie obszary mózgu zaczynają znów pracować. Na pewno nie doszło do żadnych uszkodzeń - dodała z westchnieniem ulgi. - Lekarz prowadzący, doktor Łapiński, powiedział, że jest spora szansa, że Marek niedługo się wybudzi.

- To cudownie, mamó - powiedziała Dorota. - Ale teraz powinnaś już pojechać do domu cioci Beaty i odpocząć, dobrze? Nie obraź się, ale... wyglądasz okropnie, jak bezdomna, czy coś - dodała, puszczając do matki oko.

- Dziękuję ci, córeczko, zawsze wiedziałam, że mogę liczyć na twoje psychologiczne wsparcie - odpowiedziała matka, patrząc na Dorotę nieco spod byka. - Zostaniesz z nim?

- Tak, mamó, ale tylko chwilę. Nie oszukujmy się, raczej nie obudzi się dzisiaj, więc siedząc tutaj, niczego nie zmienię. O dziesiątej przyjeżdża po mnie detektyw Radziejowski i jedziemy do...

- Wynajęłaś detektywa? - przerwała jej matka. - Ale po co?

- Polecił go komisarz Dąbrowski. Po to, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o śmierci Martyny, mamó. Zaufaj mi, proszę - dodała, widząc znaczące spojrzenie matki. - Tam stało się coś, co wymaga wyjaśnień, a wybaczyć mi, ale śmierć naturalna w wieku dwudziestu lat jakoś mnie nie przekonuje.

Matka nie próbowała nawet oponować, widząc śmiertelną powagę w oczach córki. Zagryzła więc tylko zęby i wstała, szykując się do wyjścia.

- Obyś tylko nie żałowała, córeczko - rzuciła na odchodne i wyszła.

- Nie martw się... nie będę, mamó - powiedziała do pustego (jeśli nie liczyć pogrążonego w śpiączce brata) pokoju. - Nie będę żałować, nawet jeśli to śledztwo zaprowadzi nas donikąd. Prawda, braciszku? - rzuciła, spoglądając na brata.

Podeszła bliżej, przyglądając się jego pogrążonej we śnie twarzy. Dotknęła delikatnie jego policzka, który najwyraźniej został ogolony poprzedniego dnia przez matkę. Ujęła wystającą spod szpitalnej kołdry dłoń brata i przycisnęła ją do ust.

- Przydałbyś się nam, braciszku... Ty na pewno byś wiedział, co robić dalej. Ale póki co, muszę zaufać Tomaszowi. Jak się obudzisz, przedstawię was sobie, jestem pewna, że się polubicie...

Głos jej się załamał, a po policzku popłynęła samotna łza. Była twarda, to prawda, lecz nawet najtwardszą skałę jest w stanie wydrążyć co bardziej ambitna kropla wody. Dorota szybko otarła łzę, nim ta zdążyła zaschnąć na jej policzku.

Siedziała przy łóżku brata przez jakiś czas, starając się nie myśleć o niczym, jednak przychodziło jej to z wielkim trudem. Śmierć Martyny, Marek w szpitalu... To wszystko nie było dla niej łatwe. Nieważne, jak bardzo starała się wmawiać sobie samej, że ma dość sił. Po dłuższej chwili znów poczuła, jak łzy napływają do jej oczu, lecz nie dała im szansy, tłumiąc wybuch płaczu. Wydmuchała nos

i spojrzała na zegarek – 9.55.

Rzuciła jeszcze jedno spojrzenie na śpiące oblicze brata, po czym zeszła na dół, by spotkać się z Tomaszem Radziejowskim.

### III

Czarna Kia Sportage już stała na parkingu pod szpitalem, a oparty o nią stał detektyw Radziejowski. Najwyraźniej i on nie miał za sobą najlepszej nocy, bo cienie pod jego oczami wydawały się jeszcze ciemniejsze niż poprzedniego dnia, a białka oczne jeszcze bardziej zabarwione czerwienią. Uśmiechnął się jednak do idącej w jego kierunku dziewczyny, a nawet wzniosł rękę w geście powitania. Na jego twarzy nie było zarostu.

– Witaj, Doroto – pozdrowił dziewczynę, gdy zbliżyła się do samochodu. – Wyspana?

– Następny zestaw pytań poproszę – odparła, odwzajemniając uśmiech. – Widzę, że ty też nie spałeś zbyt dobrze?

– Cóż, bywało lepiej... – odpowiedział Tomasz, rozmasowując sobie wciąż zboląły po przedwczesnej pobudce kark. – Gotowa?

– Nie wiem. Chyba tak, ale to może się zmienić, jak już tam dotrzemy.

– Nie dowiemy się, dopóki tam nie pojedziemy. Zapraszam do środka – powiedział, podobnie jak poprzedniego dnia otwierając Dorocie drzwi od strony pasażera.

Ta podziękowała skinieniem głowy i spojrzeniem, od którego niejednemu mężczyźnie zrobiłoby się gorąco, na Tomaszu jednak wydało się nie robić wrażenia. Zamknął drzwi za dziewczyną, po czym sam zajął miejsce kierowcy.

– Dokąd jedziemy?

– Niech sprawdzę, mam gdzieś pełny adres... – zaczęła Dorota, przeszukując zawartość swojego telefonu. – Mam! Murarska 3/6.

– Murarska...

– Coś nie tak? – spytała nieco zmartwiona.

– Nie, nie – odparł Tomasz, jakby wrywając się z odrętwienia. – Jedźmy. – Jego twarz odzyskała normalny odcień, a głos poprzedni ton.

Ulica Murarska znajdowała się niemal dokładnie w centrum Miasta. Mieszczący się przy niej hotel był jednym z nielicznych przyzwoitych placówek tego typu w całym mieście, a przylegająca do niego restauracja cieszyła się

niesłabnącą reputacją najlepszej w regionie. Ulica kontrastów, chciałoby się rzec, bo vis-à-vis hotelu, dookoła małego placu parkingowego, wyrastał rząd starych, zaniedbanych kamienic, którym z pewnością przydałby się generalny remont lub laska dynamitu. Ściany i okna były obdrapane, a wilgoć tak widoczna, nawet na zewnątrz, że wprawny obserwator mógł niemal dostrzec ciekącą po ścianach wodę, nawet w pogodny dzień.

Tomasz zaparkował pod jedną z okalających plac kamienic, uiścił stosowną opłatę w parkometrze, rzucił bilet parkingowy pod przednią szybę, zamknął drzwi samochodu i zablokował je. Dorota stała obok, rozglądając się niepewnie. Była tu tylko raz, jednak dość dobrze pamiętała, gdzie powinna się teraz udać. Mimo to, po jej ciele przebiegały delikatne ciarki.

Radziejowski stanął koło niej, mierząc wzrokiem rozlatujący się budynek, z wyrazem wyraźnej dezaprobaty na twarzy. W jego oczach jakby coś przygasło, mogła to jednak być tylko kwestia promieni słońca odbijających się od źrenic.

- Która to kamienica?

Dorota bez słowa ruszyła w kierunku drzwi znajdujących się najbliżej ulicy. Nie odróżniały się one urodą od reszty kamienicy - obdrapane, zniszczone, krzywo zwisające na zawiasach. Domofon znajdujący się obok na ścianie nie wydawał się być używany w ciągu ostatnich kilku lat, a zamek nie wydawał się zbyt solidny, toteż Radziejowski po prostu pchnął klamkę, a sekundę później oboje weszli na klatkę schodową. Jeśli elewacja była „zaniedbana”, to wewnątrz kamienicy przypominało nieco urodą ruiny popowodziowe. Na ścianach nie został nawet ślad farby, mieniły się za to milionem odcieni szarości w miejscach, gdzie tynk był mniej lub bardziej wilgotny. Schody były krzywe, skrzypiące, z balustradą, której dla własnego bezpieczeństwa lepiej było się nie chwytać. Aby dopełnić obrazu rozkładu, zewsząd otoczył ich ostry zapach uryny - najwidoczniej bezdomni znaleźli tu sobie pierwszorzędną szczalnię.

Marszcząc nosy, ruszyli po schodach na górę, aż dotarli na trzecie piętro, gdzie stanęli pod podwójnymi, drewnianymi drzwiami.

- To tutaj? - zapytał Tomasz.

- Tak, powinniśmy zapukać, to ktoś może wyjdzie nam otwo...

Głos Doroty został zagłuszony przez inny, dobiegający zza drzwi. Tamten głos był nieprzyjemny, ostry, nieskładny i wywrzaskiwał coś do kogoś po drugiej stronie.

- Wynoś mi się stąd, cholera jasna, tyyy, tyyy pijaku zapijaczony pieprzony tyyy! I żebym cię tu nie widziała, dopóki nie wytrzeźwiejesz, ty chlejusie, ty

zajebany kutafonie niemyty, łajzo pierdolona!

- Daj se spokój, popieprzona babo... - odpowiedział drugi głos, słaby i bełkotliwy.

- Wypierdalaj mi stąd, zanim ci miotłą przypierdołę, ty złamasie ty, chlejusie zafajdany!

Drzwi otworzyły się z hukiem i wyleciał przez nie zalany w trupa facet, od którego śmierdziało gorzej niż na samym korytarzu. Wyraźnie nie wiedział, gdzie jest, obrzucił tylko tępym wzrokiem Tomasza i Dorotę, po czym stoczył się na dół po schodach, trzymając się kurczowo barierki. W drzwiach, dysząc ciężko, stała kobieta urody hipopotama, który właśnie przeżył zderzenie z pociągiem. Jej twarz była niekształtna, włosy tłuste jak wymoczone w oleju, a ciało jakby wyciosane z jednej, równie niekształtnej bryły. Jeśli cofnęlibyśmy się czasie o kilkaset tysięcy lat, prawdopodobnie tak wyglądałaby kobieta pierwotna.

Kobieta pierwotna rzuciła w dół schodów ostatnim „i wypierdalaj, zachlany sukinsynu!”, po czym dostrzegła dwójkę ludzi stojących pod jej drzwiami i burknęła w ich stronę:

- Czego tu?

Radziejowski wyraźnie miał rządzą mordy w oczach na sam widok tej kobiety, więc Dorota wyszła przed niego i powiedziała:

- My tylko do pani Basi, domofon nie działa, więc przyszliśmy od razu na górę. Myśleliśmy, że usłyszysz pukanie.

Kobieta pierwotna omiotła dwójkę dzikim spojrzeniem i warknęła:

- To włączcie! Wiecie, gdzie ma mieszkanie!

Weszli do środka, a kobieta zniknęła, trzaskając drzwiami po prawej stronie. Korytarz wyglądał dokładnie tak, jak opisała go Martyna w listach do swojej przyjaciółki i jak Dorota zapamiętała ze swojej jedynej wizyty w tym chorym miejscu. Po obydwu stronach korytarza znajdowały się drzwi, a jedynym źródłem światła była wąska linia jasności wpadająca przez świetlik w drzwiach naprzeciwko wejścia, zagrodzonych widoczną nawet przy tak nikłym oświetleniu policyjną taśmą. Ledwie zdążyli ogarnąć wzrokiem przestrzeń na korytarzu, gdy otworzyły się drzwi pośrodku prawej strony, światło padło na twarze Tomasza i Doroty, a w otwartych drzwiach stanęła kobieta około siedemdziesiątki.

- Państwo do mnie? - spytała. - Słyszałam jakieś głosy na korytarzu.

- Tak, detektyw Radziejowski, policja miejska, wydział kryminalny. Chciałbym raz jeszcze obejrzeć pokój, w którym zmarła Martyna Dubaj - powiedział Tomasz, machając kobiecie legitymacją przed twarzą w taki sposób, żeby nie mogła

zobaczyć, co jest na niej napisane.

- Policja? Nie rozumiem, powiedziano mi, że już zamykacie sprawę? Mieliście tylko przysłać kogoś, kto uprzątnie po was ten bałagan, który zostawiliście w moim pokoju. Muszę go komuś wynająć. Wie pan, z emerytury to ja nie wyżyję, a w policji nikogo to nie obchodzi. Spółdzielnia znowu podniosła opłaty, ja nie wiem, jak ja w tym miesiącu zapłacę za światło, za wodę, za gaz, za...

- Spokojnie, potrzebuję dosłownie pół godziny, żeby sprawdzić kilka rzeczy - przerwał tyradę staruszki Radziejowski. - Obiecuję, że już niedługo zabierzemy taśmę i wysprzątamy pokój, ale na razie musi pani pozwolić nam wykonywać swoją pracę. A teraz, jeśli pani pozwoli, chcemy wejść do tamtego pokoju - zakończył tonem, na który nawet starsza pani nie znalazła kontrargumentów.

- Dobrze, tylko proszę nie hałasować, mój wnuk śpi za ścianą, córka z Anglii przyjechała, zostają do przyszłej środy...

- Może pani być spokojna, będziemy cicho - zapewnił ją Radziejowski.

Kobieta zamknęła za sobą drzwi, a Tomasz z Dorotą podeszli do pomieszczenia znajdującego się na samym końcu korytarza po prawej stronie.

- To pokój Martyny?

- Tak, to ten - potwierdziła dziewczyna.

Zgodnie ze słowami Dąbrowskiego, drzwi były otwarte, wystarczyło nacisnąć klamkę i schylić się, by przejść pod policyjną taśmą rozciągniętą na wysokości pasa. Gdy znaleźli się w środku, ich oczom ukazał się widok nieodbiegający niczym od zwykłych, studenckich pokoi, jednak o cały standard wyższy od całej kamienicy. Ściany przykryte były czymś na kształt draperii, naprzeciwko drzwi stał typowy peerelowski segment, obok niego kanapa pełniąca jednocześnie rolę łóżka, a na ścianie naprzeciwko wisiał obraz z gatunku „jeleń na rykowisku”, również pamiętający czasy komuny. Oprócz tego w pokoju było tylko biurko, ława, dwa fotele i krzesło. Całość była bardzo jasno oświetlona przez okno zajmujące całą powierzchnię zachodniej ściany. Pokój, choć stary, sprawiał wrażenie zadbanego. Dorota chyba wyczytała z twarzy Tomasza konsternację, powiedziała więc:

- Stan tego pokoju był jedynym, co trzymało tutaj Martynę. Nienawidziła całej reszty, ale pokój bardzo lubiła, bo spełniał jej wszystkie wymagania, a przede wszystkim nikt jej tu nie przeszkadzał.

Radziejowski rozglądał się już czujnym okiem po wnętrzu pokoju. Podeszedł do drzwi.

- Może i nikt jej nie przeszkadzał - powiedział powoli - jednak w drzwiach nie



ma mocnego zamka. Nie bała się w nocy? Mając takich sąsiadów...

- Masz na myśli tę dwójkę, którą spotkaliśmy przy wejściu? Martyna mówiła, że w gruncie rzeczy są nieszkodliwi. Ot, jakaś para wypuszczona z ośrodka opieki dla umysłowo chorych, nawet nie wiadomo czy to małżeństwo, rodzeństwo, czy po prostu para przypadkowych ludzi. On pije na potęgę, ona jest nienormalna, ale nigdy nie sprawiali wrażenia groźnych.

- Cóż, odniosłem nieco inne wrażenie... - powiedział Tomasz, po czym wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił jednego.

- Palisz? - zapytał, wyciągając paczkę w kierunku Doroty.

- Nie, dziękuję. Rzuciłam w zeszłym roku. Całe gimnazjum popalałam, ale teraz jakoś nie czuję potrzeby.

Tomasz wzruszył ramionami, zaciągnął się mocniej i wypuścił z ust kłęb papierosowego dymu. Znów do głowy spłynął mu obraz z tandetnego filmu lat czterdziestych, w którym prywatny detektyw zawsze rozmawiał z piękną kobietą spowity oparami dymu. Szybko jednak odegnał ten obraz i przystąpił do dokładnych oględzin pokoju.

Metodycznie, z właściwą sobie precyzją sprawdzał szafkę po szafce, szufladę po szufladzie, centymetr po centymetrze. Jedyne przerwy, jakie robił, służyły zaciąganiu się papierosem. Przystawał, zaciągał się głęboko, wypuszczał z ust strugę dymu, po czym przystępował do dalszych obserwacji. Przejrzenie wszystkich możliwych zakamarków pokoju zajęło mu około dwudziestu minut. Dorota w tym czasie stała nieruchomo przy oknie i w spokoju przyglądała się ciągłemu strumieniowi samochodów przepływającemu przez leżące tuż pod kamienicą rondo, krzyżujące ze sobą dwie, adekwatnie dla centrum miasta ruchliwe ulice.

Po dwudziestu minutach Tomasz podszedł do Doroty, ostatni raz zaciągnął się papierosem, po czym otworzył okno i wyrzucił przez nie niedopałek.

- A co jeśli spadł na głowę jakiejś staruszce idącej akurat z zakupami? - zapytała przekornie Dorota.

- Ktoś ją na pewno ugasi. A peruki i tupeciki można dostać od ręki, za śmieszne pieniądze, nawet jak dla emeryta. Nie ma się czym martwić - odparł Tomasz, wypuszczając ostatni kłęb papierosowego dymu wprost na szybę przed sobą.

- Bardzo zabawne, doprawdy. Znalazłeś coś wartego uwagi?

- Nie. Wydaje się, że jedyna warta uwagi rzecz z tego pokoju już trafiła w moje ręce w twojej niebieskiej teczce. Nie traćmy tu więcej czasu i zajrzyjmy do

mieszkania obok.

- Jesteś pewien?

Dorota sprawiała wrażenie wyraźnie przestraszonej, jednak w jej oczach w dalszym ciągu pobłyskiwała ta sama determinacja, co podczas pierwszej rozmowy w gabinecie detektywa.

- Tak, jestem. Chodź, nie zajmie nam to dużo czasu.

Zamknęli za sobą drzwi, ostrożnie przechodząc pod taśmą policyjną. Ponownie znaleźli się w ciemności korytarza, rozpraszanego jedynie przez świetlik w drzwiach mieszkania, do którego mieli zamiar wejść. Tomasz nie czekał na zaproszenie. Tym razem bez ceregieli zerwał taśmę przebiegającą przez odrzwia i nacisnął klamkę.

Dorota momentalnie poczuła się, jakby przeniosła się w czasie i przestrzeni. Po całkiem przyzwoicie wyglądającym pokoju Martyny mieszkanie, w którym właśnie się znaleźli, było obrazem nędzy i rozpacz. Na ścianach nie było farby, a wszechobecna wilgoć upodabniała je do obskurnych ścian klatki schodowej. Podłogę stanowiła jednolita warstwa gumoleum, która pokrywała przestrzeń pod stopami nie tylko w jedynym w mieszkaniu pokoju, lecz także w przylegającym do niego aneksie kuchennym (duże słowo jak na zlew, kuchenkę i dwie wiszące, obdrapane do szczytu szafki) oraz miniaturowej łazience, którą widać było przez otwarte drzwi. Łazienka była tak mała, że mieścił się w niej jedynie prysznic i toaleta, pozostawiając jakieś trzydzieści centymetrów kwadratowych na przemieszanie się od jednego do drugiego. Jednak to nie fizyczny stan mieszkania sprawiał najbardziej upiorne wrażenie; to dwa inne zmysły: węch i czucie zdradzały, że coś z tym miejscem jest nie w porządku.

Różnica temperatur pomiędzy korytarzem a obskurnym mieszkaniem była tak drastyczna, że niemal z miejsca oddech zaczął zamieniać się w parę, aż dziw brał, że okien nie pokrywała warstwa szronu. Najgorszy jednak był zapach - ciężki, oleisty, niemal namacalny smród stęchlizny, jakby mieszkanie zalała woda, której nigdy nie udało się wyparować, zmieszany z czymś jeszcze, ledwo wyczuwalnym, lecz wciąż ostrym i nieco duszącym, słodkawym odorem. Dorota nie wiedziała, co to takiego. Spoglądała z niemym przerażeniem i niesmakiem na ponure wnętrza, a jej oczy rozszerzały się coraz bardziej na widok coraz to nowych znalezisk - ot, pajak wielkości dziecięcej piąstki w rogu na suficie, na widok którego przysunęła się bliżej detektywa, rdzawa plama na podłodze pod oknem, pęknięcie w ścianie przylegającej do pokoju Martyny, biegnące od podłogi po niemal samą górę.

- Wiesz - udało jej się w końcu wykrztusić - mój brat wiele lat temu grał

w taką grę, zdaje się, że nazywała się „Silent Hill” czy jakoś tak... Czuję się niemal tak samo jak wtedy, gdy pierwszy raz oglądałam, jak w nią gra, tylko że tym razem nie patrzę na ekran...

Tomasz nie skomentował, jednak wydał z siebie potakujące „mhm” i skinął głową. Zgadzał się z nią całkowicie. Znał też zbyt dobrze słodkawą nutę, która przebijała się przez smród stęchlizny, choć była już niemal ledwo wyczuwalna – zapach rozkładu.

Przeszedł szybko z jednego końca pokoju na drugi, rzucając uważne spojrzenia tylko na to, co pozostało z umeblowania – rozpadającą się komodę, obdrapany, plastikowy stolik turystyczny i zniszczone, rozprute łóżko. Pod ścianą walało się kilka plastikowych krzesełek, a na ścianie nad nimi wisiał przekrzywiony, zmatowiały i zbutwiały obrazek Matki Boskiej.

Zajrzał do łazienki, rzucił okiem na „aneks” i wyjrzał przez okno. Potem złapał Dorotę za ramię i głową wskazał wyjście.

- Już? - zapytała zdziwiona.

- Tak, wyjdźmy stąd, proszę.

- Ale... ale nawet nie przyjrzałeś się temu dokładnie, nie przeszukałeś, nie...

- Później ci wytłumaczę. Ale teraz proszę, wyjdźmy z tego przeklętego pokoju, z tej cholernej kamienicy.

W jego oczach zobaczyła coś, co nie było lękiem, ale jakimś nieodgadnionym blaskiem, którego nie potrafiła nazwać. Zrozumiała jednak, że nie ma co się sprzeczać i że, zgodnie z obietnicą, na pewno wyjaśni jej wszystko później.

Zamknęli drzwi. Tomasz przytwierdził policyjną taśmę na miejsce, po czym szybkim krokiem przeszedł przez korytarz i wyszedł na klatkę. Dorota, nadal stojąc pod drzwiami obscurnego mieszkania, słyszała jego ciężkie, pospieszne kroki na schodach.

Wybiegła za nim. Mijając mieszkanie kobiety pierwotnej, usłyszała dobiegające zza drzwi: „Tuśka, ty głupia pizdo, co robisz?!”, nie miała jednak czasu nawet o tym pomyśleć. Zbiegła na dół po schodach i wypadła na placyk pod kamienicą. Promienie światła oślepiły ją na moment tak, że musiała przykryć oczy dłonią. Po kilku sekundach zobaczyła Tomasza, który stał kawałek dalej i palił papierosa. Jego oczy w dalszym ciągu miały ten sam nieodgadniony wyraz. Podeszła bliżej.

- Tomasz, wszystko w porządku?

- Tak... tak. Przepraszam, że tak nagle wyszedłem. Co powiesz na kawę? Niedaleko stąd jest bardzo dobra kawiarnia, samochód może dalej stać na parkingu, wrzucę tylko drobne do parkometru, żeby nikt nie wlepił mi mandatu.

- Chętnie - zgodziła się Dorota, mając nadzieję, że uda się jej porozmawiać z nim o tym, co obiecał jej opowiedzieć.

- Cieszę się. Poczekasz tu na mnie chwilę? Muszę zadzwonić w jedno miejsce. To nie potrwa długo.

- Dobrze, tylko nie każ mi długo czekać - odparła, przywołując na twarzy delikatny uśmiech i obdarowując nim Tomasza.

Ten odwzajemnił się wdzięcznym spojrzeniem, po czym wyciągnął telefon i odszedł poza zasięg słuchu Doroty.

# ROZDZIAŁ V

## I

Kurewsko mało śmieszne... Naprawdę kurewsko mało zabawne. Cholerny Benny... Nic dziwnego, że odpuściłeś tę sprawę tak szybko, ty przebiegły draniu. Wiedziałeś, do kogo wysłać tę małą, nie? Wiedziałeś, że gdybyś powiedział mi wprost, nigdy bym się nie zgodził...

Kiedy zbiegałem ze schodów, takie myśli odbijały mi się we wnętrzu czaszki, rodząc na zmianę gniew i niemoc. Po krótkiej rozmowie oddaliłem się kawałek, tak by Dorota przypadkiem nie usłyszała moich słów, po czym wybrałem numer Dąbrowskiego (po pół roku ciszy dwie konwersacje w dwa dni - nieźle).

Podniósł słuchawkę po trzech sygnałach. Nie dałem mu nawet powiedzieć „halo”.

- Czy raczysz mi wytłumaczyć, dlaczego to zrobiłeś, Benny?

- Tomasz, co... ja...

- Czy raczysz mi wytłumaczyć, dlaczego wysłałeś do mnie tę dziewczynę, doskonale wiedząc, czego dotyczy ta sprawa?

Z całych sił starałem się opanować drzenie w głosie i nie zdradzić gniewu, który rozpalał się gdzieś w trzewiach. Nie było łatwo. Nie spuszczałem też z oka Doroty, stojącej po przeciwległej stronie parkingu. Niespiesznym, przesadnie szerokim krokiem zbliżało się do niej trzech dresów, wyraźnie mających ochotę na coś więcej niż tylko przyjacielską rozmowę, co znać było bo porozumiewawczych uśmiechach na ich obleśnych pyskach. Że też musieli wybrać sobie taki moment...

- Tomasz, pomału, wszystko ci wytłuma...

- Nie potrzebuję twoich tłumaczeń - przerwałem mu szorstko, widząc jednocześnie, jak jeden z trójki podchodzi do Doroty i zaczyna coś mówić. - Chcę tylko wiedzieć, dlaczego mnie w to wpakowałeś, ty cholerny draniu. Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi, Benny, a ty pakujesz mnie drugi raz w to samo bagno. Tylko tym razem głębiej. I z większą siłą.

- Tomasz, daj mi dojść do słowa, posłuchaj...

Dorota odepchnęła swojego rozmówcę i nawet z tej odległości mogłem

zobaczyć lęk w jej oczach. Zacząłem iść szybkim krokiem w jej stronę.

- Nie, Dawid, to ty posłuchaj. To nie jest rozmowa na telefon, chciałem tylko dać upust swojej wściekłości już teraz, a nie za kilka godzin. Za kilka godzin najpewniej na powitanie dałbym ci w pysk. Przyjedź do mnie dziś wieczorem. Weź akta sprawy. Najlepiej obu spraw. A, i wezwij karetkę na Murarską, na parking. Mam tu trzy ofiary pobicia.

- Tomasz, co, do cholery...?

- Po prostu to zrób - oświadczyłem i rozłączyłem się, po czym schowałem telefon do kieszeni.

Przyspieszyłem kroku. Dookoła Doroty stało trzech chłopaków; wszyscy w dresach, z krokiem tylko nieco powyżej kolan, w tandetnych, za dużych koszulkach z tanimi sloganami na piersiach i z ogolonymi na łyso łbami. Dwójka była chuda jak szczapy, trzeci z kolei miał wyraźny problem z utrzymaniem sadła w spodniach. Gumka od dresu niebezpiecznie ciasno opinała ciało dwa wałki powyżej krocza.

- Hej! - krzyknąłem, zwracając na siebie ich uwagę.

Jeden z dwóch chudzielców, ten, którego wcześniej odpychała Dorota, obrócił się w moją stronę i podszedł bliżej.

- Czego?! - rzucił typowym, pełnym cwaniactwa tonem właściwym wszelkiemu dresiarstwu. - Jakiś problem, złamasie?

Sam ton jego głosu wkurwiał mnie do tego stopnia, że i bez „złamasa” miałem ochotę urwać mu jajca.

- Macie trzy sekundy, żeby stąd spieprzyć, zasrańce - powiedziałem lodowatym tonem, aczkolwiek spokojnie, pomimo emocji gotujących się między zebrami.

- O co ci chodzi, gościu, my tu tylko z panienką chcemy miło pokorwensow... pokonwer... no, pogadać - wydukał grubas.

„Polska trudna język” - pomyślałem, po czym jeszcze raz odezwałem się do chudzielca przede mną:

- To co, wyniesiecie się stąd po dobroci?

- Nie bądź taki cwany, złamasie, bo spuszczę ci taki wpierdol, że cię...

Nie dowiedziałem się, co dla mnie planował. Bez słowa podszedłem do chudzielca i bez ostrzeżenia jednym szybkim prostym złamałem mu nos. Krew trysnęła z uszkodzonej chrząstki na moją marynarkę, a pewny siebie dres osunął się na ziemię.

- Ty sukinsynu pierdolony, ja ci... - zaczął wydzierać się drugi chudzielec, po czym zamachnął się na mnie prawą ręką w niemrawej parodii sierpowego.

Uniknąłem spotkania z jego pięścią, poczym chwyciłem go za ramię i złapałem jedną ręką powyżej łokcia, drugą nad nadgarstkiem, naprężając ją tak długo, aż usłyszałem satysfakcjonujące chrupnięcie, z jakim pękał staw łokciowy. Krzyk chudzielca numer dwa rozdarł powietrze. Chudzielec numer jeden na kolanach dźwigał się z ziemi, jednak jeden kopniak w żebra skutecznie rozpląszczył go na chodniku.

Grubas, widząc, co się dzieje, rzucił się w moją stronę, próbując mnie staranować. Szybki, krótki cios w przeponę posłał go na kostkę brukową, gdzie mógł dołączyć do swoich ogolonych na łyso koleżków.

- Ty skurwysynu... - wycharczał chudzielec numer dwa ze łzami w oczach, trzymając się za zdruzgotany łokieć. - Nasi kumple cię zabiją, ty pierdolony kutasie!

- Tomasz Radziejowski, Sosnowa 22a, zapraszam - powiedziałem, patrząc z obrzydzeniem na leżące przede mną robactwo.

- Wszystko w porządku, Dorota? - zapytałem dziewczyny, odwracając się do niej, chwytając ją za ramię i lekko potrząsając.

- Ta... tak. Dziękuję - wyszeptała, po czym przywarła do mnie, cała się trzęsąc.

- Nie ma za co, ale na przyszłość musisz uważniej dobierać sobie wielbicieli, okay? - powiedziałem, gładząc jej włosy i starając się ją uspokoić.

Zaśmiała się ochryple, po czym wciąż drżącym głosem zapytała:

- To co z tą kawą?

- Zapraszam, mademoiselle - odparłem, uśmiechając się do niej. Tylko zostawię w samochodzie marynarkę, jeśli pozwolisz. Mam nadzieję, że uda się z niej sprać krew tego padalca.

- No właśnie, co z nimi? - spytała, patrząc bojaźliwie na niedoszłych adoratorów, wciąż zwijających się z bólu na chodniku.

- Naprawdę cię to obchodzi? - spojrzałem na nią wymownie.

- Niekoniecznie... ale psują krajobraz.

Roześmiałem się głośno, po czym wziąłem Dorotę pod ramię i poprowadziłem najpierw do samochodu, gdzie zostawiłem ubabraną krwią marynarkę, a następnie w kierunku starówki, gdzie znajdowała się jedna z najlepszych kawiarni w Mieście. Z oddali dobiegały do mnie narastające dźwięki syren karetki pogotowia. Dawid spełnił moją prośbę.

- O nic się nie martw - powiedziałem do Doroty - ekipa sprzątająca już jedzie.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem, ale nie skomentowała tego suchego żartu, pozwalając się prowadzić w stronę kawiarni. Słońce świeciło coraz jaśniej,

przesuwając się po nieboskłonie, a nasze cienie stawały się coraz krótsze. Gdy doszliśmy do „Madame Butterfly”, jak nazywała się kawiarnia, nie było jeszcze południa, więc mogliśmy wybrać niemal dowolne miejsce.

- Wolisz wejść do środka czy raczej posiedzieć w ogródku? - spytałem Doroty.

- Pogoda jest piękna, ale... masz mi coś do opowiedzenia, prawda? Więc lepiej znajdziemy sobie stolik gdzieś w środku, jak najdalej od baru i innych ludzi.

- Jak sobie życzysz - odparłem, kłaniając się w jej stronę.

Zaśmiała się na ten widok, po czym weszliśmy do środka. Dorota od razu skierowała swe kroki ku czteroosobowemu stolikowi pod ścianą, który wydawał się być najbardziej odpowiednim miejscem na długie rozmowy. Podałem jej kartę, żeby wybrała napój dla siebie. Ja już idąc tutaj wiedziałem, co będę pił (choć mam świadomość, że czarna kawa nie jest szczytem wyrafinowania w takim miejscu). Kelnerka, ciemnowłosa dziewczyna przeciętnej urody, prawdopodobnie w wieku Doroty, odczekała stosowny moment, odkąd zajęliśmy miejsca, i podeszła do nas.

- Dzień dobry - powiedziała z wytrenowanym uśmiechem. - Witamy w „Madame Butterfly”. Co dla państwa?

- Dla mnie zwykłą, czarną kawę - powiedziałem, starając się ignorować zdziwiony wyraz twarzy kelnerki, który wcale nie wpływał korzystnie na jej i tak nieszczęśliwą urodę.

- A ja poproszę podwójne latte macchiato z syropem klonowym.

- Proszę bardzo. Czy coś jeszcze?

Oboje zaprzeczyliśmy, po czym kelnerka oddaliła się w stronę baru, żeby przygotować wybrane przez nas napoje. Dorota wstała z miejsca, rozglądając się po sali.

- Jeśli nie masz nic przeciwko, pójdę do toalety.

- A gdybym miał, czy to by coś zmieniło?

- Heh, oczywiście, że nie. Ale uznałam, że wypada zapytać - odpowiedziała, śmiejąc się.

Miała wspaniałe śmiech. Prawdopodobnie była jedyną kobietą, jaką znałem, a także jedną z nielicznych na świecie, które, wybuchając perlistym śmiechem, nie tylko brzmią cudownie, ale i wyglądają przy tym pięknie. Mój wewnętrzny obserwator nie mógł się powstrzymać, by nie odprowadzić jej wzrokiem, podziwiając jednocześnie jej zgrabne nogi.

Nim Dorota zdążyła wrócić z toalety, kelnerka przyniosła kawy i postawiła je po odpowiednich stronach stolika. Gdy odeszła, powiodłem za nią wzrokiem, jednak pożałowałem tego po pierwszym spojrzeniu poniżej linii pleców. Na



szczęście gorzki niesmak po tym widoku został momentalnie przyćmiony, gdy na miejscu naprzeciwko mnie z powrotem usiadła Dorota.

- Przepraszam, że tyle to trwało.

- Nic nie szkodzi. Wy, kobiety, macie inne poczucie czasu, zwłaszcza kiedy znikacie w toaletach.

Zmierzyła mnie krytycznym spojrzeniem, ale po chwili uśmiechnęła się zadziornie. Mój Boże, była piękna. W subtelnym świetle lamp „Madame Butterfly” mogłem dość dokładnie przyjrzeć się jej twarzy. Nie miała idealnych linii charakterystycznych dla top-modelek, a jej nos nie stanowił idealnej krzywizny bijącej z plakatów reklamowych. Była piękna w nieoczywisty sposób, jakby gotowa obdarzyć tym pięknem tylko tych, którzy byli w stanie pojąć jego istotę. Spod niezbyt długich, ale bardzo ładnych, umalowanych rzęs spoglądały na mnie głębokie, niebieskie oczy, a pod nimi znajdowała się sieć wdzięcznych piegów, z rodzaju tych, które podkreślają kobiecą urodę, nadając jej unikalnego temperamentu.

Otrząsnąwszy się z rozmyślań, wziąłem do ręki kubek z kawą i wzniosłem go w geście toastu w stronę Doroty, ta zaś odpowiedziała tym samym. Przez moment delectowaliśmy się kofeiną, po czym Dorota odezwała się:

- Skąd w zasadzie znasz komisarza Dąbrowskiego?

Zaskoczyła mnie. Myślałem, że od razu przejdzie do rzeczy i zacznie wypytywać o tamto mieszkanie, jednak najwyraźniej nie brakowało jej subtelności.

- Pewnie już o tym wspomniałem, ale poznałem go jeszcze w szkole policyjnej. Uczęszczaliśmy razem na zajęcia, a potem przez dwa lata mieszkaliśmy razem w jednym pokoju w internacie przylegającym do szkoły. Później wspólnie zrobiliśmy fakultet z kryminalistyki i zaczęliśmy pracować w policji. To ja powinienem spytać, skąd wy się znacie, ale już rozwikłałem tę zagadkę.

- Było nie było, jesteś cenionym prywatnym detektywem, nieprawdaż? - powiedziała, puszczając do mnie oko. - Kiedyś myślałam, żeby pójść na kryminalistykę, ale w naszym kraju są tylko dwa, góra trzy miejsca, gdzie można to studiować w pełnym zakresie godzin, także zostałam przy historii. Przynajmniej tata jest zadowolony.

- Więc studiujesz historię?

- Tak, pierwszy rok... Rozważałam religioznawstwo, ale koniec końców stwierdziłam, że uczenie się o czymś, co i tak uważam za kompletną bzdurę, nie ma najmniejszego sensu.

- Widzę, że jestem w dobrym towarzystwie, jeśli chodzi o kwestię przynależności religijnej - powiedziałem z nutą sarkazmu w głosie.

- Jeśli Bóg istnieje, to religie w przerażającej większości tylko utrudniają ludziom dostęp do niego, formułując nakazy i zakazy, ignorując wartości sumienia.

- Kościół Katolicki jest tego najlepszym przykładem... Oddala ludzi od Boga, wpięprzając się im pod kołdrę, nakładając „boskie” nakazy, w tym uwielbiany przez wszystkich „boski” nakaz nieużywania gumek. A to tylko wierzchołek tej góry lodowej.

Dorota roześmiała się w charakterystyczny dla siebie sposób (to takie dziwne, kiedy ktoś śmieje się „hi, hi, hi” zamiast „ha, ha, ha”, jednak w jej wydaniu brzmiało to niesamowicie).

- Aż wróciło do mnie wspomnienie lekcji wychowania seksualnego w naszej szkole. Prowadziła ją katechetka.

- O, widzę, że szkoła zatrudniała prawdziwego specjalistę.

- A jakże. Kobieta wyszła z klasy po trzydziestu minutach, tuż po tym, jak uczniowie ją wyśmiali.

- Było aż tak zabawnie?

- Tak, zwłaszcza w momencie, kiedy biedna katechetka próbowała nam udowodnić, że prezerwatywy mają pory, przez które plemniki mogą się spokojnie przedostać, co demonstrowała dziurawiąc kawałek tektury.

- O mój Boże, naprawdę? - roześmiałem się. - Chociaż kto wie, to może być prawda. Kto wie, czy Kościół nie wysyła swoich tajnych agentek do fabryk prezerwatyw. Jestem w stanie wyobrazić sobie armię kobiet w wieku późno przedemerytalnym, stojących nad taśmami produkcyjnymi ze szpilką w dłoni, przekłuwających zapamiętane każdą prezerwatywę i odmawiających „Zdrowaś Maryjo”.

I znów z drugiej strony stołu dobiegło mnie „hi, hi, hi”, na dźwięk którego samemu ciężko mi było się nie roześmiać. Porozmawialiśmy jeszcze chwilę o niczym, lecz konwersacja nieubłaganie dryfowała w stronę właściwego tematu. Jakby nie patrzeć... nie przyszliśmy tu dyskutować o armiach babć dziurawiących prezerwatywy, prawda? Dorota pierwsza podjęła rozmowę.

- Nie o tym jednak mieliśmy rozmawiać, prawda?

- Masz rację, nie o tym - odparłem, stawiając na stole niemal w całości opróżniony kubek po kawie.

- Wobec tego... czy możesz mi powiedzieć, dlaczego tak nagle wyszedłeś?

Nie szczypała się. Do meritum, prosto do samego środka, od razu uderz w najczulszy punkt. Gem. Set. Mecz. Nie powiem - była dobra.

- Z bardzo prostego powodu... Już na pierwszy rzut oka widziałem, że nic się tam nie zmieniło od momentu, kiedy byłem tam po raz ostatni, niemal dokładnie pięć lat temu.

Zapadła cisza. Wyraz twarzy Doroty wyraźnie wskazywał, że nie mogła zebrać myśli. W końcu zapytała, nieumiejętnie starając się ukryć szczere zdumienie:

- Byłeś już w tym mieszkaniu? Ale dlaczego? Jak? Kiedy?

- Spokojnie, trochę mniej pytań naraz poproszę. Wszystko ci opowiem. A przynajmniej to, co uznam za wartę opowieści.

## II

- Pozwól, że zacznę od ostatniego pytania. To było ponad pięć lat temu, w lutym. To mieszkanie... wyglądało tak samo obskurnie jak dziś, a jednak mieszkali tam ludzie, małżeństwo z dwójką dzieci, dwójką chłopców. Pracowaliśmy wtedy z komisarzem Dąbrowskim w dochodzeniówce i byliśmy w środku naprawdę paskudnej sprawy, prawdopodobnie o niej słyszałaś.

- Mówisz o „rzezi niewiniątek”?

- Tak, o „rzezi niewiniątek” - zaśmiałem się pusto. - Media nie mogły wymyślić bardziej kretyńskiej nazwy dla tak poważnego zdarzenia. Powiedz, co już o niej wiesz, to ułatwi mi opowiadanie.

- Wstyd się przyznać, ale tak naprawdę niewiele... Byłam wtedy dopiero w gimnazjum i burza hormonów przysłała mi większą część tego, co działo się na świecie - powiedziała przepaszająco.

- Dobrze, wobec tego zacznę od początku, nie będzie to jednak przyjemna historia. W 2007 roku, czyli około sześć lat temu, między wrześniem a listopadem na terenie Miasta doszło do serii zaginięć dzieci w wieku od czterech do sześciu lat. Byliśmy kompletnie bezradni... Rodziny zgłaszały się do nas jedna za drugą, tydzień po tygodniu. Łącznie zniknęło trzynaścioro dzieci, każde z innej części Miasta, z innej warstwy społecznej; jedyną cechą wspólną był wiek. Ściągnęliśmy do pomocy oddziały policji z okolicznych miejscowości, uwierz, takiej ilości patroli z psami tropiącymi nigdy wcześniej nie widziałem na oczy.

- Ty prowadziłeś tę sprawę?

- Ja? Skąd. Nie miałem wtedy jeszcze dostatecznie dużo doświadczenia, by

ktokolwiek postawił mnie na czele tak dużego dochodzenia, jednak razem z Dawidem byliśmy na tyle dobrzy, że dopuszczono nas do sprawy jako detektywów pomocniczych. Cały zespół, to znaczy jego trzon, liczył sobie pięć osób: trzech weteranów miejskiej policji i nas dwóch, nieopierzonych kryminalistów, niespełna rok po ukończeniu studiów. Pracowaliśmy nieprzerwanie, dzień i noc. Media błyskawicznie dowiedziały się o zaistniałej sytuacji, więc pod drzwiami komendy bez przerwy warowali dziennikarze i wozy transmisyjne, wywierając na nas okropny nacisk. Działaliśmy więc pod ogromną presją. Z końcem listopada, po zaginięciu trzynastego dziecka, tajemnicze zniknięcia ustały, jednak żadnego z zaginionych dzieci nie odnaleziono.

- A jaki ma to związek z tamtym mieszkaniem? Czy dzieci tego małżeństwa, o którym mówiłeś, były wśród zaginionych?

Zastanowiłem się przez chwilę, jak poprowadzić dalej opowieść tak, żeby nie skonsternować mojej słuchaczki, po czym ponownie podjąłem temat.

- Cóż... tak się nam wydawało. Jak już mówiłem, po trzynastu zaginięciach incydenty ustały. Aż do 20 grudnia, kiedy otrzymaliśmy telefon o kolejnych dwóch zniknięciach dzieci. Jako że byliśmy pewni, że dotyczy to tej samej sprawy, na miejsce pojechałem ja i Dąbrowski, jednak po wstępnej rozmowie z matką dzieci nie byliśmy przekonani.

- Dlaczego?

- Przede wszystkim z powodu odejścia ojca dzieci. Podobno uciekł z kochanką do Anglii, tak przynajmniej powiedziała nam matka; także pierwszym, najbardziej oczywistym wytłumaczeniem było to, że ojciec niepostrzeżenie zabrał dzieci ze sobą... co byłoby zrozumiałe, biorąc pod uwagę to, w jakim chlewie były zmuszone żyć. W jakim oni wszyscy byli zmuszeni żyć.

- I co, udało się wam ustalić, czy to ojciec zabrał dzieci?

- Nie... Prawda jest taka, że nie udało się nam zlokalizować ojca. Jakby zapadł się pod ziemię. Udało się nam dotrzeć do jego kochanki, a ta rzeczywiście potwierdziła, że mieli razem wyjechać, jednak zmienili plany. Niczego więcej się od niej nie dowiedzieliśmy, skupiliśmy się więc na poszukiwaniu dzieci. Dołączyliśmy je do listy dzieci zaginionych od września, zabraliśmy rzeczy służące jako próbki zapachowe dla psów i czekaliśmy na informację od któregoś z patroli. A niespełna tydzień później, na świętego Szczepana... już wiedzieliśmy, że dzieci nie zagięły wraz z pozostałą trzynastką.

- Skąd mieliście taką pewność?

- Naprawdę o tym nie słyszałaś? Zrobiła się z tego międzynarodowa sensacja...

i nic dziwnego. To była... prawdziwa makabra.

- Co się stało? - zapytała Dorota, wbijając we mnie pytające spojrzenie.

- Odnależliśmy zaginione dzieci. A raczej znalazła je para starszków spacerujących po lesie. Tamtej zimy śnieg padał gęsto w pierwszej połowie grudnia, jednak święta były niemal bez śniegu. Kobieta, która pierwsza dotarła do kaplicy na starym ponemieckim cmentarzu w Lasku Południowym, którądy miała w zwyczaju przechadzać się z mężem, wyprowadzając psy na spacer, umarła na zawał, na miejscu. Mężczyzna miał na tyle silne serce, że zdążył zadzwonić na policję. To cud, że tacy starszuskowie mieli przy sobie telefon komórkowy...

- Co stało się z dziećmi? Czy one...

- Nie żyły. Wszystkie, co do jednego. Topniejący śnieg odkrył ich ciała, rzucone w bezceremonialny stos za kapliczką. Nie to jednak było najgorsze... Pamiętam to jak dziś, bo byłem jednym z pierwszych, którzy dotarli na miejsce. Do końca życia nie zapomnę tego widoku...

- Co... - zdołała wyjąkać przerażona opowieścią Dorota.

- Każde z nich miało wycięte serce - powiedziałem cicho. Widziałem, jak z twarzy dziewczyny odpływa wszelki kolor. - Każde z tych małych dzieci miało w klatce piersiowej wielką, ziejącą dziurę, przez którą wycięto im serca.

Dziewczynie na moment odebrało mowę. Przyjąłem to z pewną wdzięcznością, bowiem mogłem na moment przerwać opowieść i otrząsnąć się ze wspomnień, które wpływały falami do mojego mózgu, czy mi się to podobało, czy nie.

- Kto... - zaczęła w końcu Dorota - kto mógł się dopuścić czegoś tak okropnego?

- Nie wiem. Do dziś sprawcy pozostają nieznani... To ogromna plama na honorze policji. „Rzeź niewiniątek” stała się jedną z najgłośniejszych spraw w historii kryminalistyki. Na szczęście udało się nam uniknąć wycieku informacji do mediów w kwestii stanu zwłok i miejsca, w którym je znaleziono... W oficjalnym komunikacie podaliśmy tylko, że dzieci znaleziono martwe w lesie, że jest to prawdopodobnie dzieło seryjnego mordercy, no i oczywiście że policja jest na tropie sprawcy. Gównu, nie na tropie - powiedziałem gorzko. - Nie mieliśmy najmniejszego punktu zaczepienia, jednak nasza pięcioosobowa grupa operacyjna podejrzewała sektę religijną. Sektę, która złożyła te dzieci w ofierze podczas rytuału w katolickie święto Bożego Narodzenia.

- To okropne... ale powiedz mi, czy znaleźliście tam tę dwójkę dzieci z kamienicy?

- Przepraszam, tak pochłonęło mnie opisywanie ci historii tej sprawy, że

zapomniałem o najważniejszym. Nie. To właśnie ostatecznie utwierdziło nas w przekonaniu, że nie były elementem seryjnych zaginięć, jednak nie przybliżyło nas to ani o krok do ich odnalezienia. I wtedy... musieliśmy powiedzieć matce dzieci, że wśród znalezionych nie było jej pociech. Myśleliśmy, że będzie to dla niej dobra wiadomość, bo rzeczywiście przyjęła to z wyraźną ulgą. Tak przynajmniej się nam wydawało...

- A nie było tak?

- Parę dni po Wigilii pojechałem do kamienicy, żeby porozmawiać z sąsiadami. Okazało się, że wszyscy wyjechali na święta. I bardzo dobrze... wolę nie myśleć, co musielibyśmy zrobić, żeby jakoś uciszyć sprawę, gdyby odbyło się to przy świadkach.

- Co się stało?

- Zapukałem do jej mieszkania. Nikt nie odpowiadał. Zapukałem ponownie, lecz w dalszym ciągu nikt nie otwierał, a byliśmy umówieni. Wszedłem więc do środka. A ona wisiała na kablu, który utrzymywał żyrandol.

Dorota zakryła dłonią usta. Ja zamknąłem oczy, chcąc nie chcąc przeżywając raz jeszcze moment, o którym opowiadałem. Wspomnienia wróciły. Kobieta wisząca pod sufitem w tym obdrapanym, nie nadającym się do życia mieszkaniu. Pierwszy wisielec w mojej karierze.

- Nikt z nas się tego nie spodziewał - podjąłem opowieść. - Ale wtedy... chyba byłem w stanie ją zrozumieć.

- Zrozumieć samobójstwo? A co z jej dziećmi? Przecież...

- No właśnie - wszedłem Dorocie w zdanie. - Nie znaleźliśmy ich. Nie umieliśmy nawet potwierdzić, czy wciąż żyją. Musisz zrozumieć... ta kobieta nie miała łatwego życia. Jesteś w stanie sobie wyobrazić życie z dwójką dzieci w takiej ruderze? Wiedząc, że nie jesteś w stanie zapewnić im niczego więcej? Ta kobieta straciła nadzieję. I nikt nie powinien jej za to winić, jednak było mi jej niezwykle żal. Było mi jej żal od momentu, kiedy ją pierwszy raz spotkałem... Była bardzo ładną kobietą, jednak bardzo smutną. Nazywała się Monika Kropisz. Miała tyle lat, co ja teraz, i piękne, długie, czarne włosy...

- Czarne włosy? - spytała Dorota, zamierając.

- Widzę, że nie masz problemów z kojarzeniem faktów...

- Myślisz, że to duch tej kobiety zabił... zabił Martynę?

- Bezpośrednio lub pośrednio... tak, właśnie tak myślę.

- Ale dlaczego? Dlaczego ją? Dlaczego ta kobieta powiedziała, że zabierze jej wszystko, co kocha, za co ona się mści?

- Tego nie wiem... Dziś wieczorem mam zamiar spotkać się z Dąbrowskim. Nie pójdzie mu tak łatwo, nie odetnie się od tej sprawy. Nie pozwolę mu. Skoro wpakował w nią mnie, to będzie też musiał dać coś od siebie. Ma przynieść ze sobą akta obydwu spraw. Może razem dojdziemy do jakichś wniosków. A tymczasem... uważaj na siebie, dobrze?

- Dobrze... - odpowiedziała niepewnie Dorota.

- Masz mój numer, prawda? Gdyby tylko coś się działo... skorzystaj z niego.

Uśmiechnąłem się do niej, po czym wstałem i podszedłem do baru, żeby zapłacić za kawę. Spojrzałem po drodze na zegarek na swoim nadgarstku - dochodziła czternasta. Spędziliśmy ponad dwie godziny w tym miejscu, jednak zdawało mi się, jakby minęła zaledwie chwila.

Podziękowałem kelnerce, schowałem resztę do portfela (zostawiając stosowny napiwek), po czym odwróciłem się w stronę Doroty.

Zamarłem.

W przeciwległym rogu sali, w samym kącie dostrzegłem zgarbioną postać. Nie byłem w stanie dostrzec jej twarzy, jednak wyraźnie widziałem długie, czarne włosy. Przez moment wydawało mi się także, że temperatura dookoła spadła o co najmniej pięć stopni. Kobieta wpatrywała się w Dorotę.

Potarłem oczy.

Kobiety nie było.

Może to była tylko moja wyobraźnia? Efekt natłoku wspomnień wywołanych dopiero co odbytą rozmową? Nie wiedziałem. Postanowiłem jednak nie wspominać o tym Dorocie. Nie było sensu jej niepotrzebnie straszyć. Czułem jednak silny niepokój. Kobieta przyszła po Marka, który, jak wynikało z listów, był bliski Martynie. A drugą najbliższą jej osobą była Dorota...

- Wszystko w porządku? - wyrwała mnie z otępienia Dorota.

- Tak... przepraszam, zamyśliłem się - odparłem, mając nadzieję, że zabrzmiało to naturalnie. - Wracajmy do samochodu.

Drogę dzielącą nas od parkingu przebyliśmy w milczeniu, wsłuchując się w tupot naszych stóp, w głowach wciąż rozmyślając nad historią sprzed pięciu lat. Dorota szła obok, rozglądając się bez szczególnego zainteresowania po okolicznych budynkach. Nie było czego oglądać, ot, kościół, sklep spożywczy, pusta parcela, budka z kebabem, jeszcze jedna kawiarnia... Jak na starówkę, wyglądało to wyjątkowo biednie, porównując z innymi miejscami na świecie.

Dotarliśmy do stojącej na parkingu Kii. Zerknąłem na przednią szybę, żeby upewnić się, że żaden nadgorliwy parkingowy nie wlepił mi jeszcze mandatu -

czas na bilecie upłynął dziesięć minut temu. Na szczęście obyło się bez papierka za wycieraczką. Otworzyłem drzwi Dorocie (cholerny dżentelmen), po czym wsiadłem do samochodu.

- Dokąd cię teraz zawieźć?

- W zasadzie sama nie wiem... Chyba do szpitala. Porozmawiam z lekarzami o wynikach, bez matki, bo ona nigdy nie da im w spokoju dojść do słowa, jest zbyt nerwowa. Stamtąd pojedę do cioci, nie mam dziś nic innego do roboty.

- Mogę poczekać na ciebie pod szpitalem, jeśli nie zajmie ci to dużo czasu.

- Dziękuję, ale nie trzeba. Wrócę autobusem. Już dostatecznie wykorzystałam usługi Tomasz-Taxi na dziś - powiedziała, spoglądając na mnie z szelmowskim uśmiechem.

Zaśmiałem się krótko, po czym uruchomiłem silnik. Uwielbiałem jego cichy pomruk.

- Skoro tak sobie życzysz, to niech tak będzie. Zadzwoń dziś do ciebie, gdy tylko dowiem się czegoś od Dawida. Mam nadzieję, że uda nam się znaleźć coś, od czego moglibyśmy zacząć.

- Też mam taką nadzieję... I Tomasz...

- Tak?

- Dziękuję za dzisiaj.

- Nie rozumiem, to przecież część mojej pracy, badanie takich miejsc.

- Nie o to mi chodzi. Dziękuję za miłą rozmowę. Za opowiadanie mi tego wszystkiego. I za wcześniej, za to, że obroniłeś mnie przed tymi typami... Przez chwilę naprawdę się bałam - powiedziała, spuszczać wzrok.

- Nie masz za co dziękować, to ja przepraszam, że zostawiłem cię wtedy samą. Na szczęście nic się nie stało, także nie ma o czym mówić, prawda?

Dorota tylko skinęła głową, ale uśmiechnęła się do mnie. Przyjąłem to za dobry znak. Wycofałem samochód, wyjechałem z parkingu, po czym pojechałem pod szpital (starając się nie przeklinać za bardzo, kiedy popołudniowe korki uniemożliwiały poruszanie się z prędkością większą niż pięć kilometrów na godzinę). Gdy zatrzymałem się pod bramą, ponownie zapytałem Doroty:

- Na pewno na ciebie nie czekać?

- Na pewno, spokojnie, dam sobie radę - powiedziała, kiwając twierdząco głową. - Ale dziękuję.

- W takim razie do zobaczenia. Zadzwoń wieczorem, po rozmowie z Dąbrowskim. Mam nadzieję, że nie chodzisz spać o dwudziestej drugiej?

- Skąd, zasypiam zaraz po dobranocce - zaśmiała się. - Spokojnie, z reguły nie



kładę się przed północą.

- To bardzo dobrze, nie będę się musiał martwić, że cię obudzę. Do zobaczenia.

- Do zobaczenia, Tomasz.

Potem wysiadła, zamknęła drzwi samochodu i poszła w stronę wejścia do szpitala. Przez moment wpatrywałem się w oddalającą się sylwetkę, po czym wrzuciłem bieg i pojechałem w swoją stronę.

### III

W drodze powrotnej zająłem się przyziemnymi sprawami. Zakupy, opłaty, ZUS, biuro rachunkowe... Ludzkie życie jest niekończącym się pasmem wizyt w urzędach. Przynajmniej po przekroczeniu pewnego wieku i rozpoczęciu własnej działalności. Na szczęście tym razem nie musiałem spędzić w nich przesadnej ilości czasu i o osiemnastej byłem już w domu rozpakowując zakupione rzeczy.

Przyrządziłem sobie późny obiad. Nic szczególnego: makaron z kurczakiem, polany sosem kurkowym. Nie miał smaku. Posiłki jedzone z powinności nigdy go nie mają, choć poeta mógłby powiedzieć, że to nieprawda, bo są zabarwione goryczą egzystencji. Nie byłem jednak poetą, więc ograniczyłem się do przetrawienia tego, co miałem na talerzu, bez poświęcania temu zbytnej refleksji.

Czekając na Dawida, włączyłem telewizor, akurat rozpoczynał się wieczorny dziennik. Na ekranie pojawiła się prezenterka o krótkich, ufarbowanych na czarno włosach, ubrana w czarny żakiet i sięgającą kolan spódnicę o ołówkowym kroju. Profesjonalnym tonem rozpoczęła: „Małgorzata Adamiak, zapraszam na wiadomości. Kolejna ofiara serii brutalnych morderstw została odnaleziona dziś rano. Jak udało się nam ustalić, podobnie jak poprzednie ofiary była dziewczyną około dwudziestego roku życia, a przed śmiercią została zgwałcona. Policja prowadzi wzmożone śledztwo, jednak opinia publiczna pozostaje oburzona, oskarżając Komendę Główną Policji o niekompetencję i brak należytych środków prewencyjnych. Przenieśmy się pod budynek Komendy, gdzie czuwa nasz korespondent...”.

Cholerne pasożyty... może jeszcze puście nagranie z sekcji zwłok? Albo jeszcze lepiej - poproszę o najazd kamery na tę brutalnie zgwałconą, zamordowaną dziewczynę, przecież to idealna pora na takie widoki, ludzie akurat zdążyli zasiąść do kolacji.

Patrzyłem z narastającą irytacją na odbywający się na ekranie spektakl, gdzie

przedstawiciel policji nieumiejętnie odpowiadał na jeszcze bardziej nieumiejętnie sformułowane pytania dziennikarzy, a otaczający komendę tłum domagał się ukrzyżowania rzecznika, jakby to była jego wina, że jakiś popierdoleniec postanowił sobie pogwałcić młode dziewczyny, przy okazji je zabijając. Żelazna logika.

Rozparłem się wygodniej na kanapie, odpaliłem papierosa, zaciągnąłem się głęboko, czując, jak nikotyna rozjaśnia mi umysł i wypiera myśli. Wypaliwszy go do połowy, odłożyłem bezpiecznie w popielniczkę, odchyliłem głowę i wpatrywałem się tępo w sufit, pozwalając tylko co drugiemu słowu dobiegającemu z telewizora docierać do mojego mózgu.

Zamknąłem oczy.

„...Przeprowadził badania z których wynika, że dziewięćdziesiąt dwa procent nastolatków nie wie, jak utrzymać poprawną higienę jamy ustnej. To pokazuje, że... Kobieta, która wybiegła z salonu sieci komórkowej, kradnąc jeden z telefonów, została zatrzymana przez policję, jednak z obawy przed funkcjonariuszami próbowała wrzucić aparat do kratki ściekowej, co zostało udaremnione przez... Japońska panda wielka Mao urodziła dziś w miejskim zoo córeczkę. Maleństwo ma się dobrze, jest pod troskliwym okiem matki, a pracownicy nazwali ją Mei Thang, na pamiątkę... W mającym miejsce na południu kraju wypadku samochodowym, w którym doszło do zderzenia samochodu osobowego z busem wiozącym pracowników na połów bananów, zginęło dziesięć osób. Przyczyna wypadku pozostaje nieznana, jednak po wstępnych oględzinach ciała kierowcy samochodu osobowego i jego pasażerki policja stwierdziła, że do wypadku doszło na skutek rozproszenia uwagi przez stosunek oralny, na co wskazuje ułożenie ciał ofiar...”

Dryfowałem gdzieś pomiędzy rzeczywistością a surrealizmem. Powietrze dookoła było gęste i nabrzmiące od dopływających zewsząd dźwięków.

Stałem w korytarzu kamienicy przy Murarskiej. Ściany wydawały się nieco rozplywać, a wszystko spowijała mgła, jednak z całą pewnością był to ten sam korytarz. Ze ścian sączył się zniekształcony głos: „...W kwestii ostatnich wydarzeń policja nie ma nic do dodania, jednak Panda zdaje się wyrażać opinię, iż...” (co kurwa?) „...zaburzenia psychoneurotyczne spowodowane nadmierną ekspozycją na działanie światła księżyca...” (ja pierdolę...).

*Podejdź bliżej.*

Ten głos był inny, wyraźny, niepozbawiony sensu.

*Podejdź bliżej.*

Zrobiłem kilka niepewnych kroków do przodu („...badania wykazały, że używanie nici dentystycznych wśród nastolatków jest równie rzadkim zwyczajem jak poprawne zakładanie prezerwatyw...”) w stronę mającą przede mną plamy światła pochodzącej ze świetlika w drzwiach naprzeciwko wejścia („...na szczęście przekłada się to tylko na zanieczyszczenie jamy ustnej, w przeciwieństwie do przedwczesnych ciąż...”). Boże, jakie to pokurwione – pomyślałem, idąc dalej do przodu (czy ten korytarz wcześniej też był tak długi?), wodząc rękami w powietrzu jak ślepiec starający się wybadać drogę przed sobą.

*Podejść bliżej, Tomaszu. Jeszcze trochę...*

Tomaszu? Czy my się znamy? Brnąłem dalej przez cień, aż moja ręka w gęstej mgłę odnalazła klamkę i nacisnęła na nią.

Dźwięki korytarza umilkły, zastąpione trzeszczącym odgłosem zamykanych drzwi.

Pokój wyglądał tak samo jak wtedy, gdy ostatnio w nim byłem, jednak teraz zwróciłem uwagę na więcej szczegółów: sufit pokrywały takie same rdzawe plamy jak podłogę pod oknem. Ściany wyglądały okropnie, całe spękane, w milionie odcieni szarości i zgnilizny, przykryte miejscami gęstą warstwą pajęczyn, z których leniwie zwisały pająki, prawdopodobnie już martwe – jak wszystko w tym mieszkaniu. Łóżko nie przypominało miejsca do spania, a raczej coś, co zostało wyrzucone na śmietnik. Stół piknikowy był poczerniały i miejscami wgnieciony, jakby ktoś na nim usiadł, nie bacząc na swój ciężar. Krzeselka dalej walały się w kącie pokoju, podkreślając, jak bardzo był opuszczony.

Po lewej stronie usłyszałem szelest. Wszedłem do mierzącej metr kwadratowy łazienki. Ostrożnie wyciągnąłem rękę w stronę foliowej kotary okrywającej prysznic, chwyciłem ją, wziąłem głęboki oddech i pociągnąłem w prawo, odsłaniając brodzik.

Pusto.

Prysznic był tak samo martwy, jak pająki w pokoju, zamiast bieli błyskał przegniłą żółcią i czernią zbutwiałego silikonu.

Podobnie, jeśli nie o wiele gorzej, wyglądała stojąca obok toaleta. Nędza i rozpacz.

Nagle do moich uszu dobiegł odgłos szurania, wydający się dobiegać z pokoju. Wycofałem się z łazienki, spojrzałem na pokój i zamarłem.

- Dzień dobry.

Kobieta wyglądała tak jak wtedy, gdy pierwszy raz ją spotkałem. Długie, czarne włosy opadały na jej twarz, wciąż piękną, pomimo upływu lat i trudów życia. Była

ubrana w prostą, niebieską suknię. Tę samą, w której widziałem ją po raz pierwszy. Tę samą, w której znalazłem ją wiszącą pod sufitem. Nie byłem w stanie wykrztusić z siebie ani jednego słowa.

- Miło, że przyszedłeś, Tomaszu - powiedziała kobieta cichym szeptem dobiegającym jakby z oddali. - Czekałam, aż się zjawisz.

- Na... naprawdę? - wydukałem.

- Tak, naprawdę - powiedziała, podnosząc się z krzesła. Nie umknęło mojej uwadze, że dekolt jej sukni odsłaniał o wiele więcej, niż zapewne chciała pokazać. Odwróciłem wzrok, zawstydzony swoją śmiałością.

- Dlaczego odwracasz wzrok, nie podoba ci się to, co widzisz? - powiedziała, podchodząc bliżej. Chwyciła moją rękę i położyła na swojej półnagiej piersi. - Może wolisz ją poczuć?

Jej ciało było lodowato zimne i jakby napięte, niczym płótno naprężone na zbyt dużym podobrazii. Nie czułem bicia serca.

Kobieta przysunęła się jeszcze bliżej, obejmując mnie i szepcząc do ucha.

- Czekałam na ciebie... nawet tęskniłam...

Pocałowała mnie, a raczej położyła swoje usta na moich. Czułem ich chłód, nie czułem jednak oddechu, jakbym stał twarzą w twarz z lalką. Kobieta znów się przytuliła i powiedziała pozbawionym emocji, do reszty odrealnionym głosem.

- *Zabiłeś mnie, wiesz o tym?*

Błyskawicznie odsunąłem ją od siebie na długość ramion. Głowę trzymała spuszczoną, kurtyna włosów w całości przesłaniała jej twarz.

- *Zabiłeś mnie - powtórzyła. - I zabiłeś też moje dzieci.*

Podniosła twarz, jednak na próżno było w niej szukać jakichkolwiek śladów człowieczeństwa. Gałki oczne stopniały i wpłynęły w głąb czaszki. W pustych oczodołach widziałem gnieźdzące się robaki, takie same jak te, które wystawały z gnijących uszu. Jej skóra wyglądała jak roztopiony воск, odsłaniający miejscami biel czaszki; w ustach widziałem opuchnięty, siny, niemal do szczytu czarny język, który wysunęła i którym oblizwała nabrzmiałe od śmierci wargi.

- *Nie odnalazłeś ich...* - mówiła cicho, lecz w jej głosie czaiła się groźba. - *Nie odnalazłeś ich... a mnie zabiłeś.*

- Ja... nie... ja przecież... nie... - dobiegał bełkot z moich ust.

- *Tak, zabiłeś mnie. Ale ja nie zabiję ciebie, o nie...*

Ponownie przysunęła się bliżej i pocałowała mnie. Czułem smak rozkładu na ustach, słyszałem szeleszczące odgłosy czerwi wijących się w otworach po gałkach ocznych, a w mojej głowie rozlegał się coraz bardziej donośny stukot.

Bum, bum. Bum, bum.

Odgłos nabierał na sile, doprowadzał do obłądu jeszcze bardziej niż martwa kobieta próbująca wsunąć przegniły język w me usta. Bum, bum.

Bum, bum.

## IV

Znów byłem w swoim pokoju. Moje ciało uniosło się na kanapie, dramatycznie łapiąc oddech, niczym topielec, któremu pomogło pospiesznie udzielone usta-usta. Zacząłem kaszleć i pluć do popielniczki, próbując pozbyć się okropnego smaku pozostałego po martwym pocałunku. Serce pędziło z zatrważającą szybkością, a oczy nabiegły łzami. Bum, bum. Odgłos nie zniknął. Pękała mi od niego głowa, zasłoniłem więc uszy dłońmi i zacisnąłem powieki. Bum, bum. Co jest, do cholery?

Bum, bum.

Drzwi. Oczywiście. Ktoś pukał. Z westchnieniem ulgi podniosłem się powoli z kanapy. Coś parzyło mnie w dłoń – no tak, papieros, który ułożyłem bezpiecznie w popielniczce, przylepił mi się do ręki, gdy niechcący się o niego oparłem, próbując pozbyć się z ust oleistego smaku. Cud, że nie zarzygałem stołu, do tego stopnia odrażające było to, co czułem. Wrzuciłem papierosa z powrotem do popielniczki i podszedłem do drzwi.

Nie musiałem zerkać w judasza, nie przewidywałem żadnych gości. Przypadkiem też nikt tu nie zaglądał. To mógł być tylko Dąbrowski. Otworzyłem drzwi i wpuściłem starego przyjaciela do środka.

– Już myślałem, że nie ma cię w domu, Tomasz – powiedział na powitanie.

– Też się cieszę, że cię widzę – mruknąłem. Głowa wciąż okropnie mnie bolała.

Bez słowa poprowadziłem Dawida do stołu, sam zaś odszedłem wstawić wodę na kawę, jednocześnie sięgając do szafki po środki przeciwbólowe i łykając zdecydowanie zbyt dużą ich ilość.

Nie pytałem mojego gościa, co chce do picia. Oto fenomen – policjant nietykający kawy, człowiek, który jest w stanie znieść trudy życia i zawodu policjanta bez stałego dopływu kofeiny do krwi. Postawiłem przed nim duży kubek z herbatą, sobie zaś zaparzyłem mocną, czarną kawę, mając nadzieję, że choć trochę odgonię w ten sposób obrazy wciąż wyraźne w mej głowie po dopiero co przeżytych koszmarze.

- Wszystko w porządku? Jesteś cholernie blady, przyjacielu.

Nie, kurwa. Nic nie było w porządku. Przed chwilą jakaś martwa laska próbowała mnie przelecieć, nie było fajnie, uwierz, stary. Oczywiście nie mogłem mu tego powiedzieć.

- Tak, tak... Ostatnio źle sypiam, to wszystko. I głowa boli mnie tak, jakby ktoś przyłożył mi w nią młotkiem, nic więcej.

Dawid nie odpowiedział, ale jego spojrzenie mówiło samo za siebie.

- Przyniosłeś akta spraw, o które prosiłem? - spytałem.

- Czyli odpuszczamy sobie dziś rozmowy o niczym?

- Tak, Benny, wybacz. Porozmawiać o niczym możemy zawsze, a ta sprawa, jeśli będzie ciągnąć się zbyt długo, może mieć tragiczne konsekwencje.

- Rozumiem, rozumiem. No więc tak... od początku - powiedział, rozkładając na stole zawartość jednej z dwóch szarych teczek, które przyniósł ze sobą. - Po pierwsze: nigdy nie widziałeś tych akt, rozumiesz?

- Spójrz mi w oczy, Benny.

Musiał zobaczyć w nich to, co chciałem mu przekazać, bo bez słowa komentarza podjął przerwany wątek.

- Co do sprawy Martyny, nie ma tam absolutnie nic, czego już byś nie wiedział. Byłeś, widziałeś; nie ma tam absolutnie niczego, co mogłoby stanowić chociaż cień dowodu. I choć obaj wiemy, a raczej domyślamy się, co się stało, nie posiadamy nic, co mogłoby to potwierdzić, oprócz tych listów. A sam wiesz, ile są warte w świetle prawa. Poza tym... czy naprawdę cokolwiek by się zmieniło, gdybyśmy próbowali wszcząć postępowanie?

- Nie... dziewczyna byłaby tak samo martwa. Nikt by na tym nie wygrał, ale za to moglibyśmy zafarbować włosy jej najbliższych na siwo.

Dawid parsknął śmiechem i mówił dalej:

- Co do sprawy sprzed pięciu lat... jeśli chcesz coś sobie przypomnieć, proszę bardzo. Jednak wydaje mi się, że podobnie jak mnie, tamta sprawa wyryła ci się tak mocno w pamięci, że tak naprawdę nie potrzebujesz zaglądać do akt. Zastanawiam się wobec tego, po co do cholery kazałeś mi je przynieść, co?

- Sam nie wiem... może to była kwestia chwili. A może naprawdę chciałem je jeszcze raz przejrzeć, poszukać jakiegoś punktu zaczepienia - odparłem, pociągając solidny łyk kawy ze stojącego przede mną kubka. - Upłynęło dużo czasu, część wspomnień się zatarła. Nie te najważniejsze, oczywiście... jednak zapewne jest tam sporo szczegółów, które mogą być istotne, a które już wtedy mogliśmy przeoczyć.

- Masz trochę racji... to był trudny okres, wszyscy byliśmy ekstremalnie zmęczeni...

- No więc właśnie. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, kto stał za „rzezią niewiniątek”... ani kto nadał tej sprawie tak idiotyczną nazwę - dodałem.

- Tu mogę ci pomóc - powiedział Dawid z uśmiechem. - To pewien stary kutasina z miejscowego brukowca pierwszy rzucił tym hasłem, a dziennikarze z poważnych stacji telewizyjnych to zasłyszeli. Facet zginął rok po „rzezi”. Potrafił go autobus. Trochę żałowałem, bo chętnie sam bym go przejechał za sam pomysł na tę kretyńską nazwę.

Roześmialiśmy się obaj. Od zawsze mieliśmy specyficzne poczucie humoru, pewnie po części dlatego tak dobrze się dogadywaliśmy, odkąd tylko spotkaliśmy się po raz pierwszy, stojąc przed drzwiami internatu szkoły policji. Spojrzałem na starego przyjaciela - trzydzieści cztery lata, lekka nadwaga, proste, zapuszczone do kołnierzyka blond włosy, ubrany, jak zawsze, w gustowny (jak na policjanta) garnitur. Nic się nie zmienił przez ostatnich pięć lat. No, może przybyło mu zmarszczek wokół skrytych za szklami okularów oczu; gość stanowczo zbyt często się uśmiechał.

- Cieszę się, że mi o tym powiedziałaś, to pytanie spędzało mi sen z powiek - odezwałem się, ciągle się zaśmiewając. - Ale - spoważniałem - do roboty. Przejrzyjmy te akta, nim noc nas zastanie.

Teczka nie należała do cienkich, jednak nie była też przesadnie gruba, w przeciwieństwie do większości akt poważnych spraw kryminalnych. Może dlatego, że samo śledztwo stanowiło wzorcowy wręcz brak organizacji, dowodów, świadków i punktów zaczepienia. Najzwyczajniej w świecie nie było czego włożyć do teczki. Nie zawierała też raportów patroli policyjnych, które objętościowo zajmowały szafkę wielkości mojego biurka - te nie były nam potrzebne. Nie udało się również wydobyć wyników sekcji zwłok na tę okazję, jednak miałem nadzieję, że Dawidowi uda się do nich dotrzeć w swoim czasie. Przejrzenie całości nie zajęło nam więcej niż godzinę, robiliśmy to z całkiem niezłą wprawą, tylko miejscami komentując na bieżąco, bo wiedzieliśmy, że na dyskusję nad zawartością przyjdzie czas po jej kompletnym przejrzaniu.

W środku były też zdjęcia, choć tych wolałem nie oglądać. Przemogłem się oczywiście. Nie miałem zbyt wielkiego wyboru, jednak coś we mnie się buntowało. Na pewno żołądek. Widok trzynastu małych figurek splecionych ze sobą groteskowo na oblanym zakrzepłą krwią stosie wystającym ze śniegu nie był przyjemnym widokiem. Fotograf chyba postawił sobie za punkt honoru oddanie

jak najdosłowniej masakry, którą portretował, bowiem zdjęcia były wykonane wzorowo, z upiorną wręcz dbałością o detale. Następne po sesji grupowej były zdjęcia indywidualne (uśmiechnijcie się, chłopcy i dziewczęta, kiedy powiem „seer”. A teraz pojedynczo, ty tam, w czarnym swetrze, z dziurą w klatce piersiowej, chodź jako pierwszy). Fotograf i tym razem nie zawiódł, szczególnie przykładając się do zbliżeń na miejsca, gdzie kiedyś były dziecięce serduszka, a teraz ziały czarne dziury.

Patrzyłem jak zahipnotyzowany, zdjęcie po zdjęciu, oniemiały, tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy spojrzałem na tę masakrę.

Pokaz slajdów kończyły zdjęcia ponemieckiego cmentarza i kaplicy, pod którą znaleźliśmy upiorny kopczyk. Nie przyglądałem się im zbyt długo, byłem tam niedawno w moim koszmarze. Co prawda we śnie było to na pustyni, w rzeczywistości był to las, lecz cóż – sny rządzą się swoimi prawami.

Dawid wraz ze mną przyglądał się fotografiom. Kątem oka mogłem zaobserwować, jak jego twarz przybiera najdziwniejsze odcienie, gdy przesuwalem przed jego oczami zdjęcia wypatroszonych dzieci. Jego żołądek przetrwał jednak tę próbę, choć na pewno stoczył z nim ciężką walkę o utrzymanie zawartości na miejscu.

- Przydałoby się piwo... - powiedział ochryplym od godzinnego milczenia głosem. - Albo coś o wiele mocniejszego.

- Tak... - zgodziłem się. - Najlepiej w dużej ilości.

Dąbrowski westchnął, zdjął okulary i rozcierał bolące oczy. Ja w tym czasie schowałem akta do teczki, wraz z makabrycznym pokazem slajdów. Zapaliłem papierosa. Przeglądanie zawartości szarej teczki tak mnie pochłonęło, że zapomniałem nawet o nikotynie, czas więc było to nadrobić. Z każdym wypuszczanym z siebie kłębem dymu czułem się nieco lepiej. Głowa przestała boleć.

- Jakież wnioski? - spytałem starego przyjaciela.

- Żadne bardziej ambitne niż te, do których doszliśmy pięć lat temu.

- To tak jak u mnie... Więc dalej obstawiamy jakąś popieprzoną sektę?

- Na to wygląda. Sposób, w jaki zabito te dzieci...

Zamilkliśmy na chwilę. Raport z sekcji zwłok wykazał, że to właśnie wycięcie serca było bezpośrednią przyczyną śmierci każdego z tych dzieci. Wycinano im je żywcem. Nie oznaczało to jednak, że były to jedyne obrażenia – po prostu sińce i otarcia stanowiły jedynie mało ciekawe tło dla głównego wątku.

- Mord wyglądał na rytualny... - podjąłem. - Całe to wycinanie serc, liczba



ofiar, trzynastka... to wszystko układa się idealnie. Gdybyśmy tylko mieli jakikolwiek punkt zaczepienia, cokolwiek, co naprowadziłoby nas chociaż na to, JAKI to kult, żebyśmy chociaż mieli motyw... ale nie mamy nic. Zostaje jeszcze kwestia tej dwójki, której nie znaleźliśmy. Kluczowa kwestia, tak naprawdę, jednak dopóki nie dowiemy się czegoś więcej, nie będziemy w stanie się nią zająć.

Dawid przez moment przyglądał mi się poważnie, jakby się nad czymś zastanawiał. Ponownie zdjął okulary, przetarł je o koszulę, dopił do końca swoją herbatę i niepewnym tonem powiedział:

- Tomasz, powinienes o czymś wiedzieć... nie jesteśmy jeszcze na sto procent pewni, jednak jest spora szansa, że... to dzieje się ponownie.

Zamarłem. Najpierw szalony duch kobiety, a teraz to? Ileż można znieść naraz?

- Mów dalej - powiedziałem poważnie.

- Pierwsze zaginięcie zgłoszono do nas dwa tygodnie temu... Nie widzieliśmy w tym niczego niezwykłego, zaginęło dziecko w wieku sześciu lat, dziewczynka. Nie wróciła z przedszkola. Dzieci bawiły się na podwórzu, a po powrocie do budynku przedszkolanki od razu zauważyły, że jednego z nich brakuje. Rozpoczęliśmy standardową procedurę, jednak nie czuliśmy, żeby ta sprawa była jakaś szczególnie wyjątkowa.

- Jednak zaginęło kolejne dziecko?

- Mhm. Tydzień później. Pięć lat, chłopiec. Nikt inny nie zwrócił na to uwagi, jednak po tym, co wydarzyło się podczas „rzezi”, byłem bardzo wyczulony na tego typu sprawy. Od razu w mojej głowie rozdzwonił się alarm. Dostałem zgodę na przydzielenie do sprawy dodatkowych ludzi. Przełożeni co prawda nie do końca się ze mną zgadzali... aż do wczoraj.

- Trzecie zaginięcie?

Dawid pokiwał głową.

- Do schematu sprzed pięciu lat nie pasuje tylko czas wydarzeń... Nieważne jak na to patrzeć, Boże Narodzenie się nie zbliża.

- Masz rację, ale... zbliżają się inne święta. Ostatnio zebranie ofiar zajęło im dwa miesiące, prawda? Katolickie święto Wniebowzięcia Maryi Panny w sierpniu to chyba wystarczająco bliski punkt... Ale, ale, pomału; macie trzy zaginięcia i jeszcze żaden pieprznęty dziennikarz tego nie zwietrzył?

- Heh, nie - zaśmiał się Dawid. - Mamy tu szczęście w nieszczęściu, można by rzec. Wszystko dzięki temu seryjnemu mordercy-gwałcicielowi. Jakkolwiek źle to brzmi, zawdzięczamy mu brak rozgłosu wokół sprawy zaginięć. Dziennikarze i opinia publiczna są tak rządni krwi tego zwyrodnialca, że nie widzą niczego

więcej, ba, nawet nie szukają. To bardzo dobrze dla nas... Możemy we względny spokój prowadzić to śledztwo, nie czując na karku oddechu pismaków. Przynajmniej przez jakiś czas.

Dochodziła godzina dwudziesta druga. Dawid spojrzał na zegarek i przeprasząco powiedział do mnie, że musi już jechać, bo żona i córka czekają na niego w domu.

- Są już wystarczająco wściekłe, że ściągnęli mnie z urlopu. Nie chcę denerwować ich jeszcze bardziej.

- Spokojnie, przyjacielu, rozumiem - powiedziałem, klepiąc go w ramię. - Rodzina to odpowiedzialność. Dlatego jej jeszcze nie założyłem - zaśmiałem się.

Dawid też odpowiedział uśmiechem.

- Może czas, żeby to zmienić? Wiem, że twój ostatni związek rozpadł się podczas „rzezi niewiniątek”, ale minęło już tyle czasu... Nie sądzisz, że warto się w końcu z kimś związać?

- Nie jestem pewien, czy byłbym w stanie... Pamiętaj, że z moją narzeczoną spędziłem ponad cztery lata, zanim się rozstaliśmy. Poza tym... każdej kolejnej może tak samo nie odpowiadać życie z policjantem, czy jak teraz... z prywatnym detektywem. Zbyt nieregularne godziny pracy, rozumiesz.

- A może byś tak przestał szukać wymówek i zakładać wszystko z góry, co? - skarcił mnie Benny. - No, mniejsza o to. Przyjedź jutro na komendę, wprowadzę cię w sprawę. Myślisz, że dasz radę?

- Jasne, postaram się być koło jedenastej. Rano mam jeszcze coś do załatwienia.

- Niech tak będzie. Wobec tego do zobaczenia jutro.

- Do zobaczenia. Uważaj na siebie.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i Dawid opuścił moje mieszkanie. Zakluczyłem za nim drzwi, po czym podszedłem do okna, próbując poukładać myśli po przebytej rozmowie. Nie wychodziło mi. Zbyt wiele rzeczy się nie zgadzało. Na mapie było zbyt wiele białych plam, by znaleźć drogę.

Nagle zadzwonił telefon.

# ROZDZIAŁ VI

## I

Podczas gdy Radziejowski zabierał się z komisarzem Dąbrowskim za przeglądanie akt, Dorota leżała na łóżku w swoim pokoju w domu ciotki Beaty i czytała książkę. Ta jednak nie bardzo ją ciekawiła, fabuła była nudna i przewidywalna, postaci papierowe i wydumane, a narracja tak drewniana, że Dorota co chwila prychała zniesmaczona, widząc kolejny akapit, który napisałaby lepiej, będąc w szóstej klasie podstawówki.

W jej domu czekał na nią rozpoczęty pierwszy szkic książki. Jej pierwszej książki, nad którą zaczęła pracę po długim okresie niepewności. Wcześniej ograniczała się do krótkich opowiadań, które sporadycznie umieszczała na portalach internetowych bądź publikowała w lokalnej gazecie, jednak dopiero ostatnio doszła do wniosku, że historia nie jest marzeniem jej życia. Jest nim pisanie.

Kiedy pisała, przenosiła się do innego świata, a wszelkie troski i zmartwienia przestawały dla niej istnieć. Pisanie sprawiało jej radość, dawało poczucie wolności, które było nieustannie dławione przez życie w małej miejscowości, z której kiedyś nie widziała ucieczki. Znalazła ją w tworzonych przez siebie miejscach i ludziach. Znalazła swoje miejsce, w którym mogła się schować.

Tym bardziej bulwersowała się, czytając książkę tak niskiej jakości. Czuła, że sama napisałaby to lepiej. „Ba, już piszę lepiej” – myślała. Dawała książce szansę jeszcze przez dziesięć stron, potem odpuściła i rzuciła ją w kąt, po czym zerwała się, by odłożyć ją na półkę; w końcu nie należała do niej, tylko do cioci Beaty. „Swoją drogą” – powiedziała sama do siebie – „muszę porozmawiać z ciotką o jej guście literackim. To się nie godzi”.

Ziewnęła przeciągle i wyciągnęła całe ciało, słysząc trzaskające tu i tam stawy. Uznała, że nadszedł najwyższy czas, żeby zażyć kąpieli. Wyjęła z torby koszulę nocną (różową, a co, z białą pandą na piersiach), kosmetyczkę i ręcznik, po czym zeszła na dół. Ciocia oglądała w telewizji jakiś talk-show, najwyraźniej bez reszty pochłonięta tym, o czym w nim debatowano. Bardzo dobrze, to znaczyło, że nikt

nie będzie się dobijał do drzwi łazienki.

Wchodząc do łazienki, Dorota westchnęła z zachwytem. Ilekroć do niej wchodziła, nie mogła się powstrzymać od niemego uwielbienia dla tego miejsca. Wiele by oddała za taką łazienkę w rodzinnym domu, jednak rodzice nigdy by się na to nie zgodzili – byli zbyt praktycznymi ludźmi na takie zbytki.

W prawym rogu stała dumnie ogromna wanna z jacuzzi, do której spokojnie zmieściłyby się cztery osoby, gdyby ciotka poczuła kiedyś potrzebę kąpieli w towarzystwie. Obok wanny, we wnęce, znajdował się prysznic. Dalej stała pralka i kilka szafek, a po przeciwnej stronie prawdziwe marzenie każdej kobiety – długi, idealnie oświetlony blat z dwiema umywalkami i ogromnym lustrem nad nimi. Oprócz tego, na ścianie po lewej stronie blatu, znajdowało się lustro wielkości człowieka, w którym można było spojrzeć na siebie od stóp do głów.

Dorota zdjęła z siebie ubrania i stanęła przed lustrem. Idealnie oświetlona, mogła przyjrzeć się w całości swojemu nagiemu ciału. Jak zwykle widok w lustrze nie spotkał się z jej aprobatą. Dotknęła swoich piersi (na widok których zdrowa i heteroseksualna część męskiej populacji nie byłaby w stanie powstrzymać erekcji), które zawsze uważała za stanowczo zbyt małe i o nieodpowiednim kształcie. Mimo to lubiła je czasem odrobinę odsłonić, zakładając koszulki z nieco głębszym dekoltem. Przesunęła dłonią po brzuchu, w jej oczach zbyt szczupłym – powyżej zawsze mogła dostrzec zarys żeber, co doprowadzało ją do szału. Obróciła się tyłem do lustra, spoglądając przez ramię na swoje nogi – w jej mniemaniu oczywiście krzywe, nieatrakcyjne i za krótkie (choć niejednokrotnie mężczyźni na ich widok dostawali ślinotoku, bądź byli bliscy skręcenia sobie karku, oglądając się za ich właścicielką).

Finalnym elementem tej ogólnej dezaprobaty dla swojego ciała był oczywiście tyłek, po którym klepnęła się z cichym „muszę w końcu schudnąć” na ustach. I to nic, że wielokrotnie widziała, jak koledzy w szkole gapią się bezczelnie na jej pupę, nie próbując nawet kryć się ze swoim zainteresowaniem tą konkretną częścią jej ciała. Nie podobał się jej i już. Żaden logiczny argument nie docierał do tej kobiecej części natury, która była odpowiedzialna za kompleksy.

Westchnęła cicho. Oglądanie siebie samej w lustrze było złym pomysłem, zawsze wpadała potem w zły nastrój. Napuściła wody do wanny. Czekając, aż ogromny basen napełni się wodą, stanęła przed umywalką i zmyła z twarzy makijaż. Oczywiście twarzy też się oberwało – tu za duży nos, tam za krótkie rzęsy, no i oczywiście piegi, których niegdyś szczerze i z serca nienawidziła, a dziś potrafiła na nie patrzeć tylko z bierną tolerancją. Lubiała za to swoje usta. I oczy.

Tak, z całego tego galimatiasu kompleksów te dwie części ciała jako jedyne jawiły się jej jako pozytywne. Zwłaszcza usta. Nawet nieumalowane miały w sobie jakąś ulotną zmysłowość, widoczną zwłaszcza wtedy, gdy się uśmiechała. Dbała o nie, regularnie nawilżała je pomadką, nie dając im nawet na moment utracić swojego czaru.

Kiedy wanna była już napełniona wystarczająco dla jednej osoby, Dorota ostrożnie weszła do środka i zanurzyła się w gorącej toni. Momentalnie poczuła ulgę. Stres ostatnich dni opadał, wypierany przez uczucie błogości spowodowane gorącą wodą i aromatycznym płynem do kąpieli.

Umyła się, delikatnie oczyszczając swoje ciało gąbką, po czym ułożyła się wygodnie, włączyła jacuzzi i leżała, rozmyślając o całym dniu.

Tomasz był niezwykłym człowiekiem... Z opowieści, które usłyszała od obcych ludzi, wynikało, że był szanowanym i niezwykle skutecznym detektywem. Choć miał nieco szorstki charakter, dla niej od pierwszego spotkania był uprzejmy. A dziś... dziś stanął w jej obronie, nie bacząc na to, że stało przed nim trzech chłopaków. Po prostu ją obronił. I ten jego wzrok... Wydawało się jej, że ją lubi. Że pomimo jej wyglądu, którego nie potrafiła uznać za atrakcyjny, Tomasz postrzegał ją inaczej. Może... nie - odrzuciła od siebie myśl. Cichy głos w jej głowie był jednak nieubłagany. Ten człowiek miał w sobie pewien czar, a ona zdawała się mu ulegać.

Przez całe jej ciało przeszedł rozkoszny dreszcz, który ją zaskoczył, lecz sprawił jej niewypowiedzianą przyjemność. Czowała, jak bąbelki wody w jacuzzi pieścą ją delikatnie. Poddała się przyjemności, jeszcze delikatniej od wodnych bąbelków przesuwając opuszkami palców po całym ciele. Dotknęła swoich piersi i po raz kolejny zadrżała. W myślach widziała Tomasza patrzącego na nią tym swoim płomiennym spojrzeniem, jakby chciał ją przejrzeć na wylot. Może jednak ją lubił... - myślała, wodząc dłonią po całym ciele, piersiach, brzuchu, nogach i pomiędzy nimi...

Nagle zgasło światło.

Dorota zaskoczona aż poderwała się i usiadła wyprostowana, rozglądając się niespokojnie po pogrążonej w ciemności łazience. Nie była w stanie niczego dostrzec, jednak gdzieś w kącie czaszki coś jej podpowiadało, że ktoś jeszcze jest w łazience i wpatruje się w nią w tej nieprzeniknionej ciemności.

Światło na moment rozbłysło, by od razu zgasnąć, jednak ten krótki rozbłysk wystarczył.

Dorota krzyknęła. W kącie pomieszczenia stała upiorna postać. Długie, czarne

włosy opadały jej na twarz i choć widziała ją tylko przez chwilę, zdążyła zauważyć rozkład na jej twarzy i wyciągniętych wzdłuż ciała dłoniach; usta wykrzywione były w paskudnym uśmiechu.

W łazience znów zrobiło się jasno. Kobieta zniknęła.

Dorota siedziała skurczona, wciśnięta w najdalszy róg wanny, oddychając spazmatycznie, czując jak jej serce próbuje wyrwać się z klatki piersiowej. Po policzkach płynęły jej łzy.

Pospiesznie wytarła całe ciało, założyła koszulę nocną i wybiegła z łazienki do swojego pokoju.

- Dorotko, wszystko dobrze? - zawołała za nią ciotka, jednak Dorota tego nie słyszała.

Trzęsąc się ze strachu, rozglądała się gorączkowo po pokoju w poszukiwaniu telefonu. Znalazła go leżącego na szafce przy łóżku. Rzuciła się po niego, usiadła na skraju łóżka, po czym wybrała numer i zadzwoniła, jednocześnie nerwowo wodząc wzrokiem po pokoju. Jeden sygnał. Drugi sygnał. Trzeci sygnał.

- Tak? - rozbrzmiał męski głos po drugiej stronie. - Dorota, jesteś tam?

- Tomasz, ona tu była - powiedziała Dorota, nie mogąc powstrzymać łez strachu płynących jej po twarzy. - Ona tu była, tu, w domu mojej cioci. Akurat brałam kąpiel i ona... ona tam stała... Tomasz, tak bardzo się boję, tak bardzo się...

- Uspokój się - przerwał jej brutalnie.

- Ale... ona tu była, nie rozumiesz? Co jeśli znów wróci?! Co ja wtedy zrobię?!

- Rozumiem. Ale nie musisz się martwić. Będę za dziesięć minut.

W słuchawce zaległa cisza.

## II

Dorota siedziała w rogu łóżka. Zapalone było nie tylko główne światło, ale i lampka nocna. Na wypadek, gdyby znów zabrakło prądu, w dłoni trzymała latarkę, którą wyciągnęła z najniższej szuflady szafki przy łóżku. W telefonie miała przygotowany przycisk mający włączyć diodę LED, gdyby sytuacja tego wymagała.

Bała się. Jej wzrok nerwowo wodził po pokoju, obserwując cienie tańczące na przeciwległej ścianie. Po policzkach powoli, bez przekonania, jakby stłumione, wciąż ciekły jej łzy, których nie potrafiła powstrzymać. Gdyby obejrzał ją teraz

psychiatra, pewnie stwierdziłby załamanie nerwowe pomieszane z symptomami kompleksu sierocego, widząc, jak w jej oczach czai się szaleństwo i cała się trzęsie, jednocześnie obejmując dłońmi ukryte pod koszulą nocną kolana i kołysząc się rytmicznie, niczym bezwolna pacynka.

Ona tam była... - myślała. Ona tam była... Nie mogła wygnać sprzed oczu tego obrazu, obrazu tej kobiety, obrazu jej rozkładającego się ciała. Nie mogła wyprzeć zapachu, który uderzył w jej nozdrza, gdy tylko spojrzała na upiора stojącego w rogu łazienki, zapachu przebijającego się nawet przez aromatyczną woń płynu do kąpieli. Po prostu nie mogła. W tym momencie czuła, jakby to wrażenie miało z nią zostać już na zawsze. Równie dobrze zjawa mogła wręczyć jej bilet do szpitala psychiatrycznego. W jedną stronę. „Zapraszamy”, głosiłby napis na bilecie. „U nas zawsze dobra zabawa”.

Zadzwoił telefon.

Dorota zadrżała, na moment zastygła w bezruchu, nie do końca wiedząc, co się dzieje. Rozległ się kolejny i kolejny sygnał, a ona tylko wpatrywała się w rozjaśniony ekran. Dopiero po siedmiu czy dziewięciu sygnałach zorientowała się, że to dzwoni Tomasz. Nacisnęła zieloną słuchawkę i podniosła telefon do ucha.

- Ha... Halo...

- Dzięki Bogu, już się bałem, że coś ci się stało, tak długo nie podnosiłaś telefonu - rozległ się zaniepokojony głos. - Dorota, jesteś tam?

- Tak... tak. Przepraszam... To chyba mnie przerosło - powiedziała, cichutko łkając w telefon.

- Jestem w stanie to zrozumieć, ale teraz mnie posłuchaj. Jeśli możesz, ubierz się i wyjdź na róg ulicy, dobrze? Wiem, jest późno, ale spróbuj powiedzieć cioci, że idziesz do szpitala czy coś. Że zadzwoniła twoja mama i prosiła, żebyś przyszła. Na pewno lepiej to przyjmie, niż o dwanaście lat starszego od ciebie mężczyznę pojawiającego się pod jej drzwiami o takiej godzinie. Możesz to zrobić?

- Będiesz tam na mnie czekał? - zapytała wciąż drżącym głosem.

- Już czekam. Miałem zamiar wpaść prosto do domu twojej ciotki, jednak uznałem, że lepiej, żebyś to ty wyszła do mnie.

- Dobrze pomyślałeś... - powiedziała Dorota, pomału odzyskując sprawność umysłu. - Ciotka nie tylko nie byłaby zadowolona; prawdopodobnie zadzwoniłaby na policję zaraz po zatrzaśnięciu ci drzwi przed nosem. Daj mi pięć minut, dobrze? Tylko się ubiorę.

- Dobrze, będę czekał.

- Postaram się zejść jak najszybciej.

Rozłączyła się i pospiesznie wyciągnęła z szafki ubrania, kompletnie ignorując kobiece „nie mam się w co ubrać”. Nie było czasu na wymyślanie. Ubrała zwykłe, proste jeansy i obcisłą koszulkę z dekoltem (wydawało jej się to najzwyklejszym możliwym ubraniem, lecz nie zdawała sobie sprawy, jak atrakcyjnie w nim wyglądała), narzuciła na siebie długi, zapinany sweter i zbiegła na dół.

- Dorotko, wychodzisz? - powiedziała ciocia, która akurat przechodziła przez korytarz, idąc z salonu do kuchni.

- Tak, ciociu. Widzisz, mama dzwoniła. Prosiła, żebym przyjechała do szpitala, bo ona źle się poczuła, a nie chce zostawiać Marka samego teraz, kiedy może się w każdej chwili obudzić.

- Rozumiem... poczekaj, zawiozę cię - powiedziała, ruszając w kierunku kuchni.

- Nie, nie trzeba, ciociu - powiedziała Dorota pospiesznie. - Mama już zamówiła mi taksówkę, kierowca pewnie już gdzieś czeka.

Wstrzymała oddech w oczekiwaniu na reakcję cioci (zawsze była beznadziejnym kłamcą).

- No dobrze, skoro tak, to zostanę w domu. Tylko zadzwoń do mnie, jak już tam dojedziesz, dobrze? Nie ufam taksówkarzom.

- Dobrze, ciociu, jak tylko mama pójdzie do domu.

Ciotka nie miała chyba więcej próśb i pytań, więc Dorota założyła buty, otworzyła drzwi i wyszła w ciemność rozpraszaną światłem latarni dobiegającym z ulicy oraz lampami po obu stronach wejścia. W przerażającym przeblysku, trwającym nie więcej niż bicie serca, wydawało się jej, że upiorna kobieta stoi tam, między krzewami, blokując jej drogę ucieczki od domu do furtki, jednak po kilkukrotnym zamruganiu oczami dostrzegła, że to jedynie jeden z tych fantazyjnie przyciętych przez ciotkę krzewów.

Ruszyła szybkim krokiem do furtki, z całych sił powstrzymując się, żeby nie zacząć biec. Rozejrzała się na lewo i prawo. Na lewym skraju Dębowej stała czarna Kia Sportage, ledwo widoczna w panującym pomimo latarni ulicznych mroku, a oparty o nią stał Tomasz, z twarzą spowitą cieniem. Szła szybko w jego stronę, co rusz obracając się za siebie, jakby bała się zobaczyć zjawę goniącą ją pustym chodnikiem. Jej kroki zdawały się tak głośne, że była przerażona samym ich brzmieniem. Minęło dziesięć sekund, dwadzieścia, trzydzieści.

Tomasz uniósł rękę w geście powitania i już otwierał usta, by coś powiedzieć, lecz nim zdążył wykrztusić z siebie choć słowo, Dorota rzuciła się w jego stronę



i przywarła do niego, wtulając się tak mocno, że aż zabolął go kręgosłup.

Przez dwie sekundy stał kompletnie oszołomiony, nie spodziewając się takiego rozwoju wypadków, szybko jednak się otrząsnął i odwzajemnił uścisk, obejmując ją ramionami, delikatnie, jednak dostatecznie mocno, by przekazać przez niego spokój. Czuł drżenie jej ciała, słyszał jej urywany oddech; przywarła do niego tak mocno, że niemal czuł bicie jej serca przenikające przez okrywający ją sweter. Skłamałby, gdyby powiedział, że w tej chwili jego własne serce nie zabiło zdecydowanie mocniej.

Dorota odsunęła się, zawstydzona własnym zachowaniem, jednak Tomasz nie dał jej szans na podobne odczucia; widząc jej wilgotne oczy, w których odbijało się światło latarni, ukazując ich głębię, przytulił ją jeszcze raz, bardzo mocno, starając się opanować drżenie jej ciała.

- Ciii... już dobrze, Dorota. Już dobrze... Możesz się uspokoić, już wszystko dobrze - powtarzał w kółko, szepcząc jej do ucha.

To zabawne, jak wiele potrafią zdziałać w takiej sytuacji tak proste słowa.

Dorota dalej drżała, nie wiedział, czy ze strachu, czy z zimna, powiedział więc do niej:

- Chodź, wsiądźmy do samochodu, cała drżysz.

Dorota podniosła na niego wzrok i pokiwała w milczeniu głową. Po jej twarzy znów płynęły łzy. „Na szczęście nie mam na sobie żadnego makijażu” - przemknęło jej przez myśl, po czym usiadła na miejscu pasażera. Tomasz włączył ogrzewanie i po chwili drżenie jej ciała, zarówno to spowodowane zimnem, jak i to spowodowane strachem - ustały. Rozpięła sweter, czując, jak po całym ciele rozlewa się jej rozkoszne ciepło. Czuła spokój. Nie wiedziała, na ile to kwestia ogrzewania, a na ile siedzącego obok niej mężczyzny; ważne było to, że niepokój opadł.

- Przepraszam, że się tak rozkleiłam... - powiedziała cicho, ocierając wciąż wilgotną od łez twarz. - Nie wiem, co się ze mną stało...

- Przestraszyłaś się - powiedział Tomasz uspokajająco. - Byłbym zdziwiony, gdyby nic się z tobą NIE stało, po takim spotkaniu. A jeśli przepraszasz mnie za to, że chciałaś mi połamać zębra, to przeprosiny przyjęte - dodał, puszczając do niej oko.

Dorota zaśmiała się niepewnie, po czym spojrzała na niego raz jeszcze i wypowiedziała pytanie, które rodziło się w jej głowie od chwili, gdy zamknęła za sobą drzwi domu ciotki.

- Co teraz?...

- Mogę cię zawieźć do szpitala, jeśli chcesz... Zostaniesz tam z mamą.

- Nie, nie chcę, a co jeśli ona znów przyjdzie? - powiedziała z przestraszeniem

Dorota.

- Mogę cię też na razie zabrać do siebie... Spokojnie, nie jestem szukającym przygód starym pedofilem ani psychopatycznym seryjnym mordercą, który ostatnio tak sobie upodobał gwałcenie i zabijanie młodych, pięknych kobiet - powiedział szybko, widząc jej spojrzenie.

- Chyba źle zrozumiałeś mój wzrok, Tomasz - powiedziała Dorota, zaśmiewając się z lekka. - Nawet przez chwilę nie pomyślałam w ten sposób, ale... nie mogę tak po prostu zwałać ci się na głowę. Nie mogę.

- Możesz. I nic nie wiem o zwałaniu się na głowę.

- Nie, Tomasz... nie możesz tego zrobić tylko dlatego, że jakaś rozhisteryzowana pannica zadzwoniła do ciebie w środku nocy, bo coś jej się wydawało. W dodatku pannica, którą znasz zaledwie od dwóch dni...

Tylko dwa dni, co? - pomyślał Tomasz. - A czuję, jakbym znał cię od dawna...

- Gdyby tej „rozhisteryzowanej pannicy” naprawdę się coś tylko uroiło, nie jechałbym przez całe miasto jak do nagłego porodu - powiedział. Poza tym, jeśli „rozhisteryzowana pannica” nie ma mocniejszych argumentów, to niech pozwoli, że zabiorę ją chociaż na jakiś czas we względnie bezpieczne miejsce. Mojego lokum jeszcze żaden duch nie odwiedził.

Powinien był w tej chwili odpukać. „Jeszcze”.

Po trwającej dwa zdania negocjacji Dorota się poddała i pozwoliła Tomaszowi zawieźć się na Sosnową. Kiedy tam przyjechali, na zegarku było już po dwudziestej trzeciej. Tomasz zaparkował Kię i wysiedli. Dorota zapytała lekko sceptycznie:

- Jak bardzo wścibskich masz sąsiadów?

Tomasz zaśmiał się w głos, słysząc to pytanie i doskonale rozumiejąc, co je spowodowało.

- Nieszczerólnie - odparł znaczącym tonem. - Jednak pani spod czwórki na pewno by się ucieszyła, widząc, że w końcu sprowadzam do domu jakąś piękną dziewczynę - powiedział, puszczając do niej oko, czego nie mogła zobaczyć w panującej dokoła ciemności.

Tomasz nie mógł za to dostrzec rumieńców, które nieświadomie wywołał na jej twarzy swoim ostatnim zdaniem. Ruszyli w stronę światelka nad drzwiami do kamienicy. Tomasz wyciągnął klucze, otworzył drzwi i poprowadził swojego gościa do mieszkania na drugim piętrze, z numerem trzy. Otworzył drzwi, zapalił światło

i gestem zaprosił Dorotę do środka.

- Proszę wybaczyć bałagan, o pani, nie spodziewałem się tak prominentnego gościa o tak późnej porze - powiedział, kłaniając się nonszalancko.

Dorota parsknęła śmiechem, widząc tę parodię dworskiej kurtuazji, i weszła za nim do mieszkania. Od wejścia powitał ją zupełnie inny widok niż ten, którego spodziewała się po męskiej jaskini kawalerstwa. Mieszkanie było całkiem gustownie urządzone, skromne, dwupokojowe, a jednak widać w nim było jakby kobiecy dotyk. Może jednak nie było kawalerskie? - pomyślała. Tomasz pozapalał wszystkie światła w domu, jakby próbując rozproszyć nimi lęki Doroty, i gestem zaprosił ją, żeby weszła do dużego pokoju.

Na podłodze rozciągnięty był prosty, puchaty dywan, na którego obrzeżach stał z jednej strony telewizor na niskiej półce, z drugiej zaś kanapa i mały stoliczek, na którym walały się różne papiery. Tomasz szybko zebrał je i położył na stercie leżącej w rogu stołu stojącego przy aneksie kuchennym.

- Masz... bardzo ładne mieszkanie - powiedziała Dorota, nie bardzo wiedząc, jak ubrać swoje odczucia w słowa inaczej niż w ten sposób.

- Dziękuję - zaśmiał się Tomasz. - Zdecydowanie brakuje w nim kobiecej ręki, cieszę się więc, że cię nie przestraszyło. Bardzo się tego obawiałem, wioząc cię tutaj - dodał.

- Spokojnie, wygląda naprawdę dobrze - uśmiechnęła się do niego nieco nerwowo.

Tomasz odwzajemnił uśmiech, po czym podszedł do czajnika i nastawił wodę na herbatę. Dorota usiadła na kanapie przed telewizorem i dalej z ciekawością omiatała wzrokiem pokój. Postawił na stoliku przed nią dwa parujące kubki herbaty, po czym przyciągnął sobie pufę i usiadł naprzeciw niej. Pilotem włączył wieżę hi-fi, pozwalając, by ciszę rozproszyły delikatne dźwięki muzyki nadawanej o tej porze, nieprzerywane katastroficznymi bądź bzdurnymi informacjami ze świata.

- Dlaczego nie masz żadnych kwiatów? - zapytała ze zdziwieniem Dorota.

- Widzę, że ciotka zaczęła przelewać na ciebie swoją obsesję?

- Ha, ha, nie. Po prostu aż się prosi chociaż o jakiegoś kaktusa.

- Kaktus może nie byłby tak złym pomysłem - zaśmiał się detektyw. - To jedyna roślina, która ma przy mnie jakiegokolwiek szanse na przeżycie, choć również nie wróżyłbym mu świetlanej przyszłości w tym mieszkaniu.

- W takim razie zapraszam do ciotki na korepetycje, na pewno cię nauczy, jak się obchodzić z kwiatami - powiedziała Dorota z przekąsem.

- Tu i święty boże nie pomoże - odparł Tomasz, dalej się śmiejąc. - Ja i kwiaty... Widzisz, po prostu nie jesteśmy dla siebie stworzeni.

Teraz to Dorota wybuchnęła śmiechem (hi, hi, hi, hi), na moment zapominając o niespodziewanych odwiedzinach podczas kąpieli. Objęła gorący kubek obiema rękami otulonymi w rękawy swetra, pottrzymała go przez chwilę, po czym podniosła do ust i upiła łyk. Gorący napój wypalał z jej trzewi resztki lęku, z których jeszcze nie zdążyła się otrząsnąć. Tomasz bacznie się jej przyglądał, widząc, jak na jej twarzy wracają normalne, ludzkie odcienie.

- Wyglądam okropnie, wiem, nie musisz mówić - powiedziała Dorota, dostrzegając uważne spojrzenie Tomasza. - W tym wszystkim nie zdążyłam się umalować, więc proszę, nie patrz na mnie zbyt często.

- Ehh, dlaczego kobiety uważają, że o ich urodzie stanowi ilość tapety na twarzy? - zapytał z dezaprobatą Tomasz.

- W moim przypadku to jedyne, co pozwala ludziom na mnie patrzeć, więc pomagam tym sobie jak mogę.

- Wiesz... chyba musisz popracować nad samooceną.

- Ja? Dlaczego? Mam dobry wzrok. I dobre lustro. Nie musisz być przesadnie uprzejmy.

Tomasz spojrzał na nią raz jeszcze, omiatając wzrokiem śliczną twarz. Rozsierdziła go gadaniem takich rzeczy. Nie wiedział, czy mówiła to ze skromności, czy z faktycznego braku wiary w swoją urodę. Odezwał się więc, starannie dobierając słowa:

- Wiem, że nie o tym powinniśmy teraz rozmawiać, ale pozwól, że zrobię ci krótki wykład, dobrze?

Spojrzała na niego pytającym wzrokiem, jednak napotykając silne spojrzenie jego oczu, tylko kiwnęła głową.

- Bo widzisz - podjął - piękno jest jedną z najbardziej ulotnych, subiektywnych rzeczy na tej ziemi. Weźmy na przykład takie malarstwo: idąc na wystawę obrazów, możesz być więcej niż pewna, że znajdzie się sporo osób, którym wystawa nie przypadnie do gustu. Gwarantuję ci to. A jednak większość spojrzy na nią przychylnym okiem, nawet jeśli nie wzbudza w nich przesadnego zachwyty; po prostu przejdzie obok, nie komentując. Jednak w tej większości z pewnością znajdzie się grupka ludzi, która oniemiaje na widok dzieła malarza. Nawet jeśli będzie to tylko jeden człowiek - piękno pozostaje pięknem, nawet jeśli jest tak odebrane tylko przez jedną osobę.

- Co masz na...

- Przemyślisz to sobie później - urwał Tomasz. - Teraz chciałbym się dowiedzieć o tym, co w zasadzie się tam stało?

Dorota momentalnie zeszywniała, czując wypływającą na powierzchnię świadomości projekcję przerażających wspomnień, zebrała się jednak w sobie i opowiedziała Tomaszowi o tym, co się wydarzyło (oczywiście pomijając szczegóły dotyczące kąpieli).

Detektyw w spokoju wysłuchał krótkiej w zasadzie opowieści, po czym wyciągnął papierosa. Jego zapalniczka była w pół drogi do ust, gdy nagle zatrzymała się, a Tomasz zapytał:

- Nie przeszkadza ci, że palę? W biurze to co innego, ale tutaj, w domu...

- Nie, spokojnie... przywykłam do dymu papierosowego, w domu oboje rodzice palą. Nie masz się czym martwić - dodała z uśmiechem.

Słyszając te słowa przyzwolenia, zapalił cristala i zaciągnął się nim głęboko, wypuszczając potem długi kłęb dymu. Na moment znalazł się w swoim własnym miejscu do rozmyślań, małym pokoiku na granicy świadomości i podświadomości, w którym mógł się zastanowić nad kolejnym krokiem. Nikotyna zdawała się być kluczem otwierającym drzwi do tego pomieszczenia. Pewnie, można było tam wejść i bez tego, ale po co wywazać drzwi łomem?

Zastanawiał się, co powinien zrobić dalej, a Dorota najwyraźniej to rozumiała, bowiem nie przerywała mu, widząc jego nieobecny wzrok.

Siedział tak dobrych pięć minut. Potem jakby się ocknął, szybkim ruchem przekręcił kark w lewo i prawo. Do uszu Doroty dobiegł donośny trzask, a Tomasz rozmasowywał bolące miejsce, mrużąc pod nosem coś na kształt „królestwo za masaż...”. Nie była pewna.

- Co teraz? - ponownie tego wieczoru zadała to pytanie.

- Jeśli nie masz nic przeciwko, możesz zostać tu na noc... - zaczął powoli. - O resztę będziemy martwić się jutro.

- Nie, nie mam nic przeciwko temu... tylko rano będziesz musiał mnie zawieźć do ciotki, inaczej w ciągu dnia będę wyglądała jak prawdziwe straszdyło.

Nie skomentował, spojrzał tylko na nią wymownie, dając do zrozumienia, co sądzi o „straszdydle”.

- Zaraz znajdę drugą pościel, poczekaj...

- Nie kłopotz się, wystarczy mi mój sweter, zwinę się w kłębek tu, na kanapie...

- No chyba żartujesz - powiedział, podchodząc do szafki i wyciągając z niej pościel. - Poczekaj moment, położysz się w małym pokoju, tylko zmienię poś...

- Nie, Tomasz... nie mogłabym...

- Mogłabyś - powiedział, wyciągając z szafki zwykły, czarny t-shirt i rzucając w jej stronę. - Proszę, możesz w tym spać. - Obiecuję, nie będę cię podglądał - dodał pośpiesznie.

Dorota nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż Tomasz już poszedł do drugiego pokoju, skąd dobiegły ją odgłosy krzątania.

- Proszę, możesz się już położyć - powiedział, wychodząc po chwili. - Będę przez cały czas tutaj, w pokoju, więc gdyby tylko coś się działo, zawołaj. Ale nie gaś światła, dobrze?

- Nie musisz mnie o to prosić, ale Tomasz...

- Co znowu?

- Nie... nic. Dziękuję.

- Połóż się spać, Dorota. Wyglądasz na wyczerpaną - powiedział, obdarzając ją nikłym, ale ciepłym uśmiechem.

Istotnie, Dorota czuła się wyczerpana jak chyba nigdy w życiu. Może maratończyk świeżo po zakończeniu biegu mógłby z nią podyskutować o jej zmęczeniu, ale z pewnością nikt inny.

- Łazienka jest po lewej stronie - powiedział Tomasz, uprzedzając pytanie Doroty.

Ta tylko podziękowała mu wdzięcznym spojrzeniem, wyraźnie nie mając już siły na dalszą rozmowę. Tomasz usiadł na kanapie i włączył telewizor na jakiś kanał nadający program o drugiej wojnie światowej. Wyciągnął się, roztarł bolące, zmęczone oczy i odpalił kolejnego papierosa.

Dorota zaś wyszła z łazienki i weszła do małego pokoju, w którym wciąż paliło się światło. Nie miała najmniejszego zamiaru go gasić. Przymknęła za sobą drzwi, po czym zaczęła się rozbierać. Gdy została już w samych majtkach, narzuciła na siebie koszulkę otrzymaną od Tomasza, po czym złożyła swoje ubrania na krześle przy biurku i już wsuwała się pod koc, gdy przypomniała sobie o czymś ważnym.

- Nie życzyłam ci dobrej nocy - powiedziała, stając w progu dużego pokoju. - Także... dobranoc - i uśmiechnęła się na tyle, na ile pozwalało jej zmęczenie.

Tomasz drgnął na dźwięk jej głosu, obrócił się w jej stronę i o mało nie wypuścił papierosa z ust na widok młodej dziewczyny ubranej tylko w jego koszulkę. Zanim zdążył zapanować nad instynktem, jego wzrok zdążył trzy razy omieść jej nagie nogi i niewielkie, choć wyraźnie rysujące się pod czernią koszulki piersi (otrząśnij się człowieku, otrząśnij - skarcił się w myślach - obiecałeś nie podglądać), tuż nad którymi opadały blond włosy. Dorota na szczęście była zbyt

zmęczona, żeby dostrzec jego zmieszanie, powiedział więc tylko:

- Śpij dobrze. Obudzę cię rano i zawiozę do ciotki, a potem pojedziemy do Dąbrowskiego, na komisariat.

- Dobrze - odparła. - Dobranoc. I... dziękuję.

- Nie masz za co, Dorota. Postaraj się wyspać.

Dorota wróciła do małego pokoju i wsunęła się pod obleczoną w świeżą pościel kołdrę. Przez długą chwilę nie mogła zasnąć. Z drugiego pokoju docierał szum gotującej się wody, przez który przebijały się odgłosy z telewizora. Przewróciła się na drugi bok. Przy łóżku stała lampa, zapaliła więc ją, po czym wstała, by zgasić duże światło. Mimo całego strachu... nie pozwalało jej zasnąć.

Leżała, wpatrując się w sufit. Próbowwała odegnać od siebie natarczywie powracający obraz rozkładającej się, czarnowłosej kobiety. W głębi serca czuła się też głupio, że tak narzuciła się Tomaszowi... Spotkali się raptem dwa dni temu, a ona już leżała w jego łóżku (nie ma co, mała, szybka jesteś - słyszała cichy głos w swojej głowie). Otrząsnęła się szybko z tych myśli. Czuła się głupio, ale bardzo się bała, a tu, w Mieście, tylko do niego mogła pójść... a on zdawał się to rozumieć.

Myślała o tym, co powiedział na temat piękna. Nie do końca zrozumiała, co chciał jej przez to przekazać, a może raczej to wybitnie niska samoocena nie pozwalała procesom myślowym właściwie przetworzyć jego słów. Po dłuższej chwili jednak dotarło do niej przesłanie. Tak jej się przynajmniej zdawało. Wtuliła się w poduszkę, uśmiechając się do swoich myśli, i tak zasnęła. Nie miała żadnych snów.

Tomasz w tym czasie nastawił wodę na kawę i postanowił zjeść późną kolację. Słyszał, jak w pokoju obok Dorota przewraca się w łóżku, nie mogąc zasnąć. Słyszał, jak wstała i zgasiła duże światło, zostawiając zapaloną lampkę; najwyraźniej zmęczenie przewyciężyło lęk. W końcu odgłosy przewracania ustały i gdy podszedł na skraj drzwi, słyszał tylko spokojny, jednostajny oddech.

Uspokojony usiadł przed telewizorem i zjadł kanapki, popijając je czarną kawą. Wiedział, że będzie musiał czuwać całą noc, ale nie przerażało go to. Jako detektyw, a wcześniej policjant z dochodzeniówki, wielokrotnie zmuszony był czuwać długie dni i noce w zimnym wnętrzu samochodu, za jedyne towarzystwo mając termos z kawą i parę z własnego oddechu. Tu, we własnym domu, miał tę przewagę, że nie musiał się martwić o brak zajęcia.

Siedział więc, oglądając kolejne programy w telewizji, nie myśląc w zasadzie o niczym, jednak nie pozwalając swoim zmysłom na choćby moment nieuwagi.

Regularnie zaglądał do pokoju, w którym spała Dorota, upewniając się, że wszystko w porządku.

Godzina była coraz dojrzała. Nigdy nie był przesądny ani nie wierzył w „godziny duchów”, jednak poczuł dreszcz niepokoju, gdy wiszący na ścianie zegar wybił trzecią nad ranem, zastąpiony falą ulgi, gdy długa wskazówka ruszyła dalej, a najwyraźniej żaden duch nie miał zamiaru wpaść w odwiedzin.

Dopadało go zmęczenie, jednak eliminował je kolejnymi kubkami kawy i porcjami nikotyny. To spacerował po pokoju, to siadał na kanapie, wbijając przekrwione oczy w ekran, na którym nie działo się nic interesującego. O czwartej nad ranem nie lecą już nawet podrzędne filmy pornograficzne, jedynie telezakupy i programy o wróżeniu z tarota trzymają się dobrze. Tym trudniej było mu utrzymać powieki otwarte. Starał się z tym walczyć, podchodząc do okna i wpuszczając do środka odrobinę świeżego powietrza, jednak na niewiele się to zdawało. W końcu usiadł na kanapie, oparł się, uniósł głowę do góry i zaczął powoli odpływać.

Był nadal w swoim pokoju, jednak coś się nie zgadzało. Od kiedy te ściany są takie ciemne? – myślał, patrząc nieprzytomnie na sufit. Farba spłwiała i odpadła, zostawiając po sobie jedynie znajome odcienie szarości. Znajome, ale nie z tego miejsca. Wyprostował się i rozejrzał po pokoju. Meble, obrazy, zegar... wszystko na miejscu, wszystko takie samo jak przed chwilą, a jednak... wydawało mu się, jakby każdy z przedmiotów na jego oczach postarzał się o pięćdziesiąt lat. Spojrzał na dywan pod swoimi nogami – spłwiała i wydawał z siebie woń stęchlizny, którą przesiąkało zresztą całe mieszkanie. Ściankę aneksu kuchennego pokrywała gruba warstwa pajęczyn, a stojąca przed nim na stole szklanka i popielniczka pokryły się warstwą kurzu i pleśni.

Telewizor wciąż był włączony, jednak na ekranie było tylko śnieżenie, któremu akompaniował adekwatny odgłos dobiegający z głośników. Coś poruszyło się w za jego plecami. Obejrzał się szybko przez ramię, aż coś strzeliło mu w szyi. Dorota szła ku niemu, powoli, jakby krocząc we mgle. Nic nie mówiła, on też nie był w stanie wykrztusić ani jednego słowa. Podeszła do niego i usiadła na nim okrakiem, przyciskając swoje szczupłe, jędrne ciało do niego, po czym pocałowała go gorąco w usta, pokazując mu językiem wszystkie sztuczki, jakie może znać dwudziestoletnia dziewczyna. Czuł własną erekcję opierającą się o jej miękkie podbrzusze. Czuł też jej piersi napierające na jego klatkę piersiową. Nie czuł bicia serca.

Odsunął ją od siebie gwałtownie, lecz już nie trzymał w ramionach Doroty.



Czarnowłosy trup oblizał lubieżnie wargi i upiornie zapytał: „*Jak ci się podobało, chłopczyku? Lubisz dobre lizanko, prawda?*”, po czym zasyczał z uciechy.

Tomasz patrzył sparaliżowany na tę twarz, na te wargi, sine jak ciało topielca, na puste oczodoły, z których spływał jakiś obrzydliwy płyn, jak maź, która eksploduje z gąsienicy, gdy ją nadepnąć. Odarta ze skóry ręka przesunęła się po jego brzuchu w kierunku spodni. „*Co za niegrzeczny chłopczyk*”, powiedziało widmo, kładąc rękę w najczulszym miejscu detektywa.

Tomasz zerwał się z kanapy, zrzucając potwora na podłogę. Ten dźwignął się na nogi, gubiąc po drodze kształt kończyn, które uderzyły o dywan. Jego skóra zdawała się jakby topić. On cały zdawał się topnieć w oczach, a po jego egzystencji pozostawał tylko ten makabryczny wosk. „*Co się stało, chłopczyku, nie masz ochoty na odrobinę pieszczot?*”, powiedziała czarnowłosa kobieta chrapliwie, tracąc wszelkie kobiece kształty. Wyciągnęła przed siebie rękę, z których kapała na podłogę, niczym wosk ze świecy, stopiona skóra, i w niemal rozpaczliwej próbie starała się dosięgnąć Tomasza. „*Chodź do mnie... chodź do mnie...*”

- Tomasz! Tomasz! - krzyczał ktoś. - Tomasz, obudź się! Tomasz!

### III

Dorota stała nad nim, a on leżał na kanapie. Mokre ubranie lepilo się do ciała, równie mokre włosy przywarły do czoła. Oddychał spazmatycznie i nierówno, ściskając się ze wszystkich sił za serce.

- Tomasz, wszystko dobrze?

Zerwał się i pobiegł do łazienki. Żołądek nie wytrzymał i wszelkie posiłki z poprzedniego dnia oraz wszystkie kawy wylądowały w sedesie. Wymiotował tak mocno, że bał się, iż zwymiotuje własne płuca. Zanosił się kaszlem, prychał, przed oczami wciąż mając topniejące ciało, a w nozdrzach zapach zgnilizny przyprawiający go o ciągłe mdłości.

Gdy w końcu żołądek nieco się uspokoił, stanął przed lustrem, opierając się o umywalkę, dysząc ciężko. Nie poznał własnej twarzy. Nie, to nie mogła być jego twarz. Takie przerażenie po prostu nie pasuje do twardego mężczyzny, jakim chciał być na co dzień. Odkręcił kurek z zimną wodą i zaczął obmywać nią skórę na twarzy i karku. Po chwili bezceremonialnie podłożył całą głowę pod lodowaty strumień, pozwalając mu splukać strach i obrzydzenie.

Zakręcił wodę, wciąż oddychając ciężko, jakby właśnie gołymi rękami wykopał grób. Wytarł mokrą twarz i umył zęby.

Chwiejnym krokiem, opierając się o ściany, wrócił do pokoju i bezwładnie opadł na kanapę, ukrywając twarz w dłoniach. Dorota usiadła przy nim i położyła mu rękę na plecach.

- Tomasz, to był tylko sen - powiedziała, starając się go uspokoić.

Pokiwał energicznie głową, lecz twarz miał nadal ukrytą, jakby bał się spojrzeć jej w oczy. Dorota chwyciła jego dłonie i obróciła głowę w swoją stronę.

- Spójrz na mnie. To tylko sen, już dobrze. Nic się nie dzieje.

- Która... która godzina? - wyrzucił z siebie w końcu.

- Dziesięć po piątej. Usłyszałam hałas, więc zerwałam się z łóżka. Musiałeś stracić kubek, rzucając się we śnie...

Spojrzał na leżące na podłodze szczątki porcelany i ponownie ukrył twarz w dłoniach.

- Przepraszam... - powiedział, wciąż kryjąc twarz.

Przetarł oczy, klepnął się parę razy po policzkach i w końcu odważył się przenieść wzrok na Dorotę.

- Przepraszam - powtórzył. - Chyba mnie zmoгло... i przepraszam, że cię przez to obudziłem.

- Nic się nie stało - powiedziała uspokajająco. - To... czy ten sen był aż taki straszny?

Znów potwierdził bez słów, potakując.

- Często miewasz takie koszmary...? - spytała.

- Niemal codziennie... jednak rzadko tak rzeczywiste jak ten. Zazwyczaj udaje mi się utrzymać treść żołądka na miejscu - uśmiechnął się słabo.

- Co ci się śniło? Opowiesz mi o tym?

- Nie... nie chcesz tego słuchać. To było... no, nie było przyjemne.

- Mimo wszystko chcę to usłyszeć - powiedziała, kładąc swoją dłoń na wierzchu jego dłoni.

- To... mój Boże, dawno nie miałem tak realnych snów jak wczoraj i dziś...

- Mów dalej...

- To jakby... jakby ta sprawa obudziła coś, co wcześniej było uspięne i wolało takim pozostać.

- Śniła ci się tamta kobieta?

- Tak... i nie. Była tam, prawda. Zapewne tak samo upiorna jak wtedy, kiedy przyszła do ciebie... a wcześniej do twojego brata i Martyny... Nie dziwię się, że

Martyna nie wytrzymała. Sam niemal nie wytrzymałem.

- Ale już dobrze, Tomasz, już dobrze... - uspokajała go.

- Wiem... i ponownie przepraszam. To musi być żałosne, widzieć dorosłego faceta w takim stanie, prawda? Zwłaszcza takiego, który na co dzień chce uchodzić za wielkiego twardziela...

- Nie, to wcale nie jest żałosne. To pokazuje, że jesteś człowiekiem - uśmiechnęła się do niego życzliwie. - Dobrym człowiekiem, pomimo cynizmu, którym chcesz emanować na co dzień.

- Jestem aż tak straszny? - zapytał przekornie.

- No, może nie aż tak - odparła Dorota z uśmiechem. - Ale na pewno onieśmielasz.

Słońce pomału podnosiło głowę, witając pierwszymi promieniami. To prawie tak, jakbym miał zawsze witać skurwysyna - pomyślał Tomasz, kolejny raz obudzony niesprawiedliwie wcześnie.

- Dorota, połóż się jeszcze spać... Jest bardzo wcześnie, zdążysz jeszcze odrobinę wypocząć.

- Nie, już wystarczająco długo spałam. Pójdę się ubrać. Ty też powinieneś się przebrać, nadal jesteś cały mokry...

Spojrzał na siebie i faktycznie, miała rację. Może nie wyglądał, jakby dopiero co wyszedł z basenu, ale z pewnością jakby spacerował w jesiennym deszczu.

- W takim razie pojedziemy do domu twojej ciotki, zanim jeszcze zdąży się obudzić. Żebyś zdążyła zabrać rzeczy i uniknąć pytań.

- Zabrać rzeczy?

- Znaczy się... oczywiście, jeśli chcesz. Możesz tutaj zostać, dopóki nie uznamy, że będzie bezpiecznie tam wrócić. Obawiam się jednak, że mam w mieszkaniu całe wielkie nic, jeśli chodzi o kobiece rzeczy, dobrze więc by było gdybyś... no wiesz. Zabrała swoje.

- Tomasz, naprawdę... nie mogę się tak narzucać - zaczęła oponować.

- A co zrobisz, jeśli ta kobieta znów przyjdzie? - spytał. - Wybacz mi, mogę oczywiście zostać z tobą w domu twojej ciotki, nie wydaje mi się jednak, żeby była z tego powodu zadowolona.

Dorota spuściła głowę i zdając sobie sprawę z braku argumentów, skapitulowała.

- Dobrze... powiem jej, że wracam na parę dni do domu. Przyjechał po mnie znajomy ojca, i zabierze mnie ze sobą. Brr... nie znoszę kłamać.

- Wszystko w dobrej wierze - powiedział Tomasz, dźwigając się ociężale

z kanapy. Wszystko w dobrej wierze.

# ROZDZIAŁ VII

## I

Kręciłem pokrętle radiodbiornika w Sportage'u, ale z głośników za nic w świecie o tak wczesnej porze nie chciała popłynąć muzyka strawna dla naszych gustów i zmysłu słuchu.

- Daj spokój, po prostu je wyłącz - powiedziała Dorota, uśmiechając się półgębkiem na widok rosnącej wraz z każdą kolejną popową pioseneczką frustracji na mojej twarzy.

Musiałem przyznać jej rację, więc rad nie rad porzuciłem dalsze próby. Ciszę w chłodnym wnętrzu samochodu rozpraszał tylko przyjemny, gardłowy pomruk, niczym wylegujący się na słońcu dziki kot, dobiegający spod maski. Westchnąłem i nadepnałem mocniej pedał gazu. Kot zawarczał dziko, a Kia skoczyła do przodu, przekraczając znacząco miejskie ograniczenie prędkości (ale kto by się tym przejmował o szóstej rano, kiedy jedynym towarzystwem na drodze były zamiatarki ulic). W nagłym odruchu zerknąłem na moją pasażerkę, ale najwyraźniej łamanie przepisów ruchu drogowego nie robiło na niej najmniejszego wrażenia; pogrążona była we własnych myślach, a może i zbyt zmęczona po wczorajszych przeżyciach, żeby należycie odnieść się do rzeczywistości.

- Ziemia do Doroty? - zapytałem, szturchając ją delikatnie w ramię.

- A... tak... co? - odparła nie do końca przytomna.

Zaśmiałem się tylko, koncentrując się ponownie na prowadzeniu samochodu. Byliśmy już prawie na miejscu. Zaparkowałem bezpośrednio pod domem ciotki Doroty.

- Wejść z tobą?

- Nie, nie trzeba. Może nawet lepiej, żebyś nie wchodził, na wypadek, gdyby ciocia jednak nie spała. O tej porze chyba nie powinno być tam duchów, prawda? - powiedziała zadziornie, a jednak trochę niepewnie.

- Tego nie wiem, ale rozumiem argumentację z ciotką. Zostawisz jej liścik - wyszczerzyłem do niej zęby - czy zadzwonisz po fakcie?

- Ha, ha. Zadzwoń. Powiem, że nie chciałam jej budzić. Nawet wolę sobie nie wyobrażać, jakiego kazania musiałabym wysłuchać, gdybym zostawiła tylko liścik.

- Domyślam się. Dobrze, idź po rzeczy, zanim przegadamy sen twojej ciotki. Będę tu czekał, zapalę sobie papierosa, czy coś.

- Dobrze, nie powinno mi to zająć długo, zabiorę tylko kilka rzeczy. Czy coś - dodała na końcu złośliwie, ale z uśmiechem.

Nie skomentowałem tej zjadliwości, ale zrobiło mi się całkiem przyjemnie. Gdy dwie osoby zaczynają sobie dogryzać i obie się z tego śmieją, to znak, że ich znajomość idzie w dobrym kierunku. Przynajmniej zawsze tak uważałem.

Odprowadziłem ją wzrokiem do drzwi, czując leciutkie ukłucie niepokoju, gdy za nimi zniknęła.

- Oby tylko ta kobieta sobie odpuściła na dziś... - mruknąłem sam do siebie, trzymając między zębami gotowego do odpalenia cristala.

Nikotyna nieco mnie odprężyła, ale nie odegnała natarczywych myśli. O czym dzisiaj będę śnił? - myślałem. Kolejny z moich wymyślnych snów erotycznych o namiętnych pocałunkach z trupem (tę serię nazywałem w myślach „gnijąca panna młoda”), czy może kolejna wycieczka krajoznawcza po leżących pośrodku niczego cmentarzach z rozkładającymi się dziećmi („buszujący wśród krzyży”)? Kto wie, kto wie... może nawet dzisiejsza noc zaskoczy mnie czymś nowym? Przydałaby się odmiana, nie powiem („panie i panowie, to nie koniec atrakcji w Radziejowski TV, przedstawiamy nowy cykl programów o nazwie...”).

- Szybko ci poszło - powiedziałem, widząc, jak Dorota wychodzi z domu z małą torbą podrózną.

- Mówiłam przecież, że zabieram ze sobą tylko kilka rzeczy, prawda?

Prawda, ale kobiece „kilka rzeczy” z reguły pokrywa się z tym, co mężczyźni rozumieją jako „garderobę na trzy tygodnie”. Nie wspominając już o tym, że kobiety na upakowanie tych „kilku rzeczy” zazwyczaj potrzebują od dwóch godzin do dwóch dni. Nie powiedziałem tego jednak na głos, dobrze wiedząc, co usłyszałbym w odpowiedzi. Streściłem się więc tylko do krótkiego „jestem pełen podziwu”.

Dorota chyba jednak odgadła moje niecne myśli, bo spojrzała na mnie z ukosa i jakby chcąc potwierdzić swoje domysły, spytała:

- Podziwu dla czego?

- Twoich umiejętności logistycznych - odparłem, uważnie dobierając słowa.

Jej spojrzenie było wystarczająco wymowną odpowiedzią, zszedłem więc z grząskiego gruntu, wyjąłem torbę z jej ręki i włożyłem do bagażnika. Potem

zaprosiłem ją do samochodu, otwierając drzwi pasażera, i zawiozłem z powrotem na Sosnową. Do jedenastej, na którą byliśmy umówieni z Dąbrowskim, mieliśmy jeszcze mnóstwo czasu, więc w drodze powrotnej nie naciskałem już na gaz z taką samą siłą jak podczas jazdy w drugą stronę.

- Jeśli ci to nie przeszkadza, to zajedziemy po drodze po jakieś zakupy, dobrze? Zawartość mojej lodówki zdecydowanie nie jest przystosowana do dwóch osób...

- Tomasz, o co ty mnie w zasadzie pytasz? - zapytała Dorota, spuszczać nieco głowę. - Nie musisz się martwić o takie rzeczy przez wzgląd na mnie, jest mi już wystarczająco głupio, że tak ci się nagle zwałam na głowę...

Westchnąłem ciężko, rzuciłem szybko okiem na wsteczne lusterko i dałem ostro po hamulcach.

- Auuuu! - rozległo się z mojej prawej strony. - Co się stało?! - zapytała Dorota, z niepokojem rozglądając się na wszystkie strony.

- Nic - odparłem spokojnie. - Ale nie prowokuj mnie więcej, dobrze? - zapytałem, uśmiechając się delikatnie.

Zrozumiała, potaknęła więc tylko, wciąż mając zaniepokojony wyraz twarzy. Wrzuciłem bieg i pojechaliśmy dalej.

Po szybkich zakupach wróciliśmy do mojej kamienicy. Rozpakowałem torby ze sprawunkami, a Dorota w tym czasie zaniósła swoje rzeczy do małego pokoju, ogłaszając po drodze, że idzie się przebrać.

Jak na przebieranie się, łazienka była zajęta całkiem długo, zapukałem więc w drzwi, zaniepokojony. Zawołała tylko „już, już, chwilę!”. Kobiety. „Chwila” trwała dostatecznie długo, żebym mógł zaparzyć nam kawę i przygotować jakieś niewyszukane śniadanie.

Dobrze, że akurat zdążyłem odłożyć nóż, w innym wypadku straciłbym co najmniej dwa palce.

Rozległ się trzask otwieranych drzwi i Dorota wypadła z nich, gasząc po drodze światło i obdarzając mnie promiennym uśmiechem. Spoglądając na jej odziane w rajstopy nogi i bluzkę z dekoltem (dostatecznie płytkim, żeby nie wyglądał wyzywająco, lecz dostatecznie głębokim, by spłycić oddech mężczyzny), jeszcze raz podziękowałem w duchu Bogu, że odłożyłem nóż. Choć makijaż zdecydowanie nie był jej potrzebny, wyglądała w nim jeszcze korzystniej.

- Bardzo ładnie wyglądasz - wydukałem tylko, starając się utrzymać obroty w mózgu na właściwym poziomie.

- Dziękuję - powiedziała promiennie - ale kiepski z ciebie kłamca, Tomasz - dodała, mrugając do mnie porozumiewawczo.

Kolejny raz tego dnia westchnąłem. Postawiłem śniadanie i kawę na stole, włączyłem radio. W sam raz na wiadomości.

„...Minęła godzina siódma, zapraszam na wiadomości” – dobiegł męski głos z odbiornika. – „Dziś w nocy znaleziono kolejną ofiarę napaści seryjnego mordercy i gwałciciela. Policja na razie odmawia komentarza, jednak udało się nam potwierdzić, że z całą pewnością nie jest to dzieło osoby trzeciej, a tego samego potwora, bo tak należy o nim mówić, który brutalnie zgwałcił i zabił pozostałe kobiety odnalezione w ostatnich dniach. Po wczorajszym komentarzu rzecznika Komendy Głównej Policji, twierdzącym, jakoby byli na tropie sprawcy, jego słowa zostały poddane w poważną wątpliwość, właśnie tym, mającym miejsce zaledwie dzień później, atakiem”.

– Prawie jakby chciał pokazać opinii publicznej i policji, że nie wiedzą, co robią... – powiedziała Dorota, siadając przy stole.

– Trzeba przyznać... rozkręca się. Jeśli mnie pamięć nie myli, jego ofiarą padło już dziesięć kobiet. W przeciągu zaledwie miesiąca. Wiem, że brzmi to paskudnie, ale to zdecydowany rekord, nie tylko w skali kraju. W skali świata też nie wypada blado – powiedziałem, zamyślając się na chwilę. Była szansa, że Dąbrowski powie mi nieco więcej na ten temat. – Uważaj na siebie, dobrze? – zwróciłem się do Doroty. – Staraj się nie chodzić sama po zmroku. Obiecuj mi to, proszę.

– Dobrze, obiecuję... ale jakim zwyrodnialcem trzeba być, żeby zrobić coś takiego?

Pozostawiłem jej pytanie retorycznym, jednak w głowie formułowała mi się dość prosta, choć brutalna odpowiedź. Wcale nie trzeba było być zwyrodnialcem. Wystarczyło na moment poluzować hamulec ręczny w mózgu mężczyzny, zatrzymujący zwierzęce instynkty. Linka pękała, a samochód marki „popęd” staczał się ze wzgórza. Jako nieco wygłodniały seksualnie samiec doskonale wiedziałem, gdzie leży cienka granica. Zabójstwa tych dziewczyn były tylko próbą naprawienia szkód. Usuwaniem niewygodnych pozostałości po swoich, zaspokojonych w bestialski sposób, żądach.

– Tomasz?

Przywołany do rzeczywistości rzuciłem tylko „jestem, jestem” i skupiłem się na śniadaniu, ignorując resztę wiadomości. Nie było w nich nic ciekawego; spadek partii w sondażach, referendum w sprawie otwarcia jakiejś tam obwodnicy, no i oczywiście „pomimo ostatnich opadów zapowiada się prawdziwie letnia pogoda”. Dzięki, zauważyłem (a jaka ma być, zima? Ludzie, mamy początek czerwca).



- Dziękuję za śniadanie - powiedziała Dorota, wstając od stołu i mimo moich niemych protestów zabierając ze sobą brudne naczynia.

Choć bardzo się starałem, nie mogłem się powstrzymać, by nie spojrzeć za nią. Gdy nachyliła się nad zlewem, jej spódniczka odsłoniła nieco więcej, niż Dorota by sobie życzyła, powodując jednocześnie niemałą sensację w okolicach mojego rozporoka. Nieświadoma tego, co ze mną robi, odwróciła się od zlewu i poszła do łazienki.

Ja zaś rozparłem się na krześle. Chciało mi się palić, ale jak na złość ostatnią paczkę fajek zostawiłem w schowku samochodu. Wyciągnąłem się, pokręciłem głową w lewo i prawo (chrup, chrup) i odchyliłem szyję do tyłu, starając się spojrzeć za siebie.

Omal nie spadłem z krzesła. Zerwałem się błyskawicznie i stanąłem przyciśnięty do ścianki oddzielającej pokój od kuchni. Serce pędziło mi jak oszalałe. Pośrodku pokoju stał mały chłopiec. Kontury jego twarzy były jakby zamazane, a całe ubranko ubabrane błotem. Chłopiec patrzył wprost na mnie, czułem, jak jego spojrzenie przebija mnie na wylot. Chłopiec nic nie mówił, a ja również w milczeniu patrzyłem na niego, sparaliżowany strachem. Słyszałem Dorotę krzątającą się w łazience i modliłem się, żeby tylko nie wyszła (o ile chłopiec nie był tylko wytworem mojej wyobraźni), żeby tylko nie spojrzała na to widmo, którego kształty stawały się stopniowo coraz mniej ludzkie. Nagle jego buzia rozwarła się szeroko. Z policzków na podłogę opadły wielkie, obrzydliwe płaty skóry, a pomiędzy wargami coś zaczęło się kotłować.

Krzyknąłem. Z ust chłopca zaczęły wysypywać się pająki. Małe, włochate, obrzydliwie żywe i ośmionożne. Ich strumień zdawał się nie mieć końca; spływały po rozpadającym się cieple czegoś, co kiedyś było dzieckiem, spadały na ziemię z niemal niesłyszalnym, suchym odgłosem i pędziły w moją stronę; widziałem ich mrowie tuż pod moimi stopami, już niemal czułem ich wzbudzający wstręt dotyk, niemal czułem, jak wspinają się po nogawkach moich spodni, wpełzając w każdą szczelinę mojego ciała, jakby szukały nowego żywiciela, bo stary skorodował.

Dorota wyszła z łazienki, a ropiejący, zdeformowany kształt zniknął, wraz ze sobą zabierając wszystkie małe potwory. Nadal stałem sparaliżowany, walcząc ze śniadaniem próbującym utorować sobie drogę na zewnątrz, nie mogąc powstrzymać potoku łez ciekącego po mojej twarzy. Upadłem na podłogę i zacząłem się krztusić, przez jedną straszną chwilę czując pająki wychodzące z moich własnych ust, lęgnące się w nich niczym czerwie, które widywałem w moich ostatnich snach.

- Tomasz!

Dorota podbiegła do mnie, uklękła tuż obok i zaczęła mną potrząsać, jednak byłem jeszcze zbyt daleko, żeby dotarło do mnie choć jedno jej słowo. To było... to nie był koszmar. To nie był sen. Ten chłopiec tam stał, pojawił się znikąd, bez ostrzeżenia.

## II

Po raz kolejny tego dnia siedziałem za kierownicą swojego samochodu. Dłonie na kierownicy w pozycji za dziesięć druga, prawa noga gaz, lewa na zmianę sprzęgło i hamulec. Przyjmijmy, że patrzyłem, gdzie jadę. Dorota siedziała obok, wpatrując się we mnie z wyraźnym niepokojem, a ja podświadomie wyczuwałem, że nie martwi jej mój brak koncentracji w czasie jazdy.

Nie mogłem jej powiedzieć, co widziałem. Nie mogłem, nie chciałem przelewać swojego przerażenia na nią. Nie chciałem też, żeby wzięła mnie za nienormalnego, choć na to było chyba za późno. To musi być żaloszny widok - dorosły mężczyzna trzęsący się spazmatycznie jak podczas ataku padaczki, z twarzą zalaną łzami, krztuszący się własną wyobraźnią. „Miał wyraz twarzy, jakby zobaczył ducha”, tak mówią. Gdyby w tamtym momencie zrobiono zdjęcie mojej twarzy, mogłoby śmiało służyć za ilustrację pogładową w słowniku przysłów.

Dorota jednak nie była głupia. Doskonale wiedziała, że nie zakrztusiłem się jedzeniem, co próbowałem jej wmówić, uparcie powtarzając, że nic mi nie jest. Owszem, krzyknąłem, bo bujając się na krześle, omal z niego nie spadłem, a wtedy jedzenie wleciało nie do tej dziurki. Ładna bajeczka, prawda? Ale ze mnie był kiepski bajkopisarz.

Wciąż miałem przed oczami chłopca. Jego spokojną z pozoru twarz, która tak nagle, znienacka, zaczęła tracić ludzkie rysy, topniejąc, choć nie stała w płomieniach. Jedno wiedziałem na pewno - chłopiec cierpiał.

- Tomasz, czerwone światło - dobiegło mnie jak przez otchłań z prawej strony.

Lewa noga na hamulec. Zatrzymałem się nieco gwałtowniej, niżbym sobie tego życzył. Najwyraźniej kierowca za mną podzielał moje zdanie, bowiem tuż za nami rozległo się donośne trąbienie (tak, ja też cię pozdrawiam, kolego).

- Powiesz mi w końcu, co tam się stało? - spytała nerwowo.

- Przecież już ci powiedziałem, prawda? Zakrztusiłem się, to wszystko.

- I najwyraźniej to wydarzenie wstrząsnęło tobą tak bardzo, że nie jesteś

w stanie skupić się na prowadzeniu samochodu. W zasadzie zrozumiałe, otarłeś się o śmierć – rzuciła z przekąsem. – Powiedz mi prawdę... Co zobaczyłeś?

- A nie uznasz mnie za chorego psychicznie? Znaczą się, wiesz... jeśli mam ci pomóc, na pewno nie będę mógł tego zrobić w pokoju bez klamek.

- Tomasz, nie żartuj... Co zobaczyłeś?

Skapitulowałem. Opowiedziałem jej wszystko, ze szczegółami, tak jak sobie tego życzyła. Chyba pożałowała swojej dociekliwości, gdyż wpatrywała się we mnie z szeroko otwartymi oczami i ustami zakrytymi dłonią.

- Także widzisz... - podjąłem - chyba naprawdę powinienem sobie zarezerwować kozetkę u najbliższego psychiatry, skoro widzę takie rzeczy.

Nie odpowiedziała, ale nadal widziałem przerażenie w jej oczach. Bała się. W tamtym momencie jak nigdy wcześniej zdałem sobie sprawę, jak bardzo bała się tego wszystkiego, co działo się dookoła niej. W końcu - umówmy się - takie rzeczy dzieją się tylko w filmach i książkach Stephena Kinga. W normalnym, cywilizowanym świecie, za jaki uważamy ten, w którym żyjemy, rozkładające się zwłoki czarnowłosych kobiet nie nawiedzają bogu ducha winnych, młodych dziewczyn i prywatnych detektywów, a mali chłopcy biegają po placach zabaw, a nie pojawiają się znikąd pośrodku pokoju, kryjąc w sobie gniazdo ośmionożnych, włochatych stworów. To należało do świata fantazji, spoczywało za zamkniętymi drzwiami, których nikt nie śmiał otworzyć, a których istnienie większość wypierała ze świadomości.

Dotarliśmy do komendy policji. Nie łudziłem się, że strażnik pozwoli mi wjechać przez szlaban na parking służbowy (prawdopodobnie nie taki znowu mały zatarg sprzed paru lat miał wiele wspólnego z tą niechęcią), podjechałem więc od frontu i zaparkowałem przed stojącym przy ulicy blokiem A. Wydziały kryminalny i dochodzeniowy znajdowały się w bloku D, czekał więc nas mały spacer.

Wysiadłem i otworzyłem drzwi Dorocie.

- Dobrze się czujesz? - spytałem.

- Nie...

- A mówiłem, że nie chcesz tego usłyszeć.

- To nie tak... Widzisz, mam bardzo poważną odmianę arachnofobii. Nawet najdrobniejsza wzmianka o pająkach wpływa na mnie tak, jakby ktoś podstawił mi to cholerstwo pod twarz.

Roześmiałem się. Dorota spojrzała na mnie urażona.

- To takie zabawne? - zapytała z wyrzutem.

- Nie, absolutnie nie bawi mnie twoja fobia, ale fakt, że bardziej przerażają cię

pająki, niż opisany przeze mnie widok małego dziecka rozpluwającego się w oczach na dywan... No przepraszam - dodałem, próbując się jakoś usprawiedliwić.

Popatrzyła na mnie przez chwilę karcąco, jednak wyglądała na udobruchaną. W geście pojednania wysunąłem w jej stronę ramię, a ona - o dziwo - nie odtrąciła go, lecz ujęła mnie pod nie i dała się prowadzić do miejsca pracy Dąbrowskiego.

O ile zajmujący najbardziej reprezentacyjne miejsce w stawce blok A wyglądał przyzwoicie (był nawet odmalowany, czyste szaleństwo), pozostałe bloki, skryte przed ciekawskimi oczami, nie wyglądały już tak pięknie; blok D stanowił idealny przykład, w jak kiepskiej kondycji finansowej były służby mundurowe w tym kraju.

Drzwi były jedynym nowym elementem w tej żalosznej fasadzie. Plastikowe, otwierane z zewnątrz jedynie przez guzik znajdujący się na biurku portiera, po uprzednim podaniu celu wizyty przez domofon, oczywiście.

- Detektyw Tomasz Radziejowski i moja klientka, Dorota Lutowska. Jesteśmy umówieni z komisarzem Dąbrowskim.

Rozległo się donośne „tyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyyy”, pchnąłem więc drzwi, które otworzyły się z donośnym trzaskiem, i weszliśmy do środka.

- Prawie jak w szpitalu, nie? - powiedziała Dorota, zanim zdążyłem ubrać w słowa podobną myśl.

Miała rację. Ściany były pomalowane na sterylne niebieski (mający zapewne uspokajać - jasne. Zazwyczaj działał na nas dokładnie odwrotnie). Od przeszklonej portierni biegł wyłożony iście szpitalnym rodzajem płytek podłogowych korytarz, z którego dzięki trzem klatkom schodowym można było się dostać do różnych skrzydeł budynku.

- Tomasz, kopę lat! - i zanim zdążyłem coś odpowiedzieć, zostałem zamknięty w żelaznym uścisku pana Radosława, portiera, który chyba był tu, zanim jeszcze położono kamień węgielny pod budowę skrzydła, i będzie, gdy nic po nim nie zostanie.

- Fakt, dawnośmy się nie widzieli, panie Radosławie - odpowiedziałem z uśmiechem, wyswobadzając się z miażdżących objęć.

Nic się nie zmienił przez te pięć lat. No, może musiał trochę bardziej poluzować pasek u spodni (brzuch miał jeszcze bardziej pokaźny niż za czasów mojej pracy w policji), ale jowialny uśmiech, krzaczaste, siwe wąsy i pokaźna łysina na czubku głowy pozostały te same.

- Co cię dziś do nas sprowadza? I kim jest twoja urocza towarzyszka? -

Mrugnął do Doroty łobuzersko, ta tylko spłonila się i odwróciła wzrok.

- Nie słuchał mnie pan przez domofon - skarciłem go.

- Na sam dźwięk nazwiska „Radziejowski” odebrało mi słuch i mowę - roześmiał się.

- Rozumiem - odparłem równie wesoło. - To prawie jakby umarły wstał z grobu. Idziemy do Dawida, poprosił mnie o pomoc w jednej sprawie, a jako że moja sprawa - tu znacząco zerknąłem na Dorotę - jest związana z tą, nad którą on pracuje, postanowiłem wziąć młodą damę ze sobą.

- Dobrze już, dobrze, nie zatrzymuję was wobec tego. Komisarz na pewno już na was czeka. Wpadnij czasami, Tomciu, dawno nie mieliśmy okazji pograć. Szachy dalej trzymam pod biurkiem, ciągle czekają na godnego mnie przeciwnika.

- Będę o tym pamiętał, panie Radku - zapewniłem go.

- Pamiętasz drogę?

- Jasne. Dalej 114?

- Dalej 114.

- Wobec tego do zobaczenia.

Pożegnałem się z portierem i poprowadziłem wciąż zaczerwienioną Dorotę schodami po lewej stronie na pierwsze piętro. Korytarz, na którym się znaleźliśmy, sprawiał prawdziwie klaustrofobiczne wrażenie; wąski, wyłożony zielonym dywanem, bez okien, ze światłami oddalonymi od siebie na tyle daleko, żeby tylko wypełniały pustą przestrzeń delikatną poświatą, pozostawiając wyobraźni dużo miejsca na domalowanie szczegółów. Po obydwu stronach gęsto było od drzwi i klamek.

Zdecydowanym krokiem ruszyłem przed siebie, a Dorota tuż za mną. Dywan pochłaniał nasze kroki, szliśmy więc w niemal całkowitej ciszy, przerywanej jedynie cichym westchnieniem naszych oddechów. Stanęliśmy pod pokojem 114. Drzwi były tak samo nijakie i bezimienne jak cała reszta. Zapukałem dwa razy, nacisnąłem klamkę i wszedłem do środka.

- A co ty tu, do cholery, robisz? - spytałem zdziwiony, czując rysujące się na mojej twarzy obrzydzenie i niechęć na widok człowieka, który stał przy rozpostartej na ścianie obok biurka mapie.

- Też się cieszę, że cię widzę - odburknął młody mężczyzna ubrany w wyświechtany, trzyczęściowy garnitur.

- Nie pamiętam, żebyśmy przeszli na ty, Leśniak - powiedziałem gniewnie, mierząc go wzrokiem.

Powiedzieć „nie lubię tego faceta” byłoby cholernym niedomówieniem. Roman

Leśniak budził we mnie szczerą i nietłumioną odrazę od momentu pierwszego spotkania. Spotkaliśmy się w sumie może z pięć razy, jednak chłopak zdołał trafić na Top 10 mojej czarnej listy, nawet nieszczególnie się starając.

- To ja powinienem zadać pytanie, co tu robisz - powiedział Leśniak, ignorując moje ostatnie zdanie. - Ja tu pracuję.

- Tu? - prychnąłem z pogardą. - Myślałem, że po tamtej akcji cofną cię do prewencji.

Kiedy spotkałem Romana Leśniaka, był jednym z techników zabezpieczających mieszkanie, z którego zniknęła pewna starsza kobieta. Istniało silne podejrzenie, że starsza pani została zamordowana, wobec tego policja wysłała tego podrostka razem z kilkoma innymi tępakami, żeby zabezpieczyli „miejsce zbrodni”. Córka tej kobiety była moją klientką, wynajęła mnie, bym odnalazł jej matkę.

Ze wszystkich pajaców, których spotkałem w tamtym mieszkaniu, Leśniak był największym. Świeżak, ledwo wypuszczony z akademii, z wbitym w zakuty łeb przekonaniem, że procedura rzecz święta. Skutecznie utrudniał mi życie, najpierw próbując zabronić wejścia do mieszkania, potem zabierając akurat te rzeczy, które były mi niezbędne w prowadzeniu dochodzenia.

Przy okazji tej samej sprawy wpadliśmy na siebie jeszcze kilka razy; młody za każdym razem obnażał kły i próbował mi udowodnić, kto tutaj jest alfą (równie dobrze mógł mnie obszczać, do tego stopnia uważał mnie za zagrożenie na swoim terytorium). Później dowiedziałem się, dlaczego zachowywał się jak pieprzony kutas - młody cwaniaczek liczył, że (jak to bywa w amerykańskich filmach) zdoła sam rozwiązać zagadkę, znajdując w odpowiednim miejscu włos i skrawek bawełny z majtek, a przełożeni ozłocą go, postawią na piedestale i nakażą nadwornym dziwkom robić mu loda, gdy tylko pstryknie palcami.

- Bardzo zabawne, Radziejowski - warknął mężczyzna. - Wyobraź sobie, że ktoś docenił moje umiejętności i postanowił mnie umieścić gdzieś, gdzie się przydadzą, zamiast marnować je na pakowanie kurzu w torebki.

Prychnąłem tylko niezadowolony i już miałem powiedzieć coś zgryźliwego, gdy za moimi plecami usłyszałem znajomy głos.

- Już rozrabiasz, Tomaszu?

Dąbrowski stanął w drzwiach, z wyraźnym rozbawieniem na twarzy. Najwidoczniej wiedział, jakim uwielbieniem darzę Leśniaka.

- Możesz mi wyjaśnić, co robi tu ten szczeniak?

- O, więc już się znacie? - zapytał rozbawiony Dawid (jakbyś nie wiedział). - Romek trafił do mnie na próbę, rozumiesz. Ma mi pomóc w sprawie tych zaginięć.

Jeśli się wykaże i zdołamy ułożyć te puzzle zanim dojdzie do kolejnej „rzezi niewiniątek”, wtedy cóż... może trafi tu do nas na stałe? – powiedział, puszczając oko, jakby chciał powiedzieć „prędzej wyjdzie mi tędy larwa gąsienicy”.

Nie mów hop, przyjacielu – pomyślałem. To wcale nie jest tak nierzeczywiste, jak ci się wydaje... I zadrżałem na wspomnienie własnych koszmarów.

– O, witaj, Dorotko – powiedział z uśmiechem do mojej klientki, wyciągając dłoń. – Nie wiedziałem, że zabierze cię ze sobą.

– Tak się jakoś złożyło – odpowiedziała nieśmiało Dorota.

Skupiłem swój wzrok na Leśniaku, który właśnie skanował dziewczynę z góry na dół, z dołu do góry, z wyrazem twarzy, jakby go kto przetrącił obuchem. Brakowało tylko cieknącej śliny. Ale niewiele brakowało. Gdy wstępnie nacieszył oko i kutasa, chyba przypomniał sobie o ludzkich odruchach, drgnął dziwnie i rzucił się, wyciągając rękę do Doroty.

– Roman Leśniak, ba... ba... bardzo miło mi pa... pa... panią poznać – powiedział, jękając się jak nigdy.

Dorota spojrzała niepewnie w moją stronę, a potem na wyciągniętą rękę chłopaka, po czym chwyciła ją i potrząsnęła delikatnie.

– Dorota Lutowska, miło mi.

– Proszę nie brać so... sobie do serca tego, co... mówił detektyw Radziejowski. Nie jestem taki zły, jak o mnie mówi – powiedział, zdobywając się na sztuczny, w moich oczach obleśny, uśmiech.

Dorota cofnęła rękę, wyraźnie nieprzekonana co do nowo poznanego policjanta. To ci się znalazł pieprzony dżentelmen – pomyślałem. Zazwyczaj zachowujesz się jak ludzkie ścierwo na dwóch nogach, a tu nagle taka kurtuazja. Nie, żebym go nie rozumiał: na widok Doroty mnie także szwankował ośrodek mowy.

– Dobra, dość już tych czułości – warknąłem w stronę Leśniaka, a ten odsunął się od Doroty, speszony, patrząc na mnie z wyrzutem.

Jasne, może jeszcze powiesz mi coś o solidarności plemników, he? Jego wzrok wyraźnie mówił „no ej, daj się napatrzeć”. Miałem ochotę dać mu w pysk.

– Podejdz tu, Tomasz, siadaj – powiedział Dąbrowski, wskazując krzesło przed swoim biurkiem. – Pokażę ci akta sprawy.

Podszedłem do biurka i opadłem leniwie na krzesło. Dorota stanęła tuż za mną – czułem ciepło jej ciała gdzieś z tyłu głowy – i patrzyła mi z ciekawością przez ramię.

– Dorotko, nie wiem, czy to dobry pomysł... – zaczął Dawid, ale mu

przerwałem.

- Spokojnie. Tej dziewczynie możemy zaufać, Benny.

- Wiem, nie to miałem na myśli, ale... - tu spojrzał znacząco na stojącego w kącie Leśniaka.

- Co, młody ma zamiar podkablować, że sprzedajesz ludziom z zewnątrz poufne informacje? - rzuciłem, jednocześnie spoglądając przez ramię na młodego policjanta.

Ten pokręcił energicznie głową. „Gdzieżbym śmiał, sierzancie”. Musiało mi to wystarczyć. Zresztą, było mi to kompletnie obojętne.

- Trzy zaginięcia, tak jak mówiłeś wczoraj?

- Tak, jedna dziewczynka i dwóch chłopców.

Położył przede mną trzy cienkie teczki, wziąłem do ręki pierwszą z nich, odciągnąłem gumkę i przyjrzałem się aktom. Nic interesującego. Brak powiązań rodziców z grupami przestępczymi, sektami religijnymi... brak motywu ewentualnego porwania dla okupu lub jakiegokolwiek innego powodu. Ot, zwykłe dziecko, ze zwykłej, przeciętnej rodziny, rozpląnęło się w powietrzu.

Patrząc na zdjęcie małej, czułem jednak niepokój. Nie do końca go rozumiałem. Podobny niepokój czułem podczas przeglądania zawartości drugiej teczki. Chłopiec, lat pięć. Brak motywów, brak powiązań, brak jakiegokolwiek punktu zaczepienia. Po prostu zaginął.

Otworzyłem trzecią teczkę i omal nie krzyknąłem. Ledwo udało mi się powstrzymać dźwięk, który już niemal wydostał się z mojej krtani na zewnątrz. Dorota musiała wyczuć, że zadrzałem, nachyliła się bowiem nade mną i spojrzała pytającym wzrokiem. „Co się stało?” - chciała spytać.

Ze zdjęcia patrzyła na mnie czteroletnia twarz chłopca o czarnych, krótkich włosach. Wystarczyło mi jedno spojrzenie, żebym ją poznał, choć na zdjęciu była kompletna, a z ust nie wypadały wesołą gromadką pająki.

Dorota chyba zobaczyła to w moim spojrzeniu; poczułem, jak palce jej dłoni wpijają mi się w ramię, a paznokcie tworzą na skórze bolesne pręgi. Nie powiedziała jednak ani słowa. Ja także.

- I co, jakieś wnioski? - spytał Dawid.

Zamyśliłem się na chwilę, w dalszym ciągu nieco zszokowany widokiem „znajomej” twarzy na zdjęciu. Nie miałem ochoty rozmawiać o tym przy Leśniaku, zapytałem więc tylko:

- A możesz na moment wypieprzyć stąd praktykanta?

Dawid westchnął, ale rozłożył tylko bezradnie ramiona i powiedział:



- Pamiętasz, jak powiedziałem ci wczoraj, że dostałem dodatkowych ludzi? Także oto są oni. Cały jeden człowiek. Dwie ręce, dwie nogi, niemodny garnitur do kompletu. Finito. Znaj łaskę przełożonego swego, zawsze możesz mieć gorszego.

Prychnąłem zniecierpliwiony, ale musiałem ustąpić. Skoro tylko dwójka ludzi pracuje przy czymś, co może stać się kolejnym paskudnym skandalem, nie było czasu na osobiste animozje.

- Skoro tak... cóż, mam tylko jeden wniosek jak do tej pory. Nie znajdziemy już tych dzieci żywych. A na pewno - tu postukałem w zdjęcie, które obniżyło temperaturę mojego ciała o dziesięć stopni - tego chłopca.

- Co ty gadasz za bzdury, Radziejowski?! - wycharczał praktykant. Uciszyłem go jednym gestem.

- Tomasz... skąd możesz mieć taką pewność?

- Powiedzmy, że... mam silne przeczucie. Przeczucie graniczące niemal z pewnością. - Posłałem Dawidowi silne spojrzenie, starając się przesłać mu telepatycznie to, co miałem na myśli.

Nie wiedziałem, czy zrozumiał, jednak nie drążył tematu. Powiedział tylko:

- Co w dalszym ciągu nie zwalnia nas z poszukiwań... oraz nie wyklucza, że zaginie następne dziecko.

- Powiedziałbym, że jest więcej niż pewne, że zaginie, ale nie jestem do końca pewien, czy mamy do czynienia z tą samą sprawą, co pięć lat temu.

- Dlaczego?

- Tym razem nie wycinają im serc - powiedziałem cicho, korzystając z nieuwagi praktykanta, tak by te słowa dotarły tylko do Dąbrowskiego.

- Tomasz, skąd...

W tym momencie rozdzwonił się telefon na biurku. Dawid nie dał mu dotrzeć do drugiego sygnału i od razu podniósł słuchawkę.

- Dąbrowski, szybko. Mam tu ważne spotkanie.

Słuchał uważnie przez bite dwie minuty. Na koniec zmienionym głosem powiedział tylko:

- Rozumiem. Zaraz zejdziemy.

Wiedziałem, co się stało, nim zdążył odłożyć słuchawkę. Widziałem to w jego oczach.

Bez słowa podniosłem się z miejsca, on także. Dorota chyba też zrozumiała, ruszyła bowiem w kierunku drzwi. Jedyнным nieświadomym pozostawał Leśniak, który najwyraźniej ponownie był zbyt zaabsorbowany pożeraniem Doroty wzrokiem, by zauważyć cokolwiek innego.

- Halo, idziemy - rzucił do niego Dawid.

- Tak... co? Gdzie? Po co? - odpowiedział chaotycznie, jakby budząc się z transu.

Dąbrowski nie skomentował, tylko ruszył do przodu, przepuszczając Dorotę w drzwiach. Ja zaś poczekałem moment i chwyciłem praktykanta za ramię, szarpiąc nim do tyłu i z lekka je wykręcając.

- Co, do... - wyrzucił z siebie, ale nie dałem mu dokończyć.

- Powiem ci wprost. Jak facet facetowi. To prawda, że jest ładną dziewczyną. Może nawet piękną. Ale jeśli jeszcze raz przyłapię cię ze ślinotokiem na mordzie, gdy będziesz na nią patrzył, to wydrapię ci oczy, rozumiesz?

Wykręciłem ramię nieco mocniej, chcąc się upewnić, że zrozumiał. Donośny jęk powiedział mi, że tak. Puściłem go i ruszyłem za Dąbrowskim.

### III

Poszliśmy na drugi koniec korytarza, gęsiego, bo tylko na taki układ stada pozwalała konstrukcja budynku. Mijaliśmy kolejne drzwi, kolejne niebieskie ściany, stawiając jeden krok za drugim, wciąż niesłyszalni pomimo pośpiechu. Dawid szedł z przodu, Dorota tuż za nim. Ja zamykałem ten peleton, wpatrując się (wciąż nie bez obrzydzenia) w plecy Leśniaka, który szedł przede mną, w dalszym ciągu nie wiedząc, co się dzieje.

Byliśmy już w drugim skrzydle, kiedy po lewej stronie zobaczyłem strugę naturalnego światła wpadającą przez otwarte drzwi. Dawid bez chwili wahania wszedł do źródła tego światła, które okazało się niczym innym, jak tylko kolejnym policyjnym biurem. Biuro było niemal tak samo spartańskie jak moje własne, dlatego przez krótką chwilę poczułem się niemal jak w domu. Przy samotnym biurku siedział siwawy policjant, pakujący do zwykłej, szarej teczki jakieś papiery.

- O, już jesteś - powiedział do Dawida nieco drżącym głosem. - Masz, tu są szczegóły zgłoszenia. Ekipa już czeka na zewnątrz.

- Suka z psem tropiącym?

- Jest, oczywiście. No, leć już, może tym razem uda się znaleźć dzieciaka - powiedział, a przez jego twarz przemknął ledwo dostrzegalny cień.

Dawid wziął teczkę i wyszedł z pokoju z tym samym impetem, z jakim do niego wszedł. Nikt nie zadawał pytań, no, oprócz praktykanta, który rzucał na wszystkich nieme spojrzenia, ale żadne z nas nie było w nastroju do tłumaczeń.

Zrównałem się z Dawidem i idąc szybkim krokiem wzdłuż korytarza spytałem:

- Kolejne dziecko, prawda?

- Tak. Tym razem dziewczynka, pięć lat. Zniknęła z przedszkola na przedmieściach, nie wróciła razem z innymi dziećmi z podwórka, kiedy przedszkolanka zawołała je na obiad. Dyrekcja od razu zawiadomiła policję, a oni od razu zadzwonili do nas.

- Tyle dobrego... Myślisz, że uda się nam ją znaleźć?

- Nie wiem, Tomasz - powiedział, z lekka dysząc podczas zbiegania ze schodów. - Tym razem czas jest po naszej stronie, bo ruszamy od razu, a nie dzień czy dwa po fakcie, niemniej jednak...

- Niczego nie możemy być pewni - dokończyłem.

- Niestety. Ty i Dorota pojedziecie ze mną do przedszkola - powiedział nieco głośniej, żeby wszyscy słyszeli.

Byliśmy już na zewnątrz, gdzie stał radiowóz z psem tropiącym i kilka innych, po dwóch policjantów przy każdym. Ekipa poszukiwawcza w komplecie.

- A ja? Co ja mam robić? - zawołał Leśniak, doganiając swojego szefa.

- A ty grzecznie pojedziesz z ekipą i zajmiesz się przeczesywaniem lasu w poszukiwaniu tego dziecka, a także, jeśli będzie potrzeba, człowiekiem, który stoi za jego zaginięciem. Masz broń?

Praktykant nagle spowaźniał, jak gdyby finalnie przez twarde okowy jego czaszki przebiło się znaczenie tego nagłego zamieszania. Skinął tylko głową i rozchylił poły marynarki, ukazując ukrytą pod pachą kaburę.

- Bardzo dobrze. Bądź cały czas pod krótkofalówką, nie wiemy, czy w lesie komórki będą miały zasięg.

Po wydaniu praktykantowi dyspozycji Dawid zwrócił się szybko do gotowej do działania ekipy, wręczając im zdjęcie i wydając polecenia. Chwilę później radiowozy z donośnym dźwiękiem syren ruszyły na poszukiwania, my także poszliśmy do samochodów: ja do mojej Kii, Dawid do stojącego pod komendą nieoznakowanego Opla.

Dorota wsiadła wraz ze mną do samochodu i ruszyliśmy za Dawidem, który już wyjeżdżał z parkingu.

- Wszystko w porządku? - zapytałem Doroty. - Chyba nie powinienem był cię ze sobą zabierać.

- Dlaczego? Skoro już tu jestem, to chcę pomóc - powiedziała buntowniczo Dorota. - Porozmawiam z dziećmi - zaproponowała. - Na pewno będą chętniej rozmawiać z takim dzieciaczkiem jak ja, niż z dwójką staruchów - dokończyła,

zaśmiewając się na widok mojego skrzywionego wyrazu twarzy.

- Dzięki. Chociaż w sumie masz rację, a od dzieci możemy dowiedzieć się nawet więcej niż od przedszkolank. Postaramy się zająć je rozmową, żebyś mogła w spokoju pogadać z dziećmi, bez obawy, że któraś z opiekunek nagle się wtrąci.

- Dobrze. Tomasz...

- Tak?

- Boję się - wyznała.

- Ja też. Boję się, że kolejny raz policja nie zdąży, a tym razem jestem tutaj. Więc tym razem nie będę mógł odsunąć od siebie ciężaru współodpowiedzialności.

Przejazd przez miasto nie zajął nam dużo czasu. Minuty upłynęły w milczeniu. Po chwili wysiadaliśmy już pod prywatnym przedszkolem numer 7 imienia Pszczółki Mai. Popieprzone, prawda? Ale dzieci cieszyło nie tylko to, że chodzą do „Pszczółki”, jak mówiono o przedszkolu w tej części Miasta, lecz radość sprawiała im też mnogość detali z nią związanych; od wielkiego malunku na frontowej ścianie począwszy, na krzeselkach ze skrzydełkami skończywszy.

Zwykła, kwadratowa bryła, jedne drzwi, mały plac zabaw z huśtawkami, zjeżdżalnicami i wszelkimi sprzętami służącymi do zajmowania czasu dzieciom - przedszkole na pewno nie wyróżniało się za bardzo na tle innych tego typu miejsc (no, może oprócz tej wielkiej pszczoły na froncie).

Weszliśmy do środka, gdzie już od wejścia powitał nas radosny gwar dobiegający z trzech sal położonych wzdłuż korytarza. Któraś z przedszkolank musiała usłyszeć skrzypnięcie drzwi, bowiem wyszła z jednej z sal i zapytała:

- Dzień dobry, mogę w czymś państwu pomóc?

To się okaże - pomyślałem. Ale to Dawid grał w tej konwersacji pierwsze skrzypce.

- Może pani - powiedział, wyciągając odznakę policyjną z kieszeni sportowej marynarki. - Przyjechaliśmy w sprawie małej Marysi.

- Och, już rozumiem, och, dobrze, już prowadzę do pana dyrektora...

- To facet prowadzi przedszkole? - szepnęła mi do ucha Dorota.

Wzruszyłem tylko ramionami i ruszyłem za Dawidem. Po krótkim namyśle zwróciłem się do Doroty:

- Spróbuj porozmawiać z dziećmi, dobrze? Gdyby przedszkolanki pytały, kim jesteś, powiedz, że jesteś psychologiem dziecięcym z komendy policji, czy coś w tym rodzaju - mrugnąłem do niej porozumiewawczo.

- Dobrze, postaram się czegoś dowiedzieć, a może i przedszkolanki coś powiedzą.

Dorota weszła do sali znajdującej się najbliżej nas, a my weszliśmy do leżącego naprzeciw niej gabinetu dyrektora tego przybytku. Proste, dębowe drzwi zdobiła tabliczka „Arkadiusz Kuśnierczyk - dyrektor”, z obowiązkową pszczołką w prawym dolnym rogu.

- Panie dyrektorze, policja w sprawie Marysi - zaanonsowała nas przedszkolanka.

- Dziękuję, Madziu. Niech wejdą - rozległ się głęboki, basowy głos z wnętrza gabinetu.

Pierwsza myśl, jaka urodziła mi się w głowie, była taka, że wygląd tego człowieka w ogóle nie pasuje do głosu, który z siebie wydawał. Wysoki, szczupły, ubrany z niedbałą elegancją business casualu - człowiek sukcesu. W towarzystwie byłby brany raczej za prezesa wielkiej firmy niż dyrektora małego przedszkola.

- Dzień dobry panom - powiedział. - W czym mogę pomóc?

Uścisnęliśmy sobie dłonie, po czym usiedliśmy przy jego biurku. Moją uwagę zwrócił wystrój wnętrza, a szczególnie wiszące w nim zdjęcia: na każdym z nich Kuśnierczyk stał przed innym budynkiem, z inną gromadką dzieci dookoła siebie. Jedynym zdjęciem różniącym się tematyką była fotografia samego dyrektora w towarzystwie przeciętnej urody kobiety (jednak niezwykle gustownie ubranej, co rekompensowało braki w naturalnym wyglądzie) i dwójki dzieci - zapewne żony wraz z pociechami. Wyglądała dziwnie znajomo.

- Prowadzę sieć przedszkoli - wyjaśnił Kuśnierczyk, widząc moje spojrzenie wodzące po fotografiach. - Każde nosi imię innego bohatera kreskówek i jest utrzymane w jego tematyce. Dzieciaki to uwielbiają, może dlatego rodzice tak chętnie dają mi je na przechowanie - zaśmiał się, ale było w tym coś wymuszonego.

- Proszę mi powiedzieć... - zaczął Dawid - o której przedszkolanki zauważyły, że nie ma Marysi?

- To było jakoś... nieco po jedenastej. O dwunastej mamy obiad, więc dzieciaki wracają do środka, żeby umyć ręce i nieco się uspokoić po zabawie na zewnątrz. Dochodzi dwunasta trzydzieści, tym bardziej jestem pełen podziwu dla szybkiej reakcji policji.

- Powinien pan podziękować swoim podwładnym, że tak szybko nas o tym poinformowały - odparł Dawid. - Muszę zadać kilka podstawowych pytań. Czy rodzice Marysi są zamożni?

- Nieszczególnie, typowa klasa średnia. Jak większość rodziców oddających nam swoje pociechy. Nie zarabiają zbyt wiele, ale na tyle dobrze, żeby było ich stać na prywatne przedszkole.

- Rozumiem... Wobec tego prawdopodobnie możemy odrzucić możliwość porwania dla okupu. Proszę mi więc powiedzieć, czy w ostatnich dniach kręcił się tu ktoś podejrzany? Jacyś ludzie, którzy tylko przychodzili popatrzeć na przedszkole?

- Nie, niczego takiego nie zauważyliśmy. Mamy tu monitoring, mogę panom pokazać nagrania, obawiam się jednak, że nie znajdziecie na nich nic ciekawego. Sam przejrzałem ja zaraz po tym, jak zniknęła Marysia, lecz tam, gdzie, jak mówią przedszkolanki, bawiła się ostatnio, monitoring nie sięga; to jak na złość jedyne martwe pole w całym systemie.

- Mimo wszystko chciałbym zerknąć - powiedziałem, wstając z krzesła.

- Ależ oczywiście - powiedział Kuśnierczyk, po czym wyszedł ze mną z gabinetu i wskazał drzwi na samym końcu korytarza. - Proszę zapukać, któraś z księgowych pana wpuści. Komputer od monitoringu jest w pokoju po lewej.

Chyba zobaczył moje uniesione brwi na dźwięk słowa „księgowe” (w przedszkolu? naprawdę?). Zaśmiał się tylko sztucznie i wyjaśnił:

- Jak już mówiłem, prowadzę całą sieć przedszkoli, w którymś z nich musiałem więc urządzić biuro. Padło na „Pszczołkę”.

Wzruszyłem ramionami i poszedłem na koniec korytarza, zostawiając Dawida ze zbyt dystyngowanym jak na moje standardy rozmówcą. Niech męczy się sam, ja w tym czasie miałem zamiar zerknąć na monitoring, a potem wypytać przedszkolanki. Parę rzeczy nie dawało mi spokoju, ale nie potrafiłem zdefiniować, czym były. Miałem dziwne wrażenie, że coś przecieka mi przez palce, a ja nie jestem zdolny tego pochwycić. A może to tylko wrażenie? Cholera wie.

Zapukałem. Usłyszałem stłumione szurnięcie odsuwanego krzesła i pospieszne kroki krótkich nóżek.

Na tym świecie spotkałem tylko dwa rodzaje księgowych. Pierwszy to wysokie, chude, stare i upierdliwe babska ze sztywno zaciśniętym kokiem na głowie i jeszcze sztywniejszymi manierami, jakby ktoś im w pochwę włożył kij, który trzymał je nienaturalnie wyprostowane. Drugi rodzaj jest kompletnie odwrotny - niziutkie, okrągłe (dosłownie) kobietki, o zawsze roześmianych twarzach, z błyskiem wiejskiej plotkary w oku. Nie istniało nic pomiędzy. Tak czy inaczej, ja jeszcze nie odkryłem takiego gatunku.

Kobieta przede mną należała do drugiej podgrupy i do tego stopnia

odpowiadała moim stereotypom, że aż miałem ochotę się roześmiać na jej widok.

- Tak? Kim pan jest? - zapytała, nieco zdyszana przebyciem od biurka dystansem (biurowa wersja maratonu).

- Dzień dobry, nazywam się Tomasz Radziejowski, jestem prywatnym detektywem. Pomagam komisarzowi Dąbrowskiemu w poszukiwaniu małej Marysi. Mogę wejść? Dyrektor powiedział, że mogę rzucić okiem na monitoring.

- Ależ oczywiście, kochanieńki, chodź, chodź do środka. Może kawki?

(„Kochanieńki”, hę?). Grzecznie odmówiłem kawy i nie tracąc czasu, przeszedłem do pomieszczenia po lewej stronie, gdzie miał stać komputer od monitoringu.

- A może herbatki? Mam też jakieś ciasteczka w szafie... - nie przestawała trąkotać księgową.

- Nie, nie, bardzo dziękuję, pani...

- Och, ależ ja się nie przedstawiłam - powiedziała speszona. - Danusia, miło mi - i wyciągnęła w moją stronę pulchną dłoń.

Uścisnąłem ją, czując wszystkie pierścionki, jakie miała na tłustych palcach. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że ledwo oddycham - zapach jej perfum był wręcz obezwładniający; typowe dla tego typu dam słodkie połączenie woni kwiatów z odświeżaczem powietrza.

Usiadłem przed komputerem, uruchomiłem program rejestrujący nagrania z kamer, jednak zgodnie ze słowami Arkadiusza Kuśnierczyka nie znalazłem tam absolutnie nic. Nie miałem czasu na spędzenie godziny na oglądaniu bawiących się dzieci, zrezygnowany wyłączyłem więc komputer i podszedłem do okna, które wychodziło na placyk zabaw. Rozejrzałem się dokładnie, szukając miejsca, którego nie zaobserwowałem na kamerach i dość szybko je znalazłem. W samym rogu placu, tuż przy płocie stała sporych rozmiarów piaskownica. (Cóż za błyskotliwy system monitoringu, ot takie tam martwe pole, mogła się tam zmieścić raptem dziesiątka dzieci, nic nie ma prawa im się stać, bo strzeże je przecież dobra wróżka...). Na chwilę wstrzymałem oddech.

Nawet z tej odległości mogłem dostrzec, że coś było nie tak.

- Płot w rogu placu jest przerwany - powiedziałem ni to do siebie, ni to do pani Danusi.

- A, tak... Policjanci z patrolu, który przyjechał tu jako pierwszy, też to zauważyli. Pewnie jakiś szczeniacki wybryk, jakieś nastolatki musiały tu przyjść przedwczoraj i się wydurniać. Pan Włodek miał go wczoraj naprawić, z tego, co pamiętam...

- Pan Włodek?

- Nasz woźny - wyjaśniła księgowa. - Bardzo dziwny człowiek... ale dzieci go uwielbiają, no i zna się na tym, co robi. Widzi pan ten plac zabaw? - Skinąłem potakująco głową. - Wszystko zrobił sam. Nawet tą pszczołkę na sprężynie - powiedziała, wskazując ręką na kiwający się kawałek drewna.

- Za chwilę pójde z nim porozmawiać.

- Dobrze, jego kantorek jest po drugiej stronie budynku, musi pan wyjść na zewnątrz i obejść przedszkole dookoła, na pewno pan trafi. Ale to naprawdę dziwny człowiek... Myślę, że ma nie po kolei w głowie, wie pan?

- Dlaczego?

- Potrafi iść przez korytarz, nagle się zatrzymać, zamachać rękami i uśmiechnąć się sam do siebie, ot tak, bez powodu. A potem iść dalej, jakby nic się nie stało. Czasem mam też wrażenie, że nic z tego, co mówię, do niego nie dociera. Ale dzieci naprawdę go lubią... - Pokręciła głową, jakby chciała powiedzieć: „dziwny jest ten świat”.

- Pani Danusiu, a może mi pani powiedzieć coś o dyrektorze? Wygląda raczej na biznesmena niż przedszkolankę... Pani pewnie wie o tym najlepiej, pilnując jego finansów - dodałem, próbując wkupić się w łaski.

- Pan Arek? Złoty człowiek, panie Tomaszu, złoty człowiek. A jego żona, pani Małgosia... wspaniała kobieta. Bardzo często nam pomaga, wprost uwielbia dzieci.

- Wydaje mi się, że skądś ją znam...

- Bardzo możliwe, kochanieńki. Pani Małgosia jest bardzo społeczną osobą, z pewnością widział ją pan na jakiejś akcji dobroczynnej lub podobnym wydarzeniu...

Nie, to nie było to. Małgorzata Kuśnierczyk wydawała mi się znajoma, choć nie wiedziałem, skąd bierze się to wrażenie. Może to tylko moja bujna wyobraźnia? Niemniej jednak... nie. Nie widziałem powodu, dla którego ta kobieta mogła zapaść mi w pamięć.

- Proszę mi powiedzieć... od jak dawna istnieje przedszkole?

- „Pszczółka”, kochanieńki? Dopiero dwa lata. Pozostałe przedszkola pan Arek otworzył pięć i sześć lat temu. Odniosły błyskawiczny sukces. Opłaty może nie są niskie, ale pan Arek zawsze dba o to, żeby w jego przedszkolach pracowały najlepsze opiekunki i najlepsze kucharki. Dzieciom niczego u nas nie brakuje - powiedziała księgowa z nieskrywaną dumą i uśmiechem pensjonarki.

- Rozumiem... Dziękuję pani, pani Danusiu. Będę już uciekał.



- Oczywiście, oczywiście... Mam nadzieję, że szybko znajdziecie małą Marysię... Pani Małgosia bardzo się zasmuciła, gdy dowiedziała się, że mała zniknęła.

- Naprawdę?

- Tak... Wie pan, jak to jest. Każdy ma swoich ulubieńców, a pani Małgosia zdawała się uwielbiać Marysię. Często przyprowadzała tu swoich synków, żeby mogli się z nią bawić.

- Rozumiem... Chyba ma pani rację. Każdy ma swoich ulubieńców. Do widzenia! - rzuciłem na odchodne, po czym wyszedłem z pokoju księgowej.

Ledwo zamknąłem drzwi, odwróciłem się i niemal zderzyłem się z Dorotą, która wychodziła z sali starszaków.

- I jak? - zapytałem.

- Bez rewelacji... - westchnęła Dorota. - Przedszkolanki zdają się kompletnie nie interesować tymi dziećmi, żadna z nich nie była mi w stanie powiedzieć, gdzie była Marysia, kiedy zawołały dzieci na obiad.

- A dzieci? Powiedziały ci coś ciekawego?

- O, tak. Dzieci były bardzo rozmowne. Jeden chłopczyk nawet przytulił się do mnie i powiedział, że mnie kocha - roześmiała się. - A jedna dziewczynka w starszakach o mały włos nie zagadała mnie na śmierć opowieścią o swoich kucykach Pony... Z tego wszystkiego dowiedziałam się tylko, że Marysia przez cały czas bawiła się dziś w piaskownicy. I że dużo rozmawiała z jakimś panem Włodziem.

- To ich woźny... Właśnie szedłem z nim porozmawiać, idziesz ze mną?

- Tak, pewnie - odparła Dorota, ale nagle się odwróciła, bo coś szarpnęło ją za sukienkę.

- Ciocia! Ciocia! - wołała mała dziewczynka, szarpiąc sukienkę Doroty, a ja patrzyłem z rozbawieniem, jak Dorota próbuje powstrzymać ją przed zsunięciem się z bioder.

- Tak, kochanie? - zapytała delikatnym tonem dziewczynkę.

- Chodź do nas, ciocia! Nie pokazałam ci jeszcze jednego kuczka! - trąkotała radośnie pięciolatka.

Dorota rzuciła w moją stronę wymowne spojrzenie, a ja przewróciłem na ten widok oczami. Zaśmialiśmy się oboje, po czym rad nie rad wszedłem za Dorotą do sali. Dzieci w takim stężeniu to zdecydowanie nie moja bajka - pomyślałem. Hałas był wręcz niesamowity, byłem niemal pewien, że przedszkolanki muszą nosić w uszach stopery, żeby wytrzymać to na co dzień.

Rozejrzałem się po pomieszczeniu. Dywan pokrywało wyszyte na nim miasto, po ulicach którego chłopcy jeździli swoimi samochodzikami, wydając z siebie donośne „wruum, wruum”. Dziewczynki układały puzzle, malowały, bawiły się lalkami. Część dzieci siedziała w rogu, gdzie w wielkich pudłach spoczywała ilość klocków Lego przyprawiająca nawet dorosłego faceta o szybsze bicie serca.

Po tym nagłym przyspieszeniu poczułem, jakby dopadła mnie arytmia – serce niemal stanęło w miejscu.

W przeciwległym kącie sali, przy oknie, stała samotna dziewczynka. Ubrana była w czerwono-czarną sukienkę w kratę i białe rajstopki. Nie widziałem jej twarzy, widziałem za to jej włosy, koloru miodowego, sięgające ramion.

Widziałem też jej stopy i to, w czym stały. A nie dało się tego z niczym pomylić – to była krew. Rozlewająca się równym okręgiem, jeszcze nieokrzepła plama krwi. Widziałem też miejsca, w których szkarłatne kropelki zabarwiły białe rajstopki. Jak zahipnotyzowany ruszyłem w jej stronę, ignorując otaczający mnie gwar i mrowie maluchów.

Podszedłem do niej i wyciągnąłem przed siebie drżącą rękę. Położyłem ją na ramieniu dziewczynki, po czym obróciłem w moją stronę.

Dziewczynka uśmiechała się od ucha do ucha. Jej szyja też. Dosłownie. Tak szeroko była poderżnięta. Z otwartej, paskudnej rany zwisały strzępki tkanek oraz kawałki chrząstek z krtani. Krew nie tryskała na wszystkie strony, lecz wypływała rytmicznie, falami, niemal słyszałem „gul, gul, gul” wraz z każdym pojawiającym się bąblem, który potem ściekał po makabrycznie czerwonej sukience.

– *Spóźniłeś się* – rozległ się głos w mojej głowie, ale doskonale wiedziałem, kto to powiedział.

Przestraszyłem się tak, że aż rzuciło mnie w tył i niemal przewróciłem się o stojący tam dziecięcy stoliczek. Dziewczynka dalej wpatrywała się we mnie, ale już się nie uśmiechała. Teraz była wyraźnie smutna, a z oczu ciekły jej łzy.

– *Już nie będę się mogła bawić...* – mówiła dalej, coraz smutniejsza.

Zacisnąłem powieki. To nieprawda. Jej tam nie ma. To nieprawda. Wcale nie widzę tej dziewczynki. Otworzyłem oczy. Dziewczynka wciąż tam była.

– Marysiu... – powiedziałem urywającym się głosem.

Obdarzyła mnie ostatnim spojrzeniem i zniknęła.

– Na co się patrzysz? – dobiegło mnie pytanie z za moich pleców.

Dorota podchodziła do mnie z małą fanką kucyków na rękach. Odwróciłem się w jej stronę, za wszelką cenę próbując opanować drżenie całego ciała. Spojrzałem jej w oczy. Chyba zrozumiała. W końcu dziś rano widziała mnie w tym samym

stanie.

- Tomasz?...

Stałem tam dalej, chłonałem iluzję, która wyparowała, zanim zdążyłem zespolić ją z rzeczywistością. Spóźniłem się. Znów się spóźniłem. Tak jak pięć lat temu... tylko że tym razem los dał mi szansę. Spóźniłem się.

- Tomasz?!

Gwar dziecięcego szczebiotu zdawał się odpłynąć w jakąś nieokreśloną otchłań poza postrzeganiem, a jedynym głosem, który przebijał się przez ten miszmasz, był głos Doroty, słodki, choć zaniepokojony... nagłący, a jednak niosący pociechę. Cholera, wiedziałem, że pakuję się w coś paskudnego. Uśmiech poderżniętego gardła pięcioletniej dziewczynki był tego wystarczającym dowodem.

- Spokojnie, nic mi nie jest... - odparłem, stopniowo wracając do świata żywych.

- Jesteś bardzo blady - powiedziała, wciąż tym samym, zaniepokojonym tonem.

- Usiądź, wyglądasz, jakbyś miał zaraz zemdleć.

Poklepałem się po policzkach z taką siłą, że świat przede mną zabarwił się na różowo, na czarno, potem na moment zgasł. A potem, niczym powolny autofocus w aparacie cyfrowym, wzrok odzyskał ostrość, a barwy właściwe ciepło. Musiałem znaleźć Dawida.

- Wszystko w porządku, Dorota - usłyszałem swój głos, dobiegający jakby z drugiego piętra przez spiralne schody.

Nie, nic nie było w porządku. Pięcioletnia Marysia na pewno by się zgodziła. Nic nie było w porządku.

Ruszyłem z powrotem przez okupowany przez dzieci pokój, wyszedłem na korytarz i prawie biegiem rzuciłem się w stronę gabinetu dyrektora, gdzie siedział Dawid. Nie zdążyłem do niego wejść - Dąbrowski akurat opuszczał pokój, rzucając ostatnie słowa pożegnania do Arkadiusza Kuśnierczyka. Zamknął drzwi i w tej samej chwili dostrzegł mnie i Dorotę spieszącą za mną z wyrazem zdziwienia na twarzy.

- Tomasz, co się stało?

- Idźmy do samochodu, musimy poinformować ekipę...

- O czym?

- Po prostu idźmy.

- Tomasz, co...

- Czy możemy już iść?! - podniosłem głos.

Nie miałem czasu na durne tłumaczenia. Nie miałem czasu też się zastanowić,

dłaczego tak bardzo zależało mi na pośpiechu. Marysia nie żyła, a ja doskonale o tym wiedziałem. Mój pośpiech był jej już zbyteczny – zbyt późno zacząłem ruszać się we właściwym tempie. Może chciałem zamaskować poczucie winy? A może po prostu wciąż napędzała mnie adrenalina. Nie wiedziałem.

Wybiegłem na zewnątrz, jak lunatyk, na oślep brnąc w stronę samochodu Dawida. Usłyszałem dźwięk centralnego zamka – to Dawid otworzył samochód, oszczędzając mi szarpania się z klamką. Nie zdążyłem dobrze otworzyć auta, gdy usłyszałem przerywany trzaskami radia głos.

Już ją znaleźli.

## IV

Pomimo tego, że była niespełna trzynasta trzydzieści, miejsce w lesie, do którego dojeżdżałem swoim Sportagem, skryte było w głębokim mroku, przez który przebijały się tylko co odważniejsze plamki światła, przebywając drogę przez dach z liści. Może to moja wyobraźnia, ale gdy wysiadałem z samochodu i otwierałem drzwi pasażera Dorocie, dokoła widząc tylko zbiorowisko policjantów i radiowozów, miałem wrażenie, jakby temperatura otoczenia za nic miała sobie dzisiejszy letni upał, zamiast tego cofając się w czasie do wczesnowiosennych chłódów.

Obok mnie z samochodu wysiadał Dąbrowski, zdenerwowany, w pośpiechu, drżącymi rękami chowając kluczyki do kieszeni.

Ruszyliśmy w kierunku widocznej taśmy policyjnej, rozpiętej między drzewami. Widziałem techników, gorączkowo, lecz metodycznie przeszukujących centymetr po centymetrze odgradzoną połąć lasu; ich odblaskowe kamizelki mieniły się pomarańczową poświatą w okrucach słońca. Pośrodku tej sceny stały dwie silne lampy, niczym z tanich amerykańskich seriali, w których odcinek zawsze rozpoczyna się od znalezienia trupa, nad którym pochyla się patolog ustalający godzinę śmierci z pomocą stężenia pośmiertnego.

Gdzieś na uboczu mignął mi ryj Leśniaka, blady, wyraźnie wyprany z entuzjazmu, który okazywał wcześniej.

– Dorota, zaczekaj – powiedziałem nagle do idącej za mną dziewczyny. – Zostań tutaj. Nie powinnaś tego oglądać. Nie chcesz tego oglądać – dodałem po chwili namysłu.

– Tomasz, proszę, nie jestem już małą...

- Wiem - uciałem. - Ale uwierz mi... nie chcesz tego zobaczyć. Mogę ci zagwarantować, że do końca życia nie wyprzesz tego widoku z głowy.

- Mimo wszystko chcę zobaczyć, puść mnie, proszę, proszę, Tomasz... - mówiła, szarpiąc się ze mną, kiedy próbowałem ją powstrzymać przed pójściem w stronę taśmy.

W końcu ustąpiłem, wzruszając ramionami. Miała rację. Nie była już małą dziewczynką. Nie była też gotowa zobaczyć tego, co na nią czekało. Ja też nie byłem, pomimo tego, że już widziałem. Ruszyłem szybkim krokiem za Dorotą i wraz z Dąbrowskim przeszliśmy przez taśmę, podchodząc do miejsca, które oświetlały potężne jarzeniówki.

A potem usłyszałem tylko stłumiony pisk, po którym Dorota bezwładnie osunęła się na ziemię.

- O kurwa... - mruknąłem. - A mówiłem, żebyś nie szła...

# ROZDZIAŁ VIII

## I

Dorota wciąż leżała nieprzytomna, kiedy Tomasz przeniósł ją w poblizsze radiowozu. Już rozważał wzywanie karetki, kiedy dostrzegł, że gałki oczne dziewczyny ruszają się coraz szybciej pod zamkniętymi powiekami, a po chwili i te ostatnie zaczęły się otwierać, powoli, budząc się z oszołomienia.

- Dorota, słyszysz mnie? - zapytał Tomasz, delikatnie nią potrząsając. - Dorota?

Houston, brak kontaktu z bazą. Ziemia do bazy. Ziemia do bazy.

- Dorota, hej, otwórz oczy! - zawołał, potrząsając ramionami dziewczyny nieco brutalniej niż przed chwilą; osiągnął efekt.

- Toma... co... gdzie... gdzie... - wybełkotała, wciąż nie do końca świadoma.

- Widzisz, jednak jest sporo prawdy w przysłowiu o ciekawości, prawda? Masz tu swoje małe piekielko... - mruknął trochę do niej, a trochę do siebie detektyw.

Dorota zacisnęła powieki i zakryła twarz dłonią. Tomasz wyraźnie widział cienką strużkę łez spływającą po policzku i sam ledwo powstrzymał emocje.

- I tak byłaś dzielna... Większość po zobaczeniu takiego widoku najpierw pożegnałaby się, niestrawionym pokarmem z całego dnia, zanim by odpadła. Ty od razu przeszłaś do punktu numer dwa, gratuluje.

Powoli, mozolnie, z delikatną pomocą Tomasza, Dorocie udało się przenieść ciężar ciała z pleców, na których leżała, do pozycji mnicha po kilkunastu godzinach medytacji - szeroko rozsunięte nogi, oparte na pozbawionych czucia kolanach, zgarbione plecy, pochylona nisko głowa.

- To było... to było...

- Straszne? Tak, było... - westchnął, przysuwając się do Doroty.

Ta bez słowa wpiła palce w jego marynarkę i rozplakała się na dobre, opierając głowę na jego piersi. Przez sekundę Tomasza sparaliżowało zdziwienie, jednak potem uniósł ręce i objął ją, po raz drugi w przeciągu dwóch dni gładząc jej włosy i próbując ją uspokoić.

- Już spokojnie, mała... - mówił do niej, porzucając wszelką, nawet

przyjacielską formalność. – Mówiłem ci, żebyś tam nie szła, prawda? A ty i tak musiałaś zrobić swoje...

– Nie... nie spodziewałam się... Boże... to było... Ma... Marysia...

Fakt, miała rację, tylko wzywała niewłaściwą osobę, bo Bóg w tym momencie zdecydowanie patrzył w inną stronę. Może oglądał wybory Miss Universe, może mistrzostwa świata w grze w szachy? Na pewno nie rzucił okiem na porzuconą na polanie niczym szmaciana lalka dziewczynkę, z której zdążyło już upłynąć więcej krwi, niż byliby w stanie pobrać w punkcie krwiodawstwa przez pół roku. Tomasz nie przyglądał się jej zbyt długo – pierwszy rzut oka wystarczył, żeby zobaczyć, że wszystkie szczegóły są takie same jak w wizji, której doświadczył w przedszkolu, z jednym wyjątkiem: krew przestała wypływać z otwartej rany, pozostawiając po sobie wielki bąbel skrzepu w miejscu, gdzie przed niespełną godziną dziewczynka miała pełnoprawną, funkcjonującą krtań. Życie jest kurewsko niesprawiedliwe, nieprawdaż?

## II

Wisienką na torcie całego zdarzenia było znalezienie niespełna trzydzieści metrów dalej, w gęstych krzakach, zwłok mężczyzny, dla odmiany z gardłem przebitym niemal na wylot; nóż musiał osunąć się na kręgosłupie, gdyż rana wychodziła z lewej strony szyi. Mężczyzna ubrany był w zwyczajny, niebieski strój roboczy na szelkach. Tomasz domyślał się, kim jest ten mężczyzna, zanim jeszcze go zobaczył.

Może powiedziała mu to jego intuicja, może szósty zmysł, a może duch Marylin Monroe; pan Włodek niczego już nie naprawi w „Pszczółce” ani nie uśmiechnie się sam do siebie, idąc korytarzem – ostatni uśmiech zastygł mu w wyrazie paroksyzmu na martwej twarzy.

## III

Technicy mieli pracować jeszcze przez bite dwa dni, lecz nie udało im się ustalić nic ponad to, czego niemal od razu po odnalezieniu zwłok domyślili się Dąbrowski z Radziejowskim, a co później udało się potwierdzić dowodami. To właśnie woźny zabrał dziewczynkę do lasu; to on ciągnął ją w sobie tylko wiadome

miejsce, a ona zapewne szła za nim radośnie, zadowolona z wycieczki z uwielbianym przez siebie panem Włodziem. I to właśnie uwielbiany pan Włódzio z sobie tylko znanego powodu uznał, że praca Boga Stwórcy w okolicach szyi dziecka wymaga poprawy. Udoskonalił więc dzieło stworzenia szkarłatnym półksiężycem.

Tomasz nie był przekonany co do przypadkowości tego zdarzenia. Zbyt wiele czynników, których jeszcze nie rozumiał, krzyczało do niego: „Tomasz, coś tu jest kurewsko nie tak, poskładaj to do kupy, człowieku, zanim będziesz zbierał jeszcze większe gówno”.

Zagadką pozostawało przede wszystkim to, po co pan Włodek przyprowadził Marysię do lasu. Kolejną tajemnicą była osoba, która wywierciła dziurę w szyi pana Włodka... bo nie wyglądało to na robótkę ręczną właściciela. Ktokolwiek to zrobił - był ostrożny. Nie znaleziono ani skrawka włosa, ani strzępka odcisku palca; jedyny ślad znajdował się na leśnej drodze tuż przy miejscu zdarzenia - ślady opon auta, które najwyraźniej odjechało stamtąd w pośpiechu. Badania odlewów okazały się bezcelowe, na ich podstawie można by zamknąć jakieś trzy tysiące osób w samym tylko Mieście.

Resztę dnia po odnalezieniu zwłok dziewczynki i jej oprawcy Radziejowski wraz z Dorotą spędził na komendzie, pozwalając posterunkowemu spisać ich zeznania, co potrwało niemożliwie dużą ilość czasu. Kiedy wreszcie skończyła się cała papierkowa robota i mogli się wydostać na zewnątrz z betonowego więzienia, dochodziła dziewiętnasta.

Oboje byli zbyt zmęczeni, żeby rozmawiać. W drodze powrotnej na Sosnową Tomasz kątem oka widział, jak Dorota przysypia w fotelu pasażera, by po chwili rozbudzić się z letargu z wyraźnym drżeniem. Na zewnątrz wciąż było jasno, jednak niebo pomału zaczynało się pokrywać różowawą poświatą zachodu słońca. Dla Tomasza niebo miało dziś barwę krwi zakrzepłej na sukience w kratę.

Dorota była zmęczona jak chyba nigdy w swoim życiu. Wracając z komendy, za wszelką cenę starała się pozostać po stronie przytomnych, jednak jej wzrok uparcie tracił ostrość, a kształty wyrazistość, gdy bezwolnie osuwała się w objęcia snu, wciąż będąc trzymaną za rękę przez jawę. Gdy tylko zamykała oczy, widziała małą Marysię, porzuconą pośrodku polany.

Myślała też o Tomaszu, o jego zachowaniu rano i wtedy, w przedszkolu... Współczuła mu. W nocy słyszała, jak rzuca się w łóżku przez sen, no i ten krzyk, gdy się obudził... Widziała czarne kręgi pod jego oczami i siatkę czerwonych nitek przekrwienia intensywnie barwiącą jego gałki oczne, zmieniającą je w mapę



systemów nerwowych.

To było tak dziwne... Znała tego człowieka od trzech dni, a czuła, jakby znała go od zawsze. I martwiła się o niego. Coś w jego oczach mówiło jej, że ma o co.

- Jesteśmy na miejscu - wyrwał ją z rozmyślań Tomasz.

Odpowiedziała coś w stylu „mhmpf” lub podobnie, po czym wysiadła z samochodu, delikatnie się zataczając, jak pijak, który ma wlane w siebie na tyle, by odczuć wiatr zachodni, jednak dostatecznie niewiele, by ustać na nogach.

- Jesteś pewna, że nie chcesz jeszcze jechać do szpitala zobaczyć co u brata?

- Nie. Gdyby się przebudził, mama od razu by zadzwoniła, jestem pewna.

Tomasz tylko skinął głową i poprowadził ją ponownie do swojego mieszkania. Czuł się trochę dziwnie, wpuszczając do środka dwanaście lat młodszą dziewczynę, pomimo świadomości, że jest to tylko jego klientka.

- Kawy? - zapytał, gdy tylko weszli do środka.

- Chętnie - odpowiedziała Dorota, rozmasowując sobie kark.

Cała była obolała jeszcze od momentu, w którym upadła, mdlejąc na widok martwego dziecka.

Szum wody w czajniku działał na nich uspokajająco - załątek normalności po całym dniu spędzonym w oderwaniu od tego, co realne.

Tomasz postawił przed Dorotą kubek parującego napoju i sam usiadł obok, trzymając swój kubek w dłoni. Upił łyk, po czym spojrzał na Dorotę i zapytał:

- Dobrze się czujesz? To nie był łatwy dzień.

- Tak, teraz już tak, ale... to i tak było straszne. Nigdy jeszcze nie widziałam na własne oczy trupa.

- To wybrałaś sobie chyba najgorszą możliwość, żeby go zobaczyć, uwierz mi. Nawet ja, choć widziałem wiele razy martwych ludzi, nie jestem w stanie przejść do porządku dziennego nad zwłokami pięcioletniego dziecka.

- To znaczy, że jesteś dobrym człowiekiem, wiesz? - odparła, delikatnie się uśmiechając.

Zanim zdążył coś odpowiedzieć, Dorota przysunęła się bliżej i oparła swoją głowę na jego piersi. Po raz kolejny zaskoczyła go do tego stopnia, że nie wiedział, co zrobić ani co powiedzieć. W końcu odstawił ostrożnie kubek z kawą i delikatnie przytulił Dorotę, gładząc jej kark czubkiem palca. Chyba jej się to podobało, bo odchyliła głowę, żeby jak najbardziej odsłonić szyję. Pięć minut później już spała.

- I co ja mam z tobą zrobić, hm? - mruknął do siebie Tomasz, słuchając rytmicznego, spokojnego oddechu dziewczyny.

Siedział tak w absolutnej ciszy, rozpraszanej jedynie wdechem i wydechem śpiącej Doroty. Rozmyślał nad dzisiejszym dniem i tym, że nie powinien był pozwolić jej tego oglądać. On sam na samo wspomnienie dostawał skurczu jąder; śmiało mógł zaliczyć dzisiejszy widok do najgorszych w swoim życiu.

Co gorsza, nie przybliżyło ich to ani na moment do rozwiązania tajemnicy sprzed pięciu lat ani do ujęcia osób lub osoby odpowiedzialnej za zniknięcie dzieci. Było też coś innego, co nie dawało mu spokoju... Sama osoba dyrektora przedszkola była dostatecznie dużym powodem do podejrzliwości, choć z drugiej strony czuł, że być może przesadza. To, że ktoś posiada sieć przedszkoli, a nosi się jak szef korporacji, nie oznacza jeszcze, że porywa dzieci i na przykład... sprzedaje je za granicę? Albo zabija, wycinając im serca. Jutro będzie musiał dokładniej przyjrzeć się rodzinie Kuśnierczyków.

Miał dziwne wrażenie, że gdzieś już widział żonę dyrektora, Małgorzatę. Nie na żywo, ale gdzieś na zdjęciu, całkiem niedawno. Za nic w świecie nie mógł sobie jednak przypomnieć gdzie, no i czy nie był to tylko wytwór jego zmęczonego umysłu.

Czuł przemożną ochotę zapalenia papierosa, jednak z Dorotą śpiącą tuż pod jego brodą było to średnio możliwe. Poza tym, ostatnia paczka wciąż uparcie leżała w schowku jego samochodu. Zadowolili się więc powolnymi łykami kawy, starając się przy okazji nie zbudzić Doroty. Jeszcze nie.

Gdy w końcu postanowił zabrać ją z objęć sennych mar, zbliżała się północ.

- Dorota... - powiedział, delikatnie potrząsając dziewczyną. - Dorota...

Dorota obudziła się, a jej otumanione spojrzenie wyraźnie pytało „gdzie ja jestem?”. Chyba zdała sobie sprawę, bo nagle spróbowała gwałtownie odsunąć się od Tomasza. Upadła na podłogę z donośnym łupnięciem.

- Hej, spokojnie, pobudzisz sąsiadów - powiedział detektyw.

- Tomasz, ja... przepraszam, nie chciałam tak zasnąć... - powiedziała, czując, jak jej twarz coraz wyraźniej przybiera barwę światła stopu.

- Nic się nie stało, zmęczenie wzięło górę, a ja byłem akurat pod ręką. Dosłownie. Ale teraz powinnaś się umyć i położyć w prawdziwym łóżku, a nie zwinięta na kanapie. Musisz wypocząć, dość wrażeń na dziś.

Dorota, dalej cała czerwona na twarzy, poszła po swoje rzeczy i po chwili była już w łazience. Tomasz przez moment myślał o jakiejś kolacji, ale podejrzewał, że podobnie jak on, Dorota nie będzie miała ochoty na jedzenie. Nie o tej porze i nie po tym wszystkim. Chciał chociaż zapalić papierosa, jako substytut posiłku; otoczyć się chmurą dymu, czekając, aż jego tymczasowa współlokatorka wyjdzie

z łazienki - rzeczywistość po raz kolejny dała mu po pysku: fajki były w samochodzie.

Miał też nadzieję, że na dziś koniec niespodziewanych wizyt, poderżniętych gardeł i zwłok dzieci. Czuł, że na ten moment otrzymał dawkę tego wszystkiego w takim stężeniu, że normalny człowiek umarłby na zawał. Myślał, co zrobić następnego dnia... ale póki co nic szczególnie konstruktywnego nie chciało mu przyjść do głowy, pozostawił więc tę kwestię otwartą.

Chwilę później usłyszał otwierane drzwi i pstryk gaszonego światła. Obejrzał się i po raz kolejny czuł, jak coś ściska go za gardło, choć może nie było to właściwe porównanie. Czuł, jakby między żebrami siedziało mu zwierzątko, które ze wszystkich sił próbowało się wydostać z klatki. Zwierzątko zamruczało z aprobatą na widok Doroty ubranej wyłącznie w różową koszulę nocną z białą, puchatą pandą na piersiach. Bardzo starał się utrzymać wzrok na twarzy dziewczyny, nie pandy, jednak szybko dał sobie spokój, bo domyślił się, że wygląda jakby miał zeza - jego oczy żyły własnym życiem.

- Chciałam ci tylko życzyć dobrej nocy i... podziękować, że mogę tu zostać kolejny raz.

- Nie dziękuj, nie ma za co, Dorota - odparł Tomasz. - A teraz marsz do łóżka!  
- dodał, śmiejąc się. - Musisz się wyspać po takim dniu.

- Tomasz, pojedziesz jutro ze mną do szpitala?

- Tak, oczywiście, zawiozę cię.

- Nie, nie zrozumiałeś mnie. Pójdiesz ze mną zobaczyć, w jakim stanie jest Marek?

- Tak... tak, jasne - odparł zdumiony.

- Dziękuję. No, to uciekam do łóżka. Dobranoc. - Pomachała mu, uśmiechając się przy tym dostatecznie słodko, żeby jego wewnętrzny zwierzak zatelepał w klatkę.

Tomasz odprowadził wzrokiem Dorotę, po czym zerwał się z kanapy i wyszedł na zewnątrz, by zabrać z samochodu paczkę papierosów. Pierwszego zapalił jeszcze na zewnątrz i poczuł momentalnie ulgę. Dopalił do końca, wyrzucił filtr w ciemność na podwórku i wrócił do mieszkania. Rozparł się na kanapie, włączył telewizor, by dać tło swoim myślom. Westchnął i zapalił kolejnego papierosa, po raz kolejny myśląc, że warto by było w końcu rzucić. Pomijając oczywiste kwestie finansowe... Ta drobna przyjemność nie była warta raka prostaty. Płuc też nie.

Jego myśli znów uciekły w stronę leżącej w małym pokoju dziewczyny. Była od niego dwanaście lat młodsza, ale wydawało się, że jej to nie przeszkadza. Ani razu

nie poczuł, żeby czuła się onieśmielona jego wiekiem; rozmawiała z nim i śmiała się, jakby była co najmniej w jego wieku. Może...

Nie, stop - pomyślał. To jest moja klientka. Biorę od niej pieniądze. Znaczą się, wezmę, gdy sprawa zostanie zakończona. Nie mogę myśleć o takich rzeczach, to by było nieprofesjonalne - skarcił sam siebie.

Zanurzony głęboko w odmętach swoich własnych myśli nawet przestał odczuwać, kiedy obrazy w jego głowie przestały być wizualizacją treści, a stały się treścią samą w sobie w sennym mirażu. Zaczął odpływać, ale nie stawiał przesadnego oporu. Pozwolił kończynom, by swobodnie opadły, a całe ciało zrobiło się ciężkie, jednocześnie uwalniając ducha z ciężaru codzienności. Dorota w sąsiednim pokoju zaczęła już delikatnie pochrapywać, co oznaczało, że szybko usnęła.

# ROZDZIAŁ IX

## I

Trwało to dosłownie chwilę. Nie byłem do końca pewien, czy najpierw poczułem czyjąś obecność, czy usłyszałem ciche kroki na drewnianej podłodze – coś gwałtownie przywróciło mnie do świata żywych i zerwało z kanapy, na której zasnąłem. Mieszkanie spowijał mrok, rozprasznany jedynie przez wpadające do środka światło latarni ulicznej.

W kącie pokoju stała kobieta. Ta sama kobieta, która dzień wcześniej pojawiła się w łazience Doroty, omal nie przyprawiając jej o śmierć z przerażenia. Sama twarz kobiety była wystarczającym czynnikiem, żeby postradać zmysły, a nawet życie. Groteskowa, przerażająca, zastygła w wyrazie, który można nazwać tylko „upiornym”, jakkolwiek kliszowo by to nie brzmiało. I choć seria moich koszmarów pod tytułem „gnijąca panna młoda” ukazała mi dość okropnych szczegółów, by nie pozostawić miejsca na wyobraźnię, każdorazowo widok zjawy wywoływał te same mdlące sensacje w żołądku.

Stałem na środku pokoju, oddychając ciężko, lecz spokojnie, wpatrując się w widmo stojące w rogu. Stary zabobon mówi, że nie należy odzywać się do potępionej duszy, bowiem może się to skończyć przeniesieniem jej potępienia na żyjącą duszę człowieka, który ośmielił się zwrócić do ducha (w skrócie: nie gadaj z duchami, a nie będziesz przeklęty – jakie to proste). Ja jednak nie miałem się czym martwić; czułem, że nie ma na świecie szaleństwa, które mogłoby zagrozić mojemu zmęczonemu umysłowi w jego obecnym stanie.

– Dlaczego tu jesteś? – zapytałem koszmarnej kobiety.

Kobieta nie odpowiedziała, stała niewzruszona w kącie pokoju. A może to tylko koszmar? Może kolejny raz śnię o tej kobiecie, której nie mogłem uratować?

Podobno sny są projekcją naszych najbardziej ukrytych pragnień, czy wobec tego koszmary nie stanowią ekspresji naszych najgłębszych obaw i żalów? To, co spotkało Monikę Kropisz, znajdowało się bardzo wysoko na liście rzeczy, których żałowałem w życiu.

Wpiłem paznokcie głęboko w przedramię, szukając potwierdzenia

prawdziwości moich doznań. Syknąłem z bólu, a na ciele pojawiły się jasnoczerwone pręgi. Jeśli to był koszmar, to był wybitnie namacalny.

- Dlaczego tu jesteś? - spytałem ponownie.

Tym razem otrzymałem odpowiedź, najbardziej upiorną, jaka mogłaby paść; przywoływała na myśl stare japońskie filmy grozy z rodzaju „Klątwy” i „The Ring”.

Kobieta roześmiała się, odsłaniając tak dobrze znany mi z moich sennych mar przegniły język i wybrakowane uzębienie, czarne w ubarwieniu. Śmiech zdawał się wydobywać gdzieś ze ścian, a nie z wnętrza upiora. Do końca życia nie zapomnę tego gardłowego odgłosu; jej śmiech bardziej przypominał warczenie wilka ostrzegające przed atakiem niż jakikolwiek ludzki symptom radości bądź szaleństwa. Stawały od niego dęba włosy na karku, a serce przebijał lodowaty szpikulec strachu.

- Dlaczego tu jesteś?! - powiedziałem ponownie, nerwowo, w ostatniej chwili ścisząc głos, mając na uwadze śpiącą Dorotę.

- *Naprawdę się nie domyślasz, detektywie?* - wysyczał z pogardą upiór.

Głos kobiety był dokładnie taki jak ten, którym przemawiała do mnie w moich koszmarach. Ochrypli, stłumiony, jakby dobiegał do mnie przez warstwę ziemi.

- *Przyszłam odwiedzić tę małą dziewczynkę, detektywie Radziejowski. O tak, przyszłam zobaczyć, jak się miewa, wczoraj nie miałyśmy okazji porozmawiać, tak szybko uciekła* - powiedziała, wyszczerzając poczerwiałe zęby w szyderym uśmiechu.

- Zostaw ją w spokoju! - warknąłem gniewnie w stronę upiora.

- *Taaak? A dlaczego? Dlaczego miałabym zostawić w spokoju jakąkolwiek małą sukę związaną z tą kurwą, która zabrała mi męża?!*

Głos kobiety wcale nie przybrał na głośności, ale pobrzmiwała w nim realna groźba i wściekłość. W całym pokoju było zatrwająco zimno, dopiero po chwili zauważyłem parę wydobywającą się z moich własnych ust i... tak, jakkolwiek ciężko było w to uwierzyć, szron na oknach, wyraźnie widoczny we wnętrzu mieszkania.

Modląc się w duchu, żeby Dorota się nie obudziła, a tym bardziej nie wyszła z pokoju, odezwałem się do kobiety:

- Przecież ona nie ma nic wspólnego z twoim mężem! Dziewczyna, która przez ciebie umarła, też nie miała! - mówiłem dalej spokojnym, ale stanowczym tonem, jakbym tresował psa (może ten sposób podziała i na ducha?)

- *Nie próbuj jej teraz usprawiedliwiać, detektywie* - prychnęła. - *Na pewno bardzo dobrze pamiętasz, że mój mężulek uciekł z kochanką, a ta idiotka później*

*wróciła i zamieszkała w pokoju tuż obok mnie!*

- To przecież nie mogła być ona! - podniosłem głos. - Kobieta, którą wtedy pokazałaś mi jako kochankę twojego męża, była o wiele starsza od tamtej biednej dziewczyny. A ty mimo wszystko ją zabiłaś!

Upiór ponownie się roześmiał, po raz kolejny przyprawiając mnie o dreszcze przerażenia biegnące wartkim strumieniem przez środek kręgosłupa, odganiając dreszcze powstałe na skutek zimna.

- *Taaak, może to nie była ta kobieta... A może była... Czy to ważne? Wyglądała tak podobnie, że nie mogłam się oprzeć* - powiedziała, lubieżnie oblizując wargi przegniłym językiem.

Jesteś szalona - gotowało się na skraju mojej świadomości, gotowe wyjść na zewnątrz, jednak udało mi się powstrzymać myśl, zanim się zwerbalizowała. Jeśli coś mogło przyprawić dobrych ludzi o szaleństwo, to śmierć z pewnością była jednym z najpoważniejszych kandydatów.

- Dlaczego tu jesteś?! - zapytałem ponownie, patrząc na zjawę z mieszanką złości, odrazy i przerażenia.

- *Przecież już ci powiedziałam, prawda?* - odparła zjawę z tą samą lubieżnością w głosie i na twarzy. - *Porozmawiam sobie z dziewczyną... tak jak porozmawiałam sobie wcześniej z jej bratem... a jeszcze wcześniej z jej najlepszą przyjaciółką...*  
**BĘDZIE CIERPIEĆ TAK JAK JA!**

- Przecież ta dziewczyna nie ma z tym nic wspólnego, to nie przez nią straciłaś dzieci!

Kobieta jakby na moment straciła wątek. Gdyby miała oczy, na pewno wykwitło by w nich zdziwienie, miast tego mogłem tylko spojrzeć w czarną otchłań pustych oczodołów, wpatrzeć się w pozostałości mózgu, na moich oczach nadgryzane przez larwy. Przez krótką sekundę przebiło z niej człowieczeństwo, przez krótką sekundę poczułem obecność Moniki Kropisz, biednej, ale dobrej dziewczyny, która miała w życiu dużo pecha.

- Jeśli kogokolwiek możesz winić za to, że twoje dzieci nie wróciły... to tylko mnie - powiedziałem cicho.

- *Akurat! Nie zależało ci ani na nich, ani na mnie!*

- To nieprawda... Bardzo mi zależało na tym, by je odnaleźć. I na tym, by ci pomóc, Moniko...

Upiór wciąż stał w tym samym miejscu, nie wykonując od początku rozmowy ani kroku. Kobieta zamilkła na dźwięk moich słów, a ja kolejny raz poczułem ulotną emocję wypływającą z martwego ciała.

- Przez ostatnie pięć lat... wielokrotnie myślałem o twoich synach i o tobie. Do dziś nie daje mi spokoju, że nie wiem, co się z nimi stało, ale... być może niedługo się dowiem.

Kobieta podniosła głowę i ruszyła w moją stronę. Nie cofnąłem się, lecz nie udało mi się powstrzymać wzdrygnięcia obrzydzenia, gdy martwe dłonie spoczęły na moich ramionach, a w moje nozdrza uderzył zapach rozkładu i śmierci. Zamknąłem oczy. Wraz z ohydny odorem przyszło zrozumienie. To było tak proste, tak dziecinnie proste...

- To dlatego nie możesz pójść dalej, prawda? - zapytałem, zbierając się na odwagę i spoglądając prosto w puste oczodoły.

Jednak upiór przede mną zniknął. Widziałem piękną twarz kobiety, tak samo piękną jak pięć lat temu, gdy spotkałem ją po raz pierwszy, widziałem jej długie, czarne włosy; czułem też jej smutek.

- Nie wiem, co się z nimi stało... - wyszeptała stojąca przede mną kobieta. - Nie wiem, co się z nimi stało...

- Ja też nie. Ale to dzieje się ponownie... - powiedziałem, spuszczać wzrok, bojąc się spojrzeć jej w oczy. - Dzieci giną, a my nie wiemy dlaczego. Jednak tym razem na pewno się dowiem. Nie pozwolę, żeby kogoś dotknęło to, co spotkało ciebie, Moniko... i dowiem się, co stało się z twoimi dziećmi. Przyrzekam.

Uścisk na moich ramionach zelżał. Podniosłem wzrok, by ponownie spojrzeć na twarz Moniki, czego miałem potem żałować do końca życia. Jej twarz na moich oczach wróciła do poprzedniego stanu; w jednej chwili piękna, choć smutna - w następnej przerażająca, upiorna i naznaczona śmiercią.

- *A co jeśli ci się nie uda, detektywie?* - wysyczała złowrogo.

- Wtedy przyjdź po mnie. I tylko po mnie - odparłem, słuchając własnych słów dobiegających jakby z oddali. - Ta dziewczyna... - powiedziałem, spoglądając w stronę małego pokoju - ona nie ma z tym nic wspólnego. To właśnie ona do mnie przyszła, prosząc o pomoc. Próbując zrozumieć to, co się stało. To dzięki niej wróciłem do poszukiwań twoich dzieci. Jeśli zawiodę... będzie to wyłącznie moja wina.

Kobieta odsunęła się ode mnie i odwróciła. Poczulem mocniejsze bicie serca, mając nadzieję, że odejdzie.

- *Pamiętaj* - wycharczał upiór - *widzę twoje serce, detektywie. I wrócę. Pamiętaj, że wrócę.*

Po czym rozplynęła się w nicość.



## II

Stałem pośrodku pokoju, dysząc niczym olimpijczyk po pokonaniu triathlonu. Temperatura wewnątrz wyraźnie się podniosła, nawet zacząłem się pocić, ale uznałem to za dobry znak – organy podtrzymujące życie działały i miały się dobrze. Serce galopowało jak gazela goniona przez drapieżnika, ale to też przywitałem z ulgą. Odeszła...

Z pokoju obok dobiegł mnie cichy płacz. No tak... trudno było nie usłyszeć tej konwersacji.

Zebrałem się w sobie i wszedłem do małego pokoju. Zapaliłem światło i zobaczyłem Dorotę, wciśniętą w róg pokoju, siedzącą na łóżku, przyciskającą otulającą ją kołdrę, jakby od tego zależało jej życie. Nie musiałem wchodzić dalej, żeby zobaczyć płynące po jej policzkach łzy. Cała się trzęsała, jak podczas delikatnego ataku epilepsji.

- Dorota...

Ona tylko ukryła twarz w kołdrze i zaczęła rozpaczliwie kręcić głową, jakby w geście niedowierzania. Podeszedłem do niej i usiadłem na skraju łóżka.

- Dorota, już dobrze... - wyciągnąłem rękę w jej kierunku.

Gdybym stał, prawdopodobnie zwałiłaby mnie z nóg, z takim impetem przywarła do mnie, wrywając się nagle spod kołdry. Wciąż cała się trzęsała, przyciągnąłem więc kołdrę i okryłem nas oboje, pozwalając Dorocie pozostać wtuloną we mnie. Tulilem ją, jak rodzic tuli małe dziecko, które przyjdzie do niego zapłakane w środku nocy, rozbudzone ze złego snu, gładząc jej włosy i powtarzając „ciii, już dobrze, ciii...”.

- Ona... ona tu była... ona... - powiedziała, krztusząc się łzami.

- Tak, była - odparłem, mając ponownie przed oczami twarz przerażającej kobiety. - Ale już jej nie ma. Już wszystko dobrze.

- A co, jeśli wróci? - załkała Dorota, drgając spazmatycznie.

- Nie bój się... - uspokoiłem ją, tuląc mocniej do siebie. - Nie wróci. Nie dziś. I nie do ciebie.

Dorota rozplakała się na dobre, tuląc się do mojej piersi, ściskając w drobnych pięściach moją koszulę, która pomалу zaczynała przesiąkać jej łzami.

- Dla... dlaczego jej to powiedziałeś? Dlaczego powiedziałeś, że ma wrócić po ciebie, dlaczego?! - zapytała, w akcie niemocy klepiąc mnie otwartą dłonią.

- Bo to, co jej powiedziałem, było prawdą - wyszeptalem w odpowiedzi.

Dorota podniosła na mnie przekrwione, opuchnięte od łez oczy w niemym zapytaniu. Tylko skinąłem głową.

- To wszystko było prawdą... Przez te ostatnie pięć lat ta sprawa nie dawała mi spokoju. Wiem... może to mało męskie, może prawdziwy facet powinien się otrząsnąć po porażce i nie rozpamiętując jej, brnąć dalej przez życie, jednak ja wciąż nie mogę zapomnieć. Nie mogę sobie darować, że pięć lat temu ta kobieta odebrała sobie życie, bo straciła nadzieję... a ja nie mogłem nic zrobić, żeby jej tę nadzieję przywrócić. A tym bardziej życie - dokończyłem, czując, jak mój własny głos załamuje się i więdnie w krtani.

Dorota ponownie się do mnie przytuliła, a może raczej... przytuliła mnie. Po raz pierwszy od tak dawna poczułem rozplývające się po moim ciele ciepło troski drugiej osoby. Było to jak spotkanie przyjaciela, którego nie widziało się od lat. Nieco dziwne, nieco niespodziewane, ale... cudowne i niosące pociechę. Gładziłem ją po włosach i mimowolnie ucałowałem je w pewnym momencie. Poczułem, jak Dorota przytula mnie mocniej. Jej drżenie stopniowo ustawało, a z pomocą wydobytej z mojej kieszeni chusteczki oczy zaczynały wracać do normy. Czułem ciepło i delikatność jej ciała okrytego jedynie cienką warstwą materiału; jej miękkie piersi skryte za łebkiem pandy, jej zapach kojący skołataną nerwy.

Zwierzak drzemiący w klatce mojego wnętrza zbudził się i niemal zerwał się z łańcucha. Cholerna bestia...

- Tomasz, dziękuję...

Teraz to ja spojrzałem na nią z niemym pytaniem na twarzy.

- Dziękuję. Gdyby nie ty, ja... ja nie wiem, co by się stało. Nie wiem, co bym zrobiła, gdybym znów zobaczyła tę kobietę...

Czując zbliżający się nawrót ataku płaczu, ponownie ją przytuliłem, znów zachłystując się jej bliskością. Mój Boże, była cudowna.

- Ale nie zobaczyłaś. I mam nadzieję, że już nie zobaczysz. Mam nadzieję, że jeśli coś pójdzie nie tak... jedyną osobą, do której przyjdzie, będę ja. I nikt więcej. Tylko ja zasługuję na to, żeby ją zobaczyć... jakkolwiek to brzmi.

- Nie mów tak, Tomasz. Nie mów tak. To nie była twoja wina. To nie twoja wina, że coś złego przydarzyło się jej dzieciom.

- Wiem... ale nie daje mi spokoju fakt, że do dziś nie wiem, co tak naprawdę stało się z tymi dziećmi. Nie daje mi spokoju to, że gdybym na czas się tego dowiedział, Monika mogłaby nadal żyć, nawet jeśli nie miałbym jej do przekazania dobrych wieści. Ona odebrała sobie życie, bo nie mogła znieść niepewności.

A jednocześnie jej niepewność spadła na mnie i żyję z nią od pięciu lat – dokończyłem cicho. – Przepraszam, wiem, to musi brzmieć żałośnie...

– Nie, wcale nie. Dziękuję, że mi o tym powiedziałaś – odparła, obdarzając mnie najpiękniejszym ze swoich uśmiechów, na jaki było ją stać o tak późnej porze, przy takich okolicznościach.

– Powinnaś się położyć. Rano pojedziemy do twojego brata. Raczej nie chciałby zobaczyć po przebudzeniu zombie zamiast twarzy swojej siostry.

– No na pewno – zaśmiała się. – Mam nadzieję, że się obudzi... Lekarze mówią, że może to nastąpić w każdej chwili.

– Ja też mam taką nadzieję – powiedziałem, gładząc ją po karku i uśmiechając się na widok wyraźnej przyjemności, którą jej to sprawiało. – A teraz dobranoc, młoda damo.

– Tomasz...

– Tak?

– Posiedzisz przy mnie przez chwilę?

Na moment po raz kolejny tego dnia odebrało mi mowę. Po chwilowym braku kontaktu skinąłem twierdząco głową i przysiadłem na skraju łóżka, obserwując leżącą obok Dorotę. Gładziłem delikatnie jej włosy, czekając, aż jej oddech się uspokoi, co oznaczałoby, że odpłynęła do krainy snu. Nie trwało to długo, emocje opadły, opadła też energia we wnętrzu dziewczyny. Już po krótkiej chwili pogrążyła się we śnie, ja jednak zgodnie z obietnicą posiedziałem przy niej jeszcze trochę.

Gdy sam poczułem ogarniające mnie zmęczenie, ostatni raz spojrzałem na spokojną twarz Doroty i wiedziony nagłym impulsem ucałowałem jej czoło. Mógłbym przysiąc, że zobaczyłem w tym momencie uśmiech na jej twarzy, mogła to być jednak tylko gra cieni i mojej nazbyt wybujałej wyobraźni.

Wróciłem do dużego pokoju, gdzie czekała na mnie moja paczka papierosów. Wyciągnąłem jednego i zapaliłem, rozmyślając w otaczającej mnie ciszy i ciemności. Znowu poczułem, jak powieki mi ciążą, a oczy zamykają się same, mając więc w pamięci poprzednią noc, odłożyłem niedopałek papierosa do popielniczki, a sam poszedłem do łazienki, po czym położyłem się i zapadłem w krótki, niespokojny sen.

Myślałby kto, że po takiej dawce koszmaru na jawie Siła Wyższa na Górze mogłaby sobie odpuścić, jednak koszmary rządziły się swoimi prawami. Stephen King napisał kiedyś, że koszmary istnieją poza wszelką logiką, więc próby ich wyjaśnienia pozbawione są sensu. Dałbym jednak wiele, a może nawet wszystko za choćby łut zrozumienia tego, co działo się w mojej głowie po zapadnięciu zmroku i opadnięciu powiek. Nerozwikłane tajemnice zostają z nami najdłużej.

Znów stałem w lesie krzyży pośrodku pustkowia; byłem tu już wcześniej, lecz tym razem coś było inaczej – jak okiem sięgnąć, nigdzie nie widziałem obecnej w poprzednim śnie kapliczki. Poczułem, że coś ciągnie mnie za rękę i spojrzałem w dół.

Marysia, cała i zdrowa, ciągnęła moją rękę, jakby chciała mi powiedzieć „chodź, pokażę ci coś”. Poddąłem się bez oporu. Chciałem zadać pytanie, nawet otworzyłem usta, jednak nie wydobyło się z nich ani jedno słowo; ot, kolejny sen pozbawiony fonii. Koszmary faktycznie istnieją poza granicami logiki.

Dałem się więc bezwolnie prowadzić między krzyżami, w tym świecie zawieszonym gdzieś pomiędzy rzeczywistością a nierzeczywistością; w świecie bez dźwięku, w świecie, gdzie jedynym krajobrazem były moje własne paranoje.

Marysia zaczęła biec, biegłem więc razem z nią. Niczego nie rozumiałem. Niebo wydawało się spokojne, a powietrze było bardzo rześkie, jak o poranku, tuż po wschodzie słońca. Przede mną, jakby na potwierdzenie tej refleksji, jarzyła się łuna światła. Za mną jednak był zupełnie inny świat.

Wyglądało to tak, jakby niewidzialna siła spuściła z niebios czarną, lecz prześwitującą kurtynę i rozpostarła ją nieco za moimi plecami – wszystko, co znajdowało się przede mną, okraszone było łuną wschodu słońca, wszystko, co za mną, spowite zaś było w bezmiar mroku. W tym mroku widziałem wyraźnie małe ludzkie ciała wydostające się jedno po drugim spod znaczących miejsce ich spoczynku żeliwnych krzyży.

Niektórym z dzieci brakowało rąk. Inne miały groteskowo powykręcane kończyny. Wszystkie były martwe.

Marysia nie oglądała się za siebie. Zaczęła biec jeszcze szybciej, coraz mocniej zaciskając swoją rączkę na mojej dłoni i nakazując mi pośpiech.

Coś otarło się gwałtownie o moją twarz. Spojrzałem ku górze i zobaczyłem setki czarnych ptaków wylatujących stadami zza czarnej kurtyny, nie mogących jednak ulecieć ani kawałka dalej w skąpanej słońcem rzeczywistości, niczym zwiastuny nocy tracące swą moc o brzasku dnia; jedyne, co po nich pozostawało, to ogromna chmura czarnych jak smoła piór, opadająca deszczem na cmentarz.

Ponownie chciałem zapytać dziewczynki, dokąd mnie prowadzi, jednak nie musiałem. Na horyzoncie majaczył znajomy budynek kapliczki, odcinający się kształtem na tle krzyży porastających całą tę spustoszoną ziemię.

Wbiegliśmy do środka i zatrzasnęliśmy za sobą drzwi. Zdziwiłem się niesamowicie, słysząc trzask zasuw: najwyraźniej kapliczka opierała się pochłaniającej wszelkie dźwięki logice koszmaru. Marysia stanęła przy witrażu po drugiej stronie kapliczki, po czym odwróciła się do mnie i powiedziała:

- *Niech się pan nie smuci. Dzięki panu nie jestem taka jak tamte dzieci.*

Jej głosik był cichy, spokojny, niemal radosny. A ja czułem, jak wzbierają we mnie łzy.

- Ale ty... Marysiu, przecież ty...

- *Tak, nie żyję. Ale to nie takie złe, prawda? - powiedziała rezolutnie, z zupełnie niepasującym do swojego wieku rozsądkiem. - Są gorsze rzeczy, które mogą spotkać człowieka. To właśnie spotkało te dzieci. Los dużo gorszy niż mój. Cierpienie o wiele większe niż poderżnięte gardło.*

Miałem wrażenie, jakby te słowa wypowiadała o wiele starsza osoba ukryta w drobnym ciałku martwej dziewczynki. Koszmary istnieją poza granicami logiki.

- Co masz na myśli? Marysiu... co przydarzyło się tamtym dzieciom?

- *Nie mogę panu powiedzieć - odparła ze smutkiem, zaciskając rączki na swojej sukience w czerwono-czarną kratę, tej samej, w której umarła, lecz niezbrukanej krwią. - Musi pan sam to odkryć, by inne dzieci mogły odejść w pokoju. Tym tutaj nie można już pomóc.*

- Co...

- *Muszę już iść, panie Tomaszu.*

Skąd zna moje imię?

- *Niech pan pamięta. Niech pan uratuje inne dzieci, nim i dla nich będzie za późno.*

Inne dzieci?

- *Inaczej to, co zobaczył pan tutaj, może zdarzyć się naprawdę, nie tylko w koszmarze.*

O kurwa.

- *Niech pan im pomoże - powiedziała, uśmiechając się smutno. - I pamiętaj... widzę twoje serce - wyszeptała nieco zmienionym głosem, po czym jej kontury zaczęły blaknąć i nagle zniknęła.*

„Widzę twoje serce”. Już to dziś słyszałem. Nie mogłem się jednak nad tym zastanowić, bowiem kaplica zadygotała; z belek pod sufitem sypnął się kurz

i drzazgi, które spadły wprost na mnie. Prychając i plując, pobiegłem w stronę witraża, gdzie stała wcześniej Marysia. Kolejny wstrząs targnął kaplicą, a ułamek sekundy później witraż rozpadł się na miliardy malutkich kawałeczków, drzwi rozwarły się z hukiem i do środka wleciało stado Zwiastunów Nocy o jarzących się szkarłatem oczach i ostrych jak brzytwa dziobach.

Rzuciły się prosto na mnie z donośnym trzepotem skrzydeł i zaczęły w opętańczej furii dziobać moje ciało. Krzyczałem w niebogłosość, ale fonia znów rządziła się swoimi prawami, pozwalając słyszeć tylko wybrane dźwięki. Czułem, jak ostre dzioby rozrywają mi skórę; oszalały, w agonii runąłem na podłogę i zakryłem głowę dłońmi, które już były rozszarpywane przez czarne ptaszyska.

Nagle wszystko ustało, a kaplicę zalała fala światła. „Tomasz” – usłyszałem, niczym wezwanie pradawnego bóstwa. „Tomasz” – odbijało się echem ni to we wnętrzu mojej głowy, ni to we wnętrzu kaplicy. Głos był znajomy i kojący, stąpił się w jedno z zalewającym mnie światłem. Światło wypełniło całą przestrzeń, wypełniło mnie, odeгнаło krążące nad moim okaleczonym ciałem ptaki. „Tomasz!”

Usiadłem na łóżku z takim impetem, że niemal uderzyłem głową pochylającą się nade mną Dorotę. To ona mnie przywołała. To ona była światłem.

- Tomasz, to tylko sen... to tylko sen... – powtarzała do mnie, kładąc dłoń na moich plecach.

Oddychałem spazmatycznie, nierówno, kurczowo chwytając się za serce. Wciąż czułem fantom bólu spowodowanego przez dzioby upiornych ptaków, Zwiastunów Nocy.

„Pamiętaj... widzę twoje serce”.

- Już dobrze – spojrzałem w jej zaniepokojoną twarz i odetchnąłem – już dobrze.

## IV

Pół godziny później, otrzeźwiony zimnym prysznicem i gorącym kubkiem kawy zrobionym przez Dorotę, wybierałem numer telefonu Dąbrowskiego. Spojrzałem na zegarek, który uparcie nie chciał wskazać innej godziny niż piąta dwadzieścia. Pieprzyć to. Musiałem wiedzieć.

Po pięciu sygnałach w słuchawce rozległ się zaspany głos.

- Tomasz, czy cię już do reszty pojebało? Wiesz, która jest godzina?... Moja żona...

- Twoja żona powinna się już przyzwyczać do telefonów o nietypowych porach, prawda? Było nie było, jesteś policjantem.

- Tak, ale to nie zmienia faktu, że...

- Masz nadal w domu akta spraw, które pokazywałeś mi przedwczoraj, czy już zwróciłeś je na komendę? - urwałem mu.

- Co? Tak, mam, leżą na moim biurku, ale co...

- Wiem, że to wbrew prawu, ale czy możesz mi po przyjacielsku przysłać skan jednego zdjęcia? Chodzi mi o rzekomą kochankę męża Moniki Kropisz.

- Kurwa, dzwonisz do mnie o tej porze z powodu zdjęcia? Czy to nie może poczekać?

- Nie może - uciąłem krótko. - Muszę coś sprawdzić i muszę to zrobić natychmiast.

- Wpadłeś na coś, prawda? - zapytał Dąbrowski, nagle zaciekawiony.

- Jeszcze nie wiem, ale być może. Prześlij mi proszę mailem ten skan.

- Dobrze, zaraz to zrobię... chociaż żona mnie zabije, już widzę, jak przewraca się w łóżku niezadowolona - dodał konfidencjonalnym tonem.

- Kup jej kwiaty, wybacz ci tak szybko, jak się zezłościła. A teraz prześlij mi skan tego zdjęcia.

- Dobrze, dobrze. Tomasz, wszystko w porządku? Brzmisz, jakbyś zobaczył ducha.

Ha, ha, a to ci dopiero żarcik w suahili.

- Nie, nic nie jest w porządku, ale gdybym ci opowiedział, i tak byś mi nie uwierzył. Prześlij mi to zdjęcie.

Rozłączyłem się, zanim zdążył odpowiedzieć. Włączyłem laptopa, uruchomiłem przeglądarkę i popijając papierosa kawą (śniadanie mistrzów, cholera jasna) czekałem na mail od Dawida.

- Dorota, masz gdzieś może zdjęcie Martyny?

Dziewczyna drgnęła, wyrwana z zamyślenia.

- Tak, w portfelu, czemu pytasz?

- Przynieś je, proszę. Chcę coś zobaczyć.

Kiedy Dorota poszła do pokoju i przerzucała swoje rzeczy w poszukiwaniu portfela i zdjęcia najlepszej przyjaciółki, krótki sygnał dźwiękowy oznajmił nadejście wiadomości z załącznikiem. Otworzyłem ją i omal nie oblałem się kawą.

Wiedziałem, że moje przeczucie nie bierze się znikąd. Wciąż pozostawało przeczuciem, prawda, ale teraz miało swoją logiczną podstawę; fundament, na którym mogłem budować wieżę dalszych domysłów.

Kobieta na zdjęciu nie była ani ładna, ani brzydka; po nałożeniu odpowiedniej warstwy makijażu z pewnością niejeden by się obejrzał, ale na zdjęciu, które miałem przed sobą, wyglądała po prostu przeciętnie. Zupełnie inaczej niż na zdjęciu, które widziałem wczoraj, jednak z pewnością była to ta sama kobieta.

Małgorzata Kuśnierczyk na zdjęciu w gabinecie swojego męża była zadbaną, postawną brunetką, o niebagatelnej figurze. Ta, którą widziałem przed sobą, miała wyraźnie odcisnięte przedwczesne piętno wieku w postaci zmarszczek dookoła ust i oczu; porównując obie fotografie, można by dojść do wniosku, że to bliźniacze siostry, aczkolwiek żyjące w dwóch różnych klasach społecznych. Z akt wiedziałem jednak, że Małgorzata Kuśnierczyk była jedynaczką, w dodatku pochodzącą z domu dziecka.

Poczułem obecność Doroty, zanim do mnie podeszła i przysunęła się na tyle blisko, żebym mógł po raz kolejny zachłysnąć się jej zapachem, który odbierał mi zdolność logicznego myślenia.

Otrząsnąłem się i spojrzałem na jej twarz, na której zastygł wyraz zaskoczenia na widok otwartej na ekranie fotografii.

- Jakby były siostrami... - powiedziała z na wpół otwartymi ustami, nie dowierając.

Spojrzałem na zdjęcie, które Dorota trzymała w prawej dłoni. Miała rację. Ta wersja Małgorzaty Kuśnierczyk, którą widziałem na ekranie, wyjąwszy lata i zmarszczki, była ładną podobną do najlepszej przyjaciółki Doroty, Martyny. To wyjaśniało, dlaczego Monika Kropisz z taką łatwością wzięła ją za kochankę swojego męża... i dlaczego Martyna zginęła. Czy to była odpowiedź, której szukała Dorota? Nie mogłem jej o to zapytać wprost, jednak widziałem, jak na jej twarzy malowało się stopniowe zrozumienie.

- Więc to dlatego... to dlatego Martyna nie żyje? - powiedziała w próżnię, z przestrawieniem. - Bo przypominała jakąś inną kobietę? Dlatego moja najlepsza przyjaciółka nie żyje?

Było mi jej tak żal, że nie wiedziałem, co powiedzieć. W życiu szukamy odpowiedzi, poszukując ich wśród najbardziej zawitych rozwiązań; przekopując odmęty logiki, szukamy uzasadnienia dla tak w gruncie bezzasadnych rzeczy jak miłość, przyjaźń i śmierć... a odpowiedź jest zawsze na wyciągnięcie ręki. Prawidłową odpowiedzią zawsze okazuje się ta najprostsza, do której jednak najciężej dojść.

Gdy kochamy, kochamy po prostu, nie szukając uzasadnień. Owszem, miłość ma wiele przyczyn, lecz w ostatecznym rozrachunku liczy się tylko czystość



uczucia. Podobnie jest z przyjaźnią. To tylko nieco mniej subtelny, mniej intymny rodzaj miłości. Lecz śmierć... śmierć jest zawsze niespodziewana, a argument „bo tak” jakoś nie chce działać w jej przypadku.

Tym razem zadziałał. Martyna nie żyła, „bo tak”. Po prostu. Przez pomyłkę, chciałoby się rzec, lecz nie powiedziałem tego głośno.

Dorota usiadła na kanapie i ukryła twarz w dłoniach, a ja tym razem nie miałem w sobie dość odwagi, by ją przytulić. Oto jest odpowiedź, której szukała... lecz nie taka, jaką chciałaby otrzymać.

- Więc Martyna umarła... przez pomyłkę? - zapytała łamiącym się głosem.

Zatkało mnie, gdy usłyszałem swoją myśl wypowiedzianą na głos.

Po raz kolejny Dorota rozplakała się na dobre, a mnie stać było tylko na to, żeby podsunąć jej chusteczki i przykucnąć przy niej. Po chwili jednak sama osunęła się w moją stronę i siedzieliśmy na podłodze, przełykając tę gorzką pigułkę prawdy o śmierci jej najlepszej przyjaciółki.

- Obawiam się, że to wszystko, co mogę ci dać, jeśli chodzi o odpowiedź - powiedziałem po chwili, gdy cisza stała się nie do zniesienia.

- Tomasz...

- Wynajęłaś mnie, żeby poznać prawdę, jednak nie taką prawdę chciałem dla ciebie odnaleźć. Przepraszam.

- Przecież to nie twoja wina - załkała Dorota. - Tylko... co dalej?

No właśnie. Co dalej? Nie mogłem w tym momencie przerwać. Nie chciałem w tym momencie przerwać. Ta sprawa nie dawała mi spokoju przez ostatnich pięć lat, a teraz dostałem kolejną szansę na jej rozwiązanie. Nie mogłem przerwać.

- Nie mogę się zatrzymać w tym momencie - powiedziałem, podnosząc jej twarz ku górze, najdelikatniej, jak to tylko było możliwe. - I... nie chcę jeszcze się zegnać, wiesz? - dodałem, czując, jak na policzki występują mi czerwone rumieńce.

- Muszę ci zapłacić za to dochodzenie, w końcu jestem twoją klientką, prawda? - powiedziała nagle ni z tego, ni z owego Dorota.

- To sobie wybrałaś moment... - westchnąłem. - Ale nie, nie musisz. Ta sprawa jest dla mnie czymś więcej niż tylko kolejnym dochodzeniem. Nie mam prawa brać od ciebie pieniędzy.

- Ale Tomasz...

- Bez „ale”, proszę - powiedziałem, uśmiechając się do niej.

W odpowiedzi tylko pokręciła głową w wyrazie rezygnacji i przytuliła się mocno, po czym poczułem gorący pocałunek na policzku i usłyszałem wyszeptane

do ucha „dziękuję”. Po raz kolejny zostałem pozbawiony słów.

Bóg jeden wie, dokąd zaprowadziłyby nas ta cisza, jednak w tym momencie zabrzmiał telefon Doroty z pokoju obok. Zdziwiła się; bądź co bądź, pora wciąż była barbarzyńska.

- To musi być mama... - powiedziała, zrywając się i biegnąc do pokoju.

Dobiegły do mnie stłumione odgłosy rozmowy, ale że wciąż byłem zamroczony, nie rozumiałem ani słowa. Czułem, że zwierzę w moim wnętrzu urosło do niebezpiecznych rozmiarów... W końcu przez ostatnią dobę było solidnie dokarmiane.

Po chwili Dorota wyszła z rozpromienioną twarzą, ściskając telefon w dłoni. Wiedziałem, co mi powie, jeszcze zanim otworzyła usta.

- Dzwoniła mama. Marek się obudził!

Uśmiechnąłem się do niej w odpowiedzi. Takiego promiennego uśmiechu na jej twarzy nie widziałem przez te ostatnie trzy dni.

- To co, jedziemy? - spytałem, a ona tylko pokiwała radośnie głową.

# ROZDZIAŁ X

## I

Jechali w milczeniu, nieznacznie przekraczając dozwolone pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Z radia sączyła się leniwie jakaś muzyka, jednak nie docierała do świadomości Tomasza ani Doroty, stanowiąc nie więcej jak tylko kolejny element tła.

- Opowiesz mi o Marku? - zapytał nagle Tomasz. - Jak duża jest różnica wieku między wami?

- Cztery lata - odpowiedziała po chwili Dorota. - Dlaczego pytasz?

- A tak, z czystej, nieskrępowanej niczym ciekawości - odparłem z uśmiechem. - Studiuje?

- Tak, ostatni rok. We wrześniu będzie bronił swojej pracy magisterskiej. Studiuje dziennikarstwo.

- Naprawdę? - zapytał szczerze zdumiony Tomasz.

- Tak - zaśmiała się Dorota. - Ojciec zawsze mówi, że jest czarną owcą w rodzinie, bo nie poszedł na studia historyczne, ale wiemy, że jest z niego dumny. Już na pierwszym roku pisywał do dużych gazet, najczęściej drobne teksty na ostatnich stronach, ale to i tak spore osiągnięcie dla kogoś w jego wieku. Jest niezwykle utalentowany. To dzięki niemu zaczęłam pisać.

- Bardzo go kochasz, prawda?

- Aż tak to widać? - uśmiechnęła się. - Jest moim jedynym bratem. Nie wyobrażam sobie, co by było, gdybyśmy się nie dogadywali.

- Prawda, byłoby to nie do zniesienia, zwłaszcza w późniejszych etapach waszego życia.

- A ty masz jakieś rodzeństwo?

- Ja? Nie... Zawsze byłem jedynakiem, tylko rodzice jakoś nie bardzo chcieli mnie rozpieszczać - odparł, a przez jego twarz przemknął ledwo zauważalny cień.

- Oboje nie żyją.

- Och, przykro mi. Nie wiedziałam...

- Spokojnie, przecież nic się nie stało. Na każdego przychodzi czas, na moich

rodziców po prostu przyszedł wcześniej.

Przez chwilę kontemplowali znaczenie tych słów, zwłaszcza w kontekście śmierci Marty. Śmierć była nieubłagana i zawsze nie w porę.

- Nie masz żadnej rodziny? - spytała delikatnie Dorota. - Dziewczyny, narzeczonej? Nikogo?

- Nikogo - pokiwał głową Tomasz. - Miałem kiedyś narzeczoną... Byliśmy razem przez cztery lata. To był jedyny załążek prawdziwej rodziny, jaki miałem w życiu.

- Więc dlaczego nie jesteście już razem?

- Heh... Moja narzeczona nie wytrzymała podczas „rzezi niewiniątek”. Nie było mnie w domu tak często, że postanowiła odejść. Ale prawdę mówiąc... i bez tego nasz związek nie potrwałby dużo dłużej.

- Dlaczego? Jeśli mogę spytać, oczywiście.

- Widzisz... moi rodzice nie byli idealni. Bardzo często się kłócili, a ja tylko bezradnie się temu przypatrywałem. Pod wieloma względami było to gorsze, niż gdyby byli rozwiedzeni. A ja, choć kochałem moją narzeczoną... widziałem wyraźnie, że na dłuższą metę rodzina, którą byśmy stworzyli, byłaby tak samo dysfunkcyjna. Nie chciałem tego.

Dorota patrzyła na niego z troską i położyła swoją dłoń na jego, spoczywającej na dźwigni zmiany biegów.

- Przepraszam, że zapytałam... - powiedziała nieco zawstydzona, ale w głębi ducha przepełniona dziwnym, nienazwanym uczuciem.

- Daj spokój, przecież to nic takiego. Było, minęło... chociaż czasem za nią tęsknię. Zabawne, prawda?

- Nie, myślę, że po prostu brakuje ci ciepła drugiej osoby - wyszeptała Dorota, gładząc dłoń Tomasza.

Nie wiedział, co odpowiedzieć, wbił więc wzrok w drogę przed sobą i dowiózł ich oboje pod drzwi szpitala.

Dorota wręcz biegła przez puste o tej porze korytarze, chcąc jak najszybciej znaleźć się w pokoju 247. Tomasz szedł za nią spokojnym krokiem, mając wciąż w głowie to, co powiedziała mu w samochodzie.

Kiedy Dorota stanęła zdyszana w drzwiach pokoju, zobaczyła zastęp lekarzy i pielęgniarek pochylających się nad siedzącym na łóżku chłopakiem, który bezradnie próbował ich odgonić rękami i mówionym raz po raz „nic mi nie jest, przecież powiedziałem”. Na dźwięk tego głosu poczuła niewypowiedzianą ulgę. Kątem oka zauważyła stojącą w rogu pokoju matkę, zaciskającą zęby i dłonie,

z wyrazem skrajnego niepokoju na twarzy.

Po chwili zastęp białych kitli się przerzedził, a przy łóżku pozostał tylko jeden doktor, mówiący do Marka:

- Przez jakiś czas możesz być bardzo osłabiony, ostatecznie byłeś pogrążony w śpiączce przez ponad tydzień. Nie przeciążaj się i odpocznij. Tak czy inaczej, potrzymamy cię tu jakiś czas na obserwacji.

- Ale ja nie chcę! - zaprzeczył ostro Marek. - Czuję się dobrze, naprawdę.

- Przynajmniej dzisiaj. Trafiłeś do nas w dość... nietypowym stanie. Musimy zbadać, czy nie zostały żadne powikłania. Na razie proszę odpocząć.

Marek prychnął niezadowolony, a lekarz opuścił salę szpitalną, kręcąc głową.

- Ledwo się obudziłeś, a już wkurzasz ludzi - powiedziała ze śmiechem Dorota, podchodząc do łóżka brata.

- To oni mnie prowokują, siostrzyczko - wyszczerzył zęby w uśmiechu Marek i przytulił siostrę z całą siłą, na jaką było go stać po ponad tygodniu bezruchu. - To sobie pospałem, co nie?

- Nawet nie żartuj z takich rzeczy! - skarciła go siostra. - Czy ty wiesz, jak bardzo się o ciebie martwiliśmy? Mama odchodziła od zmysłów!

- I chyba dalej nie wierzy, że się obudziłem - powiedział, puszczając oko do siostry.

Mama tylko westchnęła i podbiegła do syna, ściskając go mocno i zalewając się łzami.

- Mamo, już dobrze, spokojnie. Po prostu uciałem sobie dłuższą drzemkę niż zwykle, to wszystko.

- Bardzo zabawne - powiedziała przez łzy. - Muszę iść porozmawiać z lekarzami o twoim dalszym pobycie w szpitalu.

- Tak, porozmawiaj. Chcę stąd wyjść jeszcze dzisiaj.

Obrzuciła go spojrzeniem wyraźnie mówiącym „no chyba sobie jaja robisz”, po czym wyszła z pokoju.

Tomasz przyglądał się tej scenie z delikatnym uśmiechem na twarzy, stojąc opartym o framugę drzwi. Marek spojrzał w jego stronę, a na jego twarzy odmalowało się pytanie. Dorota podążyła za jego wzrokiem i powiedziała:

- Ach, tak. Marek - zwróciła się do brata - to jest detektyw Tomasz Radziejowski.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, wymieniając uprzejmości.

- Detektyw? - zapytał Marek.

- Tak. Komisarz Dąbrowski mi go polecił. Musiałam, Marek... musiałam się

dowiedzieć, co tam się właściwie stało.

Brat Doroty przyglądał się Radziejowskiemu z pewną dozą niepokoju i ciekawości. Tomasz, widząc to spojrzenie, powiedział:

- Spokojnie, Marku. Twoja siostra potrzebowała pomocy, a ja, jak się okazało, mogłem jej udzielić. To wszystko, nie masz się czym niepokoić, chociaż... nie, już nie masz się czym niepokoić.

- I co, udało się wam czegoś dowiedzieć? - zapytał Marek, spoglądając to na Dorotę, to na Tomasza.

Ci spojrzeli po sobie, po czym Dorota odpowiedziała bratu:

- Więcej, niż byśmy chcieli... ale tak, udało się.

- Opowiedzcie mi o tym - powiedział Marek, unosząc się na poduszkach. - Co udało się wam odkryć?

- Nie teraz - zaproponował Tomasz. - Teraz musisz odpocząć. Choć wydaje ci się inaczej, lekarz ma rację. Jesteś bardzo zmęczony, potrzebujesz regeneracji.

- Opowiemy ci o wszystkim - dodała Dorota - ale nie teraz. To temat na dłuższą rozmowę.

- Nie! Powiedzcie mi teraz, wystarczy mi siły na wysłuchanie tego. Po tym, co zobaczyłem, chcę wiedzieć.

- To naprawdę nie jest najlepszy po...

W tym momencie do pokoju weszła matka rodzeństwa Lutowskich, więc przerwali rozmowę. Dorota przedstawiła Tomasza matce, ten zaś skłonił się z niewymuszoną elegancją i wyszedł na zewnątrz szpitala, żeby zapalić, jednocześnie pozwalając rodzinie nacieszyć się dobrą wiadomością.

Stał przed wejściem do innego oddziału i nie patrząc na napis na ścianie, wiedział jakiego. Kratka przy drzwiach była pomarańczowa od niedopałków, odpowiedź mogła więc być tylko jedna - porodówka. On co prawda nie czekał na rozwiązanie, jednak podobnie jak setki mężczyzn w tym miejscu wyciągnął papierosa, odpalił go i zaciągnął się głęboko, próbując ukoić w sobie nerwowość.

Rozmyślał o tym, czego dowiedział się dzisiaj rano, choć tak naprawdę był to tylko pretekst, żeby odegnać od siebie przykre obrazy pozostałe po tej strasznej nocy. Nie wiedział, co było gorsze - wizyta upiora czy koszmar, który po niej nastąpił. Gdzieś zakrakała wrona, on zaś poderwał się z miejsca, mając wciąż świeżo we wspomnieniach kłujące dzioby i przeklęte oczy Zwiastunów Nocy (jak zaczął je nazywać tuż po przebudzeniu, analizując wszystko we własnym umyśle). Nie wiedział też za bardzo, co zrobić dalej, oczywiście poza dokładnym przyjrzeniem się Kuśnierczykowi. Tak, to było pierwsze, co należało zrobić, jednak

nie był do końca pewien, czy powinien angażować w to kogokolwiek innego, nawet Dawida.

Nie wiedział też, co począć z Dorotą. Uwielbiał jej towarzystwo i w głębi serca czuł, że nie chce się z nią rozstać. Nie wiedział jednak, czy mądrym było trzymanie jej blisko siebie, podczas gdy zdawał się przyciągać niebezpieczne i nierealne wręcz wydarzenia jak cholerny magnes. Zastanowi się nad tym później. Teraz cieszył się nikotyną przepływającą przez zakończenia nerwowe i rześkim powietrzem, które omiatało mu twarz, zmniejszając nieco zmęczenie, które odczuwał.

Gdy tak stał, w pewnym momencie dobiegł go stukot laski uderzającej o bruk. Spojrzał w kierunku, z którego wydobywał się odgłos, i dostrzegł starszą kobietę kuśtykającą niezdarnie w samej tylko koszuli nocnej z oddziału znajdującego się po drugiej stronie szpitala. Co robiła sama na zewnątrz? Tego nie wiedział, wiedział jednak, że wyszła z oddziału psychiatrycznego i na pewno nie powinno jej być tam, gdzie była teraz.

Zgasił niedopałek i ruszył w stronę tej kobiety, nie do końca wiedząc, czego się spodziewać. Starczej demencji? Choroby Alzheimera?

- Proszę pani, gdzie pani idzie? - zapytał delikatnie kobiety.

Ta zatrzymała się nagle, drgnęła i spojrzała w górę, na mówiącego do niej mężczyznę, po czym bez słowa odwróciła się i pokuśtykała w stronę drzwi, z których wyszła.

- Proszę pani?

Tomasz ruszył za nią, wiedziony ciekawością, mającą swoje źródło gdzieś głęboko w jego trzewiach. Wszedł za nią do szpitala, gdzie zastał tylko pustą recepcję i ani śladu żywego ducha. Staruszka podeszła do windy i używając laski, nacisnęła przycisk „4”. Czekając, aż winda zjedzie na parter, odwróciła się do Tomasza.

Wyglądała jak typowa staruszka - białe jak kartka papieru włosy, przerzedzone upływem czasu, pomarszczona, naznaczona mądrością wieku twarz i oczy, jasnoniebieskie jak oczy Doroty, lecz spowite bielmem nieznanego urazu. Kobieta wyciągnęła drżącą dłoń w stronę detektywa i powiedziała głosem, którego Tomasz najmniej by się spodziewał, spokojnym i mocnym, choć starczym:

- Oni widzą twoje serce...

Tomasz zamarł na te słowa. Cofnął się z przestraszeniem o krok, wpatrując się w spowite mgłą oczy staruszki.

- Co pani...

- Oni widzą twoje serce... - winda otworzyła się za jej plecami - lecz ty musisz się strzec Zwiastunów Nocy - skończyła, wchodząc do otwartej pieczary.

- Chwileczkę, co pani...

Lecz winda już zdążyła się zamknąć. Tomasz pobiegł na górę, przeskakując po dwa, trzy stopnie naraz, chcąc dotrzeć na czwarte piętro, zanim dotrze tam winda. Kiedy biegł, słyszał dobiegające z różnych stron głosy różnych ludzi; było tu zdecydowanie głośniejsze o tej porze niż w innych częściach szpitala. Gdy zdyszany wpadł na czwarte piętro, winda była jeszcze na trzecim. Przed drzwiami zobaczył sanitariusza, który zdawał się celowo tam czekać. Spojrzał zdziwiony na Tomasza, lecz zanim zdążył o cokolwiek zapytać, drzwi windy otworzyły się i wyszła z nich staruszka, z którą Tomasz rozmawiał na dole.

Sanitariusz pokręcił tylko głową i powiedział do niej karcącym tonem:

- Gdzie ty znowu uciekłaś, Marysiu?

Tomasz zadrżał na dźwięk tego imienia. Nie wierzył w cudowne zbiegi okoliczności, ale to była już lekka przesada.

- Szukałam toalety - odpowiedziała zupełnie innym tonem niż ten, którym mówiła do Tomasza. - Nie udało mi się jej znaleźć, więc zmoczyłam pieluchę - rzekła, unosząc koszulę nocną i odsłaniając pieluchomajtki, na których wykwitła wyraźna plama.

- Chodź, Marysiu, przebierzemy cię. Nie wolno ci tak samej chodzić po szpitalu, przecież tyle razy ci mówiłem. A co, jeśli byś się zgubiła? Iza! - krzyknął na młodą sanitariuszkę niosącą dzbanek z wodą po drugiej stronie korytarza. - Możesz zabrać Marysię i ją przebrać?

- Znów nie mogła znaleźć łazienki? - westchnęła dziewczyna.

Sanitariusz tylko wzruszył ramionami i rozłożył bezradnie ręce, a dziewczyna, chcąc nie chcąc, wzięła staruszkę pod ramię i poprowadziła do sali. Gdy się oddaliły, chłopak spostrzegł stojącego wciąż obok Tomasza i zapytał:

- Witam, mogę w czymś panu pomóc?

- Tak, w zasadzie to tak - odparł Tomasz, pokazując chłopakowi swoją legitymację. - Może mi pan powiedzieć, co to za kobieta? Spotkałem ją na dole, kiedy paliłem papierosa.

- Wyszła na zewnątrz? Cholera jasna... - powiedział sam do siebie sanitariusz.

- W końcu dojdzie do tego, że wyjdzie na ulicę i potrąci ją samochód - westchnął.

- Nie pilnujecie pacjentów?

- Pilnujemy, oczywiście - odparł nieco oburzony. - Jednak pacjentów jest czterdzieścioro, a o tej porze na zmianie pracuje tylko dwójka sanitariuszy. Proszę



mi wierzyć – niepełnosprawni umysłowo o tej porze bawią się w najlepsze.

- Zauważyłem... - mruknął Tomasz, obserwując ponad ramieniem sanitariusza przemykające chyłkiem przez korytarz osoby. - Czy to oddział psychiatryczny?

- Tak, ale tymczasowy. Diagnozujemy tutaj pacjentów przed odesłaniem ich do ośrodka opieki za miastem.

- Rozumiem. Więc co może mi pan powiedzieć o pani Marysi?

- Tak naprawdę niewiele. Jest u nas od tygodnia, a lekarze wciąż nie potrafią postawić jednoznacznej diagnozy. Gdy do nas trafiła, jednogłośnie orzekli zaawansowane stadium alzheimera, jednak zdarzały się momenty, kiedy zachowywała się trochę jak osoba z autyzmem. Z tego, co wiemy, pracowała jako sprzątaczką, ale wiek na pewno nie pozwalał jej dorabiać sobie w ten sposób do emerytury na pełen etat.

- Czy jest coś jeszcze? - zapytał Tomasz.

- Cóż, skoro pan tak pyta... Marysia bardzo lubi rysować, to zaskakujące u pacjentów w jej wieku i w jej stanie. Ostatnio bez przerwy rysuje czarne ptaki, ale to chyba normalne, tyle ich za oknem...

Głowa Tomasza huczała od pytań, jednak nie wiedział, jak je zadać, a tym bardziej wątpił, żeby zdołał uzyskać odpowiedź, pozostawił je więc dla siebie. Podziękował sanitariuszowi za rozmowę, po czym wrócił na właściwy oddział, do pokoju 247.

## II

Kiedy tam wszedł, Dorota rozmawiała ożywiona ze swoim bratem. Tomasz przystanął na moment, żeby na nią spojrzeć – pomimo ciężkiej nocy i braku makijażu wyglądała pięknie. W każdym razie w jego oczach.

- A gdzie wasza mama?

- Na szczęście poszła – zaśmiał się Marek. - Czuwała przy łóżku całą noc, czekając, aż się obudzę. Czas na nią, żeby odrobinę odespała.

- Rozumiem – odparł detektyw z uśmiechem. - A jak ty się czujesz? Co powiedzieli lekarze?

- Ja czuję się bardzo dobrze, chociaż nie powiem, zjadłbym coś porządnego. Lekarze powiedzieli, że będę musiał zostać na obserwacji do jutra, ale doktor prowadzący mój przypadek stwierdził, że wyniki badań krwi mam w normie, typowe dla osoby karmionej przez jakiś czas kroplówką; nie widzi więc realnych

przyczyn, dla których miałbym tu zostać na dłużej.

- Skoro tak się czujesz, to nie ma co cię na siłę przekonywać, żebyś tu został.

W szpitalnym jedzeniu na pewno nie zasmakujesz.

- Dorota, przywieziesz mi jakieś rzeczy na przebranie? - zwrócił się Marek do siostry. - Nie mogę stąd wyjść w szpitalnej piżamie.

- Nie? - odpowiedziała, uśmiechając się ironicznie. - A myślałam, że to ostatni krzyk mody?

Spojrzenie brata było dostatecznie wymowne, żeby nie musiał tego komentować.

- Dobra, przywiozę ci jakieś normalne ubranie, ale będziesz musiał mi dać jakąś godzinę, autobusy w tym mieście to jakaś masakra.

- Nie żartuj, Dorota, przecież mogę cię zawieźć - powiedział Tomasz. - Chociaż i tak pewnie zejdzie nam z godzinę. Nie zapominaj, że twoja ciocia zapewne będzie oczekiwała wyjaśnień.

Oboje zignorowali pytające spojrzenie Marka. Na wyjaśnienia przyjdzie czas później.

- Tak, w sumie racja. No - zwróciła się ponownie do brata - to my uciekamy, a ty bądź grzecznym chłopcem. Inaczej wyjdiesz stąd w piżamie.

- Yes, sir! - sparodiował salut Marek, po czym pomachał siostrze i Radziejowskiemu na pożegnanie.

Wyszli na zewnątrz i wsiedli do zaparkowanej pod szpitalem Kii. Tomasz nie zdążył jeszcze uruchomić silnika, dostrzegł za to zmartwione spojrzenie Doroty, więc zapytał:

- Wszystko dobrze?

- Tak, tylko... - odparła niepewnie - jak ja mam wytłumaczyć cioci, że jednak nie byłam w domu? Mama na pewno już jej powiedziała, że nie było żadnego wyjazdu. Sama pewnie też była zdziwiona.

- Tu ci nie pomogę... - westchnął Tomasz. - Ale myślę, że dzisiaj już będziesz mogła do niej wrócić, ta kobieta nie powinna cię już więcej odwiedzić.

- Czy możesz być tego tak pewien?

- Sam nie wiem. Wrodzona ostrożność krzyczy „nie”, ale coś mówi mi, że tym razem możemy zaufać sytuacji.

- Mimo to... czy mogę jeszcze dziś u ciebie zostać? - zapytała, starając się nie dać po sobie poznać, jak wiele kosztowało ją to pytanie i wcale nie było związane to ze strachem przed upiorami.

- Ile tylko będziesz chciała - odparł Tomasz po chwili ciszy, zdobywając się na

spojrzenie jej prosto w oczy.

Nie odpowiedziała, tylko uśmiechnęła się delikatnie, a Tomasz uruchomił silnik, którego warkot jak zwykle ukołysał jego skołatane nerwy, po czym ruszyli w stronę ulicy Dębowej.

Po drodze niewiele rozmawiali, ograniczając konwersację do retorycznych uwag o pogodzie, ewentualnie wyrażając niezadowolenie na dźwięk wiadomości, które akurat nadawano w radiu. Pora wciąż była wczesna, jednak wiadomości, jak to zwykle bywa, nie napawały optymizmem. Oboje poczuli się, jakby przeżywali jakieś psychodeliczne *déjà vu*, kiedy prezenterka w radiostacji zaczęła poranne wiadomości od informacji o kolejnych znalezionych zwłokach zgwałconej kobiety.

„...Nie mamy wątpliwości, że jest to kolejna ofiara seryjnego mordercy. Zapraszamy państwa na specjalną audycję o godzinie dziewiątej, kiedy to spotkamy się i porozmawiamy na ten temat ze światowej sławy naukowcem badającym naturę seryjnych morderstw, doktorem Tadeuszem Morawskim... Tymczasem rząd przyjął na wczorajszym posiedzeniu ustawę o związkach partnerskich, zastrzegając brak możliwości adopcji przez pary homoseksualne. Ustawa ma zostać przegłosowana, jednak brak jedności w tej kwestii może uniemożliwić pracę nad tą sprawą...”

Tomasz wyłączył radio – nie miał najmniejszej ochoty słuchać o politykach, a tym bardziej o politykach rozważających losy par homoseksualnych. Dorota zdawała się myśleć dokładnie to samo, bowiem westchnęła z nieskrywaną ulgą, kiedy Radziejowski jednym przyciskiem uciszył prezenterkę wiadomości.

– Przystał nad sobą panować... – mruknął pod nosem detektyw.

– Słucham? – zapytała zdziwiona Dorota.

– Ten morderca. Wygląda na to, że stracił nad sobą kontrolę.

– Dlaczego tak myślisz?

– Dlatego, że to jego czwarta ofiara w przeciągu czterech dni. Takie rzeczy się nie zdarzają poza ekranem telewizora. Zazwyczaj seryjny morderca pozwala swojej ofierze „ostygnąć”, zanim upatrzy sobie kolejny cel. W tym przypadku widać jednak wyraźnie, że gość stracił kontrolę. Na początku znajdowali dziewczyny w odstępach dwóch, trzech tygodni. Teraz znajdują je niemal codziennie. Facetowi ewidentnie ciężko utrzymać małego w spodniach. Ekhm, wybacz to stwierdzenie – dodał na końcu, zakłopotany.

– Nic się nie stało, nie gorszą mnie takie komentarze – zaśmiała się niemal figlarnie.

Tomasz spojrzał na nią nieco zdziwiony, ale po chwili się uśmiechnął, jakby

z ulgą.

- Myślisz, że uda im się go złapać?

- Jestem zdziwiony, że jeszcze tego nie zrobili. Facet najprawdopodobniej popełnia te zbrodnie w afekcie, a w takim stanie ciężko nie popełnić błędu. Mimo to, policja wciąż tkwi w martwym punkcie, co znaczy, że albo naprawdę nieudolne z nich patałachy, albo... szukają w złym miejscu.

Jechali dalej w ciszy, pogrążając się każde w swoich myślach. Po chwili byli już na Dębowej.

- Życz mi powodzenia w rozmowie z ciotką - rzuciła Dorota, wysiadając z samochodu i kierując się w stronę domu.

Tomasz zapewnił ją, że będzie trzymał kciuki, po czym również wysiadł z auta, które zaparkował kawałek dalej, i opierając się o maskę, zapalił papierosa. Ciekaw był, co Dorota powie swojej ciotce, ale głównie próbował zrozumieć tę dziwną rozmowę, którą odbył wcześniej tego dnia przed wejściem do szpitala. „Oni widzą twoje serce... lecz ty musisz się strzec Zwiastunów Nocy”. Kolejny raz aż podskoczył, gdy gdzieś nad nim rozległo się krakanie czarnego ptaszyska. Przegonił wronę, rzucając w nią podniesionym z ziemi kamieniem; wzbiła się w powietrze z donośnym trzepotem skrzydeł, niemal bliźniaczym z tym, który rozdarł ciszę w jego śnie.

Zastanawiał się też nad tym, jak zdobyć trochę więcej informacji o Kuśnierzykach bez pomocy policji, lecz postanowił zostawić te rozważania na później. Ostatecznie miał swoje sposoby na zdobywanie informacji, później przyjdzie czas na ocenienie, który z nich najlepiej się nada w tej sytuacji.

Ulica Dębowa była cicha i spokojna. Jedynymi odgłosami rozprasającymi tę cichość było szczekanie psa gdzieś na końcu ulicy oraz dobiegający z oddali szum samochodów na głównej, wylotowej ulicy. Powietrze było ciepłe, lecz utraciło rzeźkość, którą miało niespełna godzinę wcześniej.

Po chwili Tomasz usłyszał dźwięk otwierających się drzwi i Dorota wyszła z domu ciotki, trzymając w rękach zwykłą, kolorową reklamówkę z jakiegoś sklepu sieciowego, w której, jak się domyślał, były rzeczy dla Marka.

- I jak poszło?

- Zaskakująco łatwo. Mama najwyraźniej też uwierzyła, że byłam w domu przez te dwa dni, bo ciotka nie suszyła mi głowy.

- A jak wytłumaczysz dzisiejszy dzień?

- Hmm... o tym nie pomyślałam, a ciotka nie pytała. Skoro Marek doszedł do siebie, to pewnie zostaniemy u niej jeszcze dzień lub dwa i wrócimy do domu. Coś

wymyśle – zapewniła Tomasz. – Zadzwoń do niej wieczorem i powiem, że zostaję na noc u koleżanki ze studiów... lub coś takiego.

Tomasz skinął głową z aprobatą, po czym zgasił niedopałek papierosa i wsiadł do samochodu.

### III

W szpitalu Marek, po raz kolejny obleżony przez lekarzy, uparcie opędzał się od nich rękami, jakby odganiał moskity w gorącą, wilgotną, letnią noc. Lekarze jednak byli głusi na jego utyskiwania.

Jeden z nich osłuchiwał go stetoskopem, drugi po chwili sprawdził prawidłowość reakcji, w tym czasie pielęgniarka, która wyglądała, jakby pracowała w zawodzie od czasów rozpadu Imperium Rzymskiego, pobierała chłopakowi krew do ponownych badań.

– Ile razy mam powtórzyć, że czuję się dobrze?! – warknął w końcu zirytowany do ostatnich granic Marek. – Czy naprawdę muszę wypisać wniosek, żebyście mnie dzisiaj stąd wypuścili?!

Lekarze zaczęli mówić jeden przez drugiego o „możliwych powikłaniach” i „chęci potwierdzenia porannych wyników”, jednak mieli dość rozumu w głowie, żeby przestać, widząc spojrzenie Marka. Bardzo wyraźnie mówiło: „zbliz się do mnie z igłą jeszcze raz, a wbiję ci ją w źrenicę oka”. Gdy pielęgniarka skończyła pobierać krew, poddali się i po uprzednim spisaniu numeru, obiecali dać znać telefonicznie o wyniku badań. Było to co najmniej abstrakcyjne jak na służbę zdrowia w tym kraju, najwyraźniej jednak przypadek Marka zainteresował ich do tego stopnia, że byli w stanie zdobyć się na tę drobną uprzejmość.

– W końcu dali ci spokój, co? – zapytała Dorota z uśmiechem, widząc poirytowanie na twarzy brata.

– Daj spokój... Przez bite pół godziny osłuchiwali mnie, opukiwali, pobrali próbkę krwi, osocza, Bóg wie czego jeszcze. Dobrze, że nie kazali mi nasrać do kubeczka.

Słyszając, jak poważnym i złowróbnym tonem powiedział ostatnie zdanie, cała trójka wybuchnęła donośnym śmiechem, który rozniósł się echem po korytarzu, odwracając zdziwione głowy urządzających poranne wyścigi do toalety staruszków. Gdy się już trochę uspokoili, Dorota podała Markowi reklamówkę z rzeczami i razem z Tomaszem opuściła pokój, by pozwolić bratu w spokoju się

przebrać.

Po chwili stał już koło nich, jednak widać było, że jego „nic mi nie jest” było odrobinę na wyrost.

- Jesteś pewien, że nie chcesz tu zostać jeszcze z dzień? - zapytał Tomasz ostrożnie.

- Nie, dlaczego? Przecież widzisz - wszystko jest w porządku.

- No nie wiem... Ludzie, którzy dobrze się czują, nie opierają się o ściany i nie dyszą po przebyciu pieszo dystansu trzech metrów. Boję się, że możesz nie przeżyć schodów.

- Nic mi nie jest, spokojnie. To tylko osłabienie, Zjem porządny posiłek i wszystko będzie dobrze.

- Cóż... pozostaje nam uwierzyć ci na słowo. I zabrać cię gdzieś na porządne śniadanie - dodał Tomasz ze śmiechem.

Po uprzednim wymeldowaniu się u przemiętej pielęgniarki w dyżurce (tego samego dinozaura, który wcześniej pobierał Markowi krew), zeszli na dół do Kii Tomasza. Ten, słysząc, jak siostra z bratem zastanawiają się, dokąd powinni najpierw pojechać, oraz czy w ogóle powinni pojawiać się u ciotki przed końcem jej pracy w kwiaciarni, wtrącił się w ich rozmowę i zaproponował:

- Wiecie, jeśli nie możecie się zdecydować, to zapraszam do mnie. W lodówce na pewno znajdzie się coś, co postawi cię na nogi - zwrócił się do Marka ze śmiechem, wciąż widząc, jak bardzo jest osłabiony.

- Tomasz, ale... - zaczęła Dorota, kiepsko ukrywając, jak bardzo ucieszył ją ten pomysł.

- Ale co? Logiczny kontrargument poproszę. Nie ma? To wsiadajcie i jedziemy.

Tok rozumowania detektywa najwyraźniej do nich przemówił, bowiem chwilę później siedzieli już na swoich miejscach w Sportage'u. Z niewiadomej przyczyny radio nie odbierało, wsłuchali się więc w gardłowy pomruk silnika, warczącego radośnie przy wyższych obrotach.

Gdy dotarli na miejsce i Tomasz zakomenderował „wysiadka”, Marek rozglądał się z ciekawością i niepewnie zarazem po nieznanym sobie terytorium. W jego oczach wciąż było widać oszołomienie po mającym miejsce niespełna kilka godzin temu wybudzeniu, ale trzymał się nadzwyczaj dobrze jak na kogoś, kto przez tydzień był rośliną.

Radziejowski otworzył drzwi i z wnętrza dobiegła ich sącząca się ze sprzętu stereo muzyka. Spojrzał pytającym wzrokiem na Dorotę, ta jednak tylko z przestraczem pokręciła głową i wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć:

„to nie ja, może ty zapomniałeś wyłączyć radio?”.

Tomasz jednak nie zapomniał, tego był pewien.

- Ładne mieszkanie - skomentował Marek, odrywając detektywa od rozmyślań.

- Cieszę się, że ci się podoba. Siadajcie, proszę. Zaraz zobaczę, co mam w lodówce i przyrządzę nam coś na szybko.

Podczas gdy Tomasz krzątał się w kuchni, przygotowując śniadanie, Dorota i Marek słuchali wiadomości, jednak nie było w nich nic ponad to, co Dorota usłyszała rankiem w aucie detektywa w drodze do szpitala.

- Seryjny morderca i gwałciciel? Przespałem coś takiego? - zapytał niedowierzająco Marek.

- Mało tego - zawołał z aneksu kuchennego Tomasz. - Rekordzista. Zazwyczaj w ciągu całego roku policja nie ma tylu ofiar gwałtów, nie mówiąc o morderstwach, co w tym konkretnym przypadku przez dwa tygodnie.

- Jak to się stało, że jeszcze nie mają żadnego śladu?

- Później ma tutaj wpaść komisarz Dąbrowski ze swoim przydupasem, będziesz mógł ich zapytać. Nie prowadzą tego śledztwa, ale wiedzą o nim więcej, niż pokazują media.

- Rozumiem. Powiedzcie mi, co jeszcze przespałem?

- Przyjdzie czas, jak zjemy - powiedziała do brata Dorota. - W tej chwili to my byśmy chcieli się dowiedzieć, jak to się stało, że wylądowałeś w szpitalu.

- Ehh... nie bardzo mam ochotę o tym mówić... - odparł Marek, wyraźnie zakłopotany. - Muszę?

- Musisz - powiedział Tomasz, stawiając przed nimi jajecznicę, tosty i pokrojone w plasterki pomidory pokryte oregano. - Ale najpierw coś zjedz. Potem opowiemy ci z Dorotą, czego dowiedzieliśmy się przez te ostatnie trzy dni.

- A uwierz - wtrąciła Dorota cicho - dowiedzieliśmy się sporo.

Marek pokiwał głową, ale głód wziął górę nad ciekawością i kolejny raz odezwał się dopiero wtedy, kiedy wszystkie talerze były wyczyszczone, a Dorota parzyła im kawę, patrząc jednocześnie, jak jej ukochany brat i Tomasz rozmawiają z ożywieniem, nieco przytępionym przez ilość wchłoniętego pokarmu. Dogadują się - pomyślała i uśmiechnęła się do siebie. Może... nie. Nie wolno jej o tym myśleć.

- Żadnych roślin? - zapytał Marek, wodząc wzrokiem po pokoju.

- No następny, cholera jasna - roześmiał się serdecznie Radziejowski. - Dorota zapytała o to samo. Widzę, że i na tobie ciotka zdołała odcisnąć swoje piętno.

Marek tylko wyszczerzył zęby w odpowiedzi, a Tomasz dodał:

- Przyznaję się, wysoki sędzie, zabiłem je. Nie mam ręki do kwiatów, usychają mi nawet benjaminy.

- Au, w takim razie faktycznie prześladowuje cię jakaś klątwa związana z hodowlą kwiatów. Może w takim razie kaktusy? One nie więdną tak łatwo.

Tomasz obdarzył Marka krytycznym spojrzeniem, jasno wyrażającym, co sądzi o tej sarkastycznej uwadze. Dorota postawiła na stoliku trzy parujące kubki kawy, po czym usiadła obok Marka na kanapie i chwyciła go za rękę.

- Może opowiesz nam teraz, co się właściwie stało, co?

- A muszę? - zapytał ponownie Marek.

- Już ci Tomasz powiedział, że tak. Musisz. To naprawdę ważne... Poza tym, chyba jesteś winny swojej małej siostrzyczce wyjaśnienia? - skończyła przekornym tonem nieznoszącym sprzeciwu.

- No dobrze, dobrze... Mam tylko nadzieję, że nie weźmiecie mnie za wariata. I potem - zastrzegł - chcę usłyszeć, co działo się przez ten tydzień, kiedy leżałem nieprzytomny.

## IV

- Po pogrzebie Martyny pokazałaś mi te listy... i przyznaję, byłem do nich bardzo sceptycznie nastawiony, nawet po ostatnim - mówił, popijając słowa kofeiną. - Nie chciałem wierzyć, że Martyna napisała coś takiego; zawsze zdawała się twardo stąpać po ziemi, nigdy nie były jej w głowie duchy i niestworzone opowieści. Jednak w tych listach było coś, co sprawiało, że jeżyły mi się włosy na karku. Kiedy poszedłem wieczorem do pokoju, długo, długo nie mogłem zasnąć, rozmyślając nad nimi. A wtedy... wtedy usłyszałem skrobanie w ścianę.

Dorota patrzyła na niego z przestraczem, Tomasz z zawodową ciekawością zakrapianą czymś jeszcze, czego nie dostrzegło żadne z nich, prócz niego samego. Czuł, co nastąpi potem. Ten sam odgłos towarzyszył Martynie, gdy duch Moniki Kropisz do niej przyszedł. Ten sam odgłos, choć przytępiony i niewyraźny, towarzyszył też jego snom.

- Co było potem? - zapytał Tomasz.

- W zasadzie to... trochę zawstydzające.

- Marek, proszę cię - przewróciła oczami Dorota. - Na wstyd miałeś czas, jak miałeś czternaście lat. Powinieneś z tego wyrosnąć.

- Dobrze, już dobrze. No więc... słyszałem skrobanie w ścianę. Ale ono nie było



naprawdę. A przynajmniej tak mi się zdawało. Wydawało mi się, że to sen. Naprawdę, byłem święcie przekonany, że to tylko kolejny sen.

- Co ci się śniło? - zapytał z ciekawością Radziejowski.

- Kobieta... ale nie przerażająca i zniekształcona, a niezwykle piękna i pociągająca. Wiem, to brzmi, jakbym miał kiepskiej jakości sen erotyczny, ale chcieliście wiedzieć.

Tomasz drgnął w fotelu, nie odezwał się jednak ani słowem. To, co mówił Marek, brzmiało dla niego aż nazbyt znajomo.

- Kobieta weszła do mojego łóżka i zaczęła się przytulać. Pomyślałem, że jest mi całkiem przyjemnie, chociaż nie wiedziałem, kim jest. Nie chciałem, żeby przestała. Ale potem zapytała mnie „jak ci się podoba” i w tym samym momencie jakoś przestało mi się podobać.

- Dlaczego? - spytała jego siostra.

- Bo to nie był głos człowieka... - odparł po chwili ciszy Marek. - To bardziej przypominało krzyżówkę syku węża i szczeknięcia psa. Było... brrr, okropne. I wtedy... wtedy odsunąłem ją od siebie i zobaczyłem, co naprawdę leżało ze mną w łóżku.

- Niezbyt przyjemny widok, co? - powiedział beznamiętnie Tomasz, samemu zmagając się z obrazami wdzierającymi się do jego głowy. - Na pewno widziałeś w życiu piękniejsze kobiety.

- O tak, zdecydowanie. Znacznie bardziej... żywe. Ta, którą w cudzysłowie „trzymałem w ramionach”, nie miała z żywymi wiele wspólnego. Gdy poczułem, jak jej gałka oczna skapuje mi na policzek, prawie zacząłem krzyczeć. Boże, nie prawie; jestem pewien, że zacząłem wrzeszczeć. Myślałem, że to sen, więc darłem się wniebogłosy.

- To nie był sen, Marek... Naprawdę krzyczałeś. I było to przerażające. Tak bardzo się bałam...

Marek objął siostrę ramieniem i ucałował delikatnie we włosy, jakby chciał jej powiedzieć „już dobrze mała, przecież tu jestem”.

- Ano... - kontynuował - wtedy też się obudziłem i poczułem, że nie zniosę tego ani chwili dłużej. Ona... ona... brrr, pocałowała mnie. Nie było przyjemnie... przysięgam, nadal czuję ten smak w ustach, tę zgniliznę... obrzydliwe. I to, co mówiła... to nie miało najmniejszego sensu.

- Co mówiła? - zainteresował się Tomasz.

- „Ta suka nic, tylko myślała o tobie. Najpierw mój mąż, a potem jakiś studencik, parszywa zdzira. Ona już zapłaciła, to jej kochaś też może!”. Czy coś

takiego.

Tomasz i Dorota spojrzeli po sobie – to by się pokrywało z tym, co już wiedzieli o tajemniczej zjawie; kim była, jak umarła i przede wszystkim – dlaczego nawiedzała Bogu ducha winne osoby. Tomasz wiedział też, dlaczego nie może spocząć w pokoju, jednak zostawił tę informację dla siebie.

– I wtedy straciłeś świadomość?

– Nie, to stało się chwilę później. Kiedy dosłownie rozplynęła mi się w dłoniach. Uh, do końca życia nie wyrzucę z głowy tego obrazu, ani tego zapachu. Aż dziw, że nic nie poczuliście, wchodząc do mojego pokoju – zwrócił się do siostry.

– Nie, nie poczuliśmy żadnego zapachu, ale... pamiętam, że w pokoju było lodowato zimno. Jak na kole podbiegunowym, widziałam parę z mojego oddechu, a jest przecież początek wakacji.

– Przepraszam, że was zmartwiłem, siostrzyczko – powiedział skruszony Marek. – I jest mi wstyd, że tak odpadłem.

– Nie martw się, każdy by odpadł – pocieszył go Radziejowski. – To i tak cud, że wybudziłeś się po niespełna tygodniu, a jeszcze większy, że jesteś w stanie dziś wyjść ze szpitala.

Nie dodał, że on miewa takie sny regularnie. Nie, nie dziwił się chłopakowi, że nie wytrzymał. Nie mógł wymagać od każdego takiej samej obojętności do napotykanym w życiu wydarzeń, jaką on sam żywił do wszystkiego, co go spotykało. No, prawie wszystkiego. Każdy normalny człowiek po takich wizjach i koszmarach, jakie miał Radziejowski, skończyłby albo na kozetce u psychologa (w najlepszym wypadku), albo w pokoju bez klamek, dokąd zaprowadziliby go ubranego w biały kaftanik uprzejmi panowie w równie białych kitlach (wariant najbardziej prawdopodobny).

– Teraz wasza kolej – powiedział Marek po chwili, kiedy zmęczyło go trzymanie twarzy w dłoniach. – Co się wydarzyło przez ten czas?

– Gdyby nie to, że sam widziałeś tę kobietę, zacząłbym się bać, że weźmiesz nas za niepoczytalnych. Chcesz jeszcze jedną kawę? To dość długa opowieść.

– Chętnie.

– A ty, Dorota?

– Ja dziękuję. Ale poproszę herbatę, jeśli można.

Tomasz pokiwał głową na znak, że można. Na chwilę wszyscy umilkli. Z zewnątrz dobiegał typowy gwar ulicy, za ścianą jakaś kobieta najwyraźniej próbowała uciszyć płaczące dziecko, ze wszystkich sił usiłując je przekrzyczeć. Z radia wyływała jakaś popowa melodia, leniwie prześlizgując się przez ich

mózgi, nie pozostawiając w nich jednak żadnego śladu. Kiedy odpowiednie napoje były już gotowe, Tomasz usiadł naprzeciw rodzeństwa i powiedział do Doroty:

- Może ty zaczniesz? Opowiedz mu, jak do mnie trafiłaś.

Dorota skinęła głową, po czym podjęła opowieść. Trwało to długą chwilę; Tomasz i Dorota na zmianę opowiadali, co przydarzyło się im przez te trzy dni, nie pomijając żadnych szczegółów (oprócz jednego - Doroty nocującej w mieszkaniu Tomasza). Czas mierzyli jedynie ubywającą ilością płynu w kubkach, których jednak nie mieli ochoty od nowa napełniać.

Marek siedział w spokoju i słuchał. Gdy Tomasz zaczął opowiadać mu o swoich doświadczeniach z „gnijącą panną młodą”, snach i wizjach, Markowi zrobiło się niemal głupio. Ten człowiek tyle widział, a jednak to nie on wylądował na tydzień w szpitalu z powodu jakichś bzdurnych reakcji układu nerwowego. Nie, ten człowiek zrobiony był z twardszych materiałów niż on. Nic dziwnego, że Dorota spogląda na jego twarz z taką intensywnością, czego jednak udawał, że nie dostrzega. Sama Dorota tylko od czasu do czasu coś wtrącała; wyraźnie było znać po jej twarzy, że przeżywanie na nowo tych samych wspomnień nie sprawiało jej przyjemności.

Na koniec detektyw opowiedział Markowi o zaginionych dzieciach i zdarzeniach z poprzedniego dnia. O małej Marysi z poderżniętym gardłem. Taktownie nie wspominał o tym, jak Dorota zemdląca na sam jej widok, na co dziewczyna zareagowała wyrazem wdzięczności na twarzy.

Jej brat wysłuchał wszystkiego cierpliwie do końca, nie wtrącając się ani razu w tok wypowiedzi Tomasza. Gdy ten skończył, Marek skrył twarz w dłoniach i przez dłuższą chwilę nie mówił nic, najwyraźniej przytłoczony tym, co przed chwilą usłyszał. Nie tego się spodziewał. Podobnie też jak jego siostra, nie chciał przyjąć do wiadomości, że śmierć Martyny była po prostu pomyłką. Życie jest kurewsko niesprawiedliwe.

- A więc... - zaczął ostrożnie - Martyna umarła tylko dlatego, że przypominała z wyglądu jakąś inną kobietę?

Głos mu się załamał. Tomasz nie mógł się nadziwić, jak bardzo tych dwoje jest do siebie podobnych; obserwując reakcje Marka, widział niemalże dokładne odbicie zachowań Doroty. Ciekawe, czy byli świadomi tego, jak zbliżone jest ich zachowanie.

Po rzuconym w przestrzeń przez Marka pytaniu znów pograżyli się w ciszy, każde wyciągając własne wnioski z opowieści detektywa. Sytuacja nie była zwyczajna, jakkolwiek by nie patrzeć. Tomasz nie dziwił się, jak trudno

zaakceptować im to, co wydarzyło się w przeciągu ostatnich kilku dni; sam mimo wszystko nie mógł do końca tego pojąć. Czuł się tak, jakby świat fantazji braci Grimm nagle wpadł jak przeciąg przez otwarte okno do świata rzeczywistości i bawił się w najlepsze, widząc, jak burzy ustalony porządek rzeczy.

Podobno potwory budzą się nocą. Tomasz sądził, że to nieprawda. Potwory budzą się wtedy, kiedy cień ogarnia naszą wyobraźnię. Raz rozbudzone, panoszą się i czują się jak w domu, nieważne, jak bardzo chcielibyśmy je wyrzucić z udręczonego umysłu. Ostatnich kilka dni przypominało w tym względzie wizytę w gabinecie osobliwości.

- Nie będziemy cię winić, jeśli nie uwierzysz w to, co ci powiedzieliśmy - zaczął Tomasz. - Ja sam nie mogę w to uwierzyć, a jednak... to wszystko jest zbyt namacalne, żeby pozwolić sobie na niewiarę.

- Spokojnie, wierzę wam, naprawdę - odparł Marek, co Dorota przyjęła z wyraźnym westchnieniem ulgi. - Zastanawiam się tylko... co teraz? Kiedy myślę o „rzezi niewiniątek”... Nie uważasz, że rozwiązanie tej sprawy po tylu latach jest niemal niemożliwe?

- Uważałem tak do wczoraj, Marek. Ale po tym, co zobaczyłem, po tym, czego dowiedzieliśmy się o ponownych zaginięciach dzieci... myślę, że to dzieje się ponownie. Tym razem nieco inaczej, jednak finał będzie taki sam. A raczej dla niektórych dzieci już jest, bo tym razem nie znajdziemy ich ciał usypanych w kopczyk. Tym razem możemy ich w ogóle nie odnaleźć... a wtedy ich dusze upomną się o wieczny spoczynek.

Urwał, mając w pamięci scenę tego ostatniego koszmaru, tej przerażającej swą mocą obecności czystego żalu i śmierci w setkach dziecięcych ciałek... które tylko z pozoru były ludzkie; w rzeczywistości miały jednak tyle wspólnego z człowieczeństwem, co wystawowe manekiny. „Strzeż się Zwiastunów Nocy” i „oni znają twoje serce”. Próbował to zamaskować, lecz zadrzał wyraźnie, zwracając na siebie uwagę Doroty, która zmierzyła go zaniepokojonym spojrzeniem.

- Masz jakiegokolwiek potwierdzenie tego, że te zniknięcia są ze sobą powiązane?

- Mam swoje przeczucie, a to mi w zupełności wystarczy, bo jeszcze nigdy mnie nie zawiodło.

- A jakiś punkt zaczepienia?

Tomasz zastanowił się przez chwilę, po czym bezwiednie wyłuskał cristala z paczki i zapalił, siłując się przez chwilę z zapalniczką. Dopiero gdy wypuścił

z ust pierwsze kłęby dymu i odświeżył umysł na tyle, żeby przedstawić swoje rozumowanie w zrozumiały sposób, zdecydował się odpowiedzieć Markowi na jego pytanie.

- Mam... jeden - powiedział, zaciągając się w przerwie papierosem. - Jest mglisty i niepewny, ale nie daje mi spokoju od wczoraj, od chwili, w której zobaczyłem fotografie Marty i Małgorzaty Kuśnierczyk.

- Co masz na myśli?

- Tak naprawdę to nic... jeśli jest w tym jakaś logika. Po prostu minęło pięć lat, po raz kolejny szukam zaginionych dzieci i nagle jak spod ziemi pojawia się postać kobiety, która była poniekąd zamieszana w sprawę zaginięcia dzieci Moniki Kropisz. Wiem, wygląda to na grubymi nićmi szyty domysł, ale coś mi mówi, że powinienem dowiedzieć się nieco więcej o Małgorzacie Kuśnierczyk i jej mężu.

- Rozmawiałeś o tym z komisarzem Dąbrowskim?

- Nie, nie chcę z tym iść na policję. Jeszcze nie. Ich metody śledcze są równie dyskretne co portale plotkarskie, a jeśli między tymi dwiema sprawami jest jakikolwiek związek, to powinniśmy go odkryć po cichu.

Marek pokiwał głową ze zrozumieniem, po czym zapytał Tomasza, czy może się poczęstować papierosem. Ten skinął głową i wyciągnął w kierunku chłopaka paczkę, z której wytrząsnął cristala.

- Od kiedy palisz? - zapytała zdziwiona Dorota.

- Przepraszam, że ci się wcześniej nie pochwaliłem... Od niedawna, siostrzyczko. Ale tylko wtedy, kiedy czuję, że w mojej głowie dzieje się za dużo.

To powiedziawszy, zaciągnął się papierosem, a na jego twarzy odmalowała się ulga, jakby rzeczywiście oczyścił umysł z niepotrzebnych myśli, a jego synapsy zaczęły przewodzić bodźce z domyślną prędkością.

- Co w zasadzie podejrzewasz? - zapytał Tomasz.

- W tym tkwi problem, bo tak naprawdę to nic. To byłby zbieg okoliczności niczym z tanich filmów klasy B, gdyby Małgorzata Kuśnierczyk okazała się podejrzaną. Ale chciałbym się dowiedzieć, kim ona jest, czym się zajmuje... i od kiedy jest mężatką. Kiedy przesłuchiwałem ją pięć lat temu, z całą pewnością była samotna. Do tego stopnia samotna, że szukała pocieszenia u pierwszego mężczyzny, jaki nawinął się jej między nogi... Przepraszam - dodał, rzucając szybkie, niespokojne spojrzenie na Dorotę.

Ta jednak wybuchnęła donośnym, perlistym śmiechem. Mój Boże, jak on to uwielbiał. Zawtórował jej Marek, którego śmiech wśród kobiet zapewne wzbudzał

tak samo nasycone uczucia jak Doroty w sercach mężczyzn.

- Jeśli myślisz, że mnie zgorszysz, to możesz być spokojny - powiedziała Dorota, wciąż się zaśmiewając. - Przy takim bracie... cóż, przepadło już dawno - puściła oko do Marka, widząc, jak mierzy ją karcąco.

Tomasz otarł łzy rozbawienia z kącików oczu i wrócił do odpowiadania na pytanie brata Doroty.

- W każdym razie nie wydawała mi się osobą, która ma w planach jakiekolwiek mariaże. Nie miała też dzieci, to wiem na pewno, a te, z którymi widziałem ją na rodzinnej fotografii, na pewno mają więcej niż pięć lat... choć mogą to być dzieci Kuśnierczyka z poprzedniego małżeństwa lub coś w tym rodzaju.

Skończył zdanie, jednocześnie dopalając papierosa. Zdusił niedopałek w popielniczce. Marek zrobił to samo, wypuszczając z ust ostatni kłęb papierosowych oparów.

- Tomasz, domyślam się, że jako prywatny detektyw masz swoje metody, ale jeśli chcesz, mogę poszperać dookoła tej kobiety.

- Co masz na myśli?

- To, że pomimo tego, że jestem dopiero aspirującym dziennikarzem, to mam już sporo doświadczenia w rozgrzebywaniu zaległych spraw. I nie chcę się chwalić, ale... całkiem dobrze idzie mi zbieranie informacji, zwłaszcza tych głęboko ukrytych.

- Nie wiem... Nie chciałbym was w to angażować, a jeśli mam być szczery... ta sprawa może się rozwinąć w coś naprawdę paskudnego.

- Tomasz, spójrz prawdzie w oczy - powiedział Marek. - Ta sprawa już jest paskudna, nie ma przed tym ucieczki. Poza tym... moja siostrzyczka bardzo chce ci pomóc rozwiązać tę sprawę. Widzę to w jej oczach. A dla mnie to wystarczy, żeby zrobić wszystko, co w mojej mocy.

Dorota spłonila się, zawstydzona słowami brata, zastanawiając się, czy jej afekt jest aż tak widoczny, czy po prostu Marek zna ją tak dobrze, że nie jest w stanie przed nim nic ukryć. Widziała, że zdążył zwrócić uwagę na to, jak patrzy na Tomasza... ale i tak zdumiały ją jego ostatnie słowa.

- Skoro tak stawiasz sprawę, Marek - powiedział Tomasz - to chyba nie pozostaje mi nic innego, jak przyjąć twoją pomoc. Mimo wszystko może być mi potrzebna, skoro nie mogę udać się z tym na policję. Przynajmniej na razie. Wybaczcie - dodał po chwili, podnosząc się z miejsca - muszę iść do toalety. Jak wrócę, zastanowimy się, co dalej.

Tomasz wstał, podszedł do okna i uchylił je, wpuszczając do środka powiew

letniego, ciepłego powietrza, podciągnął też rolety, pozwalając naturalnemu światłu zalać pomieszczenie. Następnie udał się do toalety.

Dorota spojrzała za nim, a Marek patrzył na swoją siostrę, próbując dobrać w głowie odpowiednio delikatne słowa do tego, co chciał jej powiedzieć, dopóki znajdował się poza zasięgiem słuchu detektywa.

- Nie spędziłaś ostatniej nocy u ciotki, prawda? - zapytał delikatnie, jednak widział, jak Dorota sztywnieje.

- Marek, co...

- Spokojnie, po prostu widziałem twoje rzeczy w tym małym pokoju - przerwał jej brat z delikatnym, uspokajającym uśmiechem na twarzy. - Wiesz, siostrzyczko, że nie mam w zwyczaju mieszać się do twoich spraw, ale mimo to chciałbym wiedzieć, jak do tego doszło.

- Marek, to nie tak. Faktycznie, byłam tu przez ostatnie dwie noce, ale nie z tego powodu, który wyraźnie chodzi ci po głowie. Tomasz nie wspomniał o tym w swojej opowieści... rozumiem dlaczego, ale może mimo wszystko powinien był to zrobić.

Pokrótce opowiedziała bratu o wizycie czarnowłosej kobiety w łazience domu ciotki, a potem o rozmowie, którą podsłuchiwała dzisiejszej nocy. Jako że Tomasz wyraźnie się ociągał, postanowiła też opowiedzieć bratu o zajściu na parkingu pod kamienicą. Ten w spokoju wysłuchał jej i widząc wykwitające rumieńce na jej twarzy, zapytał z uśmiechem:

- Lubisz go, prawda?

Nie dostała szansy na odpowiedź, ponieważ detektyw właśnie wyszedł z toalety, jednak dla Marka odpowiedź była tak oczywista, że chyba tylko tekturowa tablica z napisem mogłaby być większym potwierdzeniem niż mina jego siostry. Miała to wypisane na twarzy, a on jej absolutnie nie winił, choć był zdziwiony. Do tej pory jego siostra była dla mężczyzn niedostępna niczym lodowce Antarktydy.

- Przepraszam, skorzystałem z okazji, żeby się ogolić - powiedział z uśmiechem Tomasz, na co Marek wybuchnął śmiechem i potarł swoją własną szczękę.

- Mi też by się to przydało. Podejrzewam, że nie będę mógł na siebie spojrzeć w lustrze, dopóki tego nie zrobię.

Dorota tylko skryła twarz w dłoniach i śmiała się, kręcąc głową. Ci dwaj byli niemożliwi. Dawno nie czuła w sercu takiego ciepła jak teraz, gdy patrzyła na ukochanego brata i tego ostatecznie niemal nieznanego mężczyznę, który

jednak zdążył zrobić dla niej więcej niż większość osób, które znała przez całe życie.

- Swoją drogą... - zaczął Tomasz - jak się czujesz, Marek? Minęło już trochę czasu, jest lepiej?

- Tak, dzięki, że pytasz. Twoje śniadanie i kawa wystarczyły, żeby mnie otrzeźwić do reszty.

- Miło mi to słyszeć, polecam się na przy...

Nagle urwał i utkwiał wzrok gdzieś ponad ramieniem Marka. Dorota widziała to spojrzenie zbyt często w przeciągu ostatnich dwóch dni, żeby nie wiedzieć, co się dzieje.

Tomasz wstał i ostrożnie podszedł do okna w rogu pokoju. Zatrzymał się w pół drogi i przystanął, wciąż mając ten sam wyraz twarzy. Marek widział, jak z każdą chwilą z jego twarzy odpływają kolory, a zamiast nich na czole występują kropelki zimnego potu.

W pierwszym odruchu Tomaszowi wydawało się, że to tylko gra cieni, jednak wystarczyły dwie sekundy, żeby się przekonał, że to nie wzrok płata mu figle.

W kącie pokoju, tuż pod oknem, siedziała przycupnięta mała postać. Miała krótkie, rudawe włosy, ubrana była w dziecięcy garnitur, a na nogach miała odpowiednio niewielkiego rozmiaru wyjściowe buciki. Postać obejmowała kolana rękami i kołysała się delikatnie na piętach. Tomasz nie wiedział, czy to tylko jego złudzenie słuchowe, czy może piosenka w radiu, ale przez moment był przekonany, że słyszy, jak kucający w rogu twór nuci jakąś piosenkę. Po chwili wrażenie zniknęło.

Dorota i Marek podążyli za nim wzrokiem i też zobaczyli coś małego kulącego się w kącie. Temperatura w wyraźny sposób spadła, niemal momentalnie przemieniając ich oddechy w parę, pokrywając ich ramiona gęsią skórką. Dorota wcisnęła się w kanapę, wstrzymując oddech. Zaczynała się trząść.

Marek wstał i podszedł do Tomasza, ten zaś gestem nakazał mu się zatrzymać, po czym sam zaczął się zbliżać do niespodziewanego gościa.

Nagle postać zakwiliła i gwałtownie odwróciła głowę w stronę idących w jej stronę mężczyzn. Ci aż wrzasnęli i rzucili się do tyłu, wpadając na siebie.

To, na co patrzyli, w innym, lepszym czasie i miejscu było chłopcem, jednak tu i teraz było niczym więcej jak chodzącą papką. Brakowało mu połowy twarzy, prawa część czaszki była dosłownie zmasakrowana od czoła aż po szczękę. Dzieła zniszczenia musiał dokonać młotek, użyty konkretnie w tym celu, bowiem nic innego nie było w stanie zadać takich obrażeń, jak te widoczne na chłopcu.



Marek i Tomasz patrzyli zahipnotyzowani w dziurę ziejącą z prawej strony chłopca, Dorota zaczęła zaś spazmatycznie wciągać powietrze, jak w nieudolnej próbie hiperwentylacji.

Twarz chłopca była jednak jedynie wierzchołkiem góry lodowej. Chłopiec wstał i odwrócił się cały w kierunku sparaliżowanej strachem trójki. O ile od tyłu malutki garniturek wydawał się nienaruszony, z przodu wyglądał, jakby dobrało się do niego jakieś dzikie zwierzę i rozszarpało zębami, wraz z materiałem wyszarpując strzępy tkanki z ciała dziecka. Krew była wszędzie, płynęła wartkim strumieniem na podłogę, tworząc kałużę stopniowo rozlewającą się coraz większym promieniem.

Nie to jednak przykuło największą uwagę Tomasza, choć z trudem był w stanie odwrócić ją od zmasakrowanej twarzy chłopca. Tym, co najbardziej nim wstrząsnęło, były jego spodnie.

Pasek był zerwany, a spodnie rozprute brutalnie w kroku; dziury w materiale odsłaniały wyraźnie paskudnie otarte i zakrwawione uda chłopca i jego małego penisa, który... Tomasz nie mógł uwierzyć, gdy na to patrzył – wyglądał, jakby został pogryziony przez stado psów.

Nagła konwulsja szarpnęła jego żołądkiem i musiał wyteńczyć całą swoją wolę, żeby nie zwrócić śniadania. Marek po jego lewej stronie zdawał się walczyć z torsjami z równą zaciętością.

Chłopczyk postawił kolejny krok przed siebie, zbliżając się do leżącego najbliżej Tomasza, jednak nie udało mu się zejść daleko; po zrobieniu trzech kroków nagle upadł i zdołał już tylko spojrzeć żałośnie jedynym pozostałym mu okiem na ludzi w pokoju, po czym dosłownie zmienił się w proch; z pozostałości garniturku wysypał się na ziemię popiół, mieszając się z zalewającą podłogę krwią, tworząc jedyne w swoim rodzaju upiorne bagno śmierci. Kilka sekund później garnitur również się spopielił. Po chwili nie pozostał ani jeden ślad po zjawie, krew wyparowała, a popiół zniknął niczym rozwiany przez wiatr.

Dorota zdawała się odzyskiwać mowę, gdyż powietrze rozdarł jej pisk, który szybko stłumiła własną dłonią, nie chcąc niepokoić sąsiadów. Po policzkach spływały jej strużki łez, trzęsła się też jak galareta.

Tomasz i Marek nie wyglądali lepiej; wciąż leżeli na podłodze i wpatrywali się w to samo miejsce, jakby bali się, że to jeszcze nie koniec, a brutalnie okaleczony chłopczyk pojawi się znowu, tym razem zabierając ich ze sobą do krainy wiecznych cierpień. Tomasz doszedł do siebie jako pierwszy i szybko obrzucił spojrzeniem Marka, bojąc się, że chłopak może tego nie wytrzymać. Nie mylił się

za bardzo, ale zdążył w porę zareagować, potrząsając nim potężnie.

- Marek! Marek, cholera jasna, otrząśnij się! Marek!

W oczach chłopaka jakby coś przygasło, jednak nawoływanie Tomasza stopniowo przywracało je do życia, rozjaśniając łudząco podobny do oczu jego siostry błękit zmieszany z zielenią.

- Co to, kurwa, miało być?! - zapytał, krztusząc się własnymi słowami.

Sekundę później zadzwonił telefon.

# ROZDZIAŁ XI

## I

Wszyscy zastygliśmy w niemym oczekiwaniu, jednak żadne z nas nie ruszyło się, by podnieść słuchawkę. W końcu dzwonięcie ustało, a my spojrzeliśmy po sobie z uczuciem ulgi. Chwilę później telefon rozbrzmiał na nowo. Chcąc nie chcąc, zbierając wszystkie siły, jakimi jeszcze dysponowałem, zebrałem się z podłogi i podszedłem do aparatu.

- Halo? - zapytałem tonem człowieka w ostatnim stadium malarii.

- Tomasz? - rozległ się głos Dawida po drugiej stronie. - Wszystko w porządku?

- Benny... tak, co... tak, wszystko w porządku - odparłem, masując sobie jednocześnie kark. - Dlaczego dzwonisz? Coś się stało?

- Stało się, to jest mało, kurwa, powiedziane. Szykuje się nam tu największa zadyma, o jakiej słyszała ta komenda policji, jeśli ktoś czegoś nie zrobi.

- O co chodzi?

- Jesteś w biurze?

- W mieszkaniu. Mogę być w biurze za dziesięć minut.

- To bądź, przyjadę za chwilę.

Po czym sygnał się urwał, a w słuchawce zaległa cisza. Odłożyłem telefon, zdając sobie sprawę ze zdziwienia widocznego na mojej twarzy, które nie umknęło Dorocie i Markowi. Wyraźnie nie doszli jeszcze do siebie po tym, co przed chwilą zobaczyli. Nie mieliśmy też czasu, żeby o tym porozmawiać. Każde musiało przetrwać to na swój sposób.

- Dąbrowski będzie u mnie za chwilę, ale wybaczone mi, tym razem nie mogę was zabrać ze sobą.

- Dlaczego nie? - zapytała Dorota, pomalutką odzyskując mowę.

- Boję się, że sprawa może być naprawdę poważna, a nie chcę, żeby Dawid wstrzymywał cokolwiek ze względu na to, że wy tam będziecie. Opowiem wam o wszystkim później, tymczasem możecie zostać tutaj, nie ma problemu.

- Nie, Tomasz... - zaproponował Marek. - Dość już nadużyliśmy twojej

gościnności na ten moment. Pojedziemy do ciotki zobaczyć się z mamą i może... trochę ochłonać. Nie wiem, co to miało znaczyć, to, co zobaczyliśmy przed chwilą, ale odrobina powietrza nie zaszkodzi w przyjęciu tego do świadomości.

- Na pewno? Dorota wciąż nie wygląda zbyt dobrze.

- Nic mi nie jest, nie martw się - powiedziała Dorota, jednak w jej wzroku wciąż czaiło się przerażenie, gotowe do skoku i obezwładnienia jej.

- A ja postaram się jeszcze dzisiaj dowiedzieć się czegoś o tej Kuśnierczyk... Tak się składa, że kilku moich znajomych ze studiów pracuje w tutejszej lokalnej gazecie, a jeden zdaje się jest dziennikarzem stacji radiowej. Podzwonię, popytam, może uda mi się czegoś dowiedzieć.

- Niech tak będzie - powiedziałem. - Weź mój numer od Doroty i dzwoń, gdy tylko będziesz coś miał. Zadzwoń do was - tu zwróciłem się do dziewczyny - gdy tylko dowiem się, o co chodzi. Wtedy gdzieś się spotkamy i wszystko wam opowiem.

Skinęli głowami na znak przyjęcia do wiadomości tego, co powiedziałem, po czym wszyscy opuściliśmy mieszkanie. Dorota wraz z bratem poszła w kierunku najbliższego przystanku autobusowego, ja zaś przeszedłem na drugą stronę ulicy do swojego biura.

Otworzyłem drzwi do klatki schodowej, wszedłem do środka i nie zdążyłem nawet postawić dwóch kroków, a już leżałem rozciągnięty na podłodze, wdychając odór stęchlizny.

- Co jest kur...

Obejrzałem się przez ramię i na podłodze zobaczyłem śpiącego mężczyznę. Można by pomyśleć, że nie żyje, gdyby nie świszczący oddech i smród alkoholu, który dopiero po chwili uderzył mnie w nozdrza z niemal obezwładniającą siłą. Rozsierdzony do ostatnich granic wstałem z podłogi i wziąłem tamtego za kłapy jego rozpadającej się w rękach kurtki (mając w pamięci, żeby później dokładnie wyszorować dłonie), po czym bezceremonialnie wywlokłem go na zewnątrz przez otwarte drzwi. Zareagował dopiero wtedy, kiedy zaczął bezwładnie staczać się z trzech stopni schodków pod drzwiami. Spojrzał na mnie wzrokiem pobitego buldoga, zamruczał coś w języku, którego nie byłem w stanie zrozumieć, a potem chyba nawet próbował pogrozić mi pięścią, ale skończyło się na tym, że na czworakach odczołgał się pod najbliższy płot, przytulił do niego i usnął.

Nie było mi żal.

## II

Byłem w trakcie trzeciego obmywania dłoni po kontakcie pierwszego stopnia z wszelkiego rodzaju syfem na kurtce bezdomnego, gdy rozległ się dzwonek u drzwi, ktoś nacisnął na klamkę i wszedł do biura, nie czekając na zaproszenie.

Wyszedłem z łazienki, otrzepując ręce z wody, i zobaczyłem stojących w wejściu Dąbrowskiego i Leśniaka. Nawet nie próbowałem kontrolować niesmaku, który wykwitł na mojej twarzy, gdy go ujrzałem. Już chyba wolę potykać się o bezdomnych.

- Widzę, że przyprowadziłeś ze sobą swojego pieska? - prychnąłem do Dawida.

Ten tylko westchnął i wzruszył ramionami. Leśniak zdawał się być nieco speszony, lecz nie moimi słowami, a czymś innym. Było to ledwo dostrzegalne, ale jednak... coś w tym było.

Zaprosiłem ich gestem do pokoju i wskazałem dwa krzesła przed biurkiem, sam zaś zająłem swoje miejsce w fotelu pod oknem, zapaliłem papierosa i spojrzałem na nich. Obaj wydawali się bardzo zmęczeni i wyraźnie zdenerwowani, zdekoncentrowani. Zanim jednak dałem ujście mojej ciekawości i zadałem pytanie, Dawid sam zaczął udzielać na nie odpowiedzi.

- Jesteśmy w czarnej dupie, Tomasz... Cholera, to może się naprawdę źle skończyć.

- Powoli, *mi amigo*. Powiedz, co się stało, bo absolutnie nic z tego nie rozumiem.

- Jakąś godzinę temu zadzwonił do nas jakiś sukinsyn z gazety. Był na tyle głupi, że zadzwonił na ogólny, wyraźnie nie znał numeru gliny, z którym się umówił, stąd wiemy, że coś się święci.

- Co mówił?

- Powiedział tylko, że jest umówiony na wywiad w sprawie ostatnich zaginięć dzieci. Sekretarka od razu kazała mu czekać i zadzwoniła po mnie. Ten sukinkot mówił, że któryś z policjantów powiedział mu, że pracują nad sprawą zaginięć dzieci.

- Niech zgadnę... w rozmowie padły słowa „rzeź niewiniątek”?

- Punkt dla ciebie; zaraz po „maskowaniu przez sprawę seryjnego mordercy”.

- Kurwa...

Leśniak dalej siedział cicho.

- Co mu powiedziałaś? - zapytałem Dawida.

- Że nic nie wiemy o żadnych zaginięciach, oczywiście. I zgadnij, co?

- Nie uwierzył.

- Oczywiście, że nie uwierzył. Powiedział, że spotkał się z kimś, kto jest związany z tą sprawą, ale otrzymał tylko dane zaginionych dzieci. TYLKO, kurwa mać... Ale to nie wszystko. Ten gnojek jakimś cudem się dowiedział, że znaleźliśmy wczoraj zwłoki dziecka... Pieprzone wszy, ci dziennikarze, dopiero co zdążyliśmy poinformować rodziców Marysi...

Pomyślałem o Marku i w głowie odbiły mi się echem słowa „pieprzone wszy”. Wyraźnie nie wszyscy byli tacy źli, choć może to tylko pierwsze wrażenie.

- Pozostaje pytanie, kto wygadał. O ile chodzi o Marysię, w grę wchodzi całkiem spora grupa ludzi, tak naprawdę to mógł być każdy. Ale akta...

- No więc właśnie! - nie wytrzymał Dawid. - My tu się, kurwa, staramy utrzymać to w ścisłej tajemnicy, bo seryjne gwałty już dostatecznie utrudniają nam życie, a jakiś padalec idzie z tym do mediów! Może myśli, że dostanie za to medal - zakończył zde gustowany.

- Co zrobiliście z dziennikarzem?

- Widzę, że nie zapomniałeś, jak to się robi - Dąbrowski zdobył się na uśmiech.

- Poprosiłem go o spotkanie, a w międzyczasie sprawdziłem sobie dane jego ubezpieczenia. Powiedzmy, że postarałem się, żeby pewna Honda Accord trafiła dzisiaj na policyjny parking, a jej właściciel na dołek. A jeśli się nie uda, to chociaż dostanie porządny mandat.

Roześmiałem się bez śladu wesołości, a jedynie z mściwą satysfakcją. Wiedziałem jednak, że to tylko gra na zwłokę. Jeden, góra dwa dni opóźnienia nie uratują sprawy, bo nie byliśmy w stanie rozwiązać jej w takim tempie. Od „rzezi niewiniątek” minęło pięć lat, nie łudziliśmy się więc, że nagle z niebios spłynie natchnienie i następnego dnia zatrzymamy winnego.

- Coś czuję, że masz dla mnie więcej radosnych informacji, co? - powiedziałem, rzucając okiem na zwykłą, szarą teczkę, którą położył przed sobą na biurku.

- Twoja zdolność dedukcji nieustannie mnie zdumiewa - zironizował, po czym podał mi teczkę. - Masz, rzuć okiem.

- Kolejne zaginięcie?

- *Si, signor*. Zgłoszone wczoraj wieczorem. Oczywiście patrol od bladego świata przeszukuje okolicę, jednak bez znaczących sukcesów. Jedyne, co udało się znaleźć, to małą marynarkę od dziecięcego garniturku. Nie była w najlepszym stanie. Niestety, tam ślad się urwał.

- Popielatą marynarkę, prawda? - mruknąłem bardziej do siebie niż do Dawida, trzymając przed sobą zdjęcie zaginionego chłopca.

Wyglądał przerażająco znajomo. Przerażająca była też świadomość, że już nigdy nie włoży na siebie garnitur.

Leśniak i Dąbrowski obrzucili mnie pytającymi spojrzeniami, ja jednak zbyłem ich milczeniem i odwróciłem się w stronę okna, w ustach trzymając wciąż tłącego się papierosa. Trzeba coś zrobić, bo naprawdę nie skończy się to dobrze...

- Skąd zniknęło dziecko? Spod domu?

- Nie... Zniknęło spod przedszkola, mniej więcej cztery godziny po tym, jak dostaliśmy zgłoszenie o zaginięciu Marysi.

- W tym samym rejonie?

- Nie, po przeciwnej stronie miasta. „Biedronka”, czy jakoś tak nazywało się to przedszkole.

- Należy do Arkadiusza Kuśnierczyka - wtrącił Leśniak, odzywając się po raz pierwszy.

Już miałem zamiar skarcić go za wpieprzenie się w rozmowę, jednak dostrzegłem zdziwione spojrzenie Benny'ego, domyśliłem się więc, że nic o tym nie wiedział.

- Skąd o tym wiesz? - zapytał praktykanta ze zdziwieniem.

- Coś mnie tknęło i zajrzałem dzisiaj rano do Internetu - powiedział nieco speszony. - Biedny facet, w tym tempie rodzice mogą przestać wysyłać dzieci do przedszkoli, które prowadzi. Ale on nie mógł mieć z tym nic wspólnego, cały wczorajszy dzień spędził w „Pszczółce”.

On nie, to prawda... Jednak to nie on wzbudził wczoraj moje zainteresowanie.

Była też jeszcze jedna kwestia, o którą musiałem spytać Dawida. Nie mogłem tego jednak zrobić przy Leśniaku. Miałem swoje podejrzenia co do tego, kto pobiegł do mediów. Może spowodowane były uprzedzeniami, może zawodową intuicją, a może jednym z owych silnych przeczuć, które tak często miewałem - nie wiem. Ale porozmawiam o tym z Romanem Leśniakiem przy pierwszej możliwej okazji i tylko od jego odpowiedzi będzie zależał stan jego twarzy po tej rozmowie. Tymczasem musiałem się go pozbyć.

- Dawid, czy miałbyś coś przeciwko, żebym poprosił twojego praktykanta o spacer do sklepu i kupienie kawy? Obawiam się, że się skończyła, a nie wątpię, że wy też chcielibyście się napić.

Dąbrowski napotkał moje spojrzenie i od razu zrozumiał. Lata przyjaźni sprawiają, że słowa wielokrotnie są zbędne.

- Tak, pewnie. Roman, skocz proszę do sklepu na rogu, tego, który mijaliśmy w drodze tutaj, kup paczkę Jacobsa albo innego cholerstwa... byle by było dobre.

Nie pogniewałbym się też, gdybyś przyniósł jakiś jogurt.

- Dobrze, szefie - odpowiedział Leśniak, a ja widziałem, jak na jego twarzy wykwitają czerwone plamy wstydu.

Wyraźnie nie spodobało mu się, że jest traktowany jak posłaniec.

Nie powiedział tego jednak głośno i ze słowami skargi wciąż uwiędłymi wewnątrz swojej głowy wyszedł z biura. Oddalający się tupot kroków na schodach potwierdził, że grzeczny z niego praktykant.

- No, poszedł w pizdu. Teraz możemy porozmawiać - zwróciłem się do Dawida.

- Lepiej mów szybko, znając jego, nie zajmie to dużo czasu.

- Taaak, wrzody na dupie mają to do siebie, że szybko wracają.

Roześmialiśmy się obaj, jednak nie było na to czasu, więc szybko się uspokoiłem i zadałem pytanie, które nurtowało mnie od momentu, w którym ochłonąłem po dzisiejszym porannym spotkaniu z małym chłopcem.

- Dawid, muszę cię prosić o sprawdzenie jednej rzeczy, bo sam nie jestem w stanie sobie przypomnieć. Po tym, jak znaleźliśmy te dzieci, wtedy, za kaplicą... czy patolog zrobił dokładne sekcje zwłok?

- Oczywiście, dlaczego o to pytasz?

- Domyślam się, że masz dostęp do protokołów?

- Owszem, ale czego w nich szukasz, Tomaszu?

- Informacji o tym, czy sekcja została przeprowadzona także pod kątem przemocy na tle seksualnym - powiedziałem cicho.

Dąbrowski wyraźnie stracił wątek. Siedział przede mną z rozchyłonymi w zdumieniu ustami i załęczkiem obłędu w oczach, który charakteryzował każdego przemęczonego policjanta. Niemal słyszałem, jak zacięte trybiki w jego głowie zaczynają się obracać, wytwarzając parę uciekającą porami w jego ciele.

- Tomasz, co...

- To, że mogliśmy coś przeoczyć - uciałem. - Byliśmy tak pewni, że to był mord rytualny, że odrzuciliśmy wszystkie inne opcje. Nie patrz tak na mnie, dobrze o tym wiesz. Zajęło mi pięć lat, zanim doszedłem do tego wniosku. Nie przyłożyliśmy się do tej sprawy odpowiednio i teraz zbieramy żniwo.

- Ale Tomasz, to nie mogło być nic innego, pomyśl. Kapliczka? Nagie ciała? Wycięte serca? Święta Bożego Narodzenia? Co innego mogło to być, jak nie jakaś pokręcona forma czarnego sakramentu?

- To podpowiedziała nam zwykła, ludzka logika, a ona zazwyczaj rządzi się swoimi prawami. Nie, prawda jest taka, że ulegliśmy autosugestii i temu, co było najbardziej oczywiste. Poszliśmy po linii najmniejszego oporu.



Wstałem z fotela, wrzuciłem niedopałek do popielniczki i stanąłem twarzą do okna, obserwując poruszające się po chodniku ludziki. W oddali dostrzegłem Leśniaka, wracającego szybkim krokiem ze sklepu, z reklamówką w prawej ręce i telefonem w lewej. Ciekawe, do kogo dzwonisz, sukinsynu – pomyślałem, od razu formułując w głowie odpowiedź. Pewien dziennikarz będzie musiał poczekać na informacje.

- Tomasz, to jest zupełnie bez sensu, jak...

- Leśniak wraca. Nie będę dalej próbował ci tłumaczyć mojego toku rozumowania, jednak proszę, sprawdź te protokoły i zrób to jeszcze dziś. Od razu do mnie zadzwoń, muszę jak najszybciej poznać odpowiedź.

- Tomasz, co ty kombinujesz, wytłumacz mi? Wiem, że ta sprawa nie dawała ci spokoju przez te pięć lat, ale to, co mówisz, brzmi jak czyste...

- Wariactwo? Może. Być może jestem szalony, owszem, ostatnie dni bardzo mnie w tym utwierdzają. Ale wiem, że wtedy nie zrobiliśmy wszystkiego, co w naszej mocy, wbrew temu, co próbowałem sobie wmawiać przez te wszystkie lata. I ty też o tym wiesz, jakkolwiek chcesz przed tym uciec.

- Tomasz, proszę cię, na Boga...

- Bóg ma z tym niewiele wspólnego. Jeszcze jedno, zanim wejdzie tu Leśniak – znów przerwałem mojemu przyjacielowi w pół zdania. - Ten chłopczyk na zdjęciu...

- Ten zaginiony?

- Tak – skinąłem głową. - Nie wiem, na ile mi ufasz, ale... możesz zadzwonić do jego rodziny. On nie żyje.

- Skąd możesz wiedzieć takie rzeczy, Tomasz? Toć to czyste szaleństwo, jak...

- Po prostu wiem. Zaufaj mi. I obawiam się, że nie znajdziecie jego ciała.

- Dlaczego? – zdumiał się Dawid.

- Bo został po nim tylko proch.

W tej samej chwili Leśniak wrócił do biura.

### III

- Mam kawę i co... – zaczął od progu Leśniak, jednak nie dane mu było dokończyć.

- Bardzo dobrze, połóż na stole i zbieramy się stąd – powiedział Dąbrowski, stając w korytarzu.

Leśniak patrzył na niego oburzony do ostatnich granic, jednak zanim zdążył w jakikolwiek sposób zwerbalizować swoje uczucia, napotkał moje spojrzenie, które wyraźnie odebrało mu chęć na rozmowę. Bez słowa położył reklamówkę na stoliku przy wejściu, po czym skinął mi głową na pożegnanie i wyszedł. Dąbrowski zawahał się przez moment, po czym odwrócił się do mnie i powiedział:

- Sprawdzę te protokoły. Chociaż nadal uważam, że nie ma to najmniejszego sensu.

- Ważne jest to, że ja uważam inaczej. Tymczasem pilnuj swojego przydupasa. Nie wiem, czy zauważyłeś, ale Leśniak zdaje się być bardzo rozmowny. Szczególnie jeśli chodzi o informacje, które nie powinny opuszczać jego głowy.

Dąbrowski skwitował moją uwagę pytającym spojrzeniem, jednak po chwili zastąpił je wyraz zrozumienia, który ustąpił nacierającej złości. Trwało to wszystko dosłownie sekundę, ale byłem pewien, że od tej pory Leśniak nie będzie miał z nim łatwego życia.

- Uważaj na siebie, przyjacielu - rzucił do mnie na odchodne i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Stałem przez chwilę na środku korytarza, wsłuchany w ciszę pozostałą po odbytej przed chwilą rozmowie. Otrząsnąłem się z wrażenia pustki i zerknąłem na to, co przyniósł praktykant. Oczywiście, mogłem się tego spodziewać, ale jednak miałem nadzieję, że nie spieprzy przynajmniej zakupów. Myliłem się. To, co przyniósł, nie nadawało się do picia. O jogurtach zapomniał. Czym prędzej wywalilem więc reklamówkę do kosza, a sam wróciłem do mieszkania.

Dorota i Marek pojechali do ciotki. Wyciągnąłem telefon i zadzwoniłem do dziewczyny. Jej głos działał kojąco na moje skołatane nerwy... i było to bardzo przyjemne, choć cholernie dziwne. Umówiliśmy się w tej samej kawiarni, w której byliśmy z Dorotą dwa dni wcześniej, w „Madame Butterfly”. Kończąc rozmowę, czułem dziwny uścisk w okolicach mostka, a drzemiący w okowach żeber zwierzak zamruczał cicho z aprobatą.

Odłożyłem telefon na stolik i zacząłem krążyć bez celu po pokoju, chcąc nie chcąc na nowo przeżywając makabryczne wizyty ostatnich dni. Dzisiejsza śmiało mieściła się w Top 3, zaraz po ocieraniu się o trupa Moniki Kropisz i przedszkolnego spotkania z małą dziewczynką z poderżniętym gardłem.

Coś zastukało w szybę w oknie.

Spojrzałem tam, obracając głowę tak gwałtownie, że kark bolał mnie później przez dobrą godzinę. Spodziewałem się wszystkiego, jednak był to tylko kruk, który najwyraźniej pomylił piętra. „Strzeż się Zwiastunów Nocy”... Kupa bzdur.

Niemniej jednak obawiałem się nadchodzącej nocy. To, co przytrafiało się za dnia, było wystarczająco upiorne, jednak stanowiło tylko łagodne preludium tego, co skrywał mrok tej części doby, w której zachodzi słońce.

Postanowiłem kolejny raz pójść pod prysznic, chcąc zmyć z siebie zmęczenie i czarne myśli przed spotkaniem z moją klientką i jej bratem. Naciskając na klamkę drzwi od łazienki, czułem dreszcz niepokoju, jednak oświetlone wnętrze wyglądało tak samo jak zwykle – dość zadbane, przyjemnie ozdobione, znajome.

Odetchnąłem z ulgą, ściągnąłem z siebie ubrania i wszedłem do kabiny, gdzie przywitał mnie wartki strumień gorącej wody, spływający katartrycznie po moim ciele. Nie myślałem o niczym, skupiałem się tylko na tych wąskich promieniach ciepła otulających ciało, choć przez tę delikatność przebijała się wyobraźnia podsuwająca piękne obrazy, choć więcej niż nierzeczywiste. Była piękna, młoda, radosna... A ja zdawałem się być jej dokładnym przeciwieństwem, jakkolwiek nasze charaktery były pozornie zbliżone.

Odgoniłem od siebie mrzonki, puszczając dla odmiany lodowato zimną wodę. Gdy poczułem, że głupoty przestały się mnie trzymać, zakręciłem wodę, wytarłem ciało i na powrót się ubrałem, szykując się na umówione spotkanie. Byłem ciekaw, czy Marek powziął już jakieś kroki w kierunku wyszukania informacji o Małgorzacie Kuśnierczyk... Zastanawiałem się też, jak zareagują na moją teorię odnośnie tego, co zobaczyliśmy dziś rano. Choć... czułem, że powinienem najpierw wysłuchać ich wniosków. Być może to, co urodziło się w mojej głowie, było wyłącznie efektem przywidzeń i tej samej zdradzieckiej autosugestii, która zawiodła nas na manowce pozornej pewności pięć lat temu.

Kiedy wychodziłem z łazienki, przez krótki moment byłem więcej niż pewien, że z pogrążonego w półmroku małego pokoju leżącego naprzeciwko spogląda na mnie martwe oko kobiety o czarnych włosach. Zamrugąłem szybko – oko zniknęło.

Odetchnąłem z ulgą, zapalając papierosa. Po raz kolejny powitałem nikotyne jak starego przyjaciela, błogosławiąc Boga za ten ogólnodostępny antydepresant.

Wszedłem na dwór, wsiałem do Sportage'a i wyruszyłem do centrum, choć dobrze wiedziałem, że do umówionego spotkania pozostała jeszcze dobra godzina. Jadąc na miejsce, czułem się otumaniony, jakby ktoś odurzył mnie chemikaliami lub przyłożył obuchem w głowę. Mijałem kolejne ulice, kolejne światła, kolejne samochody i nawet nie miałem dość sił i skupienia, żeby porządnie nawyzywać jadących jak ostatni kretyni kierowców, nawet w myślach.

Samochód zostawiłem na tym samym parkingu, co poprzednio, pod tą przeklętą kamienicą. Gdy spojrzałem na chodnik, wróciło szybkie, ale nieznaczące

wspomnienie trzech chłopaków, których dość brutalnie unieruchomiłem zaledwie przedwczoraj. Nie było mi żal. Wyjąwszy to... kamienica działała na mnie niemal magnetycznie.

O domach, które są nawiedzone, mówi się, że w ich umarłych murach tętni życie, które pozostaje niewidoczne dla świata. Może takie miejsca, takie miejskie szczalnie przyciągały duchy bardziej niż inne? Bo jeśli duchy to nic więcej jak zlepki emocji pozostałych po ludziach stąpających niegdyś po świecie... to czy ludzie, którzy byli skazani na mieszkanie w takich miejscach, nie mieli w sobie niepomierne więcej żalu niż ci, którym się w życiu powiodło?

Wiedziony nagłym impulsem podszedłem do drzwi wiodących na klatkę schodową i już chwyciłem za klamkę, już miałem zamiar popchnąć drzwi, kompletnie ignorując zamknięty zamek, pobiec na trzecie piętro, by znów stanąć w tym przeklętym pokoju, symbolu mej porażki i desperacji. Już niemal czułem zapach stęchlizny spowijający cały budynek, gdy jakiś cichy głos wewnątrz mej czaszki nakazał mi przestać.

Stałem tak przez chwilę sparaliżowany, nie umiając zebrać myśli. Co w zasadzie chciałem tam znaleźć? Czy aż tak bardzo zależało mi na tym, żeby raz jeszcze zobaczyć upiorną zjawę Moniki Kropisz (lubisz dobre lizanko, prawda?)? A może szukałem kontaktu z dziećmi, których nie byłem w stanie ocalić?

Przestań! - nakazał głos w głębinach duszy. Wciąż cichy, lecz bardzo stanowczy. Czyj? Nie miałem pojęcia.

Z otępienia wyrwało mnie skrzeczenie kruków na pobliskim drzewie. Cholerne ptaszyska obsiadły brzozę, niemal doszczętnie zakrywając jej gałęzie czernią swych skrzydeł. Patrzyły na mnie. Wiem, to nielogiczne, a jednak patrzyły na mnie. Nie zdziwiłem się; przyciągałem śmierć jak lep na trupy. Kruki były tylko transakcją wiążaną.

Zadrzałem.

Nie, nie z chłodu ani nie ze strachu. Coś znacznie silniejszego od tej dwójki ścisnęło mnie za gardło i nakazało odejść jak najprędzej od tego miejsca, wydostać się spoza zasięgu ponurych ptaszysk drących dzioby wniebogłosy, jakby próbowały coś oznajmić całemu światu.

Wsunąłem rękę głęboko w kieszenie spodni i ruszyłem przed siebie, oddalając się możliwie najdalej od tej przeklętej kamienicy, odprowadzany wrzaskiem setki Zwiastunów Nocy.

# IV

Rodzeństwo dostrzegłem, zanim oni zdążyli zauważyć moją obecność. Może dlatego, że nie rzucałem się w oczy – ot, kolejny facet ze zmęczoną twarzą, w czarnych spodniach, szarej, sportowej marynarce, tłący papierosa w miejscu, gdzie palenie jest zabronione, siedzący na ławce i pogrążający się we własnych, spowitych cieniem myślach.

Siedziałem niemal naprzeciwko kawiarni, do której mieliśmy się udać. To Dorota spostrzegła mnie pierwsza.

- Halooo! Ziemia do Tomasza! – zawołała do mnie radośnie.

Nie potrafiłem nie odwzajemnić uśmiechu, który wykwitł na jej twarzy, a cały mrok spowijający mój umysł jakby się przejaśnił. Marek idący tuż za nią ograniczył powitanie do skinięcia głową i zamarkowania salutów, na co odpowiedziałem tym samym gestem. Zauważyłem, że niósł naramienną torbę na laptop. Wróżyło to dobrze, choć byłem realistą – trzy godziny to raczej niewiele czasu na zdobycie jakichkolwiek informacji, zwłaszcza tych zakopanych głęboko pod ziemią.

Weszliśmy do wnętrza „Madame Butterfly” witani dźwiękiem zawieszzonego na drzwiach dzwonka i rzuconym od kasy „dzień dobry”. Dziewczyny, która obsługiwała nas przedwcześniej, nigdzie nie było widać. I dobrze. Dziś chyba nie byłbym tak uprzejmy.

Zajęliśmy ten sam stół, co poprzednio. Kelnerka, młoda, względnie zgrabna brunetka, podała nam karty i poprosiła, żeby zawołać ją, gdy już się zdecydujemy. Nie zaszczyciłem jej uważniejszym spojrzeniem, jednak zauważyłem, że Markowi najwyraźniej spodobał się sposób, w jaki kołysała biodrami. Mrugnąłem do niego porozumiewawczo. Ten splonął się nieco, ale odpowiedział tym samym.

- Dziś też podwójne latte? – zapytała prześmiewczo Dorota, dobrze wiedząc, jaką kawę preferuję.

- Nie, dziś podziękuję. Wyjątkowo wybiorę herbatę, mają tu jedną rewelacyjną, z imbirem i miodem.

- Tomasz Radziejowski odmawia kawy? Mój Boże, a to ci nowina – zażartowała Dorota, obdarzając mnie figlarnym uśmiechem.

- Cóż... ludzie się zmieniają – odpowiedziałem, starając się zachować powagę, ale nie wytrzymałem i napotkawszy jej spojrzenie, wybuchnąłem śmiechem.

- A co ty zamawiasz, braciszku? – spytała, ocierając łzy rozbawienia.

- Ja myślę, że zadowolę się zwykłą kawą z mlekiem. Amerykańska, tak się

chyba nazywa w karcie.

- Proszę cię, raz w życiu jesteśmy razem na kawie poza domem, a ty mi mówisz, że chcesz wypić to samo, co zwykle? - otaksowała brata surowym spojrzeniem Dorota. - Wybierz coś innego.

- No dobrze, dobrze... to niech będzie frappe z gałką lodów śmietankowych, skoro tak bardzo nalegasz.

- No, w końcu nieco zaszalałeś. „Nieco” - powiedziała karcąco, kreśląc cudzysłów palcami w powietrzu.

Przyglądałem się z rozbawieniem tej scenie, starając się nie dać po sobie poznać, jak dobrze się bawię, widząc ich utarczkę. Wstałem od stolika i ruszyłem w stronę baru.

- Hej, dokąd idziesz? - zawołała za mną Dorota.

- Podwójne latte, prawda? - zapytałem w odpowiedzi.

- Tak, a dla Marka...

- Wiem, frappe z gałką lodów śmietankowych.

Tu rozmowa się urwała, a ja odwróciłem się do młodej brunetki za barem i złożyłem zamówienie. Wydawała się wdzięczna, że nie fatygowałem jej do stolika.

Z uporem paranoika rozglądałem się po spowitym w półmroku wnętrzu kawiarni, mimowolnie oczekując pojawienia się czarnowłosej kobiety bądź kolejnego małego dziecka z mniejszymi lub większymi obrażeniami. Nic takiego nie miało miejsca, jednak dla pewności po raz dziesiąty spojrzałem na stolik, przy którym ostatnio dostrzegłem upiora. Za jedenastym razem też go tam nie było, więc odpuściłem rozeznawanie terenu i wróciłem do Marka i Doroty.

Marek był właśnie w trakcie rozpakowywania swojego laptopa. Uruchomił komputer i zaczął się głośno zastanawiać, czy w lokalu jest sieć Wi-Fi. W odpowiedzi, wciąż stojąc, popukałem wiszącą na ścianie niedaleko naszego stolika tabliczkę z napisem „hot spot”, na co Marek zareagował tylko skinieniem głowy, zaabsorbowany próbą połączenia się z Internetem.

- Czekasz na coś? - spytałem, widząc zawód na jego twarzy, gdy otworzył pierwsze okno w przeglądarce.

- Tak, na informacje. Może się okazać, że dostaniemy je szybciej, niż się spodziewałem, ale na tę chwilę pozostaje tylko czekać.

- Jak to, chcesz mi powiedzieć, że już udało ci się coś znaleźć?

- Technicznie rzecz biorąc... nie mnie. Wspomniałem, że mam kilku znajomych pracujących w lokalnej gazecie, prawda? Żaden z nich nie potrafił mi pomóc, ale

naszej rozmowie przysłuchiwał się jeden ze starszych edytorów i to właśnie on na coś trafił. A przynajmniej tak mi się wydaje. Gdy pokazałem mu zdjęcie tej Kuśnierczyk, był poważnie zdezorientowany, ale obiecał mi maila w przeciągu paru godzin z informacjami, jeśli oczywiście coś wygrzebie.

- To i tak imponujące - powiedziałem, będąc pod szczerym wrażeniem.

- A tam - zbył mnie machnięciem ręki. - W międzyczasie przejrzelismy też stare wydania gazet. Gościłeś na całkiem sporej ilości pierwszych stron, wiesz o tym?

- Taaaak, już ktoś mi o tym mówił... A widzieliście tę, na której jestem tylko ja? Jest szczególnie warta uwagi - mruknąłem sarkastycznie.

- Mówisz o tej z nagłówkiem „Funkcjonariusz policji napada na dziennikarza!”? - spytała Dorota z rozbawieniem. - Tak, widzieliśmy i podobała nam się bodaj najbardziej ze wszystkich. Dobrze wyszedłeś na zdjęciu - dodała, wciąż z uśmiechem na twarzy.

- Co cię tak bawi?

- Nic, nic. Tylko... dlaczego pobiłeś dziennikarza?

- A muszę odpowiadać?

- Tak, chcę się dowiedzieć, dlaczego detektyw, którego wynajęłam, trafił na pierwszą stronę.

Westchnąłem zrezygnowany, po czym odruchowo zacząłem wyciągać z kieszeni papierosa. Karcące spojrzenie dziewczyny przypomniało mi, że w lokalach nie wolno palić, więc kręcąc głową, rad nie rad, odpuściłem.

- No dobrze, powiem...

- Zamieniamy się w słuch - powiedział Marek, uśmiechając się w sposób irytująco podobny do swojej siostry.

To mi się dopiero trafiło, cholera jasna.

- Zacznę od końca. Zaraz po tym zdarzeniu byłem pewien, że dostanę dyscyplinarkę, jednak zanim ktokolwiek z góry zdążył się tym zainteresować, moje wypowiedzenie wylądowało na biurku komendanta i tyle mnie widzieli. Nie mogłem zostać w policji ani dnia dłużej.

- Co się stało? Chodziło o „rzeź niewiniątek”?

- Cóż... tak. I nie. To trochę bardziej skomplikowane. Ten dziennikarz, którego pobiłem, trafił do szpitala z dość poważnymi obrażeniami.

- Tak jak ci trzej z przedwczoraj?

- Tamci trzej wyszli z tego ledwie draśnięci... Dziennikarz nie miał tyle szczęścia. Trafił na najgorszy dzień z możliwych. Na dzień, w którym powiesiła się

Monika Kropisz.

- Moment, pomału, Tomasz - spowolnił mnie Marek. - Od początku. Co on ci w zasadzie zrobił?

- Było już po „rzezi” i większość dziennikarzy odpuściła sobie wałkowanie tematu samego śledztwa i skupiła się jedynie na aspekcie napędzającym oglądalność, czyli na dramacie. Ale ten jeden dziennikarzyna nie odpuścił. Cholerny pismak łąził za mną, pytając o uchybienia w śledztwie, które, jak to określił... „były bezpośrednią przyczyną zaistniałej sytuacji”. Unikałem komentarzy, ale nieustanne pytania i odgłos zatraskującej się migawki aparatu działały mi niesamowicie na nerwy. Tamtego dnia spotkałem go w tym samym miejscu, co tych trzech dresów, pod samymi drzwiami kamienicy. Chciałem tylko wyjść na zewnątrz i nabrać trochę powietrza przed telefonem po ekipę, ale on tam czekał, z tym swoim aparatem i parszywymi pytaniami. Nie wytrzymałem, kompletnie puściły mi nerwy.

- Co mu zrobiłeś? - spytała złękniiona Dorota.

- Nic wielkiego. Kiedy pstrykał mi zdjęcie, przyłożyłem w ten jego aparat dostatecznie mocno, żeby wyleciał mu z rąk, przy okazji nabijając solidną śliwę pod jego okiem. Gość jednak miał pecha - potknął się, próbując łapać aparat i upadł na parking, gdzie puknęła go jakaś pusta blondynka, po raz pięćdziesiąty poprawiając ustawienie samochodu na parkingu. Wybacz, nie miałem nic złego na myśli - dodałem, widząc reakcję Doroty na „pustą blondynkę”. - Tamta naprawdę była podręcznikowym wręcz przykładem archetypowej blondynki.

- Ale przecież nic poważnego nie mogło mu się stać na parkingu... - zaczął z powątpiewaniem Marek.

- I pewnie by się nie stało, gdyby nie to, że rękę zmiażdżyły mu koła, a przedni błotnik solidnie przyłożył w czaszkę. Dowiedziałem się później, że wykryto u niego też spore stadko złamanych żeber, no i naruszone organy wewnętrzne. O wstrząsie mózgu nie wspominał, bo to dość oczywiste. A była to tylko Toyota Yaris.

- Matko, Tomasz, mówisz o tym w taki sposób...

- Cóż, mówię, jak mówię. Nie było mi żal. Ani wtedy, ani dziś - odparłem, wzruszając ramionami. - Nawet nie pamiętam, jak tamten dziennikarz miał na imię. Jedyne, co pamiętam, to kwota ubezpieczenia, którą musiała mu wypłacić komenda za ten aparat... bagatela, prawie trzydzieści tysięcy.

- A za wypadek?

Roześmiałem się w głos, nie mogąc się powstrzymać.



- Tu jest ironia: w myśl naszego prawa winowajcą był ten pustostan za kierownicą, także o to nie musieliśmy się martwić. Tylko media pominęły ten drobny szczegół, robiąc ze mnie cyborga-mordercę, który sprawił, że ich kolega po fachu wyglądał jak po starciu z Tysonem.

Na szczęście uniknąłem konieczności dopowiedzenia pozostałej części historii, gdyż nie-taka-znowu-niezgrabna brunetka przyniosła zamówione przez nas napoje, obdarzając Marka powłóczystym spojrzeniem ciemnych oczu. Udawał, że tego nie widzi, jednak delikatny uśmiech czający się w kąciku ust zdradzał jego prawdziwe odczucia.

- Wiesz, mogę zapytać o jej numer telefonu, jeśli sam nie masz odwagi - zagadnąłem Marka, gdy kelnerka oddaliła się.

Marek skwitował to tylko wymownym spojrzeniem, jednak gdzieś w jego oczach widziałem, że nie miałby nic przeciwko takiemu rozwiązaniu.

Resztę czasu spędziliśmy, rozmawiając o pierdołach. O studiach Doroty i Marka, o ich rodzicach mających obsesję na punkcie historii, opowiedziałem im też nieco o pracy, którą sam wykonywałem, jednak niezbyt wiele, powołując się na „dobro klientów”. Marek to kupił, jednak Dorota przyglądała mi się podejrzliwie, wyczuwając, że coś ukrywam.

Ukrywałem. Nie mogłem powiedzieć, że większość spraw rozwiązałem z pomocą niejasnych przeczuć, a nie twardych dowodów i poszlak. Tę drobną tajemnicę wolałem zostawić dla siebie, pozwalając wierzyć całemu światu w opowieść o doskonale kojarzącym ze sobą fakty prywatnym detektywie ze wstrętem do spraw rozwodowych.

Na całe szczęście od konieczności udzielania krępujących odpowiedzi uratował mnie Marek, a raczej mail, który przyszedł na jego skrzynkę dokładnie w momencie, w którym czułem, że Dorota zamierza zacząć zadawać nie do końca wygodne pytania.

Czekałem w napięciu, aż Marek otworzy skrzynkę mailową i przeczyta otrzymaną wiadomość. Miałem cichą nadzieję, że posunie mnie to choć trochę do przodu. I jak to bywa z cichą nadzieją - zamiast rozgorzeć, milknie.

- Eh... pudło - westchnął zrezygnowany Marek, zatraskując laptop.

- Jak to? - zapytała go siostra. - Zupełnie nic?

- Zupełnie nic. Jakieś pierdoły o akcjach dobroczynnych na rzecz ofiar przemocy domowej, zdjęcia z imprez charytatywnych... Nic wartościowego.

- Mogę zerknąć? - spytałem.

Marek skinął głową, podniósł pokrywę laptopa i otworzył otrzymane załączniki.

Miał rację, nie było tam nic, co choćby o krok zbliżyłoby mnie do rozwiązania zagadki tajemniczych zaginięć dzieci ani w jakikolwiek sposób potwierdziło moje podejrzenia odnośnie Małgorzaty Kuśnierczyk. Jedyne, czego dowiedziałem się z artykułów, to to, jak wielką społecznicą była „żona Przedszkolnego Magnata”, jak nazywały Arkadiusza Kuśnierczyka lokalne brukowce. Akcje charytatywne, zbiórki pieniędzy, centra pomocy dzieciom molestowanym seksualnie... Istna Matka Teresa.

Wśród tych górnolotnych pochwał dobroczynności młodej kobiety znalazłem tylko jedną wartą mojej uwagi wzmiankę: notka o ślubie. Pochodziła z maja 2009 roku, a więc niespełna pół roku po zakończeniu dochodzenia w sprawie „rzezi”.

„Przedszkolny Magnat poślubia tragicznie owdowiałą kobietę” – głosił nagłówek.

Jakkolwiek patetyczny był tytuł artykułu, jego zawartość nie odbiegała znacząco od innych notek o zaślubinach. Jedynym odstępstwem od normy była osoba panny młodej, której mąż zaginął w niewyjaśnionych okolicznościach rok wcześniej. Po miesiącu poszukiwań, gdy sprawa już miała zostać umorzona, rzeka odkryła jego zwłoki dwa kilometry od Miasta. Rozkład był tak zaawansowany, że nie udało się ustalić przyczyny zgonu, z ledwością udało się także rozpoznać denata – gdyby nie srebrny łańcuszek z wygrawerowanym imieniem żony, prawdopodobnie trafiłby do kostnicy jako N.N.

„Magnat” zarządzał w owym czasie jedynie dwoma z pięciu posiadanych obecnie placówek wychowawczych, jednak już wówczas był znaną w miejskich kręgach postacią, a jego przedszkola cieszyły się mianem najlepszych w Mieście. Media ubrały jego ślub w suknię dobroczynności, jakoby Arkadiusz Kuśnierczyk zlitował się nad tragicznie pokrzywdzoną przez los kobietą.

Ciekawe, czy media wiedziały, że ta „tragicznie pokrzywdzona” kobieta jeszcze pół roku wcześniej zabawiała się z mężem innej, tym razem naprawdę tragicznie pokrzywdzonej osoby? Notabene... również zaginionym w niewyjaśnionych okolicznościach – pomyślałem. Sądziłem, że nie. Gdyby znali takie fakty z życia Małgorzaty K., od razu wywlekliby je na światło dzienne, taka ich natura.

Owdowienie Małgorzaty uznane było za tym bardziej tragiczne, gdyż jej małżeńskie szczęście trwało niespełna pół roku. Jeśli chodzi o jej życiorys sprzed tej historii – nie było wiadomo nic.

- To daje do myślenia... - mruknąłem sam do siebie.

- Co? - zapytała Dorota, nieco zdezorientowana.

- A, widzisz... przypomniałem sobie teraz, dlaczego akta Małgorzaty

Kuśnierczyk wydawały mi się tak dziwne, gdy pierwszy raz trafiły na moje biurko pięć lat temu.

- Dlaczego?

- Bo niemal nic w nich nie było. Jedynym dokumentem był właśnie akt ślubu. Brakowało aktu urodzenia, jakichkolwiek dokumentów medycznych, poprzedniego adresu zameldowania, nie było tam absolutnie nic. Tłumaczyła to pożarem urzędu, w którym przechowywane były te dokumenty, jednak nie jestem przekonany... To wszystko wyglądało tak, jakby ta kobieta pojawiła się znikąd. Wtedy zdało mi się to dziwne, ale nie miałem czasu zaprzętać sobie tym głowy, jednak dziś... jest to co najmniej niepokojące.

- Co masz na myśli? Może po prostu była przez ten czas za granicą, albo zgubiła dokumenty, które powinna była mieć w domu. A jeśli ten urząd faktycznie spłonął, to skąd ma wziąć odpisy? - wtrącił Marek.

- Naprawdę tak uważasz? Dla mnie wygląda to nieco inaczej... tylko chyba jeszcze sam nie wiem, jak.

- Czyli dalej stoimy w miejscu, prawda? - zapytała cicho Dorota.

Rzuciłem jej tylko ponure spojrzenie, napotykać zmartwiony wzrok spowitych rzęsami oczu.

Milczenie przerwał dzwonek mojego telefonu.

- Radziejowski, słucham - rzuciłem w słuchawkę, odebrawszy po dwóch sygnałach.

- Przyjedź na komendę, chyba mamy problem.

Tego głosu nie dało się pomylić z żadnym innym.

- Co jest, Benny? Dziennikarz jednak nie trafił na dołek?

- Trafił. A Leśniak niedługo trafi na intensywną terapię, tak bardzo działa mi na nerwy, jednak nie to jest problemem, o którym musimy pogadać.

- Co się stało?

Nie zwracałem uwagi na pytające spojrzenia rodzeństwa i we względnym spokoju wysłuchałem Dawida do końca. Rozłączając się, czułem, jakby w mojej głowie ktoś zaczął układać pierwsze elementy dotychczas rozsypanych puzzli, począwszy od ramki. Do środka zostało jeszcze sporo kawałków, jednak spójne obramowanie całości dawało poczucie zmierzania we właściwym kierunku. Odezwałem się do Doroty i Marka:

- Muszę jechać na komendę, to bardzo pilne.

- Jedziemy z tobą - powiedział od razu Marek.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł.

- Tomasz, proszę - powiedziała Dorota. - Zabrnęliśmy tak daleko... Chcemy ci pomóc. Tak jak ty pomogłeś nam.

Chciałem jak najszybciej znaleźć się na komendzie i zajrzeć w papiery, o których powiedział mi Dawid. Nie miałem ochoty i czasu stawiać oporu determinacji tych dwojga.

- Zgoda. Wyjaśnię wam po drodze, o co chodzi.

## V

Miasto o tej porze było tragicznie wręcz zakorkowane, a droga do Komendy Głównej Policji za nic nie chciała okazać się pusta, nawet gdy próbowałem korzystać z rzadko uczęszczanych, bocznych alejek. Kląłem jak szewc za każdym razem, kiedy stawałem w ogonie wlokących się niemiłosiernie aut, słysząc nerwowe trąbienie i okazjonalnie wpuszczając do wężyka próbujących włączyć się do ruchu kierowców. Z drugiej strony, korki dały mi szansę na omówienie jeszcze jednej kwestii z rodzeństwem Lutowskich.

- Kurwa, co ten taksówkarz odpierdala... - mruczałem do siebie, udając, że nie słyszę, jak siedząca obok Dorota z ledwością powstrzymuje się od śmiechu na widok mojej frustracji.

- Wyzwiskami go nie pogonisz - zaśmiał się Marek. - Miałeś nam powiedzieć, po co jedziemy na komendę, pamiętasz?

- Pamiętam, pamiętam...

- No więc? - spytała Dorota.

- No więc... przypomnijcie sobie nasze dzisiejsze poranne spotkanie, dobrze?

Ze wszystkimi szczegółami. To ważne.

Widziałem, jak wyraz ich twarzy momentalnie ulega zmianie, a lekkie rozbawienie ustępuje lękowi. Mnie również te wspomnienia przyprawiały o dreszcze, ale jedynie porównanie wrażeń mogło utwierdzić mnie w moich przekonaniach.

- Co w związku z nim? - dobiegł mnie z tylnego siedzenia słaby głos Marka.

- Jak myślicie... co stało się z tym dzieckiem? Sądząc tylko po tym, jak wyglądało, w jaki sposób się pojawiło i jak zniknęło.

Przez chwilę w samochodzie panowała zupełna cisza. Nie włączyłem radia. Wykorzystałem chwilę na rzucenie kilku jadowitych przekleństw w stronę kierowcy autobusu wyjeżdżającego z zatoczki bez uprzedniego włączenia

kierunkowskazu. Byłem ciekaw, czy zauważyli to samo, co ja.

- Możemy się zgodzić co do tego, że nie żyje... - zaczął powoli Marek. - Wiem, to oczywiste, ale co do jednego mam pewność: zginęło bardzo bolesną śmiercią... Ta czaszka, ten... ten...

- Mózg? Nazywajmy rzeczy po imieniu - powiedziałem bez cienia emocji w głosie. - A co z pozostałymi obrażeniami?

- Całe jego ciało było pokryte sińcami... Tam, gdzie było odsłonięte, widać było tylko sine plamy - powiedziała cicho Dorota.

- Czy coś w nich zwróciło twoją uwagę?

Dorota odpowiedziała mi tylko pytającym spojrzeniem, ale Marek domyślił się, o co chodzi.

- Wyglądały jak ślady dłoni, prawda?

- Tak - skinąłem głową. - I to dużych, silnych dłoni. Dostatecznie silnych, żeby rozłupać młotkiem czaszkę. Czy jest coś jeszcze, co zauważyliście? - Zamarłem, czekając, czy którekolwiek z nich zauważyło ten drobny szczegół, chwiejny fundament mojej teorii.

- Jego... jego krocze - głos Doroty drżał. - Całe krocze wyglądało jak pogryzione, poszarpane zębami...

A więc jednak.

- Również to zauważyłem. Jak myślicie, co to może oznaczać?

- Jakieś zwierzę pogryzło go już po śmierci? - powiedziała Dorota, ale bez cienia przekonania.

- Nie... myślę, że możemy to wykluczyć. Po tym, co widzieliśmy, sądzę, iż ciało tego chłopca spopielono.

- Więc co...

- Myślisz, że pogryzł go ten sam człowiek, który zostawił ślady dłoni, prawda? - przerwał siostrze Marek.

- Tak - odparłem niechętnie. - Tak sądzę. Dziękuję, Marek. Myślałem, że to tylko moja wyobraźnia, a jednak ty też zwróciłeś na to uwagę.

- Ale co w związku z tym?

- Dziś rano poprosiłem Dąbrowskiego o przyjrzenie się sekcji zwłok dzieci odnalezionych pięć lat temu. W szczególności temu, czy sekcja przeprowadzona była także pod kątem... aktów seksualnych.

Dorota pisnęła i zakryła twarz dłońmi. Spodziewałem się, że moja konkluzja nią wstrząśnie, jednak to był czysty szok.

- Nie patrzcie tak na mnie - mruknąłem, nie podnosząc wzroku znad

kierownicy. – Mówienie o tym mnie także nie sprawia najmniejszej przyjemności, ale uważam, że powinniśmy dopuścić do siebie również taką ewentualność. Nie zrobiłem tego pięć lat temu i dziś zbieram tego żniwo. Zbyt wiele wydało mi się wtedy oczywistym, żeby stawiać dodatkowe pytania. Dziś wiem, że powinienem był zrobić o wiele więcej, nawet jeśli prawda miałaby się okazać o wiele mniej wygodna niż ta, którą z góry założyliśmy.

Odpowiedziało mi milczenie, które towarzyszyło nam aż do budynku komendy i bloku D. Portiera zastępowało dziś żabiej urody babsko w zmechaconej, wełnianej spódnicy koloru świątecznego barszczu; przed wpuszczeniem nas do środka trzykrotnie potwierdzała pod różnymi numerami wewnętrznymi, czy może otworzyć nam drzwi. Nie ulegało wątpliwości, że lubi odgrywać się na całym świecie za swoje braki w urodzie i inteligencji.

Gdy w końcu udało się nam dostać na główny hol, nie raczyła nawet burknięciem skwitować naszego „dzień dobry”, spoglądała na nas tylko wzrokiem jadowitej ropuchy znad okularów o średnicy i grubości denek słoika.

W pokoju 114 nie zastaliśmy ani Dawida, ani świeżo nabytej wszy na jego tyłku, Leśniaka. Poszliśmy zatem nieco w głąb korytarza, jednak pokoje zdawały się być wyludnione, nie dobiegały z nich żadne odgłosy świadczące o ludzkiej obecności, takie jak dźwięki radia, szum gotującej się wody czy soczyste przekleństwa rzucane w stronę niekończących się stert papierów.

Z braku lepszych pomysłów chwyciłem za telefon i w „ostatnio wybieranych” odnalazłem numer Dawida. Odpowiedział dopiero po siódmym sygnale.

– Tomasz? Tomasz? Słabo cię słyszę... Tomasz? – w słuchawce słychać było trzaski, a głos co chwilę się urywał, jakby rozmówca tracił zasięg.

– Dawid? Jesteś? Chyba nie ma zasięgu po twojej stronie! – krzychałem do telefonu, jakbym miał nadzieję, że usłyszy mnie i bez zasięgu.

– Poczekaj chwilę!

Na moment po drugiej stronie zaległa kompletna cisza, jednak połączenie nie zostało przerwane, toteż czekałem. Nie musiałem czekać długo, już po paru sekundach znów usłyszałem głos Dawida.

– Jak teraz, lepiej?

– O wiele. Gdzie jesteś?

– O rany, przecież nie powiedziałem ci, gdzie masz jechać. Jesteś na komendzie, co?

– Nie, w Laponii wśród reniferów.

– Uśmiełem się, Tomasz, naprawdę. Jestem w Szpitalu Głównym, na Grodzkiej.

- Co się stało? Ktoś jest ranny?
- Uściślę: w kostnicy, w Szpitalu Głównym na Grodzkiej.
- To tłumaczy kiepski zasięg. Powiedz mi... czy to któreś z zaginionych dzieci?
- Jakkolwiek to zabrzmi, lepiej: cała trójka.
- Będę za chwilę.
- Tomasz?
- Tak?
- Nie bierz ze sobą Doroty, ok? Nie sądzę, żeby chciała to oglądać.
- Wiesz, że jest dość uparta, prawda?
- Prawda, ale tym razem musi odłożyć upartość na bok; widok jest naprawdę paskudny.
  - Postaram się przemówić jej do rozsądku - odparłem przyjacielowi, jednocześnie widząc oburzenie malujące się na twarzy dziewczyny.
  - Dzięki. Czekam na ciebie na dole, znasz drogę?
  - Minęło tylko pięć lat, szpitala raczej nie przebudowali przez ten czas.
  - Wobec tego do zobaczenia.

# ROZDZIAŁ XII

## I

Dorota stała obok detektywa, w napięciu przysłuchując się toczonej przez niego rozmowie, próbując wychwycić chociażby strzępki słów dobiegające z głośnika jego telefonu. Wychwyciła dostatecznie dużo, żeby cały kolor odpłynął z jej twarzy, zresztą wyraz twarzy Radziejowskiego mówił sam za siebie, nie trzeba było nic dodawać. W pewnej chwili usłyszała: „wiesz, że jest dość uparta, prawda?” i od razu wiedziała, że to o niej. Dąbrowski nie chciał, żeby pojechała z Tomaszem do szpitala, dla niej jednak było to tylko dodatkową zachętą. Nie, nie szukała wrażeń; tych miała dość do końca życia. Chciała być przy Tomaszu, jakkolwiek bezsensownie brzmiało to w jej własnej głowie, gdy o tym myślała. Chciała mu pomóc, a tylko tak potrafiła – będąc obok.

Tomasz zakończył rozmowę, po czym odwrócił się do Marka i Doroty, wzdając po ich twarzach nieco opętańczym wzrokiem.

- Znaleźli zaginioną trójkę dzieci – powiedział grobowym głosem. – Wszystkie są martwe. Dawid prosi, żebym pojechał do niego, do kostnicy.

- Jedziemy z tobą – odparł od razu Marek.

- Nie! Nie powinniście tego oglądać.

- Tomasz, wiem, że nie powinniśmy – zaczęła Dorota – ale chcemy tam z tobą pojechać.

- Nie zgadzam się. To może być jeszcze gorszy widok niż wygląd małej Marysi, uwierz mi. A tamten nie najlepiej zniosłaś, pamiętasz? Czy mam ci przypomnieć?

- Wtedy nie byłam przygotowana na to, co mogłam zobaczyć, teraz będzie inaczej – zapewniła dziewczyna, ignorując pytające spojrzenie brata.

- Myślisz, że teraz jesteś przygotowana? – zapytał cicho.

Odpowiedziała mu cisza, więc ruszył przed siebie, wzdłuż korytarza, a potem schodami w dół. Wyszli na zewnątrz, nie zaszczycając ropuchy w portierni spojrzeniem czy słowem i w milczeniu dotarli do Kii zaparkowanej przed głównym wejściem do bloku A.

- Słuchajcie, to naprawdę nie jest dobry pomysł, żebyście tam ze mną jechali.



Nawet nie wiem, czy Dąbrowski zgodzi się was wpuścić, a w końcu to on jest tu szefem.

- Nie martw się o nas, robimy to na własną odpowiedzialność - odparł Marek. - Jeśli nas nie wpuści, trudno; poczekamy na zewnątrz.

Radziejowski pokiwał tylko głową, wsiadł do samochodu i przekręcił kluczyk w stacyjce. Przyjemne „mrau” odpalanego silnika nieco poprawiło mu humor, jednak nie było w stanie go przygotować na to, co spodziewał się zobaczyć na oświetlonych potężnymi lampami operacyjnymi leżankach w kostnicy.

Szpital, do którego zmierzali, był tą samą placówką, w której Marek spędził ostatni tydzień, tak więc drogę do niego Tomasz przejechał niemal automatycznie, mając w pamięci trasę z poprzednich dwóch wyjazdów do tego miejsca.

Zaparkował pod oddziałem psychiatrycznym, gdzie uprzednio spotkał starszą kobietę, Marysię („a ty powinieneś strzec się Zwiastunów Nocy”). Wysiedli z samochodu i weszli do środka, od razu kierując swoje kroki (detektyw na przedzie, rodzeństwo tuż za nim) do windy. Weszli w oświetloną czeluść, która ukazała się po rozsunięciu drzwi. Tomasz nacisnął „-1” na tablicy z przyciskami, windą szarpnęło i zjechali na dół, w żołądkach czując dziwną sensację, nie do końca związaną z przeciążeniem grawitacyjnym.

Dawid czekał na nich w korytarzu. Po jego lewej stronie droga wiodła do prosektorium, po prawej - do kotłowni i rozdzielni prądu. Korytarz niczym nie różnił się od tych na wyższych piętrach, prócz braku drzwi po obydwu stronach. Były tylko jedne, na końcu jasno oświetlonego tunelu z betonu. No i, rzecz jasna, pacjenci tego oddziału byli zdecydowanie mniej ruchliwi.

- Widzę, że nie udało ci się przemówić im do rozumu?

- Dobrze widzisz. Uparte z nich cholery.

Dąbrowski na chwilę się zamyślił, po czym westchnął ciężko w akcie rezygnacji i gestem nakazał pójść za nim. Echo ich kroków niosło się po korytarzu. Przed wejściem jakby sobie o czymś przypomniał, sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął trzy zwyczajne, zielone maseczki na twarz oraz trzy pary lateksowych rękawiczek. Przyjęli je bez słowa, choć Marek i Dorota mieli coraz bardziej zaniepokojone wyrazy twarzy.

Komisarz pchnął drzwi i znaleźli się w sporego metrażu pomieszczeniu. Tomasz gdzieś w kącie dostrzegł Leśniaka, który najwyraźniej, pomimo tylu lat pracy w zawodzie, nie przywykł do takich scen. Przy jednym z trzech stołów operacyjnych pracowało dwóch mężczyzn w białych kitlach, maskach na twarzy i lateksowych rękawiczkach. Jeden z nich trzymał w dłoniach naręczne zapinanych

woreczków, drugi pincetę, z którą obchodził stół, uważnie oglądając to, co na nim leżało. Ciężko było mówić o tym inaczej niż „to”.

Dorota podeszła nieco bliżej, a niespełna sekundę później Marek wyciągał ją, zgiętą w pół, na zewnątrz. Sam też nie wyglądał najlepiej; na czoło wystąpiły mu kropelki potu, a prawa ręka powędrowała w stronę żołądka. Tomasz odprowadził ich spojrzeniem mówiącym „a nie mówiłem”, po czym sam zrobił krok do przodu.

Zapach był obezwładniający; smród rozkładających się tkanek, gnijących organów wewnętrznych i Bóg jeden wie, czego jeszcze zagęszczał powietrze tak bardzo, że można było przez nie płynąć kraulem. Dąbrowski, jakby odgadując myśli detektywa, podszedł do niego z małą puszką, z której Tomasz nabrał na palec zielonkawej maści i posmarował sobie pod nosem. Pomogło, jednak tylko trochę.

- Trzeba tu było być pół godziny temu, kiedy po podłodze spieprzały chrząszcze... - powiedział do niego Dawid, chowając maść w kieszeni marynarki.

Podeszli bliżej do stołu, przy którym pracowali dwaj patolodzy, i Tomasz z ledwością opanował się na tyle, żeby nie dołączyć do rodzeństwa na zewnątrz. Widział już zwłoki topielca, jednak nigdy oglądanym przez niego topielcem nie była sześćioletnia dziewczynka. Teraz nie przypominała w niczym zdrowego, ludzkiego dziecka. Konturów twarzy nie dało się określić, szyja nabrzmiała niemal do rozmiarów męskiego uda, a całe ciało spoczywające na stalowym blacie niczym groteskowa galareta pozbawione było kształtu.

- Jak odessimy z niej płyny, będzie wyglądała troszeczkę lepiej - zwrócił się do Tomasza jeden z lekarzy. - Wojciech Olech, miło mi - powiedział, wyciągając w stronę Radziejowskiego okrytą rękawiczką dłoń.

- Tomasz Radziejowski - odparł detektyw, odbierając mocny, zdecydowany uścisk od patologa. - Jak długo leżała w wodzie?

- Ciężko powiedzieć. Z pewnością dostatecznie długo, żeby ukryć wszelkie ślady, mogące być jakkolwiek pomocne policji. Stawiam, że przez dwa tygodnie, dokładniej będę mógł powiedzieć po sekcji.

- A co z pozostałymi zwłokami?

- Jest pan pewien, że chce pan to zobaczyć?

Odparł skinieniem głowy, więc lekarz podszedł do stołu po ich lewej stronie i odkrył przykrywającą kolejne dziecko tkaninę. Tomasz od razu pożałował swoich chęci, jednak nie odwrócił wzroku. To była jego praca, a także jego ból i jego grzech. Nie chciał odwracać wzroku.

- Jak pan widzi, bez tanatoplastyki przed pogrzebem się nie obejdzie. Nie

zazdroszczę temu, który będzie musiał to zrobić; na samą twarz zejda mu ze dwa dni.

Tomasz nie odpowiedział, wpatrywał się tylko w niegdyś chłopięcą głowę, która teraz była doszczętnie strzaskana; nie było prawej części twarzy, płat czołowy mózgu praktycznie przestał istnieć, choć chroniony był najtwardszą kością z całego zestawu, którym dysponuje człowiek. Również z tyłu ziała dziura, wyglądająca na wykonaną przez potężne uderzenie czaszką o kamień. Być może tak było, sekcja wykaże. Całe ciało było pokryte sińcami, niczym u chłopczyka z ich porannej wizji, Tomasz wiedział jednak, że nie było to dziecko, które zobaczył wcześniej tego dnia, choć był jeden makabryczny szczegół w okolicach krocza, który zmusił go do zastanowienia.

- Większość z tych obrażeń to obrażenia pośmiertne, panie Radziejowski - powiedział Olech, zakrywając dziecięce zwłoki. - Obrażenia płatu potylicznego, jak również zsinienia i otarcia na ciele powstały jednak przed śmiercią. Przyczyną zgonu było prawdopodobnie uderzenie głową o podłoże, lecz pewność będę miał dopiero...

- ...po sekcji. Wiem - dokończył detektyw.

- Mówiłem już o tym komisarzowi Dąbrowskiemu, mogę się jednak powtórzyć. Pobieżne oględziny nie nastawiają zbyt optymistycznie w kwestii dowodów i poszlak. Mogę powiedzieć tylko tyle: każde z tych dzieci zginęło w inny sposób i tylko to jedno zostało tak bestialsko zamordowane. Pozostała dwójka... cóż, powiedzmy, że oszczędzono im chociaż odrobiny cierpień, jednak obawiam się, że w przypadku tego utopionego maleństwa znajdziemy to samo, co znaleźliśmy u drugiej niedoszej kobietki.

- Co ma pan myśli?

- Proszę spojrzeć, detektywie - powiedział patolog, podchodząc do ostatniego ze stołów i odsłaniając leżące na nim ciało.

- Zgon nastąpił najwyżej dwa dni temu, więc wygląda względnie najlepiej z całej trójki, być może uda nam się też pozyskać jakikolwiek materiał dowodowy. Nie powiem, mam nadzieję na próbkę nasienia.

Tomaszowi ślina uwięzła w gardle. Przez moment czuł, jakby tonął, nie mógł oddychać, jednak szybko się pozbierał i zwrócił się do Olecha.

- Została zgwałcona?

- Proszę spojrzeć na otarcia wokół pochwy i na udach. Może nie wypada tak mówić, ale gwałciciel musiał mieć pokaźne przyrodzenie, skoro zostawił po sobie takie pobjowisko.

Radziejowskiemu wystarczyło jedno spojrzenie, żeby przyznać doktorowi rację. Oprócz tego jednego szczegółu, ciało dziewczynki wyglądało na w miarę nienaruszone, wyjąwszy oczywiście rdzawobrazowe plamy, wykwitające na jamie brzusznej, gdzie jelito grube było już w zaawansowanym stadium rozkładu, gonione przez pozostałe organy wewnętrzne. Tym, co zwróciło uwagę detektywa, były zsinienia na kostkach i nadgarstkach dziewczynki; nie musiał pytać, skąd się wzięły, aczkolwiek jakaś jego część wciąż pozostawała naiwna, wierząc, że takie rzeczy zdarzają się tylko w filmach.

- Chyba już wystarczy, co? - powiedział Dąbrowski do Tomasza. - Dajmy im pracować, o reszcie opowiem ci na zewnątrz.

- Doktorze, czekam na raport z sekcji - zwrócił się do patologa.

- Oczywiście, ale to może potrwać. Mamy tu niedobór ludzi, poza tym zanim odessiemy płyny z tej małej, może upłynąć ładnych parę godzin. Bezpiecznie będzie założyć, że dam znać najwcześniej pojutrze. Tymczasem bierzemy się za krojenie - uśmiechnął się pod nosem, wywołując ciarki na plecach Tomasza.

Pożegnali się z lekarzami, po czym Dawid skinął na Leśniaka, który dotąd tylko niemrawo stał w kącie, a teraz skwapliwie pobiegł do wyjścia, ściągając maskę z wyraźną ulgą na twarzy.

## II

Marek obejmował wciąż rozdygotaną Dorotę, stojąc na korytarzu w pewnym oddaleniu od drzwi, gdy wyszedł z nich detektyw w towarzystwie komisarza i praktykanta. Tomasz od razu podszedł do Doroty, położył jej rękę na ramieniu i powiedział:

- A nie mówiłem?

Dorota przywarła do niego, wciąż cicho łkając i kręcąc głową.

- Prze... prze... przepraszam, Tomasz - wyszeptała łamiącym się głosem. - Myślałam, że... że dam radę.

- Już spokojnie, Dorota - odparł Radziejowski, gładząc ją po głowie i starając się ignorować złąknione spojrzenie Leśniaka, które widział ponad ramieniem dziewczyny. - Mówiłem ci, że nie będziesz na to gotowa. Prawdę mówiąc, ja też nie byłem.

Odsunął ją od siebie na długość ramion i spojrzał na jej opuchniętą od łez twarz. Nadal wyglądała bardzo ładnie, nawet w takim stanie.

Tomasz chwycił dziewczynę za ramię i pociągnął w kierunku windy, jednocześnie spoglądając wymownie na pozostałych, przy okazji mierząc Leśniaka spojrzeniem pełnym obrzydzenia, którego ten jednak nie skwitował.

Gdy znaleźli się na zewnątrz szpitala, Tomasz zostawił Dorotę w towarzystwie brata i (niestety) praktykanta, sam zaś drżącymi dłońmi wyciągnął paczkę papierosów, poczęstował jednym Marka, po czym sam zapalił i wziął na bok Dąbrowskiego.

- Opowiedz mi o wszystkim.

- Zadzwoń do ciebie zaraz po tym, jak przyjechałem do szpitala i pierwszy raz spojrzałem na zwłoki. Wybacz, że cię tutaj ściągałem, ale chciałem, żebyś sam rzucił na to okiem, zanim wezmą się za sekcję.

- Nic się nie stało, dziękuję, że mnie ściągnąłeś. Gdzie znaleźliście ciała?

- Dziesięć kilometrów za Miastem, przy stawie w środku lasu. Patrol z psem przeczesywał tamten teren dziś rano, no i w końcu coś znaleźli...

- Domyślam się, że nie poinformowaliście jeszcze rodzin?

- No co ty. Najpierw trzeba te zwłoki doprowadzić do jako takiego wyglądu, żeby można je było w ogóle okazać bliskim do rozpoznania. Nienawidzę tej części swojej pracy.

Tomasz nie odpowiedział; zbyt dobrze znał to uczucie, kiedy trzeba było przekazać najgorsze wieści rodzinie zmarłego, a jeszcze gorzej - prosić o identyfikację zwłok. Kiedyś nawet został pobity przez jedną kobietę, gdy poprosił ją o pomoc w identyfikacji ciała, które, jak podejrzewali, należało do jej męża. Ostry policzek był dostatecznie dosadną odmową.

- A co z wynikami sekcji zwłok sprzed pięciu lat?

- Wybacz, nie zdążyłem jeszcze do tego zajrzeć. Niedługo po tym, jak wyszliśmy od ciebie, wezwali nas na miejsce, gdzie znaleźli zwłoki, potem pojechałem tutaj. Poszperam jeszcze dzisiaj i wieczorem przyjadę do ciebie z tym, co tam znajdę, w porządku?

- W porządku, Benny. Dalej bez pomysłu, o co w tym wszystkim chodzi?

- Dalej. Nasza poranna rozmowa trochę namieszała mi w głowie, jeśli mam być szczery, jednak nieważne, jak intensywnie bym o tym myślał, nic nowego nie przychodzi mi do głowy. A ty? Odniosłem wrażenie, że na coś wpadłeś?

- Być może. Opowiem ci o tym wieczorem, bez towarzystwa Leśniaka. Jak już zauważyłeś, gdy on jest w pobliżu, wieści jakoś szybko się rozchodzą.

- Zauważyłem - powiedział z przekąsem Dawid. - Puszczę go chyba dzisiaj do domu, tak bardzo działa mi na nerwy.

Tomasz zaśmiał się w głos i wrzucił niedopałek do pomarańczowej kratki pod oddziałem położniczym. Z prawej strony minęła ich pospiesznie wyjeżdżająca z parkingu karetka. Gdy tylko dotarła do bramy, kierowca włączył sygnały i z piskiem opon ruszył przed siebie.

W międzyczasie Dorota, Marek i Leśniak zdążyli dojść do stojących w oddaleniu mężczyzn i teraz wpatrywali się w nich, czekając, co dalej. Pierwszy odezwał się Dąbrowski.

- Romek, na dziś masz wolne. Nie ma już nic do roboty na komendzie, raporty uzupełnisz jutro, sam zajmę się resztą papierów.

- Ale, szefie...

- Co, źle ci? Mogę dołożyć ci tyle nadgodzin, że przez miesiąc nie zobaczą cię w domu. To jak?

- Dobrze, już dobrze. Wobec tego do jutra - pożegnał się, zrezygnowany, ściskając dłoń Dawida. Zawahał się, czy wyciągnąć ją też Radziejowskiemu, jednak rozmyślił się, rzucił szybkie słowo pożegnania w stronę rodzeństwa, po czym się oddalił.

- A jakie wy macie plany na to popołudnie? - zapytał Tomasz Doroty.

- Jakoś się sobą zajmiemy. Wypadałoby też, żebyśmy pokazali się u ciotki - zaśmiała się dziewczyna, widząc wyraz dezaprobaty na twarzy brata.

- Widzę, że jesteś pełen entuzjazmu, co? - spytał przekornie Tomasz.

- Skaczę z radości na samą myśl o tym, jak bardzo nie dadzą mi chwili spokoju.

- Mogę was podrzucić - zaoferował się Dawid. - Jakoś nie spieszno mi na komendę.

- Spieszno ci za to spalać służbowe paliwo, co? - klepnął przyjaciela w ramię Tomasz.

- Oczywiście, w końcu darmowe - roześmiał się w głos Dąbrowski, po czym uścisnął dłoń Tomasza i skinął na Marka, żeby poszli za nim do samochodu.

Dorota nieco się ociągała. Gdy Dawid i jej brat oddalili się nieco, zwróciła się do detektywa:

- Dziękuję za dziś. To co, widzimy się wieczorem?

Tomasz spojrzał na jej śliczną twarz, z której zniknęły ślady przeżytego wcześniej ataku płaczu.

- Przyjadę po ciebie. O której będzie ci pasować?

- Nie, nie przyjeżdżaj - powiedziała złęknona. - Przecież nocuję u koleżanki, halo - puściła do niego oko.

- Cóż, obawiam się, że jestem za mało kobiecy i za stary, żeby być twoją

koleżanką, ale tym razem się zgodzę.

Dorota skomentowała to, chwytając się tylko pod boki i mierząc go karcącym spojrzeniem. Nie trwało to jednak długo, gdyż Marek zawołał ją, żeby się pospieszyła.

- Muszę lecieć. Wobec tego do zobaczenia, Tomasz.

Wspięła się na palce i ucałowała detektywa w policzek.

- Do zobaczenia... - odparł nieco oszołomiony, ale mimo wszystko ucieszony tym niespodziewanym gestem.

Odprowadził dziewczynę wzrokiem (jednocześnie napawając się urodą jej nóg i wszelkich innych części ciała wartych uwagi), a następnie sam udał się do samochodu, by wrócić do siebie i zjeść porządny obiad. Nie było niczego lepszego niż dobry posiłek po oględzinach zwłok brutalnie zamordowanych dzieci. Nawet jeśli był jedzony wyłącznie z powinności.

### III

W domu Dorotę i Marka powitały rozentuzjasmowane ciotka i mama, która wyraźnie odzyskała nieco sił. Po części przyczyniła się do tego przedpołudniowa drzemka, z której dopiero niedawno się obudziła, w większości jednak była to zasługa dobrego stanu zdrowia jej syna. Ciotka Beata trajkotała bez przerwy, nie dając ani Dorocie, ani Markowi dojść do słowa. W szczególności Marek wyraźnie tracił cierpliwość, jednak czując co chwila poklepywanie siostry pod stołem w jadalni, jakoś dawał radę powstrzymywać się od kąśliwych komentarzy, gdy słyszał: „Mareczku, może chcesz jakiejś zupki, zrobię ci coś dobrego? A może jakieś mięso? Chociaż nie, nie powinieneś teraz jeść niczego ciężkiego, dopiero co wyszedłeś ze szpitala”. Gdy po raz setny zapewnił ciocię, że czuje się dobrze, ta zaczęła suszyć głowę matce rodzeństwa, żeby zostali u niej nieco dłużej, do czasu, aż Marek „dojdzie do siebie”.

Marek, nie bardzo wiedząc, jak ma się uwolnić spod tej troskliwej opieki, wstał od stołu i ogłosił, że zamierza pójść na górę i położyć się na chwilę, na co ciotka i matka obdarzyły go zmartwionymi, pełnymi niepokoju spojrzeniami, lecz skomentowały to tylko, mówiąc: „tak, Mareczku, idź, połóż się, odpocznij”. Markowi zgrzytały zęby ze złości.

Dorota również nie miała szczególnej ochoty na towarzystwo rozgadanych kobiet, zapytała więc ciotkę, czy nie potrzebuje czegoś z pobliskiego marketu,

ponieważ sama miała zamiar wybrać się po małe zakupy. Ciocia szybko zlustrowała zawartość lodówki i szafek, po czym zapisała kilka produktów na leżącej przy lodówce kartce i wręczyła ją Dorocie razem ze zwitkiem banknotów, przy okazji dziękując jej za pomoc.

- Tylko uważaj na siebie, Dorotko, weź telefon.

- Spokojnie, ciociu, nie mam przecież pięciu lat.

- Nie o to chodzi, ile masz lat. Wczoraj na naszym osiedlu znaleźli ofiarę tego zbrodźcy. Dosłownie dwie ulice stąd. Prawdę mówiąc, wolałabym, żeby to Marek poszedł po zakupy, ale skoro jest zmęczony, to nie będę go ciągać.

- Nie martw się, ciociu, wszystko będzie dobrze. No, to idę - nie dała odpowiedzi ciotce.

Na zewnątrz wciąż było ciepło, więc Dorota nie musiała narzucać nic na siebie; wciągnęła tylko buty, zapewniła mamę, że niedługo wróci, po czym wyszła na ulicę Dębową i skierowała swe kroki w kierunku leżącego trzy ulice dalej marketu. Niby to tylko dziesięć minut spacerem, jednak dla Doroty nawet tych kilka minut świętego spokoju było zbawiennym darem. Mogła choć przez chwilę pobyć sama, nie musząc z nikim rozmawiać, z niczego się tłumaczyć. Potrzebowała ochłonąć po tym, co widziała dziś rano, oraz po tym, co zobaczyła niedawno, w kostnicy. Wiedziała, że nie zobaczyła nawet ułamka okropieństw, które skrywały białe tkaniny, jednak sam zapach wystarczył, żeby jej organizm i psychika skapitulowały.

Starła się nie rozpamiętywać tych widoków, jednak obrazy same wpychały się jej do głowy.

- Oj dość już, przestań, Dorota! - powiedziała sama do siebie dostatecznie głośno, żeby za chwilę rozejrzeć się dookoła ze wstydem, sprawdzając, czy aby nikt jej nie słyszał.

Zastanawiała się, w co się ubrać na wieczorne spotkanie z Tomaszem, jednak szybko wyparła myśl o przebierankach, nie chcąc wyjść w jego oczach na nachalną. Niemniej jednak... zobaczy u ciotki, które z jej ubrań mogą się nadawać nieco bardziej niż jeansy i prosta, szara koszulka.

Powziąwszy tę myśl, weszła do marketu, gdzie powitał ją gwar typowy dla tego rodzaju miejsc i słyszalne z każdego miejsca „pik”, „pik”, „pik” dobiegające od kas. Zawsze, gdy wchodziła do tego typu sklepów, modliła się w duchu, żeby jej nigdy nie przyszło wykonywać tego typu pracy, choć miała świadomość, że w dzisiejszych czasach najczęściej taką właśnie pracę znajdują absolwenci historii. Cóż, zawsze zostawała książka, jednak był to bardzo chwiejny fundament.



Odrzuciła od siebie czarne myśli, wyciągnęła z kieszeni kartkę z listą zakupów, chwyciła czerwony koszyk stojący przy wejściu i ruszyła wzdłuż półek w poszukiwaniu towarów, których potrzebowała.

Stała właśnie przy stoisku z warzywami, wybierając najbardziej nadający się do spożycia brokuł, gdy podszedł do niej mężczyzna. W pierwszej chwili nie poznała go, lecz szybko wróciła jej pamięć.

- Pani Dorota, prawda? - zwrócił się do dziewczyny ubrany w niemodny, trzyczęściowy garnitur mężczyzna.

- O, witam pana, panie Romanie - odparła, starając się nie mierzyć pobłażliwie garnituru Leśniaka. - Co pan robi w tym markecie?

- Zakupy oczywiście, cóżby innego - odpowiedział, unosząc nieco koszyk, wyraźnie siląc się na elokwencję. - Nie wiedziałem, że zamieszkuje pani tę samą okolicę, co ja.

- Mieszkam tymczasowo u ciotki, na Dębowej.

- Na Dębowej, rozumiem. To tylko dwie przecznice ode mnie, aż dziw, że wcześniej na panią nie wpadłem.

- Proszę darować sobie tę „panią”. Dorota - powiedziała do praktykanta, wyciągając rękę.

- Wobec tego proszę mówić mi Romek.

Dorota uściśnęła dłoń, która okazała się cała mokra od potu i nieprzyjemna w dotyku. Ukradkiem wytarła swoją rękę o spodnie, po czym już miała zamiar przeprosić Leśniaka, tłumacząc się pośpiechem, gdy ten dalej uparcie próbował wciągnąć ją w rozmowę.

- Zaszczycisz nas jutro swoją obecnością w komendzie, Dorotko?

Szybko się spoufalasz, nie ma co - pomyślała dziewczyna, zaczynając rozumieć niechęć Tomasza do tego człowieka.

- Nie wiem, panie Romanie. Jeśli detektyw Radziejowski weźmie mnie ze sobą, to tak.

Tak bardzo zmierziło go nazwisko Radziejowskiego, że nawet nie zwrócił uwagi na to, że nie odezwała się do niego po imieniu.

- Oczywiście, oczywiście - odparł, nie potrafiąc ukryć niesmaku w głosie. - Wobec tego nie będę ci już przeszkadzał w zakupach. Dziękuję za miłą rozmowę i, mam nadzieję, do jutra?

- Do zobaczenia - pożegnała go Dorota.

Leśniak oddalił się w kierunku lodówki z nabiałem, ona zaś wróciła do swoich spraw, kompletnie zapominając o przeżytych dopiero co spotkaniu.

Nie zauważyła, jak omiata ją wygłodniałym wzrokiem zza regałów.

Zebrawszy wszystkie produkty z listy, Dorota udała się do kasy. Tam znów natrafiła na Leśniaka.

- Może pomóc ci z tymi zakupami? Wyglądają na ciężkie, a Dębowa jest dość daleko.

- Poradzę sobie, ale dziękuję za dobre chęci.

Leśniakowi nie udało się ukryć rozczarowania.

- Może jednak? Z chęcią pomogę.

- Dziękuję, nie trzeba - odpowiedziała nieco surowszym, niżby tego chciała, tonem, jednak najwyraźniej zwykłe argumenty nie trafiały do tego człowieka.

- Cóż, wobec tego do zobaczenia jutro, Dorotko.

Nie odpowiedziała, tylko stała na parkingu pod marketem, czekając, aż Leśniak skręci w kierunku swojego domu. Dopiero gdy straciła go z oczu, mruknęła pod nosem:

- Może lepiej nie.

Po czym ruszyła w kierunku domu swej ciotki.

# ROZDZIAŁ XIII

## I

Było już późne popołudnie, kiedy siedziałem samotnie w mieszkaniu, nastawiając wodę na bodajże setną tego dnia kawę. Gdy postawiłem ją na stoliku przed telewizorem i odpaliłem chyba setnego tego dnia papierosa, włączyłem kanał informacyjny, raczej z chęci wypełnienia przestrzeni obrazem i dźwiękiem niż z chęci uzyskania informacji o bieżących wydarzeniach.

Temat numer jeden oczywiście był wciąż ten sam, wałkowany na okrągło od ładnych kilkunastu dni. Trafiłem akurat w sam środek dyskusji, w której „specjaliści” wypowiadali się w kwestii bestialskich zabójstw, mających miejsce w Mieście w ostatnim czasie.

Biuściasta brunetka w ledwo dopinającym się na jej piersiach zakiecie rozmawiała akurat z młodszym ze stawki (wyglądał pod pięćdziesiątkę, drugi rozmówca na jakieś sto osiem lat) profesorem jakiegoś tam wydziału jakiegoś tam uniwersytetu, który dzielnie starał się utrzymać wzrok na twarzy kobiety, a nie cyckach wrywających się na wolność spod żakietu.

- Panie profesorze, jak pan uważa, co powoduje w człowieku tak aspołeczne zachowanie?

„Pan profesor” profesjonalnie odchrząknął, poprawił krawat, nałożył na twarz inteligentny wyraz numer trzy, po czym rozpoczął swój wywód:

- Szanowna pani redaktor, przyczyn może być wiele, jednakże zawsze powtarzam moim studentom to samo: fundamentem wszelkich zachowań społecznych są nasze uwarunkowania genetyczne. Owszem, mogą one zostać przytępione poprzez dobre wychowanie, jednak to genetyka ma ostatnie słowo, gdy przychodzi do panowania nad naszymi pierwotnymi instynktami.

- Wobec tego uważa pan, że człowiek rodzi się zabójcą i gwałcicielem?

- Tak, szanowna pani redaktor. Długoletnie badania wyraźnie wskazują z niemal stuprocentową dokładnością, że to nasz genotyp determinuje charakter i zachowania. Co więcej, osobiście uważam, że...

- Wierutne bzdury - zaproponował stuosmioletni profesor numer dwa. - Próbuje

pan wciskać ciemnotę, jakoby ludzie byli skazani na bycie złymi od urodzenia, absolutnie ignorując wiele milionów przypadków dzieci z rodzin patologicznych, z których wyrosli porządni obywatele. To, co próbuje pan...

- Panie profesorze - odezwał się profesor numer jeden - to, iż potomstwo rodzin patologicznych nie wykazuje zachowań aspołecznych, jest jedynie skutkiem udanej socjalizacji jednostki, jednakże stworzywszy odpowiednie warunki dla takiej jednostki, jestem przekonany, że podobnie jak w przypadku, który dziś omawiamy, ujawniłyby się pierwotne zachowania, których żadna socjalizacja nie jest w stanie całkowicie wykorzenić, na co jednoznacznie wskazują...

- Niech pan sobie wsadzi w dupę te pańskie badania, za przeproszeniem. Co za wierutne bzdu...

- Panowie, panowie, wystarczy już tej kłótni - rozdzieliła walczących werbalnie adwersarzy biuściasta brunetka, wychylając się w ich stronę, co bezlitośnie wykorzystał operator kamery, pokazując całemu światu, jaki stanik miała dziś na sobie pani redaktor. - W dzisiejszym programie to już wszystko. Zapraszamy jutro o tej samej porze. Do widzenia.

Patrząc na przyklejony do twarzy brunetki sztuczny uśmiech, nie wytrzymałem i przełączyłem na National Geographic, gdzie natrafiłem akurat na rozpoczęcie programu o waranie z Komodo. Szczerze mówiąc, byłem bardziej w nastroju na oglądanie największej na świecie jaszczurki niż słuchanie dwóch popierdoleńców z „prof.” przed nazwiskiem, wypowiadających się na temat, o którym nie mieli pojęcia. W programach przyrodniczych przynajmniej lektor mówił spokojnym, stonowanym głosem, a czasem nawet można się było czegoś z nich nauczyć.

„Waran z Komodo, nazywany również smokiem z Komodo, to gatunek gada z rodziny waranów. Osiąga długość do trzech i pół metra przy masie ciała do stu pięćdziesięciu kilogramów. Jego istnienie odkryto w roku 1910, jednakże dopiero w 1980 roku podjęto kroki zmierzające ku ratowaniu tego gatunku przed wyginięciem, zakładając Park Narodowy Komodo”.

Głos lektora był głęboki i kojący, jakkolwiek dziwnie mogło to brzmieć z ust męczyzny słuchającego głosu innego przedstawiciela płci męskiej. Głos lektora to prawdziwy dar Boży; aż strach pomyśleć, co taki głos wzbudza na żywo w kobietach (choć zazwyczaj absolutnie nie pasuje do wyglądu zewnętrznego), skoro nawet na męczyzn działa tak intensywnie, dobiegając z telewizora.

Choć wypięłem dziś bodajże setkę kubków kawy, wciąż byłem senny. Rozparłem się wygodnie na sofie, mając jednakże w pamięci moje ostatnie senne mary

podczas oglądania wiadomości, starałem się ze wszystkich sił nie zasnąć, by nie dać się pochłonać koszmarom. Na próżno.

## II

Biegłem przez ciemny las, goniony przez stado ptaków. Nie widziałem ich, słyszałem jedynie złowieszczy szelest setek skrzydeł gdzieś za plecami. Zwiastuny Nocy czuły krew. Przez ów szelest przebijał się groteskowo zniekształcony, raz unoszący się, to znów opadający głos.

„Waraaaaaan aktyyyywny jest w dzień, nooooc zaś spędza... w NORACH. HA, HA, HA”.

Biegłem dalej, starając się nie zwracać uwagi na to wołanie szaleńca i skupić na ucieczce przed ptaszyskami, których obecność czułem coraz bliżej.

„Znalaaaaazłszy mniejszą ooooofiarę, potrafi rzuuuuucić się jej do szyi, leeeeeecz gdy poluje na większeeee oood siebie zwieeeeerzę, stara się jeeee POWALIĆ NA ZIEMIĘ!”.

Na pierwszy plan coraz wyraźniej wybijał się mój oddech, coraz głośniejszy, coraz płytszy. Słabłem.

„Przyyyy użyciu POTEŹNEGO OGONA, któreeeeeego siła uuuuderzeniaaaa równa się siiiile DWÓCH TON! W języku waaaarana żyje ponaaaad pięćdziesiąt miiiiilionów szczepów bakteriiii, PIĘĆDZIESIĄT MILIONÓW!”.

Głos raz cichł, raz wzmagał na sile. Raz się unosił, raz opadał. Przeciągał wyrazy w karykaturalny sposób, to znów wymawiał je z szybkością bolidu F1. Jedyne, czego był pozbawiony, to sens.

Wybiegłem na środek polany, której zarys majaczył przede mną, odkąd rozpocząłem swą desperacką ucieczkę. Stałem pośrodku. Polana skąpana była w blasku księżyca, który świecił rdzawoczerwonym blaskiem, nadając liściom ten sam złowieszczy odcień co oczy ptaków, które obsiadły drzewa dokoła polany i które, kracząc opętańczo, wpijały we mnie wzrok.

Głos napychający mi do głowy informacje o waranie z Komodo ucichł; zastąpiła go cisza. Powietrze rozbrzmiewało jedynie rozzwierającym wrzaskiem ptaszysk, które wyraźnie na coś czekały. Czułem, że czekają na to, by rozszarpać mnie na strzępy.

Spojrzałem przed siebie i w gęstwinie lasu dostrzegłem nikłe sylwetki. Trzy drobne sylwetki kryjące się za pniami drzew. Nie musiałem postawić ich

w pełnym świetle, żeby wiedzieć, co czai się w cieniu. Trzy ciała, które odwiedziłem dziś w prosektorium, przyszły odwiedzić mnie w moim koszmarze.

Jak uroczo.

Jednak to nie był koniec. Przez krakanie Zwiastunów Nocy przebijał się coraz głośniejszy szelest listowia, odgłos dziesiątek stóp skradających się w stronę polany. Widziałem jedynie zarys ich ciał oraz niejasne kształty. Z tego wszystkiego zapomniałem o oddychaniu; dopiero gdy zaczęło kręcić mi się w głowie, przypomniałem sobie o tym, żeby wprawić płuca w ruch.

Na skraj polany podeszły dwie z owych czających się w mroku postaci.

Widziałem je już wcześniej.

Bywali bohaterami wielu z moich koszmarów, także tych w czasie ostatnich dni. To ich ciała znalazłem leżące obok siebie w trumienkach, w owej kaplicy pośrodku bezkresnego lasu krzyży. Synowie kobiety o czarnych włosach. Z całą pewnością.

Zaczęli szeptać. Nie rozumiałem ani słowa. Z każdym wypowiedzianym zdaniem do otaczającego polanę kręgu dołączały kolejne sylwetki. Większość spowita była cieniem, nie miała twarzy. Te, które byłem w stanie rozpoznać, kojarzyłem wyłącznie z policyjnych kartotek. Wszystkie wypowiadały szeptem to samo zdanie, zwielokrotnione przez setkę dziecięcych gardeł.

*„Widzimy twoje serce. Widzimy twoje serce. Widzimy twoje serce”.*

- Stop... błagam, już dość... - jęczałem, łapiąc się za głowę, która wybuchła palącym bólem. - Wystarczy... błagam...

Upadłem na kolana, a zewsząd wciąż dobiegały mnie słowa, zmieszane z wrzaskiem ptaków, wyraźnie coraz bardziej niespokojnych.

*„Widzimy twoje serce. Widzimy twoje serce. Widzimy twoje serce”.*

- Neee...

W tej samej chwili ptaki zerwały się do lotu.

- NIE! - obudziłem się z krzykiem, czując, jak potoki łez spływają mi po policzkach.

Szybkim ruchem zerwałem się z sofy i rzuciłem pod ścianę, jak zwierzę przyparte do muru, omiatając czujnym wzrokiem szaleńca wszystkie widoczne zakamarki, czekając na atak, który nie nastąpił.

Osunąłem się bezwładnie na kolana i rozplakałem się na dobre.

Taki ze mnie twardziel.

Gdy udało mi się uspokoić, podszedłem do lodówki, modląc się w duchu, żeby stało tam piwo albo najlepiej sześć.

Próżne nadzieje.

Już miałem ubierać buty i udać się na spacer do pobliskiego monopolowego po napój bogów, gdy uprzytomniłem sobie, że przecież czekam na Dąbrowskiego, o wizycie Doroty nie wspominając. Nie mogłem się z nimi spotkać zalany w trupa.

Usiadłem więc rozdrażniony przed telewizorem, lecz program o waranie z Komodo dobiegł końca; mogłem jedynie poczytać listę osób biorących udział w jego realizacji, czekając na reklamy i program po nich.

Zegarek wskazywał dziewiętnastą. Zadzwoił telefon. Odebrałem od razu, nie spojrzawszy, kto dzwoni.

- Tak?

- Tomasz, jesteś w domu czy w biurze?

- Dawid, cześć. W domu. O której będziesz?

- Niedługo, wstaw wodę na herbatę.

- Się robi.

- Do zobaczenia.

Odłożyłem telefon na stolik i wstałem, żeby zagotować wodę, lecz w tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Myśląc, że to Dąbrowski, podszedłem niespiesznym krokiem, by otworzyć.

- Szybko ci po...

Głos uwiązał mi w gardle, bowiem przede mną stała Dorota, nie Dąbrowski.

- Nie jestem za wcześnie? - zapytała, uśmiechając się do mnie figlarnie.

- Nie... nie, proszę, wejdź, akurat czekam na Dawida.

- Może powinnam przyjść później?

- Nie, skąd, wchodź do środka.

Gestem zaprosiłem Dorotę, jednocześnie nie mogąc oderwać od niej wzroku. Ubrana była w prostą, niebieską sukienkę sięgającą ud i pasującą do niej niebieskie rajstopy opinające zgrabne nogi. Nie mogłem przestać na nią patrzeć, choć wiedziałem, że było to zwyczajnie bezczelne. Jej jednak zdawało się to pochlebiać, zaśmiała się bowiem tylko, widząc mój wyraz twarzy. Gdy przechodziła obok, w nozdrza uderzył mnie zapach jej perfum, od którego na moment straciłem zmysły.

Była niesamowita.

- Usiądź, proszę. Napijesz się czegoś? Kawy, herbaty?

- Myślałam o piwie, ale to chyba później, prawda?

- Prawda - zaśmiałem się. - Przyznam szczerze, sam chętnie napiłbym się piwa już teraz, jednak muszę być w miarę trzeźwy, żeby zrozumieć, co będzie do mnie

mówił Dawid. Więc jak? Kawa czy herbata?

- Hmm... kawa. Poproszę - zakończyła, wciąż mając na twarzy ten sam figlarny uśmiech, którym mnie przywitała w wejściu.

- Jak pani sobie życzy - odparłem i nastawiłem wodę w czajniku.

Krzążając się w kuchni, ukradkiem spoglądałem na Dorotę, która wpatrywała się w National Geographic, gdzie leciał program o największych statkach świata. Miła odmiana po waranie z Komodo.

- Jak ci minęło popołudnie? Ciotka dała żyć Markowi?

- A jak myślisz? Mało ich nie pobił, a one chciały zagłaskać go na śmierć - odparła Dorota, zaśmiewając się z lekka. - Mi też zaczęły działać na nerwy, więc wyszłam z domu pod pretekstem zrobienia zakupów.

- Sama? Wiesz... tę dziewczynę znaleziono wczoraj niecałe dwie przecznice od domu twojej ciotki. Naprawdę, powinnaś uważać.

- Jakbym słyszała ciotkę. Jestem dużą dziewczynką, potrafię o siebie zadbać.

- One wszystkie tak myślały... - mruknąłem pod nosem, jednak Dorota na szczęście tego nie dosłyszała.

- Słucham?

- Nic, nic. Tak czy inaczej, uważaj na siebie.

- Dobrze, tato - odpowiedziała przekornie.

Uniosłem ręce do góry, w akcie kapitulacji, po czym wróciłem do przygotowywania kawy sobie i Dorocie, a Dąbrowskiemu herbaty; korciło mnie, żeby zrobić mu kawę, wmawiając, że herbata się skończyła, ale dobrze wiedziałem, że takie zagrywki na niego nie działają. Konsekwentnie odmawiał przyswajania kofeiny. Nie wiedział, co traci. Do naszych uszu dobiegło pukanie do drzwi. O wilku mowa.

- Już idę! - zawołałem, zalewając ostatni kubek gorącą wodą.

- Spokojnie, otworzę - powiedziała Dorota, podnosząc się z sofy i idąc w kierunku drzwi.

Mój Boże, wyglądała nieziemsko.

- Zdziwi się na twój widok, nic nie mówiłem, że też tu będziesz.

- Będzie musiał jakoś to znieść - odparła, otwierając drzwi. - Dobry wieczór, komisarzu Dąbrowski.

- Dorota? Nie spodziewałem się ciebie tutaj o tej porze.

- A jednak. Proszę wejść - zaprosiła gestem Dawida do środka, całkiem nieźle mnie parodiując.

Dąbrowski wszedł do środka, odwiesił marynarkę na haku i podszedł do mnie,



wyciągając dłoń.

- Mam nadzieję, że herbata ci się nie skończyła?

- Miałem taką nadzieję, ale jednak się znalazła. Wiem, wiem, nie uda mi się przekonać cię do kofeiny - odparłem, ściskając dłoń przyjaciela.

Ten zaśmiał się rubasznie, klepnął mnie w ramię w zrozumiałym geście (ou, ty zgrywusie), po czym usiadł na sofie obok Doroty.

- Jak tam, Dorotko? Wszystko w porządku? Jak Marek?

- Boję się, że niedługo wróci do szpitala, bo matka z ciotką zagłaszczą go na śmierć, ale oprócz tego mamy się dobrze.

- W odwiedzinach u Tomasza?

- Jak widać. Przyszłam mu podziękować za pomoc.

- Rozumiem, rozumiem... - powiedział Dawid, puszczając oko do dziewczyny.

Dorota tylko lekko się zarumieniła, ale nie dała po sobie poznać, że jest speszona.

- Komisarzu Dąbrowski...

- Dawid, proszę. Chyba już czas, żebyśmy przeszli na „ty”, nie uważasz? - wyciągnął do niej dłoń.

- Nie mogłabym, ja...

- No jak to nie - powiedział Dąbrowski, klepiąc ją lekko w ramię, tak jak mnie wcześniej. - Twój ojciec będzie musiał po prostu przywyknąć, że żyję z jego dziećmi na tej samej stopie, co z nim.

- Nie wiem, czy jest na to gotowy - zaśmiała się Dorota w odpowiedzi, ale uścisnęła wyciągniętą dłoń Dawida.

Postawiłem na stoliku trzy parujące kubki, po czym sam zasiadłem na pufie naprzeciwko Doroty i Dawida.

- Bez zbędnych wstępów, Dawidzie. Mów, z czym przychodzisz.

- Żadnej gry wstępnej? - zapytał, po raz kolejny puszczając oko do Doroty, której twarz tym razem pokryła się szkarłatnym rumieńcem.

- Będziesz musiał jakoś to znieść. Mów, udało ci się sprawdzić te raporty?

- Eh, Tomasz, nic dziwnego, że nie możesz sobie znaleźć kobiety. Zero zabawy. Tak, udało mi się, ale obawiam się, że w niczym nam nie pomogą.

- Jak to? - zapytała Dorota.

- A tak, Dorotko, że nie było tam nic, czego nie wiedzielibyśmy wcześniej. I nie, Tomasz. Obawiam się, że patologom nie przeszło przez myśl, żeby sprawdzić zwłoki pod kątem przemocy seksualnej. Chyba mieli zbyt wiele ciał, żeby zrobić wszystko dokładnie.

- Jak to, kurwa, „zbyt wiele ciał”? To w końcu za co dostają pieniądze? Za sentymenty?
- Być może - wzruszył ramionami Dąbrowski. - Mówię ci tylko, czego się dowiedziałem.
- Przepraszam, że się uniosłem. Po prostu miałem nadzieję na trochę więcej. Ale, ale... do raportów powinna być dołączona dokumentacja zdjęciowa, prawda?
- Owszem, jest. Do czego zmierzasz?
- Dałbyś radę pokazać tę dokumentację Olechowi? Facet wydaje się znać na rzeczy, może na podstawie samych fotografii będzie w stanie potwierdzić moje przypuszczenia?
- Bądź im zaprzeczyć. Tomasz, bierz pod uwagę, że to równie dobrze może być ślepa uliczka.
- Biorę. Jednak po tym, co zobaczyłem dzisiaj, nabieram coraz silniejszego przekonania, że jednak mam rację.
- Ja wciąż nie jestem przekonany, czy obecna sytuacja powinna jakkolwiek wpływać na nasz osąd „rzezi”.
- Już powiedziałem ci wszystko, co sędzę na ten temat. Daliśmy dupy, Dawid. Daliśmy dupy, a teraz po niej za to obrywamy.
- Wyrażaj się przy damie - skarcił mnie Dąbrowski.
- Masz rację, przepraszam - zwróciłem się do Doroty.
- Oj, przestańcie, obaj - zbyła nas machnięciem ręki dziewczyna. Roześmialiśmy się wszyscy, co nieco ociepliło atmosferę.

### III

Dwa kubki kawy później skończyłem opowiadać Dawidowi o swoich podejrzeniach odnośnie Małgorzaty Kuśnierczyk, żony „Magnata”. Nie pominąłem żadnych szczegółów, włącznie z powiązaniem ze zmarłą Martyną. Na miły koniec opowieści wraz z Dorotą przedstawiliśmy mu historię zjawy, która nieomal doprowadziła nas na skraj szaleństwa.

Znałem Dawida dostatecznie długo, żeby rozpoznać po wyrazie jego twarzy niedowierzanie, bijące się ze świadomością, że usłyszał tę historię od osób, które na co dzień nie trudnią się opowiadaniem bajek bądź pisaniem do tabloidów. Widziałem wyraźnie, jak gorzką pigułkę mu zaserwowaliśmy, lecz cóż mogłem poradzić - życie nie zawsze nas rozpieszcza. Zazwyczaj brutalnie kopie po

dupsku.

- To jest jakiś nonsens, Tomasz. Naprawdę uważasz, że żona Arkadiusza Kuśnierczyka jest w jakikolwiek sposób związana z tymi zaginięciami?

- Po tym, jak ci to opowiedziałem, jestem o tym jeszcze bardziej przekonany. I nie tylko z tymi zaginięciami. Jeśli moja teoria jest słuszna, to Kuśnierczyk mogła też mieć związek z „rzezią”. Wiem, co chcesz mi powiedzieć - dodałem, widząc, że Dawid zamierza przerwać mi w pół zdania. - Swoją teorię wysnułem tylko na podstawie niejasnych przeczuć i słów upióra, który o mało nas nie zabił. Aczkolwiek jestem ci wdzięczny, że wyraźnie nie poddajesz w wątpliwość jego istnienia.

- Trudno nie wierzyć po tym, co od was usłyszałem. Niemniej jednak uważam, że twoja teoria wymaga pracy, Tomasz. Samo przeczucie to za mało.

- Jak do tej pory nigdy mnie nie zawiodło, dobrze o tym wiesz. Mam świadomość, że przeczucie to za mało, żeby powziąć kroki, żeby zebrać dowody, ale jednak... gdybyś ty ruszył tę kwestię, być może dokopałbyś się do czegoś istotnego.

- To jak pisanie patykiem po piasku, wiesz?

- Albo wtykanie go w mrowisko - odparowałem. Być może to, co ruszysz tym kijaszkiem, rzuci nowe światło na całą sprawę. Na obie sprawy.

- No nie wiem, przyjacielu. To wszystko wydaje mi się odrobinę zbyt naciągane, aczkolwiek mam w pamięci wszystkie inne sytuacje, w których twoje przeczucia się sprawdziły, nie mogę więc tego zbagatelizować.

Dorota spoglądała pytająco to na jednego, to na drugiego z nas, zapewne zastanawiając się, o jakich sytuacjach mówimy. Miałem nadzieję, że nie zada pytania na głos.

- Zrobisz, co uznasz za słuszne. Niezależnie od tego, co zadecydujesz, ja podejmę kroki, które sam uważam za konieczne. Mogę się mylić - przyznałem. - Mogę też mieć rację, a jeśli jest na to choćby cień szansy, warto to sprawdzić. Ciebie, niezależnie od wszystkiego, proszę o jedno: o sprawdzenie Arkadiusza Kuśnierczyka.

- Najpierw Małogrzata, teraz jej mąż? Do czego zmierzasz?

- Widzisz, zwrócił na to uwagę nawet twój praktykant - powiedziałem, słysząc we własnym głosie zniesmaczenie, którego nie byłem w stanie kontrolować. - Każde z zaginionych dzieci uczęszczało do któregoś z przedszkoli Kuśnierczyka. W zasadzie teraz, kiedy o tym myślę, nie jestem pewien, czy nie sięga to głębiej.

- Do „rzezi”? To masz na myśli?

- Tak. Częstotliwość zaginięć była o wiele niższa, ale jeśli dobrze pamiętam, spora ich część była zgłaszana właśnie przez personel przedszkolny. Sprawdź, z jakich placówek ginęły dzieci. To może być przełom w tym śledztwie, Dawid.

Dąbrowski zamilkł na dłuższą chwilę, wpatrując się w pomarańczową łunę za oknem - pozostałość po słońcu, które zdążyło się skryć za horyzontem. Dochodziła godzina dwudziesta druga. Jak ten czas mija przy dobrej zabawie.

- Masz rację, przyznaję się bez bicia; ten szczegół pominąłem. Być może uznałem to za zbieg okoliczności, zakładając z góry, że ktoś taki nie może mieć nic wspólnego z zaginięciami.

- Te same przeświadczenia zwiodyły nas na manowce pięć lat temu, Dawid. Nie zapominaj o tym i nie powtarzajmy błędów, które popełniliśmy wtedy. Zbadaj tę sprawę raz jeszcze, bez założeń i uprzedzeń. Zaczynj właśnie od Kuśnierczyków. Wydaje mi się, że to dobry start.

- Tak zrobię. Chyba już czas na mnie, prawda?

- Skąd, bardzo nam odpowiada twoje towarzystwo.

- Ha, ha, nie wątpię, jednak wydaje mi się, że mojej żonie bardzo nie odpowiada jego brak. No, to będę się zbierał.

Podniósł się z sofy, przeciągnął się potężnie, ukazując w całej swej okazałości zbędne kilogramy, które wyciekły spod jego koszuli. Nie wydawał się tym zakłopotany, puścił nawet oko do Doroty, która walczyła z wybuchem śmiechu. Wyszła zwycięsko z tego pojedynku i zachowała jedynie z lekka rozbawiony wyraz twarzy.

- A ty, Dorotko? Też do domu? Mogę cię podwieźć, jeśli chcesz.

Dorota spojrzała na mnie z lekkim przestraczem w oczach, potem na Dawida, lecz ten miał usta rozciągnięte w szerokim, z lekka ironicznym uśmiechu.

- Spokojnie, Benny, odwiozę ją za jakiś moment.

- Rozumiem, rozumiem - odparł, mrugając do mnie porozumiewawczo.

Westchnąłem tylko i pokręciłem głową, udając, że wypycham mojego przyjaciela z mieszkania.

- Idź już, idź, ty gburze i prostaku.

Odpowiedział mi tylko śmiech. Dawid uścisnął moją dłoń, pomachał Dorocie, jednocześnie puszczając do niej ponownie oko (mojej uwadze nie umknął fakt, jak bardzo zaczerwieniła się na ten gest). Zamknąłem za nim drzwi, po raz kolejny wzdychając i myśląc o tym, jak niedojrzały może być facet w wieku trzydziestu czterech lat.

- Jak z małym dzieckiem... - mruknąłem sam do siebie. Dorota zdawała się

myśleć to samo, bo pokiwała tylko głową z niemrawym „mhm”. – Coteraz? Muszę jakoś zadbać, żebyś nie zanudziła się u mnie na śmierć.

– Wcześniej mówiliśmy coś o piwie, prawda?

– Prawda, jednak w mojej lodówce nie ma nic alkoholowego prócz czekoladek nadziewanych adwokatem. Na szczęście monopolowy na końcu ulicy jest otwarty do dwudziestej trzeciej, jeszcze zdążę. Wybaczysz mi, jeśli zostawię cię na moment samą?

– Nie, nie wybaczę. Wolałabym, żebyś zabrał mnie ze sobą. Spacer dobrze mi zrobi po takiej rozmowie.

– Jak sobie życzysz, o pani – odparłem, wyciągając do niej dłoń i pomagając wstać z sofy.

Pięć minut później byliśmy już na zewnątrz, wdychając orzeźwiające (jak na Miasto), letnie powietrze. Gdzieś tam na niebie jaśniały gwiazdy, jednak nie dane nam było podziwiać tej nocy ich urody, gdyż nieboskłon zasnuty był gęstymi chmurami. Na szczęście na ulicy nie widzieliśmy bezdomnych; nie godziło się iść na spacer z kobietą, po drodze odganiając mendy społeczne.

– Dobrze się czujesz?

– Tak, dziękuję. Wciąż myślę o tym wszystkim, co opowiadaliśmy Dawidowi. Naprawdę uważasz, że w tych wszystkich zaginięciach może chodzić o pedofilię?

– Tak, Dorota. Dokładnie tak uważam.

– A jak wytłumaczyć wszystko inne? Jak wytłumaczyć „rzeź” i to, w jaki sposób zabite były dzieci? Staram się nadażyć za twoją teorią, ale powiem szczerze, nie idzie mi zbyt dobrze.

– Widzisz, tu dobrą ilustracją dla słuszności mojej teorii jest ten zwyrodnialec, który zabija i gwałci młode dziewczyny. Kiedy w grę wchodzi przestępstwo seksualne, cała reszta nie ma znaczenia. Gdy puszczają hamulce, górę bierze instynkt i najdziksze, bardzo często skrywane przez lata fantazje, które nagle zbyt łatwo przychodzi zrealizować. To jest pokusa nie do odrzucenia.

– Jaki ma to związek z zaginięciami?

– Czy się to nam podoba, czy nie, tutaj też mamy do czynienia z przestępstwem na tle seksualnym, tylko oprawca gustuje w o wiele młodszych ofiarach. Czy może powinienem powiedzieć... „oprawcy”?

– Myślisz, że to sprawka jakiejś grupy? – zapytała złękciona Dorota.

– Tak. Nie powiedziałem tego Dawidowi, ale myślę, że każde z tych dzieci zostało zabite przez inną osobę. Być może za wyjątkiem chłopców, tego, którego widzieliśmy dziś w prosektorium, i tego, który... no. Sądzę, że ich dwóch zabiła

jedna i ta sama osoba. Na to wskazują obrażenia, przynajmniej na pierwszy rzut oka.

- Rozumiem - pokiwała głową Dorota, wyraźnie mając świeżo w pamięci poranne odwiedziny zjawy chłopczyka.

- Porozmawiajmy o czymś weselszym, co? - powiedziałem do dziewczyny, jednocześnie naciskając klamkę drzwi sklepu. - Na przykład o tym, jakie preferujesz piwo.

Przywitał nas dźwięk dzwonka zawieszzonego nad drzwiami. Udaliśmy się bezpośrednio do lodówki z piwem. Od razu sięgnąłem po dwie butelki Lecha 0,65 litra, Dorota zaś z tym samym zdecydowaniem sięgnęła pod moim ramieniem po dwie butelki półlitrowego Shandy o smaku pomarańczy.

- Myślałem, że pijemy piwo? - zapytałem nieco prześmiewczo. Odpowiedziało mi tylko niecierpliwe prychnięcie, które wywoływało uśmiech na twarzy.

Podeszliśmy do kasy, zapłaciłem, po czym wyszliśmy w noc i ruszyliśmy w stronę mieszkania. Drogę pokonaliśmy w milczeniu, ciesząc się ciepłym i rześkim powietrzem, oraz - oczywiście - swoim towarzystwem. To zabawne, jak w przeciągu zaledwie czterech dni można poznać człowieka na tyle, żeby znaleźć w nim pokrewną duszę. Ale o czym ja myślę - skarciłem się w duchu.

Dawid miał rację, powinienem był sobie kogoś znaleźć. Wielokrotnie o tym myślałem, jednak odrzucałem samą koncepcję, gdy tylko taka myśli świtała mi w głowie. Nie była to kwestia braku czasu, chęci czy sił na zaangażowanie. Nie. Problemem byłem ja sam i moje własne paranoje.

Wróciliśmy do mieszkania. W czasie gdy ja wstawiałem piwa do lodówki i przygotowywałem późną kolację, Dorota podeszła do półki przy telewizorze, gdzie trzymałem dość skromną kolekcję płyt i filmów na DVD, i przyglądała się jej z ciekawością.

- Kupujesz płyty? - zapytała zdumiona.

- A co, myślałaś, że tacy ludzie to już gatunek wymarły? Ano, kupuję. Na komputerze mam też całą tę muzykę pobraną z iTunesa, jednak są płyty, których po prostu nie wypada nie mieć na CD, podobnie jak filmy.

Dorota pokiwała tylko głową, dalej z uwagą studiując kolejne tytuły. W pewnym momencie wykrzyknęła, a ja odwróciłem się błyskawicznie, zaniepokojony. Jednak Dorota trzymała tylko w dłoniach jedną z płyt i przyglądała się jej niedowierzającym wzrokiem.

- Masz najnowszą płytę Poets of the Fall? Myślałam, że tylko ja ich słucham!

- Tak, są fantastyczni. A ich płyty to moja duma i radość, ściągałem je aż ze

Stanów, bo w naszym kraju są oczywiście niedostępne. Ludzie nie wiedzą, co tracą.

- Mogę włożyć ją do odtwarzacza? - zapytała, cała podekscytowana.

- Jasne, czuj się jak u siebie.

Przygotowywałem sałatkę grecką, słuchając jednocześnie pierwszych dźwięków gitary elektrycznej z utworu „Running Out of Time”, otwierającego album. Od razu lepiej siedziało się w kuchni, kiedy z głośników dobiegała dobra muzyka. Dorota wyraźnie nie mogła usiedzieć w miejscu; tupiała nogą do rytmu i podśpiewywała pod nosem. Spojrzałem na nią, a ona odwzajemniła spojrzenie, nieco zawstydzona. Ja tylko pokręciłem głową, uśmiechając się pod nosem i wróciłem do krojenia pomidorów.

- Piwo do sałatki czy po sałatce?

- Z braku wina dobre piwo, co? Raczej po, może obejrzymy któryś z twoich filmów? Widzę, że masz tu pokaźną kolekcję horrorów.

- Jakby mało mi ich było na co dzień, co nie? - odpowiedziałem, stawiając sałatkę i talerze na stole. - Smacznego życzę.

W czasie posiłku nie rozmawialiśmy prawie w ogóle, słuchając dalej „Temple of Thought”. Naszych uszu dobiegał ciepły, głęboki głos wokalisty. Dorota wciąż nie mogła usiedzieć w miejscu; dziwnie było patrzeć, jak widelec w jej dłoniach drży od podrygujących rytmicznie nóg, lecz na swój sposób było to całkiem urocze.

- Bardzo dobra sałatka, dziękuję - powiedziała, odkładając widelec na pusty talerz.

- To ja dziękuję za komplement - odparłem, zbierając naczynia ze stołu. Włożyłem je do zlewu i sięgnąłem do lodówki po piwo. - Ale nie musisz być przesadnie uprzejma. Nieczęsto mam okazję gotować komuś innemu niż sobie, a gdy jestem sam, nie zwracam szczególnej uwagi na to, co jem.

- Nie, naprawdę była pyszna, detektywie Radziejowski.

Co za dziewczyna.

- Wobec tego, panno Lutowska, jaki film proponuje pani na deser?

- Hmm... mignęło mi gdzieś „Misery”? Może to?

- Czyli dla odmiany film, w którym nie ma małych dzieci?

- Zdecydowanie, wolę pisarza i jego psychopatyczną fankę.

Pokiwałem głową ze zrozumieniem i włączyłem wybrane DVD. Oglądaliśmy, sącząc pomału piwo. Są ludzie, którzy wypijają całą butelkę jednym haustem, lecz nigdy ich nie rozumiałem. Dorota musiała myśleć podobnie, bowiem zawartość naszych butelek szczupłała w równym, spokojnym tempie. Od czasu do czasu

któreś rzuciło komentarz na temat świetnej roli Kathy Bates czy też niezgodności filmu z książkowym oryginałem, jednak przez większą część milczeliśmy, skupiając uwagę na losie Paula Sheldona.

- Lubię filmy o pisarzach - powiedziała w pewnym momencie Dorota. - Chociaż tutaj bycie pisarzem nie wychodzi bohaterowi na dobre, to i tak lubię ten film.

- Piszesz coś sama? - spytałem z ciekawości.

- Tak jakby...

- No, nie wstydź się. Piszesz czy nie?

- W zasadzie tak. Głównie krótkie formy, zwłaszcza opowiadania i miniatury. Czasem zdarza mi się je wrzucać na portale pisarskie, dwa czy trzy razy opublikowano nawet mój tekst w gazecie. Teraz pracuję nad powieścią, ale idzie mi dość opornie.

- Dlaczego?

- Bo to dla mnie nowe. Zawsze pisałam krótkie formy i rozwinięcie się w coś dłuższego okazało się niemałym wyzwaniem. No i przyznaję, przez to wszystko, co dzieje się ostatnio, nieco utknęłam. Chociaż - zaśmiała się - może to wszystko jeszcze wyjdzie mi na dobre, bo nigdy w życiu nie spodziewałam się, że dotkną mnie takie wydarzenia. Na swój pokrętny sposób to wspaniałe źródło inspiracji.

- Naprawdę? O czym jest książka?

- Wstydzę się o tym mówić...

- Niby czemu? No proszę cię.

- A co, jeśli mnie wyśmiesz albo stracisz o mnie dobre zdanie?

- Zaręczam, że nic takiego się nie stanie. Chyba że piszesz powieść erotyczną pokroju „50 twarzy Grey'a”, wtedy faktycznie nic nie mów.

- Spokojnie, nie jest ze mną aż tak źle - odparła, przekrzywiając głowę. - Nie zniżyłabym się do pisania wibratorów.

- „Wibratorów”? - wybuchnąłem śmiechem. Na ekranie Annie Wilkes właśnie odrąbała nogę Paulowi, ale nie miało to dla mnie znaczenia.

- Z czego się śmiejesz, to jest profesjonalny, literacki termin na te wszystkie powiastki dla niezaspokojonych gospodyń domowych - Dorocie z trudem przychodziło powstrzymywanie się od śmiechu, kiedy patrzyła na to, jak trzęsę się w rogu kanapy.

- Wibratory... Od teraz wizyty w Empiku nie będą już takie same.

- Ha, ha, „przepraszam, którą do półki z wibratorami?”

Na ekranie Paul Sheldon zwijał się z bólu. My zwijaliśmy się ze śmiechu na kanapie, wyobrażając sobie, jak kuriozalna byłaby taka scena w rzeczywistości



i jak zareagowałyby obsługa księgarni na takie pytanie.

- Dobra, dobra, ale zmieniliśmy temat. Więc? O czym jest twoja książka?

- No niech ci będzie, powiem... Tylko się nie śmiej, okay?

- Słowo harcerza.

- Niech zgadnę: nigdy nie byłeś harcerzem, co?

- Masz mnie. No, opowiadaj. Nie będę się śmiał.

- To jest... dość dziwna opowieść. Historia młodej dziewczyny, która pewnego dnia w pogoni za psem, który zerwał się ze smyczy, trafia do lasu i nie może potem znaleźć wyjścia. Okazuje się, że las nie jest zbyt gościnnym miejscem, o czym przekonuje się najbardziej, kiedy po kilku godzinach wędrowania znajduje swojego psa... rozszarpanego na kawałki. Próbuje się wydostać, ale nie wie, gdzie jest, w dodatku wydaje się jej, że wciąż chodzi w kółko. W końcu zapada noc, a ona słyszy przedziwne dźwięki, ni to ludzi, ni to dzikich zwierząt. Jak łatwo się domyślić, dalej nie jest przyjemnie.

- Brrr, brzmi strasznie. Nie spodziewałem się, że lubisz takie klimaty.

- Uwielbiam. Kiedy inne dziewczyny w gimnazjum oglądały „Na wspólnej” albo inny bzdurny serial, ja oglądałam „Paranormal Activity” albo czytałam Jacka Ketchuma.

- Byłaś gotem? - zaśmiałem się, próbując ją sobie wyobrazić w glanach i postrzępionych koszulkach.

- No co ty, rodzice by mnie zamordowali, gdybym choć raz się tak ubrała. Mnie samej zresztą też się to nie podobało. Słuchałam co prawda ostrej muzyki, ale nigdy nic cięższego niż Evanescence lub System of a Down. Z wiekiem chyba złagodniałam, bo dziś wolę Poets of the Fall albo jakiś przyzwoity soundtrack.

- No faktycznie, od gimnazjum to minęło ci ze dwadzieścia lat, nie? Jak się skończy twoja książka? Przyznam szczerze, zaciekawiłaś mnie.

- Heh, nie wiem.

- Jak to? Nie wiesz, jak się skończy twoja książka?

- Nie mam pojęcia. I to jest chyba najcudowniejsze w pisaniu; nigdy nie wiesz, dokąd cię poniesie. Moja bohaterka znalazła jakąś jaskinię, ale ja jej donikąd nie prowadziłam. Sama ją znalazła. I teraz sama będzie musiała tam wejść, cokolwiek by w niej było. Ja tylko zapisuję to, co widzę w głowie.

- To jest jakiś sposób - pokiwałem głową ze zrozumieniem. - Dasz mi przeczytać?

- Naprawdę byś chciał? - spojrzała na mnie zdumiona.

- Jasne, czemu nie? Naprawdę mnie zaintrygowała ta historia, chcę wiedzieć,

co będzie dalej.

- A może być, kiedy już ją skończę?

- Nie. Kategorycznie się nie zgadzam. Chcę ją przeczytać. Najlepiej już.

- Będziesz musiał wytrzymać przynajmniej do jutra. To co, drugie piwo? Może uda się nam obejrzeć film do końca - powiedziała, znów przekrzywiając głowę w uroczy sposób.

Wstałem po drugie piwo, otworzyłem je i podałem Dorocie. Usiadłem koło niej, a ona po raz kolejny mnie zaskoczyła.

- Mogę?

Nie czekając na odpowiedź, położyła się, opierając głowę o moje ramię. Zatkano mnie na moment; w jednej ręce trzymałem butelkę z piwem, na drugiej czułem ciężar Doroty. Wydobyłem rękę z za jej pleców, na co dziewczyna spojrzała na mnie zaniepokojona, jednak szybko się uspokoiła, gdy podniosłem rękę i objąłem ją w talii, przyciągając do siebie. Jej zapach doprowadzał mnie do obłędu, był cudowny. Ucałowałem czubek jej głowy, po czym wzniosłem butelkę w geście toastu. Zrobiła to samo i wróciliśmy do oglądania filmu.

Za oknem noc była coraz czarniejsza; krótka wskazówka zegara już dawno przesunęła się poza dwunastkę. Gdy kończyliśmy „Misery”, było sporo po pierwszej w nocy.

- Tośmy posiedzieli, co? A jutro rano mam być na komendzieeeeeee - ziewnąłem przeciągle. - Przepraszam - dodałem, pospiesznie zakrywając usta.

- Tomasz, czemu to rooooo... robisz? - odpowiedziała ziewnięciem Dorota.

- To chyba znak, że czas się położyć.

- To prawda. I Tomasz...

- Tak?

- Dziękuję za bardzo miły wieczór. I za to, że pozwoliłeś mi u siebie zostać...

Chyba nie dałabym rady spędzić dziś nocy u ciotki po tym wszystkim. Dziękuję.

- Idź się myć - odparłem, całując czubek jej głowy i wdychając jednocześnie zapach jej włosów. - Rano musimy wstać dość wcześnie, jeśli chcemy cokolwiek zjeść przed wizytą na komendzie.

- Dobrze, mam. Już idę.

Nie mogłem się nie roześmiać.

Choć było już bardzo późno, w czasie gdy Dorota siedziała w łazience, ja zabrałem się za mycie naczyń. Ot, taka prywatna obsesja. A może zwyczajne lenistwo, bo dobrze wiedziałem, że rano żadna siła nie byłaby w stanie zapędzić mnie do zmywania garów. Włączyłem radio, w którym ku mojemu ogromnemu zdziwieniu nie natrafiłem na kolejny popowy przebój ani nawet na jedną z owych dziwacznych, nocnych audycji, które nie nadają się do prime time'u. Trafiłem akurat na czytanie książki, co przywitałem z wdzięcznością. Nie miałem pojęcia, jaka to książka ani kto jest jej autorem, ale bardzo podobała mi się jej treść. Opowiadała o grupie lokatorów uwięzionych w bloku, który najwidoczniej był nawiedzony. W każdym razie nie chciał wypuścić tych, którzy się w nim znajdowali. Myjąc naczynia i mając za tło szum wody dobiegający z łazienki, słuchałem, jak jeden z lokatorów, aspirujący malarz, któremu nie ułożyło się życie, namalował jeden z najstraszniejszych obrazów w swoim życiu, a w ogóle o tym nie pamięta. Podobał mi się styl autora; rzeczowy, momentami cyniczny, bardzo przypominający Raymonda Chandlera. Absolutnie pozbawiony literackiej przesady.

Ciekawe, co to za książka?

Skończyłem mycie naczyń i wycierałem ręce, kiedy woda pod prysznicem przestała lecieć. Przedziwnym zbiegiem okoliczności czytany w radiu fragment również dobiegał końca. Spiker stonowanym głosem powiedział:

- Zapraszam państwa już jutro na kolejne „Czytanie o północy”, gdzie poznacie trzeci, ostatni fragment powieści „Domofon”, autorstwa Zygmunta Miłoszewskiego. Tymczasem wszystkim nocnym markom mówię dobranoc. Do usłyszenia jutro.

Zanotowawszy w głowie, żeby jutro o północy włączyć tę samą stację radiową, wyciągnąłem ostatniego papierosa z paczki, aby po raz ostatni przed snem odtlenić płuca. Gdzieś z tyłu głowy czaił się lęk przed tym, co może spotkać mnie nocą, jaki koszmar wyśnię tym razem, jednak świadomość obecności drugiej osoby za ścianą działała kojąco.

Skrzypnęły otwierane drzwi do łazienki i papieros wyleciał mi z ust; cudem udało mi się go złapać, nim sięgnął podłogi.

Dorota, z niewysuszonymi włosami, ubrana w zakolanówki i króciutką nocną koszulkę, stała w korytarzu i uśmiechała się do mnie. Zdusiłem papierosa w popielniczce, obawiając się upuścić go kolejny raz; nie mogłem oderwać wzroku od Doroty. W tym najprostszym, najskromniejszym ubiorze, jaki mogłem sobie wyobrazić, wyglądała jak bogini. Marne porównanie, wiem. W każdym

tanim romansidle kobiety wyglądają jak boginie. Jednak tym razem nie bałem się użyć tego słowa.

Bogini podeszła do mnie i zanim zdążyłem powiedzieć słowo, ucałowała mnie w policzek.

- Jeszcze raz dziękuję, Tomasz. I... chyba dobranoc?

- Dobranoc, Dorota. To ja dziękuję.

- Za co? - zapytała zdziwiona.

- Nieważne. Śpij dobrze.

- Ty też. Do zobaczenia rano.

Odprowadziłem ją wzrokiem, który jak ściągany magnesem wędrował w dół, na jej zgrabne, nagie uda i okryte zakolanówką łydki. Dzięki ci, Panie, za Twe drobne łaski.

Co za dziewczyna.

# ROZDZIAŁ XIV

## I

Tomasz leżał w salonie na rozsuniętej sofie, wpatrując się w sufit i pozwalając myślom unosić się swobodnie. Nie myślał o niczym konkretnym. Czasem do jego świadomości przebijały się jakieś informacje o śledztwie, czasem wracała treść książki czytanej podczas nocnej audycji w radiu. Z małego pokoju po drugiej stronie ściany nie dobiegały go żadne odgłosy, nie widział też poświaty wylewającej się na korytarz, wobec tego uznał, że Dorota usnęła.

- Chyba czas zrobić to samo - powiedział do siebie i nie zmieniawszy pozycji, zamknął oczy, starając się odpłynąć w krainę snu.

Niezależnie od tego, co miało tam na niego czekać.

Długo tak leżał, zawieszony gdzieś pomiędzy snem i jawą, w tym niewytłumaczalnym, dziwnym stanie, kiedy już śnimy, a jednak wciąż jesteśmy świadomi tego, co dzieje się dookoła. Poprzez mgłę snu dobiegły go cichutkie kroki. Były coraz bliżej, ale nie wyrwało go to z owego dziwnego stanu zawieszenia. Kroki ucichły, skrzypnęła za to sofa. Kolejne skrzypnięcie. Do jego świadomości pomalutku docierała czyjaś obecność, do jego nozdrzy zapach umytego ciała i czegoś jeszcze, czego nie umiałby nazwać, ale bardzo mu się to podobało.

Dopiero gdy poczuł włosy omiatające mu twarz, ocknął się, lecz nie otworzył oczu, niepewny tego, co się dzieje. Poczul na wargach czyjeś usta składające delikatny pocałunek. Potem kolejny, nieco bardziej zapamiętały. I jeszcze jeden. Tym razem Tomasz odwzajemnił pocałunek, a jego dłonie objęły Dorotę; delikatnie, powoli.

- Jesteś pewna? - wyszeptał w ciemność, wciąż nie otwierając oczu.

- Jestem - odparł najbardziej pociągający głos, jaki słyszał przez całe życie.

Otworzył oczy i spojrzał na jej twarz, ledwie widoczną w poświacie księżycy wpadającej przez odsłonięte okno. Całe szczęście, że nie mam sąsiadów od tej strony - przemknęło mu przez myśl, zanim Dorota odebrała mu zdolność myślenia kolejnym pocałunkiem, tym razem długim i namiętym.

Odwzajemnił go z całą mocą i przyciągnął ją mocniej do siebie. Dorota chwyciła jego rękę i przesunęła ją niżej, nie pozwalając mu na wątpliwości, czy dobrze robi. Zadrżała z przyjemności, kiedy dłoń Tomasza spoczęła pod jej koszulką i znalazła się na jej piersi. Czowała jego erekcję przez cieniutki materiał bielizny; napała mocniej i pocałowała go jeszcze bardziej namiętnie.

Tomasz zapytał ponownie:

- Jesteś pewna?

Odparło mu ciche westchnienie i niecierpliwy głos.

- Jak niczego innego na świecie. A teraz proszę, czy możesz mnie już rozebrać?

## II

Jakąś chwilę, pół godziny, a może pół wieczności później leżeli razem, okryci tylko kołdrą od pasa w dół. Ich oczy przywykły już do ciemności rozpraszaną wyłącznie słabym światłem księżyca. W tym nikłym świetle Tomasz wodził wzrokiem po rozpromienionej twarzy Doroty, a jego dłonie wędrowały po jej ciele, którego wciąż nie miał dość. Nie sądził, żeby kiedykolwiek mógł mieć.

Dorota robiła i czuła dokładnie to samo, obejmując dłońmi Tomasza, patrząc w jego ciemne oczy. Nigdy nie czuła się tak dobrze.

- Jesteś piękna... - wyszeptał Tomasz.

- Nie mów tak, to nieprawda... - odparła, wtulając twarz w jego pierś.

Tomasz westchnął i odsunął ją od siebie, ponownie na nią spoglądając. Położył dłoń na jej boku i delikatnymi ruchami przesunął ją wzdłuż jej ciała. Gdy spoczęła na jej małych, lecz cudownych piersiach, zaczął mówić, z uwagą dobierając słowa.

- Pamiętasz... raz już ci powiedziałem, czym jest piękno, przyrównując je do wystawy w galerii sztuki. Nie będę się powtarzał, ale powiem ci jeszcze raz... jesteś piękna. Mogłbym tak leżeć długie godziny, nie robiąc nic więcej prócz podziwiania twojego ciała, twojej twarzy. Mogłbym oddychać tylko twoim zapachem, tak bardzo mnie pociąga.

- Ale Tomasz... ja wcale nie jestem ładna...

- Obrażasz mój gust, wiesz? I pewnie nie tylko mój. Dam sobie rękę odrąbać, że wielu chłopaków gotowych byłoby zabić, żeby znaleźć się w tej chwili na moim miejscu.

- Nie przesadzaj...

- Nie przesadzam. Jesteś przepiękna, Dorota.

Jego dłoń przestała pieścić jej piersi, a zsunęła się niżej, w stronę jej nóg i królestwa rozkoszy pomiędzy nimi. Dorota cichutko jęknęła, gdy palce detektywa dotknęły jej najwrażliwszego miejsca, by znów oddalić się i gładzić pozostałe części jej ciała.

- Masz niesamowite nogi, wiesz? Jestem pewien, że niejeden o mało nie skręcił karku, obracając się za nimi. Nie mówiąc już o tym, że nie znam faceta, który idąc za tobą byłby w stanie utrzymać wzrok powyżej twojego pasa.

Dorota nic nie mówiła, wyraźnie brakło jej słów, więc Tomasz kontynuował:

- Wiem, może to trochę bezczelne, co mówię, ale uwierz mi... nie doceniasz się. Mój Boże, Dorota... masz prześliczną twarz, ale gdy zobaczyłem cię nago... powiedzieć, że odjęło mi mowę, to niedopowiedzenie. Wprost przeciwnie, gdybym był poetą, napisałbym o tobie wiersz.

- Tomasz, zawstydzasz mnie... - wyszeptała cichutko Dorota.

- Widzisz, wobec tego chyba jednak mam rację - odparł przekornie.

Pogładził ją po twarzy i ucałował z całą czułością, jaką tylko człowiek jest w stanie włożyć w pocałunek.

- Rozumiem, dlaczego możesz mieć różne uwagi do siebie, dlaczego możesz mieć kompleksy, dlaczego możesz uważać, że nie jesteś piękna. Wiedz tylko, że się z tobą nie zgadzam. I na pewno nie byłbym jedyny.

- Tomasz, mówisz, jakbym była jakąś hollywoodzką pięknoscią, a jestem tylko zwyczajną dziewczyną. Mniej niż przeciętną w dodatku.

- Mniej niż przeciętną? A widziałaś ty się w lustrze?

Ponownie złożył pocałunek na jej ustach, a potem na obydwu piersiach, czując, jak sutki Doroty twardnieją z rosnącego podniecenia.

- Wiesz, najcudowniejsze w tobie jest to, że to piękno jest tak cholernie nieoczywiste. Wydawało mi się, że widziałem już wszystko, kiedy spoglądałem na twoją śliczną twarz i nieśmiało spuszczałem wzrok na twoje zgrabne nogi. A jednak... gdy zobaczyłem cię nago, zrozumiałem, jak piękna jesteś naprawdę. Ty jednak wolisz tym pięknem nie epatować na co dzień; nie ubierasz się wyzywająco, nie odsłaniasz więcej niż to konieczne. To jest właśnie najcudowniejsze. W tym właśnie widzę prawdziwe piękno; w tym, co niewidoczne na pierwszy rzut oka, w tym, co trzeba odkryć, a nie zostać przez to zwalonym z nóg.

- Tomasz... nigdy wcześniej się tak nie czułam, wiesz? Nikt nigdy tak do mnie nie mówił...

- Przywyknij - uśmiechnął się do niej i ucałował ją po raz kolejny w usta,

a potem złożył gorący pocałunek na jej szyi. - I uwierz mi, jesteś piękna. Uwierzysz?

- Tak... jeśli jeszcze raz sprawisz, że poczuję się tak dobrze jak przed chwilą. Spełnił jej życzenie.

### III

Dorota spała wtulona w Tomasza, oddychając głęboko i spokojnie, śniąc niezmacone strachem sny; po raz pierwszy od bardzo dawna czuła się naprawdę bezpieczna. Ostatnią myślą, która pojawiła się w jej głowie przed snem było to, jakie to przedziwne, że czuje się właśnie w ten sposób u boku człowieka, którego znała od niespełna tygodnia. Nie czuła się źle z tą sytuacją. Wprost przeciwnie, a jego słowa wciąż rozbrzmiewały echem w jej głowie, wywołując na twarzy uśmiech.

Tomasz usypiał, podobnie jak Dorota rozmyślając o ich znajomości. On też czuł się dobrze i spokojnie w jej towarzystwie. Nie był z kobietą od pięciu lat, ale nawet pomijając to, ta noc z Dorotą niemalże wymazała z pamięci wszystkie inne noce jego życia. Miał nadzieję, że dziś nie przyśni mu się koszmar. Miał nadzieję na choć jedną, spokojnie przespaną noc.

Nadzieja matką głupich. I nie, nie każda matka kocha swoje dzieci.

Tym razem znajdował się w znajomo wyglądającym budynku, choć na początku nie mógł rozpoznać tego miejsca. Dopiero po postawieniu kilku kroków poznał klaustrofobiczny korytarz bloku D komendy w Mieście.

Zamiast rzędów jarzeniówek na suficie po obydwu stronach ze ścian wystawały kinkiety, na których parami świece oświetlały korytarz. Koszmary istnieją poza wszelką logiką.

Drzwi do wszystkich pomieszczeń były otwarte, lecz wydawało się ich o wiele mniej niż zazwyczaj. Tomasz szedł ostrożnym krokiem, tłumionym przez gruby dywan wyłożony na korytarzu. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek wcześniej go tam widział, ale czy miało to jakiegokolwiek znaczenie? Odpowiedź była tylko jedna, dość prosta.

Przystanął przy pierwszych drzwiach po lewej stronie i zajrzał do środka.

Znów był w prosektorium. Tym razem jednak na stołach operacyjnych nie leżała trójka dzieci, lecz zwłoki jakiegoś mężczyzny. Wyglądał znajomo. Nad ciałem pracowało dwóch doktorów; w jednym z nich Radziejowski rozpoznał



Olecha. Lekarze rozmawiali między sobą.

- Doktorze, pomimo usilnych starań sekcja zwłok nie wykazała przyczyny śmierci.

- Popszywałeś go do końca?

- Tak, właśnie kończę przyszywać prawe ramię i będzie wszystko.

- Moment, moment... a co to ma być? Zapomniałeś włożyć serce z powrotem?

- Nie, panie doktorze. Nie było go tam już wtedy, gdy zaczynałem kroić.

- A więc mamy przyczynę zgonu.

- Aż dziw, że przeżył tyle lat.

- Ciii... - Doktor przyłożył palec do ust. - Mamy gościa.

Tomasz drgnął, widząc, jak jeden z patologów, Olech, odwraca się w jego stronę.

- Proszę wejść, zapraszamy, śmiało - powiedział, gestem zapraszając Tomasza do środka.

Ten, jakby przyciągany jakąś siłą, a może zwykłą, ludzką ciekawością, skorzystał z zaproszenia i powoli zbliżał się do zwłok leżących na stole.

- No, ostatni szew. Gotowe - odezwał się drugi z mężczyzn w białych fartuchach, ocierając czoło ubabraną krwią rękawiczką i odsłaniając ciało, które zszywał.

Tomasz nie mógł nabrać oddechu. Wpatrywał się w swoją twarz, w znajomo wyglądający pieprzyk pod lewą piersią, w bliznę nieco powyżej pępka. To był on. Patrzył na swojego trupa. Przerażony zaczął cofać się do drzwi.

- Jak... jak umarł? - zapytał drżącym głosem, wycofując się coraz bardziej.

- No jak to, pan powinien wiedzieć najlepiej, detektywie - odparł Olech. - Ludzie, którzy nie mają serca, nie żyją zbyt długo.

- Ależ ja mam serce!

- Naprawdę? Myślałeś, że jedna noc z kobietą je przywróci? Wybacz, detektywie. To tak nie działa.

I roześmiał się upiornie. Dwaj mężczyźni ściągnęli maski, lecz to, co było pod nimi, nie przypominało ludzkich twarzy.

Raczej paszcze demonów.

Radziejowski wybiegł z pomieszczenia, zatraskując za sobą drzwi, by znów znaleźć się w oświetlonym blaskiem świec korytarzu. Gdy tylko je zamknął, te rozplynęły się, pozostawiając po sobie mdlą zieleń ścian komendy.

Następne otwarte drzwi znajdowały się nieco z przodu, po prawej stronie. Po raz kolejny wiedziony czymś silniejszym od niepokoju, Tomasz zajrzał do środka,

nie wiedząc, czego się spodziewać.

Stał na progu przedszkolnej sali starszaków. Przy podłużnym stole siedziała grupka dzieci, ubranych w czarne koszulki i spodnie, rysujących coś pastelami na leżących przed nimi kartkach.

Dzieci było dokładnie trzynaścioro.

Tomasz podszedł bliżej i przypatrywał się oniemiały powstającym na papierze rysunkom. Dominowały dwa tematy; to, co na pierwszy rzut oka wziął za las, faktycznie było lasem, lecz nie drzew, a żeliwnych krzyży. Drugim tematem ewidentnie były kapliczki, gdyż na przynajmniej czterech kartkach dostrzegał mniej lub bardziej koślawe odzwierciedlenia cmentarnej kaplicy, którą tak dobrze znał ze swych koszmarów.

Jeden rysunek różnił się od innych. Przedstawiał dziwacznie wyglądający pagórek, na którym siedział wielki, czarny ptak o czerwonych oczach.

Tomasz wziął rysunek do ręki i mało nie zwymiotował. To, na czym siedział ptak, nie było pagórkem, lecz kopczykiem usypanym z dziecięcych ciał. Gdy podniósł wzrok znad kartki papieru, przestraszył się tak, że upadł; cofał się do wyjścia na czworakach, zbierając się z podłogi.

Dzieci siedzące przy stoliku wpatrywały się w niego niewidzącymi oczami. Wszystkie były martwe, a na wysokości mostka wyzierały wielkie, pozbawione koloru dziury, gdzie powinny znajdować się serca.

Zatrzasnął za sobą drzwi i oparł się o ścianę naprzeciwko, dysząc ciężko. Ponownie drzwi rozplynęły się w zieleni.

Ruszył dalej, przysięgając, że nie zajrzy do kolejnych drzwi, choćby nie wiem co; jak to zwykle bywa z przysięgami składanymi pod wpływem emocji, złamanie jej przyszło mu bez trudu.

Przeszedł przez próg i ku swojemu ogromnemu zdziwieniu stanął w swoim własnym mieszkaniu, w dużym pokoju. Na łóżku leżała Dorota, zupełnie naga, spoglądając na niego ponętym spojrzeniem i zapraszając go skinieniem palca, jednocześnie gładząc się drugą ręką między nogami.

Tomasz nie stawiał oporu, wszedł do łóżka i pozwolił się rozebrać. Jego dłonie znów wędrowały po jej nagim ciele. Schwyciła jedną z nich i położyła ją tam, gdzie przed chwilą trzymała swoją. Spazm podniecenia przeszedł przez jej ciało i aż wygięła się do tyłu, jednocześnie przyciskając twarz detektywa do swoich piersi. Usiadła na nim okrakiem i zaczęła rytmicznie poruszać biodrami.

- Zerznij mnie, detektywie - zamruczała mu do ucha.

Coś w tym obrazku się nie zgadzało, ale Tomasz był już zbyt zatracony

w przyjemności, by zwrócić na to większą uwagę. Zapamiętałe zaspokajał żądze Doroty ze swego snu i swoją własną, dając upust drzemiącym w nich fantazjom.

- *Dobrze się bawisz?* - zadźwięczał w jego głowie obcy, a jednocześnie znajomy głos.

# ROZDZIAŁ XV

## I

Zerwałem się z łóżka, zlany potem. Mój Boże, co za koszmar. I co to był za głos, ten na końcu? Szybko otrzymałem odpowiedź. Po mojej prawej stronie leżała Dorota, pogrążona we śnie. Odetchnąłem z ulgą i przykryłem ją nieco bardziej, z pewną dozą żalu, bo musiałem zakryć jej nagie piersi. Obróciłem się w drugą stronę i tylko cudem nie zacząłem wrzeszczeć.

*- Dobrze się bawisz?*

Nad moim łóżkiem stała Monika Kropisz, a raczej to, czym się stała po śmierci. To, co już parokrotnie nawiedziło mnie w koszmarach, a raz nawet było w tym mieszkaniu. Jej głos wypełniał zakamarki mojego umysłu, a jednak nie widziałem, by otwierała usta.

*- Dobrze się bawisz? Czy już zapomniałeś o złożonej mi obietnicy? O moich dzieciach?*

W tym głosie brzmiała groźba.

*- Nie... Moniko, naprawdę, ja nie...*

*- Widzę, że wolisz tracić energię na coś innego. A może powinnam położyć się z wami, co powiesz na mały trójkącik?* – mówiąc to, oblizwała się lubieżnie opuchniętym językiem po przegniłych wargach.

Po plecach przebiegł mi dreszcz obrzydzenia i strachu.

*- Może powinnam się zabawić z młodą Dorotką? Pokażę jej parę... hmm... sztuczek. Ha, ha, ha!* – zaśmiała się potwornie zjawa. *- Nie wiem jednak, w jakim stanie ją potem znajdziesz, detektywie* – zakończyła tonem, od którego jeżyły się włosy na karku.

*- Nie, błagam, nie rób jej krzywdy. Przecież ci obiecałem, przecież ty mi obiecałaś, że nie zrobisz nikomu krzywdy, prócz mnie, jeśli zawiodę. Daj mi czas, błagam...*

Starałem się mówić jak najciszej, nie chcąc obudzić Doroty. Mój szept był praktycznie niesłyszalny, jednak upiór po mojej lewej zdawał się rozumieć, co do niego mówię. Byłem przerażony, lecz w odpowiedzi usłyszałem tylko

wypowiedziane tym razem na głos zdanie, które w ostatnich dniach słyszałem zbyt często.

- *Pamiętaj, detektywie. Ja widzę twoje serce. Widzę twoje serce. I wrócę tutaj.*

Sekundę później już jej nie było.

Zegarek wskazywał piątą trzydzieści.

Spojrzałem na śpiącą u mego boku Dorotę i położyłem się tuż przy niej, obejmując ją ramieniem. Świadomie lub nie, chwyciła moje ramię i przysunęła się bliżej, wtulając się we mnie; czułem miękkość jej piersi na swoim ciele. Gładziłem jej włosy, myśląc o tym, jak cudowna była spędzona z nią noc. Gdzieś w głowie kiełkowało mi ziarenko niepewności, czy aby na pewno postąpiliśmy słusznie, czy ja aby na pewno postąpiłem słusznie, lecz ona była taka szczęśliwa... i nie oszukiwałem się - ja też byłem.

Niemniej jednak ponowna wizyta Moniki Kropisz brutalnie przywołała mnie do rzeczywistości, przywróciła na ziemię, jednocześnie podnosząc siłę grawitacji, by mnie na niej utrzymać. Miałem zadanie do wykonania i to ono powinno być dla mnie na pierwszym miejscu. Mimo tego, spoglądając na śpiącą twarz Doroty, na jej cudowne ciało, okraszone w tamtej chwili blaskiem wschodzącego słońca, wpadającym przez odsłonięte okno, wiedziałem, że niezwykle trudno będzie mi się skupić na sprawie.

Chyba kochałem tę dziewczynę.

Usiadłem na skraju łóżka, kryjąc zmęczoną twarz w dłoniach. Nawet nie usłyszałem, kiedy Dorota się przebudziła i uklękła tuż za mną, obejmując mnie od tyłu i wodząc dłońmi po moim wciąż rozdygotanym ze strachu ciele. Ująłem jej dłoń i ucałowałem, na co ona tylko przywarła do mnie mocniej.

- Śpij dalej, Dorotko. Nie ma potrzeby, żebyś wstawiała tak wcześnie.

- Ale mi się już nie chce spać. Poza tym... nie sądzę, żebyś z powrotem zasnął, a nie chcę leżeć sama.

- Poleż jeszcze trochę, może uda ci się usnąć. Ja w tym czasie pójdę się umyć i ubrać, dobrze?

- Dobrze, ale wracaj szybko.

Ucałowała mnie w policzek na pożegnanie, po czym położyła się w łóżku, jednocześnie odprowadzając mnie wzrokiem.

Jak mogłem się spodziewać, gdy wyszedłem z łazienki, Dorota nie spała. Nie spodziewałem się jednak, że wstanie i zacznie przygotowywać śniadanie. Widok ubranej jedynie w skąpą piżamkę kobiety w kuchni z samego rana jest jednym z najpiękniejszych, jakich może doświadczyć mężczyzna. Zwłaszcza taki, który od

pięciu lat mieszkał sam.

- O, już jesteś? Myślałam, że zdążę - powiedziała zawiedzionym głosem.

- Umyj się, w tym czasie ja zrobię kawę - odparłem z uśmiechem, podchodząc do niej i całując ją w czoło.

- Wiesz... nigdy nie czułam się tak dobrze jak dzisiejszej nocy. Jeśli zrobiłam coś nie tak, to przepraszam, ale chcę, żebyś wiedział, że nigdy się tak nie czułam...

Zamknąłem jej usta pocałunkiem.

- Idź już i wracaj szybko. I nie martw się, ja też mam za sobą jedną z najpiękniejszych nocy mojego życia, uwierz. Jeśli nie najpiękniejszą.

Podczas gdy Dorota poszła po rzeczy do małego pokoju, a następnie do łazienki, ja włączyłem telewizor na kanał informacyjny, ale w ogóle nie słuchałem tego, co prezenter ma do powiedzenia. Jakie to miało znaczenie? No więc właśnie.

## II

Kilka godzin później szedłem rozgrzaną południowym słońcem ulicą w stronę Lasku Południowego. To zabawne, jak pomimo pobytu w tym samym miejscu przez wiele lat, można nie mieć pojęcia o bliskości niektórych miejsc. Od pięciu lat mieszkałem przy Sosnowej. Kupiłem mieszkanie tuż po odejściu z policji, zupełnie nieświadom, że niespełna kilometr dalej znajduje się wejście do lasu, w którego głębinach stoi samotna kapliczka, gdzie wyrzył się na stałe w mojej duszy najstraszniejszy widok mojego życia.

Być może byłem nieświadom, a może gdzieś w zakamarkach świadomości rodziła się myśl, że chcę znajdować się blisko miejsca mej ostatecznej porażki; ot, taka forma pokuty.

Być może to miejsce zwyczajnie mnie przyciągało; nie miałem pojęcia.

Z pewnością przyciągało mnie dziś. Szedłem w jego stronę spokojnym krokiem, rozpamiętując ostatnią noc i rano, który po niej nastąpił.

Poranne godziny upłynęły bardzo miło, choć bardzo szybko. Po śniadaniu Dorota zadzwoniła do Marka, po czym oboje postanowili pojechać na weekend do domu, żeby dać ich ojcu nacieszyć się powrotem Marka do zdrowia.

Dąbrowski nie dał znaku życia, wobec tego uznałem, że nie ma większego sensu jechać na komendę. Kazał czekać, aż zadzwoni, wobec tego czekałem.

(„Strzeż się Zwiastunów Nocy...”)

Wejście do lasu było coraz bliżej, a moje serce pokrywał coraz głębszy cień, tym czarniejszy, im bardziej zbliżałem się do miejsca, które było świadkiem mego grzechu; mego upadku. Brzmi to patetycznie, lecz tak właśnie czułem. „Rzeź niewiniątek” była moim grzechem i moim ciężarem. Wiedziałem, że Dawid również bardzo to przeżył, jednak miał dość poukładane sumienie, by nie obarczać się odpowiedzialnością.

(„Widzę twoje serce...”)

Moje nie pozwoliło mi na tę drobną przyjemność.

Zasłuchany we własne myśli szedłem samotną ścieżką wśród drzew, przez których korony przebijały się oślepiające przebłyski, tworząc na ścieżce miraż ze świetlistych plam. Mijałem rowerzystów, weekendowych biegaczy, starsze panie na spacerze z psem; niektóre z nich nawet rozpoznawałem (ich psy obszczekiwały mnie regularnie, gdy szedłem Sosnową), nie znałem jednak żadnej z imienia.

Nieubłaganie zmniejszałem dystans dzielący mnie od kapliczki. Żadna ścieżka do niej nie prowadziła, jednak doskonale wiedziałem, w którym miejscu należy zboczyć ze szlaku, żeby dotrzeć w tamto niegdyś święte, dziś przeklęte miejsce. Nie byłem tam od pięciu lat, lecz pamiętałem drogę z przerażającą dokładnością.

Gdzieś nade mną, może między liśćmi, a może na błękitnym niebie, zakrakała wrona.

(„Strzeż się Zwiastunów Nocy...”)

- Och, zamknij się wreszcie - powiedziałem sam do siebie, czy może raczej do wewnętrznego „ja”, które chyba było moim sumieniem.

Po kilku minutach, w których jedynym akompaniamentem dla moich myśli był szelest poszycia, szum wiatru, krakanie wron i bicie serca, stałem na tym samym pagórku, z którego pięć lat temu po raz pierwszy spojrzałem na makabryczne odkrycie.

To zabawne, jak szczegółowa potrafi być pamięć, gdy zostanie poddana odpowiedniej stymulacji. Przed moimi oczami przesunął się dokładny obraz upiornego kopczyka; gdyby pokazano mi zdjęcia denatów, byłbym w stanie wskazać, które z dzieci leżało na dole, a które na górze. Widziałem bladoniebieski, pulsujący blask policyjnych świateł, słyszałem rozdzierający powietrze, narastający dźwięk karet pogotowia, które jechały tylko po to, żeby pozbierać trupy; trzynaścioro dzieci plus jedna babcia, której serce nie wytrzymało. Ona też padła ofiarą rzezi, jednak o tym nie napisano w gazetach.

Czułem się zawieszony w czasie. W jednej chwili wdychałem gorące, czerwcowe powietrze przesycone organiczną wonią drzew i żywicy; w drugiej

czułem szczypiący twarz mróz, a płuca bolały od wdychania rzadkiego, lodowato zimnego powietrza. Świat dookoła był raz cudownie zielony, raz posepnie biały, miejscami splamiony krwią.

Jedynym stałym elementem była kapliczka.

Było lato w pełnym rozkwicie, czas radości, ciepła, spokoju. Mimo to ta stara, posepna, ceglana budowla była równie oziębła i nieprzyjazna jak wtedy, w środku zimy. Może to popełniona w niej zbrodnia odcisnęła takie piętno, a może setki odprawionych w niej cmentarnych obrzędów. Może niespokojne dusze, które pozostawiły wewnątrz swój ślad?

Kapliczkę spowijał cień.

Niczym zwierzę wabione zapachem świeżego mięsa, zbliżałem się powoli do jej wejścia, jednak to nie ja byłem tu drapieżnikiem; to ona obnażała kły. Im bliżej podchodziłem, tym więcej szczegółów rejestrowały moje oczy. Łuszcząca się, niegdyś czarna i błyszcząca jak obsydian farba gdzieniegdzie kompletnie spłowieła, a miejscami odpadła, odsłaniając gołą cegłę. Brakowało wielu dachówek; te, które pozostały, porastała warstwa mchu i śniedzi.

Przemknęło mi przez myśl, że to istny cud, że taki odludny budynek nie padł ofiarą pseudograficy, lubujących się w smarowaniu farbą w sprayu wszystkiego, co mają pod ręką, jednak najwyraźniej żaden z nich tu nie dotarł. A może dotarł, lecz mrok tego miejsca odebrał mu twórczy zapał? Któż to wie.

Gdy stanąłem dokładnie na wprost wejścia, poczułem się, jakbym przeżywał *déjà vu*. Drzwi wyglądały identycznie jak te w moich snach. Dębowe, potężne, o odcieniu zakrzepłej krwi; po obydwu stronach wisiały lampy naftowe. Gwałtownie obejrzałem się za siebie, spodziewając się ujrzeć wyrastający spod ziemi rząd żeliwnych krzyży, jednak nic takiego się nie stało. Nie słyszałem także Zwiastunów. Nie widziałem trupiątek wśród drzew.

Wszystko było w porządku.

A jednak coś zdawało się nie na miejscu. Wiedziony silnym przecuciem, stanąłem pod drzwiami i nacisnąłem mocno na klamkę. O dziwo, drzwi stanęły przede mną otworem.

Wnętrze kapliczki do złudzenia przypominało to z moich snów; brakowało jedynie trumienek pod ołtarzem (nie żebym jakoś szczególnie za nimi tęsknił). Mimo tego, nie byłem w kapliczce sam.

Po drugiej stronie, przy samym witrażu, jedynym źródle naturalnego światła we wnętrzu kaplicy, leżało skulone małe dziecko. Dziewczynka.

Ciało kazało mi uciekać, znaleźć się jak najdalej stąd. Usta chciały krzyczeć,



krzyczeć tak mocno, że „zdarcie sobie gardła” przestałoby być eufemizmem. Umysł jednak pozostał chłodny i nieubłagany.

Podszedłem bliżej, a każdy krok niesiony echem po gołych ścianach brzmiał niczym stąpanie olbrzyma. Nie odrywałem wzroku od skulonego pod ścianą dziecka. Coś w nim różniło się od owych dzieci, które w ostatnich dniach nawiedzały mnie w snach i wizjach. Dziewczynka cała się trzęsła, po policzkach spływały jej łzy.

W jednej sekundzie poczułem, jakby z oczu opadły mi łuski strachu, a ktoś założył mi okulary zdrowego rozsądku. Dziewczynka miała skrępowane ręce i nogi, a twarz zakrytą jakąś szmatą, przewiazaną z tyłu głowy. To nie był duch. To było prawdziwe, żywe dziecko.

Rzuciłem się w stronę skulonego pod witrażem dziecka i gorączkowym ruchem ściągnąłem szmatę z ust dziewczynki, a sięgnąwszy do kieszeni po mały, lecz ostry nożyk, rozciąłem taśmę, którą oklejone były kończyny dziecka.

Dziewczynka wpatrywała się we mnie z przerażeniem graniczącym z obłędem. Przytuliłem ją mocno do siebie i głaszcząc jej włosy, próbowałem uspokoić, jednak ta rozdygotała się tylko jeszcze bardziej, wciąż wylewając z siebie potoki łez; jej usta poruszały się bezgłośnie, niczym ryba, którą wyjęto z wody, pozbawiając dostępu do tlenu. Oddychała spazmatycznie, nierówno.

- Ciii, słoneczko, już dobrze, ciii... Już wszystko dobrze, już dobrze, zaraz zabiorę cię do rodziców.

Na dźwięk słowa „rodzice” dygotanie małego ciała jakby na moment ustało, jednak po chwili wróciło ze zdwojoną mocą.

- Cii, już spokojnie, już dobrze... Jak masz na imię? Powiesz mi?

Dziewczynka gwałtownie pokręciła głową, próbując wyrwać się z mojego uścisku, jednak nie dałem jej na to szansy. Wziąłem przerażonego maluszka na rękę i wyniosłem z kaplicy, drugą ręką wyciągając z kieszeni telefon i wybierając numer Dawida.

Jeden sygnał.

Dwa sygnały.

Trzy.

Dawid nie odbierał. Spróbowałem jeszcze raz, równie bezskutecznie. Wobec tego wybrałem standardowe 997. Po komunikacie informującym, że w trosce o bezpieczeństwo wszystkie rozmowy są nagrywane, w słuchawce rozległ się głos dyspozytorki.

- Posterunek policji, słucham.

- Nazywam się Tomasz Radziejowski, jestem prywatnym detektywem. Potrzebuję natychmiast patrolu, karetki pogotowia oraz ekipy techników do Lasku Południowego.

- Chwileczkę, pomału, proszę powtórzyć; gdzie pan jest?

- W Lasku Południowym, potrzebuję natychmiast karetki, patrolu i ekipy techników.

- Co dokładnie się stało?

- Odnalazłem związane i porzucone dziecko.

- O której to się stało?

- PRZED CHWILĄ, DURNA BABO! A TERAZ ŁASKAWIE PRZYŚLIJ TU PATROL I KARETKĘ!

- Bardzo proszę się uspokoić, panie...

- Detektyw Tomasz Radziejowski. Jeśli nie chce pani stracić pracy, to proponuję szybko zrobić to, o co proszę. Jestem przy kapliczce w środku lasu, w której pięć lat temu odnaleziono ofiary „rzezi niewiniątek”. Każdy policjant w Mieście zna to miejsce, więc proszę tylko im to przekazać i kazać się pospieszyć.

- Ale...

- JUŻ! - rzuciłem ostatni raz w słuchawkę, po czym się rozłączyłem, mając nadzieję, że ta idiotka potraktuje mnie poważnie.

### III

Idiotka w dyspozytorni zachowała chociaż na tyle resztek rozumu, żeby skierować patrol we właściwe miejsce; nie minęły trzy minuty od mojego telefonu, a już w oddali słyszałem wycie syren.

Wiedziałem, że zwykła policyjna suka nie podjedzie blisko kapliczki, więc trzymając małą na rękach, szybkim krokiem ruszyłem ku głównej ścieżce, pokonując kolejne pagórki.

Dotarłem na ścieżkę w tej samej chwili, co patrol policji. Kierowca wyłączył „koguta”, a ze środka wypadło trzech mundurowych. Na szczęście jednego z nich znałem; nie miałem pojęcia, jak ma na imię, jednak wpadaliśmy na siebie przy okazji kilku moich dochodzeń.

- O, witam, detektywie - rzucił w moją stronę, podchodząc do mnie.

- Witam. Bez zbędnych wstępów: znalazłem tą małą w kapliczce w środku lasu,

była związana i zakneblowana. Nikt nie zgłaszał zaginięcia wczoraj lub dzisiaj?

- Tego nie wiem, będę musiał zabrać ją na komendę. Jak ma na imię?

- Nie chce powiedzieć. Wydaje się, że zaniemówiła z powodu przeżytego szoku.

- Hmm... wobec tego muszę ściągnąć psychologa dziecięcego... albo lepiej

zawiozę tę małą od razu na komendę główną, tam powinien ktoś dyżurować.

- Dobry pomysł - powiedziałem, przekazując mu małą na ręce. - A co z karetką?

- Czekają na sygnał od nas; dam im znać, że sam zawiozę małą do szpitala.

- Lepiej nie, weź ją na komendę i ściągnij tam jakiegoś lekarza. Na pierwszy rzut oka nie ma żadnych poważnych obrażeń, ale ktoś powinien ją obejrzeć.

- Dobrze, tak zrobię.

- Ściągnęliście ekipę?

- Będzie tu za pół godziny, wie pan, jak jest, zanim się zbiorą, mija trochę czasu.

- Wobec tego wyślij tych dwóch - skinąłem na towarzyszących mu policjantów

- do kapliczki, niech zabezpieczą teren. Z reguły nikt tam nie zagląda, ale wyraźnie ktoś musiał tam podrzucić tę dziewczynkę, może uda się znaleźć coś, co okaże się przełomem w śledztwie.

- W śledztwie? Co ma pan na myśli?

- Nieważne, przekaż tylko przez radio, żeby ściągnęli tu komisarza Dawida Dąbrowskiego, a najlepiej w ogóle nic nie ruszali, dopóki on się tutaj nie zjawi.

- Będę potrzebował pana zeznań...

- Spokojnie, nie teraz. Teraz zawieź tę małą w bezpieczne miejsce i postarajcie się znaleźć jej rodziców. Na komendę zajrzę w poniedziałek i wypełnię wszystkie potrzebne papiery.

- Mam nadzieję.

- W razie czego wiecie, gdzie mnie znaleźć, prawda? A teraz lepiej już jedź, ta mała wciąż cała się trzęsie.

Policjant, którego imienia wciąż nie byłem sobie w stanie przypomnieć, przytulił dziewczynkę mocniej do siebie, rzucił dwóm pozostałym komendy i nakazał czekać na techników, po czym wsiadł z dzieckiem do radiowozu, powiedział coś przez radio i odjechał, włączając sygnał.

Policyjna suka zniknęła za zakrętem, nim zdążyłem dwukrotnie zamrugać. Dwaj funkcjonariusze ruszyli w głąb lasu, by, nudząc się śmiertelnie, oczekiwać przybycia ekipy techników (miłego czekania, chłopcy). Dla mnie nie było tu nic więcej do roboty.

Raz jeszcze spróbowałem dodzwonić się do Dąbrowskiego. Tym razem odpowiedział mi nagrany na automat, irytujący jak jasna cholera, kobiecy głos, znany tak dobrze, tak wielu osobom: „Numer, z którym próbujesz się połączyć, jest w tej chwili niedostępny. Proszę spróbować później. The number you're trying to reach is currently unavailable. Please, try again later...”

Wzruszyłem ramionami, chowając telefon do kieszeni. Jak będzie miał chwilę, to zadzwoni, to takie proste. Wyładowywanie swojej frustracji na aparacie (jak czyni to jakieś dziewięćdziesiąt dziewięć procent stelekomunikowanej populacji) nie zmienia tego, że odbiorca jest poza zasięgiem bądź nie jest w stanie odebrać telefonu.

Wbijając wzrok raz w drogę przede mną, raz w korony drzew, przez które prześwitywało niebo, ruszyłem w stronę swojego mieszkania, próbując jednocześnie uporządkować myśli i wspomnienia.

Co, do cholery, robiło tam to dziecko? Dlaczego akurat tam i dlaczego akurat teraz? Halo, Boże, może Ty znasz odpowiedź? A może byś się tak łaskawie odezwał, co?

Tak, Palec Boży byłby bardzo pomocny w tej chwili, niemniej jednak życie nauczyło mnie już, że gdy Palec Boży się pojawia, zazwyczaj dewastuje wszystko, przykładając do tego mniej więcej tyle uwagi, co do strącenia natrętnej muchy z ramienia. Nie, od tej sprawy Bóg ewidentnie odwrócił swe spojrzenie, zarówno teraz, jak i pięć lat temu.

(Dorota).

Myśl, Tomasz. Myśl.

Nawet gdybym zastanawiał się tak intensywnie, że wszystkie obwody w moim umyśle popaliłyby się na dobre, nie byłbym w stanie ułożyć sobie wszystkiego, co działo się dokoła mnie przez ostatni tydzień. To był jeden z tych przytłaczających momentów, kiedy szczerze i z serca żałowałem, że przyjąłem tę sprawę, choć doskonale wiedziałem, dokąd mnie zaprowadzi i co ze sobą przyniesie. Są jednak ludzie (a ja definitywnie byłem jednym z nich), którzy mając do wyboru dwie ścieżki, zawsze wybierają tę bardziej krętą. Mając do wyboru przejście pod górą, tunelem, oraz trudną wspinaczkę przez ośnieżony szczyt, nawet będąc w pośpiechu, wybraliby opcję numer dwa.

Przez wzgląd na widoki.

Pozostawało mi czekać. Przede wszystkim na jakikolwiek znak życia od Dąbrowskiego. Nie martwiłem się; praca policjanta wielokrotnie uniemożliwia bycie dostępnym pod telefonem (o czym wiedzą najlepiej życiowi partnerzy

funkcjonariuszy), niemniej jednak rosła we mnie ciekawość, co też takiego mogło się wydarzyć, że Dawid nie tylko nie odbierał telefonu, lecz prawdopodobnie zostawił go w swoim biurze na pastwę rozładowania baterii.

(Dorota).

Tak, jej nieobecność też dawała mi się we znaki. Zналиśmy się od niecałego tygodnia, a już nie dość, że wylądowaliśmy ze sobą w łóżku, to wyglądało na to, że jej nieobecność jeszcze bardziej odbierała mi zdolność logicznego osądu spraw niż jej bliskość.

Cholera, świat jest dziwny.

## IV

Reszta dnia upłynęła bez telefonu od Dawida. Zabijałem czas, oglądając filmy (maraton horroru, a co), jedząc wszystko, co oferowała moja lodówka (sam się zdziwiłem, po raz pierwszy od paru lat widząc ją wypełnioną po brzegi), i starając się nie myśleć o niczym, zarówno o martwych dzieciach, jak i nagim ciele Doroty.

Po obejrzeniu wieczornych wiadomości i kąpieli już miałem iść spać (kompletnie wbrew swojej codziennej rutynie), lecz w ostatniej chwili, tuż przed zgaszeniem światła, przypomniałem sobie o „Czytaniu o północy”. Czasem tak bywa, że pod wpływem błahego impulsu opada z nas całe zmęczenie, i tak było tym razem.

Mała rzecz, a cieszy.

Podniosłem się z łóżka, pstryknąłem czajnik i zasypałem kubek dwiema łyżeczkami kawy, po czym zalałem zagotowaną wodą. Do północy zostały jeszcze niemal dwie godziny, więc z braku lepszego zajęcia włączyłem telewizję na jeden z tych dziwnych programów, gdzie ludzie umierają na tysiąc sposobów, a eksperci analizują, jakim idiotą trzeba być, żeby zginąć w tak durny sposób (prawie jak casting do Nagrody Darwina).

Patrzyłem zde gustowany, zniesmaczony i rozbawiony zarazem, jak rekonstrukcja pokazuje coraz to głupsze zgony: dekapitacja ręczną kosiarką do żywopłotu (którą facet najpierw machał jak lassem nad głową, by zaimponować cyncatej sąsiadce), zmielenie twarzy w młynku zlewozmywaka (tu potrzeba kogoś mądrzejszego ode mnie, żeby zrozumieć, jak można zrobić coś tak głupiego) lub mój faworyt wieczoru: zakończona zgonem infekcja pochwy u kobiety, która zabawiała się ze swoim dobermanem.

Dziwny jest ten świat.

„I tak minął wieczór i poranek, dzień pierwszy” – zrodziło mi się gdzieś wewnątrz czaszki, jednak zanim zdążyłem pojąć, skąd tak nieadekwatne cytaty z Biblii pojawiają się w mojej świadomości, zegar wskazał 23.55, wobec tego wyłączyłem telewizję z cichym westchnieniem ulgi (doprawdy, jakby ktoś kazał mi to oglądać, nie?) i włączyłem radio, gdzie jeszcze grała jakaś tandetna, popowa pioseneczka, jednak za chwilę miał odezwać się spokojny głos lektora opowiadającego ciąg dalszy historii uwięzionych w nawiedzonym bloku ludzi.

Po chwili popowa melodyjka ucichła, a jej miejsce zajął oczekiwany przeze mnie głos. „Witam wszystkich nocnych marków w »Czytaniu o Północy«. Wejdz, jeśli się odważysz, powiadam wam, nocni słuchacze, gdyż dzisiejsza lektura należy do literatury, której głównym zadaniem jest stawianie dęba włosów na karku i wywoływanie gęsiej skórki wszędzie tam, gdzie tylko jesteście w stanie odczuwać strach. Przed państwem trzecia, ostatnia część powieści »Domofon«, autorstwa Zygmunta Miłoszewskiego. Powiem wam szczerze, drodzy słuchacze, czytanie takiego dzieła w samotnym studiu podczas godziny duchów naprawdę wywołuje ciarki biegnące wzdłuż kręgosłupa. Mam nadzieję, że i wy poczujecie tej nocy lęk, jednak pamiętajcie: to tylko książka. Nie ma się czego bać. Mimo to polecam sprawdzić szafę w sypialni i przestrzeń pod łóżkiem, nim położycie się spać”.

Rozparłem się wygodnie w sofie i zapaliłem papierosa, słuchając, jak tajemniczy, stary lokator opowiada trójce głównych bohaterów mroczną historię budynku. Chcąc nie chcąc, do głowy przyszła mi kamienica przy Murarskiej.

- Kupa bzdur - powiedziałem na głos.

A jednak ostatni tydzień dobitnie udowodnił mi, że duchy i nawiedzone domy istnieją nie tylko w książkach.

Rozdział za rozdziałem (a w moim przypadku: papieros za papierosem) historia posuwała się do przodu. Choć była straszna i na pewno nie należała do lektur lekkich, łatwych i przyjemnych, na swój przedziwny sposób mnie relaksowała. Być może chodziło tylko o zwykłą ucieczkę od własnych demonów; z pewnością miło było oderwać się na chwilę od Moniki Kropisz, zaginionych dzieci, podejrzanego gardła małej Marysi i spopielonego ciała małego, bezimiennego chłopca, któremu ktoś zdewastował genitalia.

„Czytanie o północy” skończyło się nieco przed drugą w nocy. Zakończenie autentycznie wbiło mnie w fotel. Nie było niczym przesadnie oryginalnym; Stephen King i Hollywood wykorzystali już chyba wszystkie możliwe zakończenia

powieści grozy, żeby jakiegokolwiek było jeszcze w stanie zaskoczyć, lecz to było całkiem zgrabne.

Już wiedziałem, po jaką książkę udam się następnym razem do księgarni.

- No, to jeszcze jeden papieros (kurwa, to już chyba pół paczki w ciągu dwóch godzin, Radziejowski. Może byś tak przystopował?) i do spania - obwieściłem pustemu mieszkaniu.

Gdy zgasilem światło i jedynym jasnym punktem pozostał jarzący się tuż przed moimi oczami, przypalony czubek papierosa, rozległo się pukanie do drzwi.

- Co jest, kurwa...

Powlokłem się do drzwi, po drodze zapalając światło i rzucając okiem na zegarek. 2.05. To sobie ktoś znalazł porę.

Pukanie rozległo się znowu, tym razem nieco mocniejsze i nagłące.

- Idę, idę - mruknąłem i otworzyłem drzwi.

- Całkiem niezły czas, zdążyłem zapukać tylko dwa razy, zanim zwlokłeś się z łóżka.

Przede mną stał Dawid. W stanie totalnego wyczerpania, lecz z niesłabnącym humorem i błyskiem w oku. Jak, do cholery, był w stanie żyć w takim tempie ze swoją nadwagą, do tego nie pijąc kawy? Robot, nie człowiek.

- Nie spałem, jeśli chcesz wdawać się w szczegóły.

- O, a co robiłeś? Czyżbym w czymś przeszkodził? - mrugnął do mnie porozumiewawczo, na co odpowiedziałem odpowiednio dosadnym spojrzeniem.

- Nie, słuchałem sobie książki w radiu. Całkiem miła odmiana dla oglądania telenoweli w telewizorze.

- Masz rację, przyjacielu, masz rację.

- No wejdźże do środka, skoro już tu przyszedłeś o takiej porze. Kawy?

- Zabawne, Tomasz. Nie, ja tylko na chwilę, przekazać ci wieści.

Dąbrowski wszedł do środka, opadł ciężko na sofę, rozcierając sobie oczy i rozmasowując kark, po czym, nie patrząc nawet w moją stronę, powiedział:

- Aresztowaliśmy dziś Arkadiusza Kuśnierczyka.

Zamyśliłem się i trwając w tym zamyśleniu, dopaliłem do końca papierosa. Strząsnąłem popiół do stojącej na stoliku przy telewizorze popielniczki, po czym odsunąłem ją w róg stolika i sam na nim usiadłem, znajdując się tym samym twarzą w twarz z Dawidem.

- A jednak?

- Chyba miałeś rację. Dlatego właśnie nie odzywałem się przez cały dzień, przepraszam.

- Sprawdzaliście go?

- Tak, od szóstej rano siedziałem z Leśniakiem w biurze, wertując akta i przekopując Internet. W pewnym momencie nawet wyłączyłem telefon, bo nie chciałem, żeby cokolwiek mnie rozpraszało.

- I co znaleźliście?

- Więcej niż się spodziewałem, jednak na początku wydawało się, że było tego wszystkiego za mało, żeby wszcząć dochodzenie, nawet poszlakowe. I kiedy już miałem odpuścić, przywieźli na komendę tę małą dziewczynkę, którą, jak się dowiedziałem, znalazłeś w znanej nam obu kapliczce.

- No właśnie, co z tą małą? Nie była w zbyt dobrym stanie, kiedy przekazywałem ją tamtemu policjantowi.

- Jest już w domu. Z marszu zaopiekowała się nią nasza psycholog, obejrzał ją też lekarz. Była dość odwodniona i wyziębiona. Całe szczęście, że noc była ciepła, bo wygląda na to, że spędziła w tej kapliczce prawie dobę.

- O kurwa...

- Dokładnie. O kurwa. Przez pewien czas rodzice będą musieli prowadzić małą do psychologa, nie ma to tamto. W przyszłości pewnie też będzie widać tego ślad, najważniejsze jednak, że w ogóle się znalazła. Jak tyś się tam znalazł, Tomasz? To był cholerny cud.

Wzruszyłem ramionami i pokręciłem głową.

- Masz rację, to był cholerny cud. Wyszedłem tylko na spacer i po drodze pomyślałem, że zajrzę w tamto miejsce. Nie pytaj dlaczego, nie mam pojęcia. Nie mam pojęcia, po jaką cholere tam polazłem i po co wszedłem do środka. Jednak dobrze się stało, prawda? Cała reszta jest chyba mniej istotna.

- Cóż, masz rację. Jej rodzice zgłosili zaginięcie wczoraj po południu, dlatego szybko udało się nam ich powiadomić; dopiero kiedy przyjechali na komendę, małą udało się uspokoić. Jest tylko jeden problem... Zupełnie nie pamięta, co się stało.

- Szok?

- Tak powiedział lekarz. Domyślasz się, co powiedział potem. „To zupełnie naturalna reakcja obronna organizmu, za parę tygodni sobie przypomni”.

- Tylko że my nie mamy kilku tygodni.

- Dokładnie - odparł Dawid, wracając do rozcierania sobie wyraźnie obolałego po całym dniu przed komputerem karku. - Mimo tego, dwie sprawy przyczyniły się do tego, że mogliśmy przymknąć Kuśnierczyka, właśnie dzięki temu zdarzeniu.

- Mała zniknęła spod przedszkola, co?



- Jakbyś zgadł. Ale to nie wszystko. Mała była zakneblowana, gdy ją znalazłeś, prawda?

- Tak, miała na twarzy jakąś szmatę.

- A, czyli nie przyjrzałeś się temu dokładniej. Mnie od razu rzuciło się w oczy, kiedy tylko dotarłem na miejsce i spojrzałem.

- Wybacz, przerażona dziewczynka była dla mnie ważniejsza niż design szmaty uniemożliwiającej jej oddychanie przez usta.

- Toć nic nie mówię. Dobra, wracając do tematu; ta „szmata”, jak powiedziałaś, okazała się bandaną z logiem przedszkola. Z tym że nie tego, do którego chodziła dziewczynka, lecz „Pszczołki”.

- To jeszcze nie ostateczny dowód, że Kuśnierczyk miał z tym coś wspólnego. Równie dobrze mogła to być któraś z jego pracownic albo świrnięty woźny, jak w przypadku małej Marysi.

- Masz rację, to nie jest ostateczny dowód. Odkryliśmy jednak, że zarówno pięć lat temu, jak i teraz, wszystkie zaginięcia dotyczyły dzieci, które uczęszczały do placówek „Magnata”. Wtedy było ich mniej, bo tylko trzy, dziś jest dwa razy tyle. Jediną osobą z personelu, która pracowała dla Kuśnierczyka od początku, jest jego księgowa, pani Danuta, ale raczej ciężko mi wyobrazić ją sobie jako porywaczkę dzieci.

Wspomniałem ociekający słodyczą ton „Danusi” i jej prostolinijność; musisz przyznać rację Dawidowi, „kochanieńki”.

Parsknąłem śmiechem, co Benny odebrał jako moją odpowiedź na jego słowa.

- Tak czy inaczej, Kuśnierczyk jest w areszcie. W poniedziałek będzie przesłuchiwany.

- No tak, w tym kraju wymiar sprawiedliwości nie pracuje w niedzielę.

- Nie, to nie to. Na razie nie postawiono mu zarzutów, więc to ja będę prowadził przesłuchanie. Chcę to zrobić jak najszybciej.

- Dlaczego jeszcze tego nie zrobiłeś, skoro tak ci zależy na pośpiechu?

- Kiedy spróbowałem, rzucił mi najślynniejszy cytat wszystkich drugorzędnych seriali pseudokryminalnych: „nic nie powiem bez mojego adwokata”.

- Wygodne, nie ma co. Jaką masz pewność, że to on?

- Całkiem sporą, kiedy intensywnie o tym pomyślę. Na pierwszy rzut oka, gdy już człowiek zna fakty, wydaje się to oczywiste. Jednak samo to, że przez tyle lat nie zwróciliśmy na to uwagi, każe mi się zastanowić, czy to Kuśnierczyk jest geniuszem zbrodni, czy też może...

- ...to nie on - dokończyłem słowa mojego przyjaciela.

- Tak. Być może to nie on, a fakt, że dzieci znikają wyłącznie z jego placówek, jest czystym zbiegiem okoliczności. Było nie było, posiada ich najwięcej w Mieście.

- Pięć lat temu nie miał ich wcale tak dużo, a jednak dzieci znikają tylko z tych przedszkoli, których był właścicielem, tak?

- To właśnie utwierdza mnie w przekonaniu, że mamy winnego. Mam nadzieję, że uda się go przycisnąć i czegoś dowiedzieć.

- Dasz znać?

- No jasne - powiedział Dawid, podnosząc się z sofy. - Na mnie już czas, Tomasz. Żona mnie zabije, cały dzień nie dałem znaku życia.

- Postaraj się jej wytłumaczyć, że musisz dać mi znać odnośnie wyniku poniedziałkowego przesłuchania, zanim przywali ci wałkiem w głowę, okay? Powinna zrozumieć.

- Jaaasneeeeeeee - ziewnął przeciągle Benny. - A swoją drogą... gdzie Dorota?

- Noo, raczej nie tutaj? Co niby miałyby tu robić?

- Tomasz, wczoraj jej obecność tutaj wydawała ci się dość naturalna, nieprawdaż?

- Co masz na myśli?

- Przyjacielu, zbyt dobrze się znamy, żebyś musiał mi kręcić o takich sprawach. Przecież nie komentuję w żaden sposób. A gdybym już musiał, to uściskałbym cię z radości. To dobra dziewczyna. Ale teraz powiedz mi, gdzie jest.

- Pojechała dziś rano z Markiem do ich rodzinnego domu; ich ojciec nie mógł przyjechać tutaj z jakiegoś powodu, więc oni pojechali do niego.

- Ha, powód jest prosty, gość nie ma prawa jazdy. Tyle lat go o to pytam, a on mówi, że mu to kompletnie niepotrzebne.

- Nie zmieniaj tematu. Dlaczego pytasz o Dorotę?

- Widzisz... uważaj na nią. Ten seryjny...

- Mówisz o tym gwałcicielu? To już prawie celebryta...

- Fakt, rozhulał się nie na żarty. Dlatego uważaj na Dorotę. Wnioskując po urodzie jego poprzednich ofiar, młoda Lutowska jest dokładnie w jego typie.

- Jest coś jeszcze, prawda?

- Tak... mniej więcej godzinę temu znaleźli kolejne zwłoki. I to, kurwa, w tym samym kwadracie, co przedwczoraj, dosłownie ulicę dalej.

- Co robiła prewencja?

Dawid wzruszył ramionami. „Mnie pytasz?”

- Cholera wie. Jednak okolica domu ciotki Doroty nie jest zbyt bezpieczna w tej

chwili. Jeśli to możliwe... dobrze by było, żeby po powrocie od ojca została u ciebie przez jakiś czas.

- Ciekawe, jak wytłumaczy to matce, ciotce i bratu.

- Coś wymyśli. Posłuchaj mojej rady, Tomasz. Ten facet jest nieobliczalny. To naprawdę rekordzista. Jak tak dalej pójdzie, to przebije Bundy'ego. Gdybyśmy brali pod uwagę częstotliwość, to już by go przebił w kategorii „liczba trupów na tydzień”. Dobranoc, Tomaszu. Dam ci znać jutro wieczorem odnośnie wyniku przesłuchania.

- Dzięki. I wyświadczyć sobie i mnie drobną przysługę, co?

- Hmm?

- Wyśpij się. Wory pod oczami i mętne spojrzenie do ciebie nie pasują.

- Dzięki, stary. Trzymaj się. Dobranoc.

- Na razie, Dawid - odparłem, zamykając drzwi za przyjacielem.

Obyś miał rację co do Kuśnierczyka.

I obyś się mylił odnośnie tego popierdoleńca.

# ROZDZIAŁ XVI

## I

Było sobotnie popołudnie. Dorota siedziała w zalanym słońcem salonie rodzinnego domu, obserwując, jak ojciec krząta się w kuchni, kategorycznie odmawiając przyjęcia jakiegokolwiek pomocy. Teodor Lutowski był człowiekiem trzymającym się żelaznych zasad, nawet jeśli zmieniały się co dwie godziny, bądź były wymyślane na poczekaniu. Tak czy inaczej zawsze znalazła się jakaś reguła, której mógłby bezwzględnie przestrzegać.

Tego dnia honor nakazywał mu przyrządzić obiad dwójce swoich dzieci, z których jedno z nich dopiero co doszło do siebie po pobycie w szpitalu, a drugie i tak kochał bezwarunkową miłością ojca do córki, która doprowadza do szału matki oraz starszych synów.

- Jesteś pewien, że nie potrzebujesz pomocy, tato? - zawołała Dorota, z niepokojem obserwując dziki taniec ojca między garnkami.

Potrafił gotować, owszem, jednak potrzebował na to dużo czasu, skupienia i najlepiej osobnej planety, gdzie nikt nie patrzyłby mu na ręce.

Podobno to geniusze matematyczni są największymi ekscentrykami, jednak w przypadku ojca Marka i Doroty obowiązywało to przedziwne połączenie pozornego, dostojnego ułożenia pomieszanego z kompletnym nieogarnięciem. Potrafił wejść do pokoju i wyjść z niego, nie zabrawszy rzeczy, po którą wszedł, do tego stopnia uciekał myślami w sobie tylko znanych kierunkach. Z drugiej strony dysponował nieprzebranym zasobem anegdotek historycznych, zazwyczaj bardzo ciekawych, lecz Teodor Lutowski miał w naturze przedawkowywanie owych historii swoim słuchaczom.

Doskonale potrafili wykorzystać to studenci, którym wykładał; wystarczyło zadać pytanie na temat, który był jego „konikiem” (a było ich niezmiernie dużo), by do końca przepisowych dziewięćdziesięciu minut wykładu słuchać nieprzebranego potoku anegdot niezwiązanych z początkowym tematem zajęć płynących z ust nieco otyłego, lecz zawsze gustownie ubranego i skropionego drogimi perfumami profesora, z gęstą brodą okalającą twarz i okularami na nosie.

- To od czego cię oderwaliśmy swoim przyjazdem, tatusiu?

Marek, schodząc ze schodów, wyszczerzył zęby w uśmiechu do swojej siostry, podobnie jak ona obrzucając ojcowskie poczynania w kuchni baczny spojrzeniem.

- Nie oderwaliście mnie od niczego, zagłębiałem się tylko w moje notatki do referatu, nad którym pracuję.

- No wiesz, z naszej perspektywy wygląda to nieco inaczej...

Ojciec tylko zbył Marka niecierpliwym machnięciem drewnianej łyżki. Dorota spojrzała na stół przeniesiony z jadalni na środek salonu (pewnie z uwagi na lepsze oświetlenie i bliskość telewizora z serwisem informacyjnym), który cały zawałony był papierami, wycinkami z gazet i książkami, które swoje najlepsze lata miały jakieś pół wieku za sobą. Pośrodku tego pandemonium stał laptop z otwartym plikiem tekstowym, na którym kłębiły się napisane drobną czcionką literki.

- Może jutro wam o tym opowiem, jak skończę. No, gotowe - powiedział Teodor, ocierając wierzchem tłustawej dłoni spocone czoło, po czym odwrócił się do rodzeństwa z wyrazem tryumfu na brodatej twarzy. - No, możecie nakrywać do stołu, dzieciaki.

- TEGO stołu? - parsknął Marek.

- W zasadzie... możemy zjeść przy stoliku w kuchni, weźcie sobie krzesła - odparł nieco zakłopotany, drapiąc się w tył głowy. - Smacznego. Wasze ulubione dania, dzieci.

- Prawie jak w wigilię, tatusiu - powiedział do ojca Marek, omiatając wzrokiem półmiski stawiane na malutkim kuchennym stoliku.

- Bierzcie i jedzcie z tego wszyscy. No, Dorotko, wstawaj z kanapy i chodź do nas.

Kosztowali wszystkiego po trochu, jednocześnie odpowiadając na pytania ojca (Jak się czujesz, Marek? A ty, Dora? Co powiedzieli lekarze? Jak się miewa Dąbrowski? Itd.) i słuchając standardowego zestawu anegdot o ludziach, których istnienie odkrywał przed nimi dopiero ich ojciec (i o których pewnie każdy prócz niego zapomniał).

Nauczeni wieloletnim doświadczeniem puszczali anegdotki mimo uszu, traktując wywody ojca mniej więcej tak, jak w zwyczajnych rodzinach traktuje się puszczane w tle radio.

- ...jednak patrząc na to, o czym tak mówią w telewizji, powinienem przemyśleć temat moich następnych badań i zwrócić się w stronę historii

przestępstw seksualnych na przestrzeni dziejów, począwszy od narodzin kryminologii jako dziedziny naukowej.

- Co powiedziałaś? - spytała wyrwana nagle z odrętwienia Dorota.

- Nie mów mi, że nie słyszałaś, córeczko? Nasz kraj doczekał się swojego Teda Bundy'ego.

- Tak, wiem... Jego ostatnią ofiarę znaleziono niespełna dwie ulice od domu ciotki Beaty, wiesz?

Ojciec spojrzał na nią z przestrawieniem, a widelec z nałożonymi nań ziemniakami zatrzymał się w połowie drogi do ust.

- Ale nic mi nie jest, jak widzisz, tatusiu - dokończyła, widząc reakcję ojca.

- Widzę, jednakże życie nie zawsze raczy nas szczęśliwymi zakończeniami - powiedział, przełknąwszy porcję jedzenia. - Także uważaj na siebie, córeczko. Jesteś młoda, piękna, idealnie pasujesz do typu kobiet, które upodobał sobie ten bydlak.

- Dobrze, tatusiu, słowo harcerza - powiedziała Dorota, podnosząc w górę dwa palce, a drugą dłoń kładąc na sercu.

- Gdybyś chociaż kiedykolwiek była w harcerstwie - zaśmiał się Teodor i na tym temat się urwał, choć Marek nie zdradzał takiego samego optymizmu co jego siostra w tej kwestii.

Wieczór spędzili jak dużo innych rodzin: leniwie, w towarzystwie butelki piwa i sobotniego filmu nadawanego na komercyjnym kanale. Niemal nie dało się słyszeć lektora przez zgrzytanie zębami ojca Doroty i Marka (który w tym czasie mógł obejrzeć trzy serwisy informacyjne bądź napisać trzy strony swojego referatu), jednak Teodor wytrwał dzielnie przed telewizorem, sącząc piwo spokojnym tempem.

Dorota z ulgą przywitała swój pokój, swój komputer, a nade wszystko - swoje łóżko. Lubiała ciotkę, jednak w powiedzeniu „nie ma jak w domu” tkwi więcej niż tylko ziarno prawdy. Co swoje łóżko, to swoje łóżko (choć jakaś jej część, całkiem spora, znacznie bardziej wolałaby znów znaleźć się w łóżku pewnego detektywa).

Gdy się umyła i przebrała, położyła się, przykrywając się szczelnie kołdrą, ze wszystkich sił starając się stłumić narastającą frustrację rodzącą się chyba z tęsknoty za mężczyzną, z którym spędziła ostatnią noc, a który dał jej więcej przyjemności (nie tylko tej cielesnej), niż kiedykolwiek zaznała w życiu. Delikatny spazm niezaspokojonego podniecenia przebiegł przez jej ciało. Prychnęła zirytowana, obróciła się na drugi bok i choć wydawało się jej, że nie zaśnie jeszcze przez długi czas, usnęła niemal od razu.

Marek z pewną dozą niepokoju pchnął drzwi swojego pokoju, zapalił światło i nim wszedł do środka, dokładnie przebadał wzrokiem wszystkie widoczne zakamarki. Kiedy uznał, że jest bezpiecznie, ruszył w kierunku komputera, zamykając za sobą drzwi. Czuł się podobnie jak Dorota, jednak był mniej zmęczony pobytem u ciotki, gdyż był tam tylko dwa dni i jedną noc. Wcześniejszy tydzień miał wycięty z życiorysu, więc czuł się, jakby był w swoim pokoju zaledwie wczoraj, choć wiedział, że to tylko iluzja.

Ponowił maile do swoich znajomych z prośbą o znalezienie wszelkich możliwych informacji o Małgorzacie Kuśnierczyk, co obiecał Radziejowskiemu. Nie spodziewał się zbyt wiele, jednak gdyby nie rozesłał tych zapytań raz jeszcze, trwałby w poczuciu niespełnionego obowiązku. Był w tym bardzo podobny do ojca, lecz w przeciwieństwie do Teodora Lutowskiego jego zasady nie zmieniały się tak często jak nastroje kapryśnej kobiety.

Wyłączył komputer i po kąpieli położył się do łóżka, po raz pierwszy od bardzo dawna nie nastawiając budzików. Z reguły nie pozwalał sobie na późne wstawanie, nawet w dni wolne, lecz tym razem postanowił spać do oporu. Być może z czystego zmęczenia.

Być może po to, by odczarować swój pokój po wizycie upiora.

## II

Marek i Dorota wstali niemal o tej samej porze. Gdy zeszli na dół, zastali swojego ojca w salonie przy stole z jadalni, na którym piętrzył się jeszcze większy niż wczoraj stos wycinków i notatek. Teodor był tak pochłonięty pracą, że nawet nie zauważył swoich dzieci, schodzących na późne śniadanie lub wczesny obiad.

Była mniej więcej trzynasta.

- Jak ci idzie, tatku? - zagadnął ojca Marek, wrywając go z twórczego transu.

- O, widzę, że postanowiliście w końcu wstać z łóżek. Miałem dla was przygotowane śniadanie, ale skoro nie doczekałem się was przed dziesiątą, zjadłem je sam i zabrałem się do pracy. No, wiecie gdzie co jest, nie było was tylko tydzień. Ja wracam do swojego referatu.

Dorota w tym czasie już smarowała kanapki masłem orzechowym, po drodze nastawiając wodę na kawę. Nie pytała ojca, czy chce, po prostu mu ją zaparzyła; wiedziała z doświadczenia, że gdy ojciec pracuje, pochłania hektolitry kawy. Pomyślała o Tomaszu, którego też widziała na zmianę z kawą, papierosem lub

z jednym i drugim. Uśmiechnęła się w duchu do własnych wspomnień, stawiając na stole śniadanie dla siebie i brata.

Postawiła kawę na ostatnich wolnych centymetrach kwadratowych stołu, których jeszcze nie zdążył zarzucić papierami ojciec, i zerknęła mu przez ramię, próbując zobaczyć, nad czym pracuje. Ten odsunął ją stanowczym ruchem ręki, którą zamachał energicznie. W jego języku znaczyło to mniej więcej „idź precz, nieczysta siła przeszkadzająca mi w pracy”.

Dorota westchnęła zrezygnowana, pokręciła głową, po czym uznała, że dowie się tego później; nie interesowały jej nigdy za szczególnie eseje i referaty ojca, lecz tym razem musiało to być coś naprawdę dużego, gdyż nigdy nie widziała go ogarniętego aż takim zapałem, otoczonego aż taką ilością materiałów źródłowych, tym bardziej, że wyglądały zupełnie inaczej niż zwyczajowe, opasłe tomy, które z reguły służyły mu za pomoce naukowe.

Po śniadaniu poszli z Markiem na długi spacer, jak gdyby chcąc wykonać rytuał, który towarzyszył im od dnia, gdy Marek wyjechał na studia i widywali się tylko raz w tygodniu: śniadanie, potem długi spacer, niezależnie od pogody, a po wszystkim ciepła herbata, obowiązkowo biała z mandarynką.

Dorota widziała, że jej brat walczy ze sobą, żeby tylko nie spytać jej o noc spędzoną u Tomasza. Miał to wypisane na twarzy; nawet tak inteligentny człowiek jak on nie był w stanie wyzbyć się pierwotnego odruchu zazdrości o swoją siostrę. Była w stanie mu to wybaczyć, tym bardziej że przyczyna zazdrości była od jego siostry bagatela dwanaście lat starsza.

Udało mu się jednak zacisnąć zęby i przez cały spacer nie padło ani jedno pytanie o nią i o Tomasza. Zamiast tego rozmawiali o wszelkiego rodzaju pierdołach, jak to mieli w zwyczaju. Marek zapytał ją o książkę. Jak idzie? Dobrze. Był jej pierwszym czytelnikiem, recenzentem wszystkiego, co pisała, i jednocześnie najsurowszym krytykiem, lecz przyjmowała jego rady z wdzięcznością, wiedząc, że w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach ma rację. Zapewniła go, że dziś wieczorem popracuje jeszcze trochę nad pisaną opowieścią.

Kiedy wrócili do domu, ojciec zaskoczył ich, gdyż nie zastali go przemierzającego krainę Oz swojego referatu, lecz krzątającego się w kuchni, najwyraźniej przygotowującego obiad. Dorota rzuciła okiem na stół; nadal panował na nim ten sam bałagan, co przed ich wyjściem, jednak laptop był zamknięty, co mogło oznaczać tylko tyle, że ich ojciec zakończył pracę, a sądząc po jego wesołym pogwizdywaniu nad garnkami, był ze swojej pracy szczególnie



dumny.

- Dziś na obiad spaghetti, dzieci, co wy na to?

- Brzmi świetnie, tatusiu - odparła Dorota, podchodząc do ojca i całując go we włochaty policzek, co przyjął zdumionym, lecz ucieszonym wyrazem twarzy. - Skończyłeś, prawda?

- Prawda - nie potrafił ukryć dumy, bijącej mu z twarzy. - Największe z moich dzieł, jak do tej pory.

- Może czas na książkę? Po tylu latach pisania esejów mógłbyś w końcu wyprodukować coś dużego, tatusiu.

- Być może, być może... Czuję, że jestem gotowy, muszę tylko znaleźć tak lotny temat jak ten.

- A o czym jest ten referat? - spytał Marek, podchodząc bliżej.

- A skąd to wasze nagłe zainteresowanie moją pracą, co, dzieciaki?

- Po prostu widać, że to coś szczególnego - odparła Dorota.

- A jakże, jest szczególne. Mam zakontraktowane sympozja na pięciu uniwersytetach, jesteśmy w trakcie rozmów z kolejnymi sześcioma placówkami, do tego cykl wykładów na mojej uczelni...

- O czym? - przerwał mu syn.

- Oj, opowiem wam po obiedzie, nie teraz, mięso mi się zaraz przypali. Dobrze wiecie, jaki się robię, kiedy opowiadam o swojej pracy.

Cała trójka zaśmiała się. Wiedzieli.

Wesoły nastrój towarzyszył im podczas posiłku i po nim, kiedy usiedli na kanapie przed telewizorem, oglądając jeden z ulubionych teleturniejów ojca (w którym trzeba było wykazać się faktyczną wiedzą, głupie szczęście bądź duże cycki nie wystarczyły). Rodzeństwo z uśmiechem przyjmowało syknięcia ojca, gdy uczestnicy podawali błędną odpowiedź na pytanie, na które znał odpowiedź, i uważał ją za najbardziej oczywistą rzecz na świecie. Co chwila słychać było „na rany Chrystusa, co za skończony idiota” bądź „czy ktokolwiek sprawdza iloraz inteligencji tych ludzi, zanim ich przyjmą?” - litanii komentarzy nie było końca do momentu, w którym Dorota zasugerowała, że sam powinien się zgłosić do takiego programu. Odparł wyniosłym prychnięciem i umilkł na jakieś pięć minut, po czym wrócił do rzucania uszczypliwych uwag.

- No, to może teraz się w końcu podzielisz tą tajemnicą, której tak pilnie strzeżesz? - zapytał Marek ojca, gdy teleturniej dobiegł końca.

- Co masz na myśli?

- Jak to co? Temat twojego referatu, którego nie chcesz nam zdradzić od

wczoraj.

Choć chcieli się tego dowiedzieć, mimowolnie westchnęli na widok rozpromienionej twarzy ojca, który zdjął okulary, rozmasował oczy i założył je z powrotem; znak, że szykuje się do długiej opowieści. Potwierdzał to błogi uśmiech na jego twarzy; z taką miną świeżo upieczeni ojcowie opowiadają znajomym o konsystencji kupki swoich dzieci jak o najwspanialszej rzeczy, jaka mogła się im przydarzyć.

- Temat może nie jest zbyt przyjemny, lecz jest szalenie ciekawy.

- Mhm, nie wątpimy... - skomentował zgryźliwie Marek, lecz ojciec puścił jego uwagę mimo uszu.

- Pisałem referat o handlu dziećmi, od początków wieku XIX do czasów współczesnych. I kiedy wydawało mi się, że będzie to tylko kolejny esej o handlu ludźmi, jakich powstały już setki, natrafiłem na prawdziwą żyłę złota, a może raczej na Atlantyde, zapomnianą i pogrzebaną pod wodą, temat zapomniany przez moich znajomych kolegów, historyków.

- A mianowicie? - spytała Dorota, z rosnącym rozbawieniem obserwując narastającą ekscytację ojca.

- Prostyucja nieletnich i biznes, jakim była przez prawie dwieście lat. I jak się okazuje, jest do dziś.

- Mało przyjemny temat...

- Uprzedzałem. Jednak jest naprawdę szalenie ciekawy. Wiedzieliście, że aż do roku 1863 handel dziećmi w Anglii był postrzegany przez wyższe sfery jako coś naturalnego, jak handel niewolnikami? Tak naprawdę dopiero w późnym okresie wiktoriańskim „targi dziecięce”, jak je nazywano, zostały zdelegalizowane i surowo karane. Jak jednak łatwo się domyśleć, zejście do podziemia nie tylko nie ograniczyło skali problemu, lecz wręcz eskalowało go, wynosząc na zupełnie inny poziom. Organizowano wielkie wydarzenia, spraszano „elity” Europy tamtych czasów na wielkie licytacje w podziemiu, gdzie oprócz ekstremalnie rzadkich przedmiotów można było nabyć dziecko zależnie od upodobań; ba, niekiedy zdarzało się organizować dzieci konkretnych ras i narodowości na prośbę licytatorów. Ci, którzy nie chcieli zakupić dziecka, mogli po licytacji udać się do wydzielonych pomieszczeń i wybrać sobie ekhm... partnera bądź partnerkę. Oczywiście za sowitą opłatą.

- To obrzydliwe... Ludzie naprawdę robili takie rzeczy? - zapytała zde gustowana Dorota.

- Robili? Dorotko kochana, to się dzieje do dziś. Nazywamy pedofilami ojców

molestujących swoje córki, czy też matki obmacujące członki swoich kilkuletnich synków. Mówimy „pedofil” na starszego pana, którego pociągają niepełnoletnie dziewczyny, lecz istnieje cały podziemny świat, o którego istnieniu nie mamy pojęcia, w którym pedofilia jest niczym więcej jak tylko kolejnym upodobaniem seksualnym, a gdzie jest popyt, tam jest i podaż. Światło dzienne w tym zakresie ujrzała chyba tylko pornografia dziecięca, najmniej subtelna z form pedofilii, lecz ów półświatek sięga znacznie głębiej, oj znacznie głębiej.

- Na przykład?

- Spójrzcie... o, tutaj - powiedział Teodor, skrajnie już podekscytowany, zrywając się i sięgając do swoich notatek, wyszarpując jedną z nich, i pokazując rodzeństwu. - Początek XX wieku. Pewien serbski szlachcic na jednej z „aukcji” w Paryżu zakupił trójkę dzieci: dwie dziewczynki dla siebie i chłopca dla swojej żony. Dzieci dostały u niego wikt i opierunek, na co dzień pracowały przy utrzymywaniu ich willi w czystości, przy okazji służąc za podmioty seksualne swoim panom, gdy tych ostatnich nachodziła ochota na szczególne zabawy. Podobno tej konkretnej parze zdarzało się nawet zapraszać te dzieci do swojego małżeńskiego łóżka, jako element zaspokajania swoich szczególnie wyuzdanych fantazji.

- Orgie z małymi dziećmi? Co za potwory... - Dorota w dalszym ciągu nie kryła obrzydzenia.

- To było na porządku dziennym, Dorotko. Dzieci nielegalnych imigrantów, dzieci z domów dziecka, dzieci porywane od swoich rodziców; te, które nie miały szczęścia, trafiały na takie właśnie „aukcje”, bądź jeszcze gorzej, zamiast trafić pod czyjeś dachy, nieważne w jak perwersyjnym celu, zmuszane były do regularnej prostytucji, w tym także do uczestnictwa w zbiorowych, pedofilskich orgiach. Poczekajcie, mam gdzieś tutaj nawet starą fotografię jednej z takich orgii, moment, gdzie ja to...

- Oszczędź nam, tatku - przerwał jego poszukiwania Marek. - I chcesz mi powiedzieć, że takie rzeczy dzieją się do dziś?

- O tak. Skala jest o wiele mniejsza, ponieważ coraz trudniej dziś o prywatność takiego przedsięwzięcia, a sankcje stały się prawdziwie groźne, jednak to wciąż się dzieje, na całym świecie. Wydaje się nam, że jesteśmy tak cywilizowanym światem, że w dobie Internetu, telewizji i samospłukujących się toalet staliśmy się „czymś więcej”, jednak w istocie niewiele różnimy się od zwierząt, a pod wieloma względami upadamy niżej niż chociażby nasi starożytni przodkowie. U nich seksualne orgie były czymś zwyczajnym, podobnie jak biseksualizm, jednak nie

istnieje ani jedno pisane świadectwo niezdrowego zainteresowania dziećmi.

- Czy u nas też zdarzały się tego typu „aukcje”?

- Z tego, co mi wiadomo, nie. Za to dzieci z naszego kraju niestety bardzo często padały ofiarą tego półświatka. Wywożone za granicę, porywane, często zwyczajnie sprzedawane, były wystawiane na „aukcjach” bądź zmuszane do regularnej prostytucji. Ostatnia, bardzo głośna sprawa tego typu wyciekła do mediów jakieś piętnaście lat temu.

- Nic o tym nie słyszałem, dlaczego? - zapytał Marek.

- Bo byłeś jeszcze dzieckiem, poza tym nasze media wolą pożywiać się tanią sensacją i polityką; ten temat bardzo szybko stał się dla nich padliną - przeżuli, wypluli, a po dwóch tygodniach sprawa umarła śmiercią naturalną w oczach publiki. Zapewne to samo stanie się z bieżącą sprawą seryjnych gwałtów. To samo stało się z „rzezią niewiniątek”, być może słyszeliście o tej sprawie? Miała miejsce jakieś pięć, sześć lat temu...

Dorota i Marek spojrzeli na siebie wymownie, jednak żadne nie odpowiedziało ojcu, nie przerywając jego monologu.

- Tak czy inaczej - podjął dalej wykład ich ojciec - niemiecka policja rozbiła grupę przestępczą trudniącą się handlem dziećmi i prostytuowaniem ich. Trafili w sam raz na jedną z „aukcji” w co tu dużo mówić... burdelu, więc oprócz samych przestępców ujęto też ich klientów. Nie podano nazwisk, jednak udało mi się ustalić, że byli to sami bogaci, wpływowi ludzie: biznesmeni, politycy, podobno trafiło się nawet dwóch biskupów. Wszystkie dzieci, które policja tam odnalazła, okazały się być z zagranicy, większość od nas. Poczekajcie, mam tu gdzieś nawet artykuł...

Tym razem przerwienie stosu papierów zajęło mu nieco więcej czasu, lecz odnalazł to, czego szukał z i tak zaskakującą szybkością, biorąc pod uwagę ilość makulatury piętrzącą się na stole.

- Proszę, możecie przeczytać. Widzicie tę dziewczynę, o tu, na zdjęciu? Miała niecałe piętnaście lat, z czego dziesięć spędziła w tamtym piekle. Ponoć była już tak zgorzkniała, że gdy dziennikarz zapytał ją, co czuje po takim czasie, wzruszyła tylko ramionami i powiedziała, że i tak niedługo by ją wyrzucili, bo dzieci, które skończyły piętnaście lat, już się nie nadawały, nikt ich nie chciał. Podobno ją i tak trzymali długo, bo była drobnej budowy ciała; zazwyczaj dziewczyny wyrzucali, gdy tylko zaczęły im rosnać piersi.

Dorota jednak słuchała ojca już tylko jednym uchem, onemiała wpatrywała się w fotografię dziewczyny. Wyrwała gazetę ojcu z rąk.

- Co...

- Marek, spójrz...

Brat przysunął się bliżej Doroty i również na moment odebrało mu mowę. Spojrzał na siostrę, a w jej oczach zobaczył śmiertelną powagę, pomieszana ze skrajnym zaskoczeniem.

- Naprawdę myślisz, że to...

- Tak, Marek. Dałabym sobie za to uciąć rękę, przysięgam. A ty nie?

- Jeszcze nie jestem aż tak pewny, ale... oczom nie wierzę, ta dziewczyna naprawdę wygląda jak...

- Tak. Jak Małgorzata Kuśnierczyk.

Rzuciła gazetę na kanapę, a sama zerwała się i pobiegła na górę do swojego telefonu. Marek krzyknął za nią:

- Hej! Gdzie tak pędzisz?

Ta przystanęła na schodach i obejrzała się, patrząc nieco zdziwionym wzrokiem na brata.

- Muszę zadzwonić do Tomasza. Muszę mu o tym powiedzieć.

I wbiegła po schodach na górę.

### III

Marek pognał za nią, przeskakując po dwa stopnie naraz. Zaklął głośno, kiedy u szczytu schodów jego stopa trafiła w przerwę między stopniami, o mało nie ulegając skręceniu, jednak zdrowe „o ja pierdołę, kurwa mać”, choć nie nadawało się do publicznego użytku, w tego typu sytuacjach zdawało się działać lepiej niż jakiegokolwiek lekarstwo na ból.

Dorota krążyła nerwowo po pokoju, wędrując od łóżka do biurka i z powrotem, trzymając w dłoni telefon, raz po raz przykładając go do ucha, by po chwili go od niego odjąć, prychnając zniecierpliwiona.

- Nie odbiera?

- Nie, a próbowałam już trzy razy.

- Może jest zajęty? Albo zostawił telefon w domu?

Dorota skwitowała to niezadowolonym milczeniem. Płonęła z irytacji faktem, że nie może powiedzieć Tomaszowi o tym, co zobaczyła. Marek mógł nie zdawać sobie z tego sprawy, lecz ona czuła, że to, na co tak przedziwnym zbiegiem okoliczności trafiła, może okazać się jedną z najbardziej istotnych informacji, jaką

otrzymali w przeciągu tych kilku pokręconych dni. Musiała mu powiedzieć. Po prostu musiała. Teraz. Zaraz.

- Marek, wracamy do Miasta.

- Co, już? Dorota, jestem pewien, że to może po...

- Nie, nie może poczekać! - uniosła głos Dorota. - Przepraszam. Marek, uwierz mi, to naprawdę nie może czekać. To... to może być coś naprawdę ważnego, czuję to. Proszę... musimy wracać.

- A co powiesz ojcu?

- Coś wymyślę. To jak, zawieziesz mnie?

- Niech ci będzie - wzruszył ramionami Marek.

Jego siostra często bywała nieustępliwa, lecz wiedział, że nigdy nie robi tego bez powodu, a skoro teraz stawia sprawę w ten sposób, istotnie musi to być coś ważnego.

- Dziękuję, braciszku!

Dorota ucałowała brata w policzek, co ten przyjął tylko delikatnym półuśmiechem, po czym wyszedł do swojego pokoju spakować rzeczy, a ona zeszła na dół, chcąc jak najdelikatniej przekazać ojcu, że zaraz wyjeżdżają.

- Tatku, mogę skserować ten artykuł?

- Ten o rozbiciu szajki w Niemczech? Tak, oczywiście, ale po co ci to?

- Widzisz, jeden z moich znajomych w Mieście pisze akurat pracę magisterską na temat przestępczości zorganizowanej, pomyślałam, że przestępczości tego rodzaju na pewno nie brał pod uwagę, a może to uczynić jego pracę bardziej wyjątkową. Skseruję mu to i pojedziemy jeszcze dziś z Markiem do Miasta, żeby mu to przekazać.

- Nie możesz mu tego wysłać mailem? - zapytał zdziwiony ojciec. - Skąd ten pośpiech?

- Nie, bo widzisz tatku, on dziś pracuje, a jutro wyjeżdża z samego rana. Tak czy inaczej chcieliśmy jechać się z nim zobaczyć, a skoro dodatkowo mogę mu zawieźć coś do jego pracy, tym szybciej powinniśmy pojechać.

Dorota w duchu parsknęła śmiechem. Nigdy nie była dobra w mówieniu nieprawdy; zawsze zdradzały ją wykwitające na twarzy rumieńce. Tym razem jednak wymyśliła bajeczkę, której nie powstydzilby się nawet kompulsywny kłamca (choć wariograf pokazałby istny przekrój dna morskiego na wykresie, tak bardzo szalał jej układ krwionośny, gdy to mówiła).

- No dobrze, dobrze, skoro musicie dziś jechać, to jedźcie. Tylko nie narzucajcie się ciotce zbyt długo, bo później stwierdzi, że musi do nas przyjechać

na tak samo długi okres.

- Tato - powiedziała karcąco Dorota.

Ojciec nie do końca dogadywał się z ciotką Beatą. Prawdopodobnie dlatego, że nie potrafił zrozumieć, jak ktoś z jej wykształceniem mógł poświęcić życie sprzedawaniu ciętych kwiatów. „Po to zrobiłaś doktorat, żeby robić bukiety z zieleniny?!“ - niemal krzyczał Teodor do Beaty podczas jej ostatniej wizyty w domu Lutowskich, podczas której jak zwykle nie został pominięty główny punkt programu: scysja między ciotką i ojcem. A ponoć wyższe wykształcenie zobowiązuje.

- No dobrze, dobrze - powtórzył ojciec. - Tylko zadzwońcie, jak już dojedziecie.

- Jasne, tatku. To ja lecę to skserować w twoim gabinecie i będziemy się zbierać.

Poszła do gabinetu ojca - obszernego pokoju, z obszarym eko-skórą krzesłem na środku przy pięknym, dębowym biurku, z setkami książek stojącymi na półkach szczelnie okrywających ściany - i skopiowała całość artykułu, a na osobnej kartce dodatkowo powiększone zdjęcie dziewczyny, która - jak sądziła Dorota - była Małgorzatą Kuśnierczyk. Na pewno nią była. Dorota nie mogła oderwać od niej wzroku. Z całą pewnością nie z powodu urody; dziewczyna na fotografii była co najwyżej przeciętna, niemal bez biustu, o krótkich włosach i ostrych rysach twarzy. Mimo tego nawet przez czarno-białą fotografię przebijał chłód jej spojrzenia i nieludzka wręcz obojętność wyraźnie widoczna w jej postawie.

Wzdrygnęła się mimo woli. Nie była w stanie sobie wyobrazić, co musiała przeżyć ta dziewczyna, będąc przez dziesięć lat skazaną na życie w miejscu, gdzie Bóg jeden wie, jak często była wykorzystywana przez obleśnych, starych facetów i złąknione perwersji kobiety.

Znów poczuła zimny dreszcz przebiegający przez rdzeń jej istnienia. Na świecie jest tyle zła... - pomyślała, jednocześnie parskając, gdy zdała sobie sprawę, jaki banał właśnie urodził się w jej głowie.

Może i było to banalne, jednak ostatni tydzień pokazał jej bardziej niż kiedykolwiek, jak wiele zła jest wokół.

Nawet gdy nasze oczy są zamknięte, świat jest pełen cudzego cierpienia.

Pomyślała o tych wszystkich dzieciach, które zginęły pięć lat temu. O dzieciach, które straciły życie w przeciągu kilku ostatnich dni. O pięknych, młodych dziewczynach, które zostały brutalnie odarte z godności, a następnie zamordowane przez szaleńca zaspokajającego w ten sposób swoje najbardziej pierwotne potrzeby.

O tak, świat bywa kurewsko niedobry.

- Dorota, idziesz? - zawołał Marek, który już zdążył zanieść swoje bagaże do auta.

- Tak, daj mi tylko moment, nich się spakuję - odparła, wciąż nieco otumaniona własnymi przemyśleniami.

- Tylko niech nie trwa to dłużej niż te parę dni, na które tam jedziemy, dobrze?

- Przeszabawne. Zaraz będę.

- Trzymam za słowo - Marek puścił oko do siostry i wyszedł na zewnątrz, by zapalić przez odjazdem.

## IV

Dorota dotrzymała słowa i już dziesięć minut później siedzieli w wysłużonej Hondzie Civic, rocznik 1991, mknąc w stronę Miasta. Marek uwielbiał ten samochód. Był stary, owszem, jednak miał coś, czego nie miało w sobie dziewięćdziesiąt dziewięć procent współczesnych aut - tożsamość.

Być może nawet duszę.

Starając się w miarę możliwości nie zwalniać poniżej dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę, jechali drogą ekspresową numer 9, mając przed sobą niecałe dwie godziny drogi. Niby niedaleko, lecz gdyby ktoś chciał przebyć ten dystans komunikacją publiczną, zajęłoby mu to około trzech (rozklekotanym, zalatującym stęchlizną autobusem) lub czterech (pociągiem z przesiadką) niezbyt przyjemnych godzin.

Marek na szczęście wyposażył swoją Hondę w moduł klimatyzacji automatycznej, dzięki czemu przeżyli podróż, nie gotując się na parze uchodzącej z ich własnych ciał pod wpływem rozbijającego gorąca i duchoty, która panowała na zewnątrz.

- Będzie burza... - mruknął Marek.

- Sprawdźmy - odparła mu siostra, włączając radio. - Ha! Szczęście głupiego, akurat kończą wiadomości, zaraz będzie pogoda.

Oboje roześmiali się w głos, po czym zamilkli, przysłuchując się ostatnim słowom redaktora prowadzącego serwis informacyjny i pierwszym słowom pogodyнки.

„To już wszystko w dzisiejszych wiadomościach o osiemnastej. Zapraszam jeszcze na prognozę pogody, którą przedstawi państwu Dagmara Smagły”.



Zastygli w oczekiwaniu, spoglądając po sobie w ten charakterystyczny dla dwóch znających się na wylot osób sposób; gdyby ktoś zobaczył to spojrzenie, nawet by nie wpadł, że dochodzi tam do wymiany zdań na poziomie podświadomości, o której nawet sami rozmówcy nie mają pojęcia, a jednak się rozumieją.

„Do naszego regionu zbliża się fala upałów, mająca potrwać do końca czerwca. Jednak nim to nastąpi, synoptycy ostrzegają przed zbliżającą się dziś burzą i obfitymi opadami deszczu, z powodu nadciągającego do nas frontu atmosferycznego znad Morza Północnego...”

- Ha! A nie mówiłem? - powiedział przekornie Marek, co Dorota skwitowała tylko wymownym wzruszeniem ramion, gestem, który w wydaniu rodzeństwa był niemal identyczny.

„...Powinny jednak ustać najpóźniej we wtorek, po czym przywita nas, podobna do tej z początku maja, fala upałów”.

- Weź to wyłącz, ta laska ma tak słodki głosik, że aż nie mogę jej słuchać

- Przecież przyznała ci rację, jak możesz tak o niej mówić - zadrwiła Dorota, ale w duchu zgadzała się z Markiem, więc przełączyła na stację grającą muzykę może nie do końca w jej guście, ale przynajmniej wystrzegającą się popowej papki, okupującej zdecydowaną większość rozgłośni radiowych.

Do Miasta zostało im jeszcze pół godziny drogi. Siedzieli w milczeniu, słuchając radia, każde zatopione w swoich myślach. Nagle Marek zadał Dorocie wyrwane z kontekstu pytanie, które dręczyło go od dwóch dni, lecz bał się je zadać.

- Był dla ciebie dobry?

- Co? - spytała zląknięta nagle Dorota.

- Wiem, może nie powinno mnie to obchodzić, ale jesteś moją małą siostrzyczką, po prostu staram się o ciebie dbać. Czy Tomasz... był dla ciebie dobry? Nie zaprzeczaj, wiem, że spałaś u niego co najmniej dwukrotnie.

Cierpliwie pozwolił siostrze zebrać myśli i ochłonąć trochę po tym niespodziewanym pytaniu. Marek naprawdę miał na myśli to, o co pytał. Jego siostra nigdy nie przejawiała szczególnego zainteresowania płcią przeciwną, kiedyś nawet zastanawiał się, czy jego siostra nie ma aby odmiennych upodobań, jednak z biegiem czasu zrozumiał, że po prostu nie spotkała jeszcze na swojej drodze nikogo, kto zdołałby ją zainteresować, tym samym przełamując jej lęk przed zbliżeniem się emocjonalnie z drugą osobą.

- Wiesz, że nie pytam cię o to, żeby prawić ci kazania. Chcę tylko wiedzieć,

czy...

- Tak, Marek. Był dla mnie dobry. Wiesz... nie mam dużego doświadczenia. Tak naprawdę... nie miałam żadnego, w kontaktach z mężczyznami - przyznała zawstydzona. - Ale wiem, że nigdy nie czułam się tak dobrze, jak ostatniej nocy, naprawdę.

- Czyli mogę być spokojny?

- Tak, możesz być spokojny.

Kolejna pauza.

- Lubisz go, prawda?

- Wiesz, nie wylądowałabym z nim w łóżku, gdybym czegoś do niego nie czuła - Dorota spojrzała z ukosa na brata.

- On czuje tak samo. Już pierwszego dnia, gdy przyszliście do szpitala, widziałem, w jaki sposób na ciebie patrzy. Z początku byłem nieco nieufny wobec jego intencji, jednak spędziliśmy razem parę dni i...

- Tomasz nie jest takim mężczyzną, Marek. Tak, znamy się krótko, bardzo krótko, jednak jestem święcie przekonana, że Tomasz nie jest mężczyzną, który kobiety traktuje jak produkty jednorazowego użytku - „wydymać i wyrzucić”, jak mawiała Martyna. Ona... Marek, jak ja chciałabym jej o nim opowiedzieć.

I zanim zdążyła je powstrzymać, łzy popłynęły po jej policzkach, a pustkę po stracie najlepszej przyjaciółki zakryła kurtyna żalu i smutku. Tak bardzo brakowało Dorocie rozmów z nią, tak bardzo brakowało jej ciepłego głosu, jej otwartości, wesołości... Martyna była lepszą częścią jej samej, tą otwartą, radosną częścią jej natury, którą sama w Dorocie zaszczepiła już w chwili, kiedy spotkały się po raz pierwszy.

Marek, wciąż patrząc przed siebie, wyciągnął prawą rękę i pogładził siostrę delikatnie po długich blond włosach. Nie umiał znaleźć słów, które byłyby w stanie przynieść jej pociechę, miał więc nadzieję, że taki prosty gest wystarczająco wyrazi jego wsparcie dla niej. Sam czuł, jak smutek ściska mu gardło, a oczy wyraźnie wilgotnieją, jednak nie poddał się temu atakowi. Musiał być silny, żeby jego siostra miała się na kim oprzeć, kiedy jej samej zabraknie sił, jak teraz.

- Prze... przepraszam. Zupełnie się rozkleiłam. Ja... myślałam, że już się z tym pogodziłam, że już pozwoliłam jej odejść, a jednak... nie potrafię, nie mogę przestać o tym myśleć, myśleć, jak bardzo mi jej brak, jak bardzo chciałabym znów usłyszeć jej głos... To jest takie niesprawiedliwe, dlaczego ona musiała umrzeć? I to z tak idiotycznego powodu? Dlaczego?

- To jest jedno z tych pytań, siostrzyczko, na które nie ma odpowiedzi. Możemy się tylko pogodzić ze stratą i czcić pamięć zmarłych, pielęgnując swoje wspomnienia o nich najlepiej, jak potrafimy. Wiesz... mi też jej brakuje. Dopóki nie przeczytałem tych listów, nie miałem o tym pojęcia, ale... wiesz, ja chyba też się w niej podkochiwałem. Mój Boże, jaki ona miała głos...

- Bogini seksu, co nie? - zaśmiała się przez łzy Dorota.

- Nie chciałem mówić tego na głos, żeby nie wyjść na jakiegoś napaleńca - odparł Marek, również się śmiejąc. - Mi też jej brak, Dora, naprawdę. Ale nie przywrócimy życia zmarłym, płacząc po nich.

- Trudno nie płakać, braciszku...

- Wszystko będzie dobrze, zobaczysz - powiedział do niej, uspokajająco gładząc ją po twarzy, po czym, upewniwszy się, że nic nie jedzie z naprzeciwka, wychylił się i ucałował czoło siostry.

Dorota spojrzała na niego z wdzięcznością i położyła dłoń na jego ramieniu.

- Zaraz będziemy, prawda?

- Tak, jeszcze jakieś dziesięć minut. Jedziemy do ciotki czy od razu do Tomasza?

- Do Tomasza. Stamtąd zadzwonimy do ciotki, że dzisiaj przyjedziemy, ale nie wiemy o której.

- No tak, przecież takie dziś korki, trasa może się wydłużyć - mrugnął do siostry Marek, patrząc na pustą drogę przed i za sobą.

- No oczywiście - potaknęła ze śmiertelną powagą Dorota.

Powaga utrzymała się jakieś trzy sekundy, po czym wewnątrz Hondy rozbrzmiało salwą śmiechu, tłumiącą wcześniejsze łzy.

## V

Gdy Marek zapukał w drzwi mieszkania Tomasza przy Sosnowej, na zewnątrz niebo stopniowo ciemniało, barwiąc się kolorami zachodu słońca. Nikt nie otwierał.

Spróbował jeszcze raz. Odczekał chwilę i znowu nic.

- Może jest w biurze?

- Tak, chodźmy sprawdzić.

Dorota jeszcze raz, dla pewności, zastukała w drzwi. Spróbowała też zadzwonić do Tomasza, jednak tym razem w ogóle nie udało się jej uzyskać

połączenia. Schowała telefon do torebki i wraz z bratem zeszła na dół.

Kiedy wyszli z klatki schodowej na podwórze, przez bramę akurat wtaczała się czarna Kia Sportage. Detektyw zauważył stojące przy wejściu rodzeństwo i omiół je zdziwionym spojrzeniem, po czym zaparkował i pospiesznie wysiadł z auta.

- A co wy tu robicie? Nie jechaliście aby do domu?

Dorota poczuła rozlewające się pod mostkiem ciepło na widok Radziejowskiego, który pomimo zdziwienia nie potrafił powstrzymać uśmiechu, najwyraźniej na jej widok. Częstka jej chciała się mu rzucić na szyję, lecz druga, ostrożna część jej natury nie wiedziała, czy może sobie na to pozwolić. Ograniczyła się więc tylko do pomachania ręką na przywitanie.

- A co ty robisz z telefonem? Od trzech godzin próbuję się do ciebie dodzwonić.

- Przepraszam, byłem na komisariacie złożyć zeznania odnośnie wczorajszego dnia, zapomniałem telefonu z domu, pewnie już dawno się rozładował.

- Tak, nie łączy się. Ale, Tomasz... jakie zeznania? Co się wczoraj stało?

- Chodźcie do środka, to wam opowiem. Przy okazji możecie mi powiedzieć, co was do mnie sprowadza? - zapytał, ściskając dłoń Marka.

- Ty pierwszy, jak wejdziemy do środka.

- Niech tak będzie, chodźcie.

Poszli za detektywem do mieszkania, gdzie usiedli na tych samych miejscach, co dwa dni wcześniej, a Tomasz w międzyczasie wstawiał wodę na kawę.

Dorocie przemknęło przez myśl, że przecież wciąż ma tutaj swoje rzeczy i chyba powinna je zabrać. Na samą myśl przekuło ją dziwne uczucie żalu. Chyba nie chciała opuszczać tego miejsca i tego człowieka.

Jakby słysząc jej myśli, Tomasz spojrzał na nią z aneksu kuchennego wzrokiem mówiącym „ja ci dam zabieranie rzeczy”. Może tylko jej się wydawało, ale z pewnością jego wzrok zadziałał krzepiąco.

Krótką chwilę później siedzieli już przy stoliku przed telewizorem, który Tomasz włączył na jakiś kanał przyrodniczy, ot tak, dla tła.

- No więc co was do mnie sprowadza, co? Myślałem, że pojechaliście do ojca?

- Tak, byliśmy tam dwa dni, ale potem... zresztą, o tym za chwilę. To ty miałeś nam najpierw opowiedzieć, co stało się wczoraj - upomniała go Dorota.

- Oj, no dobrze, dobrze. Ale potem macie mi powiedzieć. Widzę, że to coś ważnego.

- Za chwilę. Opowiadaj.

- Może zacznę od końca. Dawid aresztował wczoraj wieczorem Arkadiusza

Kuśnierczyka.

- Więc to on jest odpowiedzialny za te wszystkie zniknięcia?

- Wszystko na to wskazuje... To tylko dowody poszlakowe, a jednak pozostaje faktem, że wszystkie zaginione dzieci uczęszczały do placówek, których był dyrektorem. Nie tylko teraz... Wtedy, pięć lat temu, większość dzieci też ginęła z jego przedszkoli. Co więcej, policja znalazła też dowód rzeczowy, wiążący go z obecnymi porwaniami, ale do tego dojdę za chwilę.

- Jaki dowód? - spytał zaciekawiony Marek.

- Jak mówię, dojdę do tego za chwilę. Poszedłem wczoraj w południe na spacer do Lasku Południowego. Nie wiem, co mnie tam zaciągnęło, niemniej jednak pomyślałem, że warto pójść w tamtą stronę. W pewnej chwili wpadło mi do głowy, żeby pójść zobaczyć kapliczkę, przy której znaleźliśmy zwłoki tych wszystkich dzieci pięć lat temu.

- Po co tam poszedłeś?

- Sam nie wiem. Nie pytajcie mnie o to, ale czułem... jakby coś mnie tam przyciągało. Nie wiem, naprawdę.

- I co się stało?

- Chciałem tylko rzucić okiem, ale coś nakazało mi podejść bliżej. Nawet podszedłem do drzwi i o dziwo były otwarte. Jako że ostatnio mam „szczęście” do dzieci, w środku też czekało na mnie jedno... jednak tym razem żywe, tak dla odmiany.

- Jak to? - zapytała zdumiona Dorota.

- Tak po prostu - odparł Tomasz tonem człowieka, który na swojej drodze napotyka tyle nieszczęść, że jedno więcej nie robi na nim żadnego wrażenia. - Leżała w rogu kaplicy, związana i zakneblowana. Policji udało się ustalić, że spędziła tam całą noc. Bez jedzenia i picia.

- To okropne...

- Nie przeczę. Dziewczynka jest w takim szoku, że w dalszym ciągu nie powiedziała ani słowa. Nie wiemy, kto ją porwał i przetrzymywał w tamtym miejscu. Lekarze oczywiście rzucili swoje zdanie o „tymczasowej amnezji spowodowanej szokiem” i tego typu pierdołach, jednak nie pomaga nam to ani odrobinę. Potrzebujemy to wiedzieć teraz, a nie za „tymczas”.

- Policja uznała, że Kuśnierczyk ma z tym coś wspólnego?

- Pośrednio tak - potaknął Tomasz. - Widzicie, jak się okazało, szmata, którą zakneblowano usta tej małej, była chustką z „Pszczółki”, przedszkola Kuśnierczyka.

- Stamtąd ją porwano? Znów „Pszczołka”?

- No właśnie nie. To dało policji ostateczny w ich mniemaniu dowód, że to on jest za to wszystko odpowiedzialny. Dziewczynkę porwano spod przedszkola „Biedronka”. Cholera... czy macie coś przeciwko, jeśli zapalę?

Wzruszyli ramionami na znak, że nie będzie im to przeszkadzać. Marek długo patrzył na detektywa, gdy ten opowiadał im wydarzenia z poprzedniego dnia, a w końcu zadał mu pytanie, które rodziło się mu z tyłu głowy:

- Nie uważasz, że Kuśnierczyk jest winny, prawda?

Tomasz zaciągnął się głęboko papierosem, po czym wypuścił całkiem zgrabny słup dymu pod sufit. Strzepnął popiół do popielniczki i odpowiedział:

- Nie. Nie wierzę w to ani trochę.

- Dlaczego? - zapytała Dorota.

- Bo to zbyt oczywiste, nie uważasz? Tytułujący się „Magnatem” właściciel sieci przedszkoli porywa własnych podopiecznych? To pierwsza rzecz, która się nie zgadza. Kolejna jest taka, że gdyby faktycznie chciał to zrobić, miał milion bezpieczniejszych opcji niż porywanie dzieci praktycznie spod drzwi placówek. Po trzecie i ostatnie... Kuśnierczyk, którego poznałem parę dni temu, wydaje mi się kompletną pierdołą. Nie byłby w stanie zrobić czegoś takiego.

- Wiesz... to mogą być tylko pozory. Sam wiesz, jak niewiele potrzeba człowiekowi...

- Tak, wiem. Jednak w tym przypadku nie wierzę, że ktoś o tak prostolinijnej powierzchowności jak Arkadiusz Kuśnierczyk może skrywać w sobie cokolwiek więcej niż to, co okazuje na zewnątrz. Nie mnie to jednak oceniać. Dawid powiedział, że będą go przesłuchiwać dopiero jutro, bo odmówił składania zeznań bez adwokata. Swoją drogą, bardzo dobrze zrobił. Prokurator nie zostawiłaby na nim suchej nitki, uwierzcie mi, pracowała z nami przy „rzezi”. Z taką suką jeszcze nie pracowałem, ale muszę jej oddać jedno: wykonuje swoje obowiązki z sumiennością, jakiej brak większości prokuratorów.

- Pomijając to wszystko - podjął Marek - pozostaje pytanie, co to dziecko robiło w kapliczce? I jakim cudem, do cholery, ta kapliczka była otwarta? Powinna była być zamknięta na cztery spusty po tym wszystkim, co się tam wydarzyło, jeśli nie zburzona.

- Heh, wiesz, z tym wyburzeniem to jest śmieszna sprawa. Ogólnie jest to zabawne, bo po „rzezi niewiniątek” nie wymieniono nawet zamka w drzwiach. Spróbujcie zgadnąć, dlaczego.

Odpowiedziało mu milczenie, wobec tego Radziejowski dokończył sam:

- Konserwator zabytków zabronił dotykać tej budowli. Co więcej, teren przedwojennego cmentarza, na którym stoi kapliczka, nie należy do Miasta.

- A do kogo?

- Tu kolejna zabawna rzecz: nie wiadomo. Ale zostawmy już te biurokratyczne kurioza. Bardzo długo o tym myślałem i nasunął mi się tylko jeden wniosek, sugerujący, jakim cudem kapliczka była otwarta.

- Ktoś musiał mieć klucz, prawda? - zapytał cicho Marek.

- Prawda - potaknął Tomasz. - Wtedy, pięć lat temu, gdy policja już posprzątała miejsce zbrodni, ślusarz dorobił klucz do zamka, którym zamknięto kapliczkę. Z tego, co pamiętam, powieszono tam też tabliczkę „zakaz wstępu”, ale najwyraźniej niewiele sobie z niej robiono. Nawet nie wiem, czy przetrwała więcej niż rok od założenia. Jediną osobą prócz policjanta, który jakimś cudem zdołałby odnaleźć klucz w odmetach magazynu z dowodami, mogła być ta sama osoba, która otworzyła drzwi kapliczki pięć lat temu. Ta sama osoba, która uczestniczyła w ten czy inny sposób w „rzezi”.

- Więc... - zawahała się Dorota - w końcu mamy związek. Niezaprzeczalny dowód na to, że to nie jest iluzja. To dzieje się znowu, lecz tym razem w inny sposób, na inną skalę.

- Z początku nie byłem pewien... lecz coś tknęło mnie dziś po południu i zanim pojechałem na komendę składać zeznania, zaszedłem do parku. Chciałem obejrzeć zamek. To bardzo stara konstrukcja, nie dałoby się jej ot tak wyważyć łomem jak na filmach. Nie dałoby się jej też otworzyć zwykłym wytrychem. Tutaj zamek trzeba by było wyłamać, uszkadzając drzwi, a jednak nie widziałem na nich ani śladu jakichkolwiek działań. Nic. Zupełnie nic. Ktokolwiek uwięził tam tę dziewczynkę, z całą pewnością miał klucz.

Zaległa cisza, przerywana jedynie spokojnym głosem lektora podkładającego głos pod anglojęzyczny program o Syberii. Tomasz odpalił kolejnego papierosa. Zapytał rodzeństwa, czy nie chcą kawy. Chcieli. On zresztą też. Jego organizm błagał o dawkę kofeiny w płynie.

Postawił drugą porcję gorącego napoju na stoliku i pozwolił mu chwilę ostygnąć, po czym upił łyk. To samo uczynili Marek i Dorota. Siedzieli spokojnie, nie odzywając się, udając, że popatrują na to, co dzieje się na ekranie telewizora, w istocie jednak każde pogrążone było we własnych myślach. Dorota niemal zapomniała o artykule i fotografii, którą tak gorączkowo chciała pokazać Tomaszowi. W końcu to on sam jej o tym przypomniał.

- To powiecie mi w końcu, co was do mnie sprowadza? Pomału zastaje nas noc,

wiecie? Nie wyganiam was, ale jeśli macie zostać dziś u ciotki, to dobrze by było, żebyście tam trafili o przyzwoitej porze.

Spojrzeni automatycznie na stojący na ścianie działowej przy aneksie zegarek.  
21.20.

- Tomasz, musimy ci coś pokazać - zaczęła Dorota. - Nasz ojciec przygotowuje referat na sympozjum, które będzie prowadził, i przez przypadek, gdy opowiadał nam o nim, natrafiliśmy na ten artykuł. Gdyby ojciec nam go nie podsunął, nigdy nie trafiłby w nasze ręce.

- O czym pisze wasz ojciec?

Pokrótce opowiedzieli mu o „licytacjach”, handlu dziećmi i pedofilskich orgiach. Tomasz wydawał się niewzruszony, mimo to dziwiło go niesamowicie, że ktoś zdecydował się wygłaszać sympozja na tak brutalny temat.

- No i wtedy pokazał nam tę gazetę, z tym zdjęciem na okładce - powiedziała Dorota, wyciągając z torebki kserokopię artykułu i rozkładając ją na stoliku. - Gdy tylko zobaczyłam tę fotografię, od razu wydała mi się zna...

Ale Tomasz już jej nie słuchał. Porwał kartki ze stolika w sekundę po tym, jak Dorota je tam położyła. Przeczytał nagłówek artykułu i pobieżnie przejrzał tekst, jednak większa część jego uwagi skupiona była na dziewczynie na zdjęciu. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że siedzi wyprostowany jak struna, z na wpół otwartymi ustami i jarzącym się w oczach obłędem. Wyglądał jak człowiek, który odkrywa prawdę po całym życiu w mylnym przeświadczeniu. Jak dziecko, które dowiaduje się, że święty Mikołaj to tylko symbol, w dodatku taki, który z pewnością nie zmieściłby się w kominie.

Detektyw przeczytał cały artykuł dwa razy, jednak jego spojrzenie wciąż uporczywie wracało i wbijało się w fotografię na pierwszej stronie. Marek i Dorota nie odzywali się, czekając na pierwsze słowa Radziejowskiego.

- To dlatego nie było żadnych akt, żadnych informacji... - zamruczał sam do siebie Tomasz.

- Co mówiłeś? - spytała Dorota.

- Wygląda niemal identycznie jak wtedy, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, gdy przesłuchiwałem ją na okoliczność zaginięcia jej rzekomego kochanka, męża Moniki Kropisz. Ma ten sam zimny, obojętny wzrok. Pamiętam jak dziś, do jakiego stopnia dziwne było to dla mnie, gdy oznajmiliśmy, że jej „ukochany” zaginął, a ona tylko wpatrywała się w nas tymi lodowatymi, pełnymi obojętności oczami. Pamiętam jak dziś, że nigdy wcześniej nie spotkałem równie apatycznej osoby. Teraz, kiedy pokazaliście mi ten artykuł... wcale się nie dziwię.



- To samo powiedziałam Markowi, gdy tylko zobaczyliśmy ten artykuł po raz pierwszy... - wyszeptała Dorota. - Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, co ona musiała przeżyć.

- Niemniej jednak... nie, muszę to przemyśleć. I chyba powinienem o tym porozmawiać z Dawidem, lecz boję się, że nie będzie miał ani czasu, ani chęci tego słuchać, zanim nie przesłuchają Kuśnierczyka. Oni uważają, że to on jest głównym podejrzanym, jednak...

- Myślisz, że to ona - dokończył Marek, nawet nie zadając pytania. Wzrok Tomasza nie pozostawiał miejsca na domysły.

- Sam nie wiem... - odparł Radziejowski po dłuższej chwili milczenia. - Jest kilka rzeczy, które kompletnie nie pasują mi do układanki. Muszę się nad tym zastanowić, przemyśleć to... i złożyć wizytę tej pani.

- Nie uważasz, że powinieneś poczekać z tym na komisarza Dąbrowskiego?

- Nie dam rady tak długo czekać - zaśmiał się Tomasz. - Nie, jestem na to zbyt niecierpliwy. Muszę wiedzieć. Pojadę do niej jutro, przed południem. Muszę wiedzieć. Muszę mieć pewność, a wiem, że wystarczy jedna rozmowa, kilka niewygodnych pytań, żeby prawda wyszła na jaw.

- Tylko, Tomasz... - powiedziała niepewnie Dorota - po co ona miałaby to robić? Jaki byłby w tym sens, jaki mogłaby mieć cel?

- Mam swoje podejrzenia. Ten artykuł tym bardziej dał mi do myślenia... Bardzo żałuję, że nie pomyślałem o tym wcześniej...

Radziejowski kompletnie pogrążył się w rozmyślaniach, na moment niemalże tracąc kontakt z rzeczywistością i swoimi rozmówcami. Marek, widząc to, trącił Dorotę w bok. Ta skinęła głową i zdecydowanym ruchem podniosła się z sofy, patrząc ze zmartwieniem na Tomasza.

- Już idziecie? - zapytał zdziwiony detektyw, wyrwany z zamyślenia.

- Tak, czas już na nas. Tak jak mówiłeś, nie możemy pojawić się u ciotki w środku nocy - odparł Marek.

- Rozumiem... No nic, wobec tego do zobaczenia. Bardzo wam dziękuję za informację. Ten krótki artykuł okazał się bardziej pomocny niż wszelkie inne informacje zebrane do tej pory...

Marek stał już przy drzwiach, jednak Dorota podeszła bliżej Tomasza stojącego dalej pośrodku pokoju i odezwała się, mówiąc na tyle cicho, żeby jej brat nie dosłyszał słów:

- Tomasz, proszę... uważaj na siebie. Zadzwoń do mnie, zanim tam pojedziesz, dobrze? Obiecuj mi, proszę.

Po czym chwyciła kompletnie zdezorientowanego detektywa za rękę i przyciągnęła ją do swojej piersi, by poczuł jej szybko bijące serce.

- Obiecuję, Dorotko - odpowiedział jej szeptem i widząc przyzwalające spojrzenie brata ponad jej ramieniem, chwycił ją mocno w objęcia i ucałował jej czoło. - Wszystko będzie dobrze. Zadzwoń, kiedy będę się tam wybierał.

- Będę czekać - odparła, po czym delikatnie, lecz zdecydowanie uniosła głowę i pocałowała go w usta.

Tomasz odwzajemnił ten niespodziewany gest, jednocześnie z lekką dozą niepokoju spoglądając na Marka; ten jednak zdawał się być zadowolony z takiego obrotu spraw. Dorota wtuliła się w detektywa i wyszeptała mu do ucha kilka słów, które miały mu rozbrzmiewać w głowie jeszcze przez długie godziny, nim uda mu się zasnąć.

- Chyba się w tobie zakochuję, wiesz?

Tomasz w odpowiedzi ujął ją pod brodę i pocałował, starając się gestem okazać to, na wyrażenie czego nie potrafił odnaleźć właściwych słów.

Dorota zdawała się to rozumieć.

- Uważaj na siebie - powiedziała po raz ostatni, po czym podeszła do brata i otworzyła drzwi.

Marek uniósł dłoń w geście pożegnania, Dorota pomachała do Tomasza, uśmiechając się nieśmiało.

Radziejowski odmachał im w odpowiedzi, a rodzeństwo wyszło na zewnątrz, do Hondy Marka.

# ROZDZIAŁ XVII

## I

Zamknąłem drzwi za Dorotą i Markiem, po czym przekręciłem klucz w zamku, odcinając dostęp świata zewnętrznego do mojego mieszkania. Powolnym krokiem wróciłem do stolika przed telewizorem i raz jeszcze przeczytałem artykuł o rozbiciu grupy przestępczej, trudniącej się handlem oraz prostytuowaniem dzieci.

Nie mogłem oderwać wzroku od fotografii Małgorzaty Kuśnierczyk. To z pewnością była ona, nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. Choć wnioski wyciągnięte na podstawie tego zdjęcia i artykułu były mgliste, pozbawione realnego fundamentu, czułem, że mam rację. Jakiś wewnętrzny głos, może intuicja, może szósty zmysł prywatnego detektywa z doświadczeniem krzyczały do mnie, że właśnie dowiedziałem się czegoś, co naprawdę było przełomem. Mimo to fakt, iż poznałem kolejne części układanki, nie uczynił jej łatwiejszą do ułożenia.

Nadal pozostawało wiele pytań bez odpowiedzi, z pierwszym i najbardziej podstawowym z nich wszystkich:

Po jaką cholere?

Po co ona miałyby to zrobić? Jaką korzyść mogłaby czerpać z porwań dzieci?

Dobrze wiesz.

- Nie, to nieprawda, nie mam pojęcia - odparłem wewnętrznemu głosowi.

Nie bądź głupi. Każdy jeden psycholog powiedziałby ci, jaki jest motyw tej kobiety. Ty przecież gardzisz psychologami, bo sam dochodzisz do o wiele bardziej trafnych wniosków, lecz tym razem wasze zdania by się pokryły. Ta kobieta się mści, to właśnie myślisz, prawda? Miej dość odwagi, by to przyznać przed samym sobą.

- Nic nie wiem na pewno! - krzyknąłem do pustych ścian.

Oddychałem ciężko, jakbym właśnie przebiegł sprintem pół kilometra. Mój wewnętrzny głos udał się donikąd, skąd przybył, lecz pozostawił po sobie ślad i zmusił do myślenia.

Co więcej... chyba miał rację.

Lecz czy naprawdę zemsta za dziesięć lat spędzonych w piekle była głównym paliwem napędzającym te wszystkie okropieństwa?

Wobec tego, jeśli faktycznie tak miało być, dlaczego postanowiła się mścić dopiero teraz? Dopiero pięć lat temu? Dlaczego pomiędzy „rzezią” a bieżącą sprawą minęło tyle czasu?

Dlaczego?

Dlaczego?

Dlaczego?

Nie miałem pojęcia. Puzzle za nic nie chciały trafić na swoje miejsce, nieważne, w jakiej pozycji by je ułożyć. Nie pasowały i tyle; wciąż brakowało zbyt wielu kluczowych kawałków, by utworzyły spójną całość.

Tej nocy długo nie mogłem zasnąć, w myślach wciąż mając natarczywe pytanie:

Dlaczego?

Dlaczego?

Dlaczego?

Jakby jakaś pieprzona papuga dorwała się do mojego mózgu i w kółko powtarzała te same słowa skrzeczącym, przenikliwym głosem, oczekując w zamian krakersa.

Nawet myśli o Dorocie i wspomnienia jej nagiego ciała nie mogły się przebić przez tę papuzią natarczywość.

Dlaczego?

Dlaczego?

Dlaczego?

I choć wiedziałem, że jutro wszystkiego się dowiem, choć czułem, że jutrzejszy dzień przyniesie odpowiedzi na wszystkie pytania, nie mogłem powstrzymać natarczywej kwestii odbijającej się echem wewnątrz mojej czaszki. Zwyczajnie nie mogłem.

Sen przyszedł niespodziewanie, gdy już straciłem wszelką nadzieję. Ostatnie spojrzenie rzucone na jaśniejący żółtym światłem zegarek dojrzało godzinę - 2.45.

Kwadrans do godziny duchów, ha, ha, ha.

To była ostatnia myśl, którą pamiętałem. Potem osunąłem się w senną krainę koszmaru.

Tym razem leżałem na zimnym marmurze. Z początku nie zdawałem sobie sprawy, gdzie jestem ani co robię. Jedno spojrzenie w bok wystarczyło, żebym zrozumiał, że leżę na podłodze w mojej sennej wersji kapliczki z Lasku

Południowego.

Jedno spojrzenie w górę wystarczyło, bym zerwał się na równe nogi i w jednej chwili znalazł się po drugiej stronie pomieszczenia, przywierając do drzwi i próbując wymacać za plecami klamkę.

Nade mną stała dwójka chłopców, którzy tak często gościli ostatnio w moich snach. W niczym nie przypominali ludzi. To były stojące wersje trupów, którym eksplodowały gałki oczne w jednym z moich koszmarów sprzed paru dni.

Choć nie było to fizycznie prawdą, ich twarze sprawiały wrażenie stopionych pod wpływem żaru, w istocie jednak oblażyły zgnilizną, w której gnieździło się liczne robactwo, przygotowując mnie o mdłości.

Fetor był niesamowity; pomimo tego, że był to tylko sen, niemalże poczułem, jak treść żołądka rzuca się do ucieczki. Jakimś cudem udało mi się ją powstrzymać przed wydostaniem się na zewnątrz.

Prawa dłoń odnalazła klamkę. Obróciłem się w stronę drzwi, gorączkowo szarpiąc za wystający z nich kawałek żeliwa, lecz ten za nic nie chciał ustąpić; trwał tam, niewzruszony, jakby drwiąc z moich wysiłków.

Upiorne twarze były coraz bliżej. Szarpałem klamkę coraz mocniej i mocniej, ze wszystkich sił starając się otworzyć drzwi i wydostać się na zewnątrz, niezależnie od tego, co na mnie czekało.

Nawet Zwiastuny Nocy były lepsze od tych małych truposzy.

Gdy odwróciłem się od drzwi, przerażenie zaparło mi dech w piersiach. Spojrzałem w dół, a moja twarz znalazła się dosłownie centymetry od rozpadających się obliczy tworów, które kiedyś były chłopcami.

Mniejszy z nich chciał coś powiedzieć, lecz zaczął się krztusić. Większy, najwyraźniej niegdyś starszy brat, klepnął go mocno w plecy, co sprawiło, że z jego dłoni posypały się kawałki mięsa. Młodszy brat beknął głośno, a z jego ust na podłogę wypadła ogromna larwa, która w jednej chwili zaskwierczała donośnie i rozplynęła się w nicości.

Odezwał się starszy z rodzeństwa, głosem jakby stłumionym przez warstwę ziemi.

- *Widzę twoje serce, detektywie.*

Zamarłem, a przerażenie odebrało mi mowę i zdolność poruszania się.

- *Widzimy twoje serce, detektywie. Ono jest dobre.*

W tej chwili kaplicę zalało światło wpadające przez znajdujący się po przeciwległej stronie witraż, a ja przez ułamek sekundy widziałem przebłysk człowieczeństwa w istotach stojących przede mną. Trwało to jednak nie dłużej niż

dwa uderzenia serca, a potem światło zniknęło, a ciała chłopców znów były groteskowo okaleczone, przegniłe, w skrajnej fazie rozkładu, gdy mięso oddzielało się od kości.

- *Wiemy, że nas odnajdziesz...*

Tym razem to mniejszy z dwójki odezwał się grobowym szeptem.

Wciąż nieustępliwie szarpałem za klamkę. W ostatnie pociągnięcie włożyłem całą siłę, jaką jeszcze dysponowałem. Klamka opadła w dół i gdy już chciałem w duchu święcić tryumf, odpadła od drzwi, z głośnym brzękiem uderzając o marmurową posadzkę.

Mimo to drzwi za moimi plecami otworzyły się, więc nie zastanawiając się wiele, wybiegłem na zewnątrz, pozostawiając małe monstra za sobą.

Gdy tylko wyszedłem na zewnątrz, drzwi kapliczki zatrzasnęły się z hukiem, a ona sama zniknęła, pozostawiając po sobie jedynie porośniętą mchem polanę, dokoła której wyrastały wysokie drzewa.

Światło padało na sam środek polany przez wyrwę w baldachimie z drzew. Podszedłem do źródła światła i wtedy je usłyszałem.

Na początku był to pojedynczy odgłos; krótkie „kraa” i trzepot skrzydeł.

Nie zdążyłbym policzyć do dziesięciu, a już na drzewach okalających polanę siedziały setki, jeśli nie tysiące czarnych ptaszysk, konwulsyjnie trzepocząc skrzydłami i rozdierając powietrze swoim wrzaskiem.

Nie zdążyłbym doliczyć się dziesiątki po raz drugi, a ptaki zerwały się z gałęzi drzew i nagle, bez ostrzeżenia, rzuciły się na mnie.

Nie byłem w stanie spróbować ucieczki. Upadłem na ziemię, zasłoniłem głowę rękami i czekałem, aż nieustępliwie, ostre jak brzytwa dzioby rozszarpia mnie na drobne kawałeczki. Czułem ból, jakiego nie doznałem jeszcze nigdy w życiu, czułem, jak ptaszyska wygryzają ze mnie wielkie kawałki ciała, pozostawiając po sobie dziury i lejącą się krew.

Kiedy już byłem w stanie skrajnej agonii, usłyszałem głos gdzieś z tyłu głowy. Nie rozpoznałem go w pierwszej chwili. Nic dziwnego, gdyż słyszałem go tylko raz, paląc papierosa pod szpitalem i rozmyślając o urodzie Doroty.

- *Ostrzegalam, żebyś strzegł się Zwiastunów Nocy...*

Marysia, pacjentka przejściowego oddziału psychiatrycznego szpitala w Mieście.

- Marysiu, nie wiedziałem! - próbowałem odkrzyczeć, jakby faktycznie ktoś miał mnie usłyszeć poprzez tę kakofonię ptasich odgłosów.

- *Oni widzą twoje serce, detektywie. Ono jest dobre. Lecz Zwiastuny Nocy są*

*niebezpieczne i podstępne. O tak... zwłaszcza ci, którzy mają dobre serce, ulegają ich złej mocy.*

Czułem się oderwany od rzeczywistości. Moje ciało było rozszarpywane na moich oczach, widziałem wyraźnie jelita wylewające się z rozerwanej jamy brzusznej na leśne poszycie, a jednocześnie prowadziłem rozmowę gdzieś powyżej poziomu świadomości, zawieszony pomiędzy dwiema iluzjami.

*- Ci, którzy mają czyste serce, padają ich ofiarą - kontynuował głos Marysi, której nie byłem w stanie dostrzec, lecz słyszałem bardzo wyraźnie, jakby nadawała wprost do mojej głowy, z pominięciem zmysłu słuchu. - Upodobały sobie dzieci i ich duszyczki. Ty musisz im pomóc, detektywie. Nie zbawisz świata i nie przywrócisz życia tym, które zostały pozbawione serc, a następnie porzucone niczym zepsute zabawki, choć w głębi duszy chciałbyś to zrobić. Nie uratujesz tych, dla których już jest za późno. Lecz możesz położyć kres cierpieniu.*

- Jak, Marysiu? Jak mam to zrobić?

Przestraszyłem się, że to już koniec, że głos, oddzielający mnie od śmierci, którą ponosiło moje ciało na polanie pode mną, już odszedł, pozostawiając mnie samego. Jednak po chwili głos odezwał się znowu, po raz ostatni.

*- Ty wiesz, detektywie. Zatrzymaj tę spiralę cierpienia. Ocal niewinne serca dzieci, nim wpadną w szpony Zwiastunów. I daj wieczny spoczynek tym, których los jest wciąż nieznan, lecz który ty możesz poznać.*

- O czym mówisz? - zapytałem, czując jednocześnie, jak transmisja słabnie i pomału dobiega końca.

Odpowiedź nadeszła wypowiedziana zupełnie innym głosem; cichym, delikatnym, przysypanym warstwą cmentarnej ziemi.

*- Wiemy, że nas odnajdziesz.*

## II

Zegarek pokazywał 6.30. Nieźle, prawie cztery godziny snu spędzone w otchłani koszmaru. Obawiając się, że dalsze leżenie w łóżku może skończyć się powrotem, zwlokłem się z łóżka. Przez moją głowę przemknęła myśl, jak żałośnie musiałem teraz wyglądać, wyczołgując się jak zalany w trupa pijaczyna z pościeli, która aż nasiąkła zimnym potem.

Wciąż drżałem. Czułem fantomowe wrażenie dziobiących mnie ptaszysk na całym ciele; miałem nadzieję, że gorący prysznic zdoła je choć odrobinę

załagodzić.

Pomogło. Gorący prysznic, gorąca kawa, miska płatków na śniadanie, a na deser papieros; byłem zdatny do użytku.

Zabijałem czas, skacząc po kanałach, doskonale wiedząc, że jest jeszcze za wcześnie na wizytę u Małgorzaty Kuśnierczyk. Bezmyślne przeglądanie programów pozwalało mi choć na moment oderwać się od ponurych rozmyślań i narastającego niepokoju, niepewności.

A co, jeśli się mylę?

Nie mylisz się i dobrze o tym wiesz.

- Och, zamknij się - warknąłem w pustą przestrzeń, wyciągając się na kanapie i odpalając kolejnego papierosa. Zawartość paczki kurczyła się z zatrważającą szybkością; to chyba znak, że czas rzucić.

Może kiedy indziej.

Kiedy dochodziła dziewiąta, postanowiłem zadzwonić do Dawida, żeby zapytać go, o której rozpocznie się przesłuchanie Kuśnierczyka, i dowiedzieć się, czy dziewczynka, którą odnalazł w sobotę, wykrztusiła z siebie chociaż jedno słowo.

Dąbrowski odebrał po czwartym sygnale.

- Tomasz? Mów szybko, o co chodzi, właśnie jadę na komendę.

Faktycznie, głos przyjaciela był nieco przytłumiony, w tle dobiegały mnie odgłosy typowe dla ruchu ulicznego.

- Cześć, Benny. O której przesłuchujecie dziś Kuśnierczyka?

- Poczekaj, niech pomyślę... Jego adwokat zapowiedział się na dwunastą, więc pewnie około tej godziny.

- Dawid, czy jesteście pewni, że to on?

- Powiem ci tak - westchnął Dąbrowski - zdaję sobie sprawę, że dysponujemy tylko poszlakami, jednak to powinno wystarczyć, żeby go przymknąć. A jeśli to nie on, być może będzie miał jakieś informacje, których dotąd nie chciał nam wyjawić.

- A co z jego żoną, sprawdziliście ją?

- Tomasz, tak, sprawdziliśmy. Tej kobiecie ciężko cokolwiek zarzucić; patrolowi, którzy wypytywali ludzi związanych z Małgorzatą Kuśnierczyk, opowiadali, że wszyscy zdawali się być oburzeni samym faktem, że możemy ją o coś podejrzewać. Wiesz, społecznica, te sprawy.

- Mhm, rozumiem...

Czysta jak łza, huh?

- Wobec tego powinienem na razie odpuścić i poczekać do wyniku



przesłuchania, nieprawdaż?

- Tak, powinienes tak zrobić. Możesz przyjechać na komendę posłuchać, jeśli masz ochotę.

- Brzmi kusząco. Leśniak też będzie?

- Dobrze wiesz, że tak. Dlaczego pytasz?

- To nie jadę. Na samą myśl o tej wszy robi mi się niedobrze.

- Skąd taka nienawiść do niego?

- Chyba z powietrza, które zatruwa swoją obecnością. Nadepnął na odcisk niewłaściwej osobie, więc nie licz, że teraz będę mu pobłażał. Tak swoją drogą, to chyba zanadto polubił Dorotę, wiesz?

- Co? Dlaczego tak myślisz?

- Widziałem, jak próbował się do niej przystawiać, kiedy wyszliśmy z prosektorium. Dorota opowiadała mi też, że trafiła na niego w markecie podczas zakupów; zaczepił ją i zaczął gadać, nie dał się spławić, chciał ją nawet odprowadzić do domu, wymawiając się tym, że „niebezpiecznie jest chodzić kobiecie samej”.

- Chwila, moment, jakiego marketu? - zapytał zdziwiony Dąbrowski.

- Jakaś sieciówka, zaraz koło domu jej ciotki.

- No w porządku, ale co tam robił Leśniak?

- Podobno mieszka niedaleko, tak przynajmniej powiedziała mi Dorota. A co?

Po drugiej stronie zaległa cisza. Nie wiedziałem, co o tym myśleć, jednak wydała mi się niepokojąco długa, jakby Dawid próbował przeanalizować coś, co do tej pory mu umykało. Za dobrze go znałem, żeby to zignorować.

- Dawid? Jesteś tam?

- Tomasz, posłuchaj mnie.

Jego głos był poważny, a słowa dobierał z rozwagą, jakby wciąż się nad czymś zastanawiał.

- Wiesz, że dwie ofiary tego gwałciciela znaleźli właśnie w tamtym kwadracie, dzień po dniu, mówiłem ci, prawda?

- Tak, do czego zmierzasz?

- Uważaj na Dorotę. Z tego, co wiemy, pasuje idealnie do „typu” tego psychola. Zresztą już ci o tym mówiłem.

- Tak, wiem właśnie. Do czego zmierzasz? - powtórzyłem pytanie.

- Tomasz, nie wiem, co Leśniak powiedział Dorocie, ale widzisz...

- No co?

- On w ogóle nie mieszka w Mieście. Mieszka z matką jakieś dziesięć

kilometrów od Miasta, w zupełnie innym kierunku niż osiedle, na którym mieszka ciotka Doroty.

Teraz to ja zamilkłem, analizując jego słowa, wspominając nasze wszystkie poprzednie rozmowy odnośnie tej sprawy i słysząc w głowie te wszystkie komunikaty radiowe, które docierały do mnie przez ostatnie dni. I jedno zdanie, które powiedziałem do Doroty, kiedy opowiadałem jej o tym: „Albo szukają w złym miejscu”.

- Jak myślisz, co on tam robił? - zapytałem w końcu Dąbrowskiego, który zdawał się przemyśliwać dokładnie te same kwestie co ja po drugiej stronie połączenia.

- Tego nie wiem, ale Tomasz... uważaj na nią. Muszę kończyć, jestem już pod komendą. Zajdź do nas na to przesłuchanie, jestem ciekaw, jakie wnioski z niego wyciągniesz.

- Trzymaj się, przyjacielu.

- Ty też, detektywie. Do zobaczenia.

W słuchawce rozległ się dźwięk przerwanego połączenia i rozmowa się skończyła.

Wstałem z kanapy i zacząłem nerwowo krążyć po mieszkaniu, starając się zebrać myśli. Tamta sprawa nie leżała w kręgu moich zainteresowań, sam miałem ręce pełne roboty, lecz co, jeśli Dorota także była w niebezpieczeństwie? Co, jeśli śledczy faktycznie od samego początku szukali w złym miejscu?

Być może to wszystko to tylko zbiegi okoliczności, a być może Leśniak zwyczajnie zadurzył się w Dorocie (wcale mu się nie dziwiłem, ta dziewczyna była naprawdę niesamowita).

Istniała jednak jeszcze trzecia ewentualność, a jeśli mogła być prawdą...

Zgasilem telewizor i pospiesznie narzuciłem na siebie kurtkę przeciwdeszczową, po czym wyszedłem, zamykając za sobą drzwi do domu. Zbiegłem po schodach i wypadłem na spowite burzowym mrokiem podwórze. Minąłem moją Kię, zaszczycając ją jedynie pobieżnym spojrzeniem, po czym ruszyłem na drugą stronę ulicy w stronę mojego biura.

Byłem już w połowie drogi po schodach, kiedy w głowie rozległ się cichy głos buntu.

- Co ty w zasadzie chcesz zrobić, Radziejowski?

Zatrzymałem się w pół kroku, nagle oszołomiony prostolinijną celnością tego pytania. Co ja w zasadzie zamierzałem zrobić? Wyjąć Berettę 92F, pojechać na komendę, żeby zastrzelić gnojka na podstawie mglistych przypuszczeń i tego, że

go nie lubię?

Nie, w tej sprawie nie mogłem nic zrobić. Zamierzałem jednak zadzwonić do Doroty. I tak jej to obiecałem, więc przy okazji mogłem też prosić ją o ostrożność.

Upiec dwie pieczenie na jednym ogniu, jak mawiają ludzie prości (ci bardziej skomplikowani też, jednak mnie to przysłowie działało na nerwy).

Wszedłem do biura i od razu wybrałem numer do młodej Lutowskiej. Nie zabrzmiały dwa sygnały, a już w słuchawce rozległ się radosny głos.

- Tomasz, hej. Już myślałam, że złamiesz obietnicę i nie zadzwonisz.

- Nie, nie, spokojnie, zawsze dotrzymuję obietnic. Przynajmniej tych, których jestem w stanie - zaśmiałem się w odpowiedzi, czując przyjemne ciepło w sercu na dźwięk jej słów.

- Jedziesz do Kuśnierczykowej?

- Tak, za chwilę, muszę tylko zabrać coś z biura.

- Powiedziałeś o tym Dawidowi?

Nie było sensu jej okłamywać.

- Nie, nie powiedziałem mu ani słowa. On uważa, że powinienem z tym poczekać, aż przesłuchają Arkadiusza Kuśnierczyka. Być może ma rację, jednak ja nie mogę czekać. Muszę wiedzieć, Dorota.

- Ale dlaczego mu nie powiedziałeś?

- Chyba dlatego, że nie mam żadnych logicznych argumentów, którymi mógłbym go przekonać, że postępuję słusznie.

- No dobrze, ale obiecaj mi, że będziesz ostrożny, dobrze?

- Tak, mam. Obiecuję.

Ze słuchawki dobiegł delikatny śmiech, jednak znać w nim było ziarno smutku i lęku.

- Uważaj na siebie, Tomasz... - wyszeptała Dorota.

- Taki mam zamiar. Było nie było... chyba mam do kogo wrócić, prawda?

- Tak, prawda.

- I jeszcze jedno... Dorota?

- Tak?

- Ty też na siebie uważaj.

- Jejku, ty też traktujesz mnie jak małą dziewczynkę? - zapytała nieco rozeźlona.

- Nie, ale widzisz... te wszystkie dziewczyny, które zginęły, pewnie też uważały, że są dużymi dziewczynkami. Uważały, że dadzą sobie radę. Sama widzisz, z jakim skutkiem.

Odpowiedziała mi cisza.

- Wybacz, nie chciałem cię przestraszyć... Po prostu bądź ostrożna, dobrze? A najlepiej poproś Marka, żeby chodził z tobą, dopóki nie złapią tego popaprańca.

- Albo poproszę ciebie?

- Albo mnie - potaknąłem. - Tego, który będzie najbliżej. Muszę kończyć, Dorotko.

- Zadzwoń do mnie, gdy stamtąd wyjdiesz, dobrze? Chcę usłyszeć, czego się dowiedziałeś.

- Jaka zachłanna, no naprawdę - zaśmiałem się. - Dobrze, zadzwonię. O dwunastej mam być na komendzie, ale później powinienem mieć czas się z wami spotkać, dobrze?

- Dobrze. Pa, Tomasz.

- Pa, Dorotko. Do zobaczenia.

Schowałem telefon do kieszeni i podszedłem do biurka. Za oknem rozpadało się na dobre, zgodnie z wczorajszymi zapowiedziami cycatych pogodynek. Tym razem miały rację. Sięgnąłem do szuflady, w której schowana była metalowa kasetka, kryjąca moją Berettę 92F.

Wyjąłem ją i poczułem przyjemny ciężar na dłoni. Działał pokrzepiająco. Włożyłem magazynek, upewniłem się, że pistolet jest zabezpieczony, po czym wsunąłem go do przepastnej kieszeni kurtki, ignorując konieczność używania kabury. Z szuflady piętro niżej wyciągnąłem malutki, superczuły dyktafon cyfrowy. Kosztował krocie, jednak mieścił się w każdej kieszeni i nagrywał krystalicznie czyste audio z odległości do ośmiu metrów, nawet wtedy, gdy był przykryty materiałem. Istny cud techniki.

Dyktafon wylądował w wewnętrznej kieszeni kurtki, gdzie nie było go widać ani z zewnętrznej, ani z wewnętrznej strony. Przezornie włączyłem opcję uruchamiania głosem, na wypadek, gdybym nie miał możliwości zrobić tego później.

Ku mojemu radosnemu zdziwieniu w tej samej szufladzie znalazłem nietkniętą paczkę cristali.

Dzięki ci, Panie, za Twe drobne łaski.

Rozerwałem folię i wyćwiczonym przez lata ruchem wytrząsnąłem papierosa, odpaliłem go noszoną zawsze w kieszeni spodni zapalniczką, po czym wyszedłem z biura, brnąc przez deszczowy świat w stronę mojego samochodu.

### III

Rozpadało się nie na żarty. W oddali słychać było pierwsze grzmoty, akompaniujące przesywającym na dalekim horyzoncie niebo błyskawicom. Wycieraczki nie nadążały z odprowadzaniem wody, wobec tego na przedniej szybie rozlewał się wodospad deszczówki, skutecznie ograniczając widoczność do absolutnego minimum.

Inni kierowcy mieli identyczne problemy, wobec tego ruch uliczny znacznie zwolnił, co z jednej strony było dobre, a z drugiej, piekielnie irytujące.

Woda zalewająca ulice sięgała już wysokości chodnika w miejscach, gdzie studzienki ściekowe okazały się za mało wydajne, by usunąć taką ilość wody naraz. Choć na dobrą sprawę nie było jeszcze dziesiątej, świat poszarzał i rozmył się, spłukany strugami deszczu, który w groteskowy sposób zniekształcał budynki, a znajome kształty przeistaczał w obrazy niczym odbicia w krzywym zwierciadle.

Zbliżałem się do zachodniego skraju Miasta, gdzie, jak wiedziałem, miał swój dom Arkadiusz Kuśnierczyk. Był jednym z najbogatszych mieszkańców, wobec czego posiadłość adekwatnie oddawała jego majątność.

Już z daleka widziałem, który dom należy do „Magnata” i jego żony; który dom jest moim celem.

Na pierwszy rzut oka miał ponad dwieście metrów kwadratowych i sprawiał wrażenie dostojnego, okazałego, pełnego niewyjaśnionego majestatu. Drugi, trzeci i każdy kolejny rzut oka mnie w tym utwierdzał; gdy ujrzałem porastający jedną ze ścian, pnący się po niej niczym niezliczone stado węży bluszcz, wysokie ogrodzenie, za którym rósł jeszcze wyższy żywopłot, a w końcu wielką, sterowaną elektronicznie bramę z domofonem, spod której wyłożona kostką brukową ścieżka wiodła do głównych drzwi, czułem się, jakbym jechał na audiencję u prezydenta, a nie na przesłuchanie do kobiety, która mogła być powiązana z serią brutalnych morderstw.

Samochód zostawiłem przed bramą. Zapiąłem kurtkę pod samą szyję i kuląc się od przesywającego wiatru niosącego zimne krople deszczu, szybkim krokiem podszedłem do bramy, po czym nacisnąłem guzik domofonu.

Po chwili usłyszałem kliknięcie, a z głośniczka dobiegł kobiecy głos:

- Tak, słucham?

- Detektyw Tomasz Radziejowski. Czy znalazłaby pani chwilę, żeby ze mną porozmawiać?

- A o co chodzi? - Głos był łagodny, lecz wydawało mi się, że dosłyszałem

w nim nutkę opryskliwości.

- O aresztowanie pani męża. Mogę wejść?

- Tak, proszę.

Charakterystyczne „bzz” dobiegające znikąd dotarło do moich uszu, pchnąłem więc furtkę i przebiegłem kawałek dzielący mnie od zadaszenia nad głównymi drzwiami. Wciąż niewyobrażalnie lało, a z daleka słysząc było gniewne porykiwanie nieba, na którym jaśniały zygzaki błyskawic.

Akurat spoglądałem na jeden z takich błysków, gdy za moimi plecami szczęknął obracany w zamku klucz, a w drzwiach stanęła biznesowo ubrana, przystojna kobieta o długich, czarnych włosach.

- Proszę, niech pan wejdzie.

Zaprosiła mnie gestem do środka, a ja przyjąłem zaproszenie, kłaniając się lekko na powitanie. Jej głos na żywo brzmiał nieco ochryple, lecz był bardzo delikatny i pozornie życzliwy. Mimo to przebijało się przez tę delikatność coś, czego nie byłem w stanie nazwać. Moje uprzedzenia? Być może.

Rozglądałem się, będąc autentycznie pod ogromnym wrażeniem wystroju wnętrza; od razu widać, że przy jego planowaniu pracował sztab specjalistów i nie oszczędzono grosza na jego realizację. Ozdobny tynk, wyszukane lamperie, obrazy w indywidualnych gablotach po obydwu stronach korytarza... To wszystko naprawdę robiło wrażenie, zwłaszcza na kimś, kto nie przywykł do oglądania takich zbytków.

- Zapraszam dalej, proszę zdjąć tę przemoczoną kurtkę. Zaraz zaparzę herbatę. Musiał pan solidnie zmarznąć.

Wzięła ode mnie okrycie i odwiesiła na hak, po czym stukając obcasami na wyłożonej panelami podłodze, ruszyła w stronę dużego pokoju na wprost korytarza, który musiał być pokojem dziennym, najwyraźniej połączonym z aneksem kuchennym.

Tu znów mnie zatkało. Ilość i jakość sprzętu RTV była zdumiewająca; wolałem nie próbować kalkulowania tego wszystkiego w głowie - wartość musiała być astronomiczna.

Telewizor rozmiaru billboardu pysznił się na jednej ze ścian, naprzeciwko której ustawiono mogącą pomieścić na oko dwanaście osób kanapę. W salonie stały też cztery fotele i mnóstwo dużych kwiatów doniczkowych. Pomimo takiej ilości mebli i flory, w pokoju wciąż było przestronnie; nikt się o nic nie potykał, wszystko było na swoim miejscu.

Aneks kuchenny był niemal tak duży jak całe moje mieszkanie. Jasno

oświetlony, dobrze wyposażony. Dałbym odrąbać sobie rękę, że po jego wewnętrznej stronie znalazłbym barek wypełniony najróżniejszymi, bajecznie drogimi trunkami.

- Proszę, herbata dla pana - powiedziała kobieta, idąc w moją stronę z dwoma kubkami parującego napoju. - Nie wiedziałam, jaką pan lubi, wobec tego zrobiłam bezpieczną, ceylońską. Cukru?

- Nie, dziękuję.

Upiłem łyk, spodziewając się, że oparzę sobie usta, lecz herbata była w sam raz ciepła, by ogrzać wyziębione ciało, jednocześnie nie będąc na tyle gorącą, żeby zrobić krzywdę pijącemu.

- Bardzo dobra herbata, pani Małgorzato - komplementowałem.

- Dziękuję, to moja ulubiona czarna herbata. Na co dzień pijam białą lub zieloną, lecz gdy muszę wypić czarną, zawsze sięgam właśnie po tę jedną.

Sama pociągnęła łyk herbaty ze swojego kubka, po czym usadowiła się w fotelu naprzeciwko kanapy, na której usiadłem, kontynuując ciekawskie rozglądanie się po mieszkaniu. Moją uwagę zwróciło zdjęcie, które stało na stoliku pod telewizorem; tę samą fotografię widziałem w biurze jej męża, w „Pszczółce” - Małgorzata była na niej ubrana niemal identycznie, jak w tej chwili. Gdy pierwszy raz zobaczyłem to zdjęcie, pomyślałem, że jest przeciętnej urody. Dziś, widząc ją w pełnej krasie, musiałem przyznać się do błędu.

Nie była może hollywoodzką pięknnością, lecz niczego jej nie brakowało. Była idealnym przykładem przystojnej, zadbanej kobiety, która wyglądała bardzo korzystnie, o ile była właściwie umalowana i dobrze ubrana.

Spoglądałem to na jej żywą wersję, siedzącą przede mną z założonymi na siebie długimi nogami w czarnych rajstopach (musiałem jej to oddać - były hipnotyzujące, choć nie tak, jak nogi Doroty), to na wersję na fotografii, na której obejmowała dwójkę dzieci, chłopca i dziewczynkę. Pomyślałem, że to dobry punkt wyjścia dla nadchodzącej rozmowy.

- Ile lat mają pani dzieci?

- Marcelina obchodzi w tym roku piąte urodziny, natomiast Natan zbliża się do siódmego roku życia, tak się składa, że kończy siedem lat w przyszłym tygodniu.

- O, wobec tego proszę mu złożyć ode mnie najlepsze życzenia. Dziś są w przedszkolu?

- Marcelina tak, Natan chodzi już do pierwszej klasy. O czym chciał pan ze mną porozmawiać, detektywie? Nie ukrywam, że nie mam dużo czasu, po jedenastej muszę jechać na zebranie zarządu mojej fundacji.

- Oczywiście, nie zajmę pani aż tak dużo czasu. Jak pani wie, policja zatrzymała pani męża, który będzie dziś przesłuchany około dwunastej. Jako że ja również mam być obecny przy przesłuchaniu, nie mam więcej niż godzinę.

Pokiwała głową, upijając kolejny łyk herbaty. Nie wydawało mi się, żeby mnie poznała, a przecież to ja przesłuchiwałem ją pięć lat temu. Jeśli cokolwiek z tego pamiętała, nie dała po sobie poznać, że kiedykolwiek wcześniej się ze mną spotkała.

- Co chciałby pan wiedzieć, detektywie?

Przez chwilę zbierałem myśli, a potem postanowiłem, że nie będę sobie wszystkiego utrudniał. Mnie nie obowiązywała policyjna etykieta pozorowanej uprzejmości.

- Zapytam panią wprost: czy to pani mąż jest odpowiedzialny za te wszystkie zniknięcia dzieci?

- Jak... jak pan może?! - zapytała wzburzona. - Ja i mój mąż od lat pomagamy dzieciom, prowadzimy kampanie na rzecz pokrzywdzonych, zbieramy środki na pomoc ubogim, a pan sugeruje, że mój mąż mógłby mieć coś wspólnego z tymi okropieństwami?!

- Wobec tego spytam o coś innego. Poznała pani męża przed, czy po „rzezi niewiniątek”?

Oburzenie (równie naturalne co silikonowe cycki) ustąpiło z twarzy mojej rozmówczynie. Wyraźnie zbiłem ją z tropu.

- Co takiego?

- To, co pani usłyszała. Była pani z Kuśnierczykiem jeszcze w trakcie pani rzekomego romansu z Andrzejem Kropiszem, czy poznała go pani dopiero po tym, jak pani kochanek zaginął? - zapytałem cicho.

- W dalszym ciągu nie wiem, o czym pan...

- Ależ oczywiście, że pani wie. I bardzo proszę, niech pani nie udaje, że mnie nie pamięta, uwłacza mi to.

Wyraz twarzy Małgorzaty Kuśnierczyk zmienił się drastycznie. W jednej chwili odpłynęły z niej wszelkie oznaki dobroduszości i spokoju, a w zamian wypełził na nią paskudny, nieszczerzy, szyderczy uśmiech.

- Tak, być może cię pamiętam, detektywie. Może tak, a może nie.

- A co z odpowiedzią na moje pytanie?

- Kiedy poznałam Arka? Już po, skoro tak bardzo chcesz to wiedzieć, chociaż nie rozumiem, po co ci to wiedzieć, przecież nie ma to żadnego znaczenia.

Jej ton głosu. Jej wzrok, w którym nagle zgasły ciepłe ogniki, zastąpione bryłą



lodu. Jej postawa, czujna, gotowa do skoku. To wszystko nie umknęło mojej uwadze, lecz wciąż nie byłem pewien. Musiałem się zdobyć na więcej. Sięgnąłem do kieszeni marynarki, by wyciągnąć z niej złożone na cztery części, skserowane zdjęcie z gazety, które otrzymałem od Doroty. Jednocześnie sparaliżował mnie lęk, choć tylko na chwilę. Beretta i dyktafon spoczywały w wiszącej jakieś dziesięć metrów stąd kurtce, którą dałem sobie odebrać, postępując zgodnie z ogólnie przyjętymi normami społecznymi. Dałem się podejść jak amator. Nie mogło mnie to jednak rozproszyć. Wyciągnąłem zdjęcie i rozłożyłem je, ostatni raz dla pewności porównując to, co widziałem na kartce, z tym, co widziałem w fotelu przed sobą.

Teraz nie miałem wątpliwości – była to jedna i ta sama osoba.

– To pani, prawda? – powiedziałem, podając zdjęcie kobiecie.

Ta długo się w nie wpatrywała, a wyraz jej twarzy był nieodgadniony. W końcu się odezwała, a jej głos był zimniejszy od powietrza za oknem.

– Skąd to masz?

– To jest chyba najmniej istotne, prawda? Było w gazecie, razem z obszernym artykułem.

– No, to chyba już pan wie, że nie miałam najszcześniejszego dzieciństwa, prawda? Dlatego wraz z mężem robimy wszystko, żeby nic takiego nie spotkało innych dzieci.

W tym głosie brzmiało kłamstwo.

Ignorowałem ciągle przeskok z „pan” na „ty” i z powrotem. Widziałem coraz wyraźniej, że przypieram ją do muru, choć zadałem jej zaledwie trzy pytania. Musiałem jeszcze mocniej uderzać we wrażliwe punkty. Zanim jednak zdążyłem o cokolwiek jeszcze spytać, Małgorzata Kuśnierczyk wstała z fotela.

– Pan wybaczy, muszę do toalety.

– Oczywiście... – odparłem, odprowadzając ją wzrokiem, gdy wychodziła na korytarz, gdzie znajdowały się drzwi toalety.

Wstałem z kanapy i zacząłem krążyć po pokoju. Chciało mi się palić jak jasna cholera, lecz przez wzgląd na zwyczajną kulturę osobistą nawet nie zabrałem fajek z samochodu.

Stałem plecami do korytarza, wyglądając przez jedno z czterech olbrzymich okien. Burza szalała w najlepsze, a wiatr przechylał drzewa pod kątem niebezpiecznie bliskim złamania, tańcząc wśród gałęzi i kręcąc piruety jak baletnica. Obserwowałem ten taniec z pewną dozą fascynacji siłami natury.

Chwilę później usłyszałem stukot obcasów, lecz nie odwróciłem się od okna,

dopóki nie dobiegło mnie pytanie, zadane oschłym, morderczym i zimnym jak szpikulec lodu głosem.

- Co jeszcze chcesz wiedzieć, detektywie?

Obróciłem się, ze świstem wciągając powietrze. Stała tam, w pozie, którą w innych okolicznościach z pewnością nazwałbym seksowną; jedną dłoń miała wspartą na biodrze, w drugiej zaś, spuszczonej wzdłuż bioder, trzymała moją Berettę, którą tak nierozważnie zostawiłem w kurtce.

- Więc mamy zagrać w otwarte karty? - zapytałem, nie spuszczając wzroku z pistoletu. - W porządku. Skoro tak stawiasz sprawę, skoro grozisz mi bronią, mogę mieć całkowitą pewność, że mam rację. Zapytam więc wprost... Po co to robiłaś? Dlaczego?

Małgorzata Kuśnierczyk eksplodowała opętańczym śmiechem, łapiąc się za zębra, krztusząc się i prychnając, z wypisanym na twarzy obłędem (to tyle, jeśli chodzi o dobroduszną społecznicę).

- Dlaczego? Przecież to takie proste...

Śmiała się dalej, nie potrafiła powstrzymać rechotu, jakby usłyszała najlepszy żart swojego życia.

- Z dwóch powodów, detektywie - powiedziała z pogardą w głosie. - Dla pieniędzy, to po pierwsze. A po drugie, bo mogłam.

I śmiała się dalej. Włożyłem ręce do kieszeni i starałem się zebrać myśli. W tej chwili byłem na łasce szaleńca i miałem dwa wyjścia: zginąć, nie wiedząc, skąd zrodziło się to szaleństwo, bądź zginąć z wiedzą o wydarzeniach zarówno z poprzednich tygodni, jak i sprzed pięciu lat.

Opcja „B” była jedyną słuszną.

- Cóż, skoro i tak najwyraźniej zamierzasz się mnie pozbyć... możesz przynajmniej opowiedzieć mi co nieco, nieprawdaż?

- Być może, być może... - zaśmiała się szyderczo, machając pistoletem. - A co szanowny pan detektyw chciałby wiedzieć?

- Może od początku, co ty na to? Jak to było naprawdę, z tą „rzezią niewiniątek”?

- Ciebie też bawi ta nazwa, prawda? Kretyni... Wiesz co, detektywie? Może opowiem ci wszystko ze szczegółami? Do tej pory nikomu o tym nie mówiłam, nawet mój mężulek nie wie nic o tym, co mogę ci teraz opowiedzieć. Chcesz posłuchać? Poznać historię małej dziewczynki?

- Bardzo chętnie, Małgorzato. Może da mi to lepszy osąd, dlaczego teraz robisz to, co robisz.

Odpowiedział mi szydrczy śmiech.

- Faktycznie... Dobrze, opowiem ci, detektywie. Opowiem ci o małej dziewczynce, żyjącej samotnie z matką w małym, zapuszczonym mieszkanku w starej, podupadłej kamienicy, na naprawdę paskudnym osiedlu. Tą małą dziewczynką byłam ja. Nie było to najszcześniejsze dzieciństwo, ani najszcześniejsze osiedle. Nie będę cię zanudzać sentymentami, opowiem ci główną część historii. W tamtych czasach, jak dzieci były niegrzeczne, to straszło się je Babą-Jagą. Ale nie na naszym osiedlu, o nie. U nas mówiło się: „Bądź grzeczna, bo cię Bozia pokarze”. Tak mówiły matki swoim małym córeczkom, kiedy te były niegrzeczne. Bo widzisz, Bozia był starym pedofilem. Tak wołali na włóczącego się po osiedlu mężczyznę z gęstą brodą, od którego zawsze śmierdziało. Wszystkie dzieci uciekały od niego z daleka, gdy tylko go widziały. Tylko widzisz, ja nie miałam tyle szczęścia, bo Bozia był bratem mojej matki i bywał u nas w domu regularnie. Mój ojciec zachlał się na śmierć tuż po moim urodzeniu, więc Bozia często pomagał siostrze zajmować się dzieckiem. Szczególnie lubił te dni, kiedy opiekował się swoją malutką siostrzenicą, jak matki nie było w domu. O tak, Bozia lubił swoją malutką siostrzenicę. Lubiał bawić się w „kotka i myszkę”, jak to nazywał. Jego ręka była kotkiem, a myszka zawsze była między moimi nogami.

Zrobiła pauzę, a ja złapałem się na tym, że słucham jej opowieści jak zahipnotyzowany. Chciałem, żeby mówiła dalej.

- Kiedy miałam pięć lat, wujek zmienił zabawę i zamiast ganiać myszkę ręką, rozbierał mnie, kładł na łóżku i gwałcił. Czasem wkładał mi swojego kutasa do buzi i głaskał mnie, mówiąc: „Grzeczna dziewczynka, poliz ptaszka Bozi”. Krzyczałam tylko na początku, potem pojęłam, że muszę to robić. Może nawet uznałam to... za normalne?

- A co na to twoja matka, nic jej nie powiedziałaś? - zapytałem zszokowany.

- Moja matka? - parsknęła śmiechem kobieta. - Kiedy wracała do domu, pozwalała się rznąć swojemu braciszкови jak stara kurwa. A on jej opowiadał, jaka to jej córeczka była dzisiaj ciasna.

Nie wierzyłem własnym uszom, lecz słuchałem dalej, choć czułem nabrzmiewające niczym ropny bąbel obrzydzenie, zmieszane z mimowolnym współczuciem.

- A jak znalazłaś się w tamtym miejscu, tam, w Niemczech?

- Moja kochana mamusia mnie sprzedała, detektywie. O tak, potrzebowała pieniędzy, żeby utrzymać siebie i swojego obleśnego braciszka, z którym pieprzyli się jak króliki. Był wściekły, kiedy się dowiedział, że traci swoją małą siostrzenicę.

O tak, był bardzo wściekły. Do dziś pamiętam, co mi wtedy zrobił jako „prezent pożegnalny”. Przez tydzień nie mogłam chodzić prosto, wiesz, detektywie?

Wzięła głęboki oddech i kontynuowała opowieść, nerwowo potrząsając Berettą, krążąc po pokoju, lecz trzymając mnie cały czas w zasięgu wzroku.

- Nie muszę ci chyba opowiadać o latach spędzonych w burdelu dla pedofilów, prawda? Jesteś w stanie sam sobie wyobrazić. W zasadzie nie różniło się to za bardzo od zwykłych burdeli, tylko obsługa była dużo młodsza.

Wybuchnęła opętańczym śmiechem po raz kolejny, lecz szybko się uspokoiła. Przypominało to narastającą histerię.

- Wiesz... kiedy przychodziły do mnie kobiety, bywało całkiem przyjemnie, zwłaszcza kiedy podrosłam. Nawet doprowadzały mnie do orgazmu, bardzo mi się to podobało. Mężczyźni nie byli tacy dobrzy; przychodzili, wkładali swoje nabrzmiące, obleśne członki, obmacywali moje nieistniejące piersi, lizali je, po czym wychodzili, robiąc miejsce następnym. Coś zbladłeś, nie podoba ci się historia?

- Dlaczego... czym była tak naprawdę „rzeź niewiniątek”? - zapytałem, wstrzymując oddech w oczekiwaniu na odpowiedź.

- Czym była? - zaśmiała się Kuśnierczyk. - Biznesem, drogi detektywie, biznesem. Kiedy wyrwałam się z tamtego burdelu, nie układało mi się w życiu najlepiej. Byłam bardzo biedna, a jedyne, co potrafiłam dobrze robić, to dawać dupy. W wieku piętnastu lat miałam więcej doświadczenia niż większość najstarszych dziwek w branży. Robiłam więc to, co umiałam najlepiej, i jakoś się wiodło, aż kiedyś przypadkiem podsłuchałam, jak klient pytał jednej z dziewczyn, czy nie wie, gdzie może zabawić się z kimś... no wiesz... młodszym. Dziewczyna nie wiedziała, ja też nie, ale to podsunęło mi genialny pomysł. Dlaczego nie miałabym skorzystać z doświadczenia, jakie nabyłam przez dziesięć lat w Niemczech? Widziałam, jak wielu jest chętnych na takie zabawy. To była niezagospodarowana gałąź rynku, puste pole, które ja potrafiłam zapełnić. Moja własna żyła złota.

- Co zrobiłaś?

- Jak to co? Zaczęłam szukać sobie klientów, oczywiście. W dobie rozkwitu Internetu okazało się to zaskakująco proste; nigdy w życiu nie spodziewałam się znaleźć takich rzeczy w sieci, a jednak odzew na moją propozycję był natychmiastowy, od przeróżnych ludzi: lekarzy, prawników, biznesmenów... Odezwał się nawet jeden biskup. To na jego prośbę wszystko odbyło się w tej kapliczce. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak ciężko było to wszystko

zorganizować, zwłaszcza nagrzewnice, żeby im dupiska nie zamarzyły. Ale biskup był zadowolony, o tak... Chyba chciał w ten sposób odprawić pokrętną formę czarnego sakramentu, musiał zdrowo o tym fantazjować. Do tego mieliśmy dokładnie trzynastkę uczestników i trzynastkę dzieci, no rytuał jak znalazł. Reszcie towarzystwa to nie przeszkadzało, więc wszystko odbyło się w kapliczce.

- A skąd wzięłaś dzieci? Nie wierzę, że sama porwałaś tyle maluchów...

- Sama? Nie, nie sama. Pomagał mi mąż tej całej Moniki Kropisz.

- Dlaczego?

- Jak to dlaczego, detektywie? Dla pieniędzy, oczywiście. Ja potrzebowałam pomocy, on potrzebował pieniędzy, to takie proste. Płaciłam bardzo dobrze, bo klienci wpłacili sowite zaliczki. Biedny Andrzejek chyba się we mnie podkochiwał... Raz nawet dałam mu się przelecieć, był wtedy najszcześliwszym człowiekiem na świecie.

Jej głos przybierał barwę przedrzeźniającego, dziecięcego szczebiotania, by znów stać się szpikulcem lodu. Brzydziłem się nią, lecz musiałem poznać całą prawdę, do końca.

- Dlaczego dzieci miały wycięte serca? Dlaczego w ogóle je zabiliście?

- Ha, ha, ha, ha, to jest ta zabawniejsza część tej historii - odparła Magłorzata, zaśmiewając się do łez. - Policja przez tyle lat wierzyła, że to jakiś rytuał, może sekta religijna, może duchy? Nie patrz tak na mnie, mam swoje źródła, detektywie - powiedziała, widząc moje zdumione spojrzenie. - Prawda jest o wiele mniej skomplikowana i dość nudna. Jeden z klientów był kardiochirurgiem i wymyślił, że taka okazja na darmowe dziecięce serduszka na eksport może się nie powtórzyć. Podzieliliśmy się pół na pół. Za moją część zbudowaliśmy ten dom, wiesz, detektywie?

Kuśnierczyk wciąż zanosila się urywanym, histerycznym śmiechem, a moje dłonie zaczęły drżeć z wściekłości. To była prawda. Niechciana, brutalna, naga do kości prawda.

Fanaberia.

To fanaberia była przyczyną śmierci trzynaściorga małych dzieci, które miały przed sobą całe życie. To przez fanaberię bogatych śmieci te dzieci zostały najpierw do szczętu odarte z człowieczeństwa, a następnie zabite jak prosięta, wypatroszone i przeznaczone na handel. Myliłem się przez te wszystkie lata.

„Rzeź niewiniątek” była jak najbardziej słuszną nazwą.

- Chcesz słuchać dalej, czy już masz dość? - zaszydziła kobieta, wciąż bawiąc się pistoletem, jakby chciała mi przypomnieć, że nie zostało mi wiele czasu.

Skinąłem tylko głową na znak, że chcę. Dłonie wciąż trzymałem zwinięte w pięści, starając się opanować ich drżenie.

- To był ogromny zastrzyk gotówki, nie powiem. Ale takie przedsięwzięcie było zbyt skomplikowane do zorganizowania. Poza tym... cały ten szum, media, policja i w ogóle... Kolejna taka akcja mogła skończyć się bardzo źle. Zaczęłam więc realizować pojedyncze zlecenia. Ja dostarczałam dzieci klientom, oni przelewali mi pieniądze na konto. To, co robili z maluchami już po wszystkim, mnie nie obchodziło. Z tego, co wiem, większość z nich trzymali jakiś czas, a potem albo wyrzucali ze swoich domów, albo zabijali. Krótco po „rzezi” poznałam Arka, a wtedy wszystko stało się prostsze...

- On wie? Wie, czym się zajmowałaś? Czym nadal się zajmujesz?

Jeśli poprzedni śmiech był śmiechem szaleńca, to nie wiedziałem, jak określić ten, którym wybuchnęła w tamtej chwili. Przypominał skowyt hieny. Było w nim coś pierwotnego.

- A jak wyobrażasz sobie ukrycie czegoś takiego przed kimś, z kim spędzasz niemal całe dni i dzielisz łóżko, detektywie? Małżeństwa mają swoje tajemnice. O tak, Arek okazał się ogromną pomocą. To on wybierał dzieci, które ja później sobie... pożyczalam.

- On też ma tak obrzydliwe upodobania? - zapytałem zdeglustowany.

- Arek? Nie, Arek nigdy nie brał w tym czynnego udziału, choć chętnie przygarniał na konto pieniądze z mojego małego „interesu”. Jednak nie będę kłamać, Arek też ma pewną słabość... Bardzo lubi bawić się z Marcelinką w „kotka i myszkę”.

- A ty na to pozwalasz? - zapytałem zdumiony i wzburzony do ostatnich granic.

- Przecież to twoja córka, na litość Boską!

- Oboje są adoptowani, jeśli chcesz wiedzieć, detektywie. A dlaczego miałabym nie pozwalać? Ja lubię czasami possać ptaszka mojego małego Natanka, a Arek lubi się bawić z Marcelinką. Jednak nigdy jej nie włożył, o nie. Od tego ciągle ma mnie.

Gdyby nie pulsująca w żyłach adrenalina, chyba zwymiotowałbym na podłogę, słysząc takie wyznania, wypowiedane tonem, jakim normalni ludzie opowiadają o tym, co jedli na obiad. Pełnym obojętności, jakby to, o czym mówiła, było najnormalniejszą rzeczą na świecie. Chciałem krzyczeć.

- A teraz? Co stało się teraz, że nagle zaczęło ginąć tyle dzieci? - zapytałem, coraz wyraźniej dygocząc z wściekłości.

- Cóż mogę rzec, wzmożony ruch w interesie - wzruszyła ramionami

Kuśnierczyk. Miałam tyle zamówień, że czasem musiałam prosić o pomoc z zewnątrz, czasem nawet takich patałachów, jak ten woźny z „Pszczołki”... Stary pierdoła spanikował tuż przed oddaniem mi małej, więc musiałam mu zamknąć buzię.

- A Marysi dorobić drugi uśmiech na szyi? - warknęłam przez zaciśnięte zęby.

- Wiedziała, kto ją zabrał z przedszkola i na pewno powiedziałaaby o tym policji.

To było jedyne wyjście.

- A co z resztą dzieci? Co z tymi, które znaleźliśmy martwe w ostatnim tygodniu?

- A, to? Moi klienci chyba byli odrobinę nieostrożni. Mówiłam im, żeby pozbywali się zwłok jak najdalej od Miasta, ale chyba byli na to zbyt leniwi... Zwłaszcza jeden, były lekkoatleta, ze szczególnymi ciętami do chłopców. Słyszałam, że solidnie potrzaskał swoje nabytki. Ostatnio w końcu trafił się jeden, który potrafił po sobie posprzątać i wywiózł zwłoki do krematorium znajomego. Ale to był wyjątek.

- A ta dziewczynka w kaplicy? Zostawiłaś ją związaną i zakneblowaną na całą noc, ty suko.

- Wyrażaj się, detektywie, bo ci odstrzelę twoje jedyne źródło przyjemności - zagroziła kobieta, unosząc broń. - A co miałam z nią zrobić? Przywieźć tutaj, skoro policja przyjechała węszyć koło Arka? Niedawno znalazłam ten stary klucz w szpargałach w gabinecie, to pomyślałam: dlaczego by nie go nie użyć? Jednak ty musiałeś się napatoczyć, prawda? Gdyby nie ty, ta mała już dzisiaj byłaby u bogatego prezesa firmy, a ja byłabym bogatsza o pół miliona.

W jej oczach błyskały złowrogie iskierki. Świadomość straty gotówki działała na nią bardziej niż aresztowanie męża, nie wspominając o tym, co zrobiła niezliczonej ilości małych dzieci. Przy perspektywie straconych pieniędzy to wszystko było błahe i nieistotne.

Wciąż się trząsałam od nadmiaru adrenaliny, z czystej wściekłości i obrzydzenia. Gdybym tylko mógł, rozszarpałbym tę kobietę gołymi rękami, kawałek po kawałku, napawając się jej cierpieniem.

- Chcesz wiedzieć coś jeszcze, detektywie, czy już mogę odprawić cię na tamten świat? - zapytała, odbezpieczając Berettę. - Widzisz, spieszę się, a przecież będę musiała jeszcze posprzątać po tobie.

Podszedłem dwa kroki bliżej, nie bacząc na ostrzegawcze spojrzenie Kuśnierczyk.

- Tak, jest jeszcze jedna rzeczy. Coś, co nie daje mi spokoju, a jakoś o tym nie

chciałaś opowiedzieć. Co stało się z Andrzejem Kropiszem i jego dziećmi, co?

Popatrzyła na mnie zdumiona, jakby nie wiedziała, o co mi chodzi. Po chwili chyba do niej dotarło (niemal zobaczyłem kreskówkową żarówkę zapalającą się w białym dymku nad głową), ale nie zrobiło na niej żadnego wrażenia, bo tylko wzruszyła ramionami.

- Pozbyłam się go, irytował mnie.

- Dlaczego?

- Ależ jesteś nudny, detektywie. Wciąż tylko „dlaczego” i „dlaczego”. Bo tak! - wykrzyknęła z uśmiechem. - Satysfakcjonuje cię taka odpowiedź?

- Nie, wybacz, ale nie satysfakcjonuje mnie wcale. Co się z nim stało?

- Skoro już musisz wiedzieć... Któregoś dnia, tuż przed umówioną datą, przyszedł do mnie ze swoimi bachorami i powiedział, że chce ze mną wyjechać, że powinniśmy razem uciec, rozpocząć nowe życie; paplał same bzdury. Miałam rozpocząć nowe życie z nim, podczas gdy na koncie leżało już kilka milionów? Uciekać? Niby od czego? Jednak udałam zakochaną podlotkę i się zgodziłam. Powiedziałam mu, że najpierw muszą na mnie poczekać w motelu pod Miastem, a ja przyjadę do nich, jak tylko zamknę parę spraw. Jechaliśmy moim samochodem do motelu, a on wciąż gadał i gadał, a jego dzieciaki zachowywały się nieznośnie głośno na tylnych siedzeniach. Gadał takie bzdury, że aż robiło mi się niedobrze, do tego jeden z bachorów bez przerwy pytał, kiedy będziemy, a drugi zaczął jęczeć, że chce do matki. Kiedy już myślałam, że ten cały Kropisz nie może zirytować mnie bardziej, on zamiast opieprzyć drące się bachory, zaczął uspokajać je tonem, jakim mówi się do niemowlęcia. Nie wytrzymałam. Czułam, że jeśli powie cokolwiek więcej, przypłacam to migreną, więc kiedy zbliżyliśmy się do zakrętu przy rzece, zatrzymałam się, wyciągnęłam swój mały pistolecik z torebki i strzeliłam mu trzy razy w szyję. Koniec historii.

- A co zrobiłaś z ciałem?

- A, ciało... zamknęłam drące mordy dzieci w aucie, a ciało zwyczajnie zaciągnęłam do rzeki. Nikt nigdy nie znalazł zwłok, bo prąd porwał je zapewne z dala od Miasta.

- A co z dziećmi? - zapytałem cicho.

Nagle powietrze wokół jakby zafalowało, a atmosfera zgęstniała. Zrobiło się też znacząco zimniej, jakby ktoś nagle obniżył temperaturę o dziesięć stopni. Małgorzata Kuśnierczyk zdawała się niczego nie zauważyć i kontynuowała opowieść tym samym szyderczym tonem, od którego każdego trafiłby szlag.

- Myślałam, że uda się je sprzedać, więc nie strzeliłam im w łeb w tym samym



miejscu, co ich ojcuzkowi, ale zawiozłam z powrotem. Pojechaliśmy do kapliczki; było już bardzo późno, więc nikt nie kręcił się po parku. Te bachory były tak głośne... Nie wytrzymałam i w samym parku przestrelałam im te cholerne mordy.

Zaśmiała się po raz kolejny, tym razem naprawdę jak szaleniec, który oddał swoją ostatnią szarą komórkę za kawałek chleba.

- Co zrobiłaś z ciałami?

- Oj, wrzuciłam do kapliczki. Nie chciało mi się kopać, a wcześniej odkryłam malutką kryptę pod ołtarzem. Wrzuciłam je tam, trochę się martwiąc, że zaczną gnić, ale chyba było na to za zimno. A tamci debile gwałcili potem dzieci na tym ołtarzu, zupełnie nie zdając sobie sprawy, że pod spodem leżą trupy, ha, ha, ha, ha!

Po raz kolejny jej śmiech przypominał odgłosy hieny; Kuśnierczyk zanosila się nim jak podczas jakiegoś ataku, jej ciałem wstrząsały spazmy, jednak ona śmiała się dalej.

W jej oczach błyskało czyste, nieskażone niczym szaleństwo, jeśli można oddać to wszystko tak pospolitym słowem.

Chciałem się na nią rzucić i skrócić jej kark jednym płynnym ruchem, jednak chyba wyczuła moje intencje, bo tylko pogroziła mi lufą Beretty, wciąż się zaśmiewając.

- Ani... mi... się... wa... waaaaż... de... detektywie. Bo zabiję jak psa, a tak dobrze się nam rozmawia.

Śmiała się dalej, a ja czekałem na swój koniec, na pocałunek pocisku kaliber 9 mm, który ostatecznie wymazałby moją obecność. W tej chwili jednak temperatura w pomieszczeniu opadła jeszcze bardziej, a Małgorzata Kuśnierczyk przestała się śmiać i spoglądała na coś za moimi plecami, krztusząc się.

Na jej twarzy odmalowywało się skrajne przerażenie.

- Ccco... coo... cccooo to jest?!

Obróciłem się szybko, lecz czułem, co tam zobaczę, jeszcze zanim to ujrzałem.

Monika Kropisz stała tam, niespełna dwa kroki za mną, wydzielając duszącą woń rozkładu z rozpadających się, przegniłych zwłok. Upiór ruszył powolnym krokiem w stronę Małgorzaty Kuśnierczyk, a ja stałem jak sparaliżowany, będąc w stanie tylko się przyglądać.

- *Zabiłaś... moje... dzieci.*

Głos upiora był szorstki, niski, jakby przysypany ziemią, niczym głosy z moich koszmarów.

- Idź precz! Przepadnij, zgiń!

Przerażona do ostatnich granic Kuśnierczyk chwyciła pistolet oburącz i celując na oślep oddała serię strzałów w kierunku kroczącej ku niej zjawy. Większa część z nich porozbijała drogocenne wazy i zastawy stołowe w aneksie kuchennym; te, które trafiły, nie wywarły na upiorze żadnego wrażenia.

- *Zabiłaś je. Zabiłaś moje dzieci. Teraz ja, teraz ja zabiję ciebie i pociągnę cię za sobą do piekła. Będziesz cierpieć, o tak... będziesz cierpieć.*

Ogłuszający pisk kobiety, która upodliła i pozbawiła życia niezliczoną liczbę dzieci, rozdarł powietrze, a po nim nastąpiła seria błagalnych, cierpiętniczych krzyków, jakby ktoś odzierał ją ze skóry, choć nie wyglądało na to, żeby cokolwiek złego działo się z jej ciałem.

- Neeee! Neeee! Błagam, nieeee! Detektywie! - krzyknęła, patrząc w moją stronę. - Detektywie, błagam! Nie pozwól jej mnie tam zabrać! Nie! Nee!

Krzyk urwał się nagle, jak urywa się muzyka w radiu, gdy zabraknie prądu.

Małgorzata Kuśnierczyk była martwa.

Cokolwiek pokazała lub zrobiła jej Monika Kropisz, wystarczyło to, by odeszła w męczarniach. Chociaż jeśli upiór mówił prawdę, czekała ją o wiele gorsza wieczność.

I bardzo dobrze.

Stałem wciąż sparaliżowany strachem. To cud, że nie popuściłem, obserwując tak drastyczną scenę. Upiór wciąż stał na środku pokoju, wpatrując się w leżące na podłodze ciało. Stał tak przez długą chwilę, a ja stałem wraz z nim, słysząc, jak moje serce łomocze o mostek.

- *Widzę twoje serce, detektywie* - odezwał się w końcu upiór, a w tym głosie czaiła się groźba.

- *Moniko...* - zacząłem, lecz nie dane mi było dokończyć.

- *Odnajdź ich ciała... i zwróć je niebu.*

W tej samej chwili temperatura wróciła do normy, a zjawy zniknęła.

# ROZDZIAŁ XVIII

## I

Dorota siedziała w małym pokoju w domu ciotki Beaty, coraz bardziej zaniepokojona. Pogoda na zewnątrz nie miała z tym niepokojem nic wspólnego.

Tomasz nie zadzwonił.

Od jego pierwszego telefonu minęła już ponad godzina, było już po jedenastej, a on wciąż nie dawał znaku życia. Próbowwała nawet do niego zadzwonić, lecz z powodu szalejącej burzy nie było zasięgu.

Myślała o tym wszystkim, o czym rozmawiali poprzedniego wieczoru. O Małgorzacie Kuśnierczyk. A co, jeśli Tomasz miał co do niej rację? Co jeśli właśnie pojechał sam rozmawiać z wyrachowaną, brutalną morderczynią i porywaczką dzieci?

Ponownie spróbowała zadzwonić, lecz telefon uparcie odmawiał współpracy.

W końcu nie mogła wytrzymać. Zbiegła na dół, gdzie jej ciotka, która zrobiła sobie dziś wolne, krzątała się w kuchni.

- Ciociu, czy podrzuciłabyś mnie na główną komendę policji?

Ciotka spojrzała na nią znad zmywanych naczyń ze zdumieniem.

- Na komendę? Po co? Stało się coś złego?

- Ciociu, proszę, muszę się natychmiast zobaczyć z komisarzem Dąbrowskim.

- Nie możesz do niego zadzwonić?

- Przecież dobrze wiesz, że nie ma zasięgu. Ciociu, proszę, to naprawdę ważne...

- Dobrze, już dobrze, zaraz cię zawiozę, tylko opłucz te naczynia.

- Dziękuję, ciociu. - Dorota podbiegła do niej i ucałowała w policzek.

- Oj, przecież to nic takiego, skoro to ważne, to nie mogę ci przecież odmówić?

- odparła radośnie ciotka. - Ubieraj się, zaraz będę gotowa.

Dorota narzuciła na siebie przywiezioną przezornie z domu kurtkę przeciwdeszczową, naciągnęła adidas i stała przy drzwiach, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę.

- Już idę, Dorotko! - zawołała ciotka, biegnąc po dolnym poziomie swojego

domu w poszukiwaniu kluczy do samochodu. – O, tu są! – wykrzyknęła tryumfalnie i stanęła w korytarzu.

Narzuciła tylko płaszcz, ubrała buty i wyszły obie na zewnątrz, gdzie panujące od rana pandemonium w końcu zaczęło się nieco uspokajać. Burza przetaczająca się przez obrzeża Miasta zdawała się oddalać, choć na niebie wciąż można było dostrzec przenikające chmury zygzaki błyskawic.

Wsiadły do samochodu, a ciotka włączyła ogrzewanie, co odrobinę podniosło ją na duchu (to zabawne, jak w obliczu lęku najbardziej pierwotne potrzeby przynoszą największą pociechę).

Wycieraczki młóciły przednią szybę, a ciotka Beata spokojnym tempem pokonywała kolejne ulice. Ruch uliczny był dziś ślimaczy, jednak nie można było nikogo winić; widoczność wciąż była zerowa, a ulice skąpane w wodzie do wysokości chodnika. Dorota śmiała się mimowolnie, słysząc, jak ciotka klnie pod nosem na warunki atmosferyczne i wszystkich kierowców, którzy nie potrafili sobie z nimi radzić.

Pomimo warunków na drodze dość szybko dotarły pod komendę. Ciotka zaparkowała przed blokiem A i spytała Doroty:

– Czekać na ciebie?

– Nie, ciociu. To może chwilę zająć. Poproszę później komisarza Dąbrowskiego, żeby podrzucił mnie do domu – odparła Dorota, wysiadając z samochodu.

– No dobrze, tylko uważaj na siebie, tak?

– Ciociu, to jest posterunek policji. Gdzie będę bezpieczniejsza niż tam?

– No dobrze, dobrze, już cię nie zatrzymuję. Papa. – Pomachała na pożegnanie Dorocie, po czym wrzuciła wsteczny bieg i pojechała z powrotem do domu.

Dorota zaś pobiegła szybko w stronę bloku D, bo deszcz, choć łagodniejszy niż jeszcze godzinę temu, wciąż zacinał i był nieprzyjemnie lodowaty; bardziej przypominał jesienne, gęste mżawki niż ciepłe, wiosenne deszcze, które jeszcze powinny były spadać z nieba.

Nacisnęła na guzik interkomu.

– Słucham, w jakiej sprawie? – odezwał się ciepły, męski głos.

– Dorota Lutowska, ja do komisarza Dąbrowskiego.

Zabrzęczała elektronika zamka i Dorota weszła do środka. Znow znalazła się na korytarzu pokrytym szpitalną zielenią. Podeszła do szyby, za którą siedział portier i zapytała.

– Komisarz w 114?

– Powinien tam być, chociaż mógł już pójść do pokoju przesłuchań. W razie

czego to piętro wyżej, w 210.

- Dziękuję.

Szybkim krokiem ruszyła po schodach na górę, kierując swoje kroki ku pokojowi, w którym miała nadzieję zastać Dąbrowskiego. Czowała się nieco zagubiona w tym gąszczu wyrastających po obydwu stronach korytarza drzwi, jednak parła do przodu, mijając kolejne numery.

105, 106, 107, 108...

Drzwi na wprost niej po prawej stronie były otwarte i okazały się tymi właściwymi. Przyspieszyła kroku, niemal wbiegając do otwartego pomieszczenia.

- O, Dorota, co cię tu sprowadza?

Stanęła jak wryta, nieco zdezorientowana. Za biurkiem, gdzie powinna była zobaczyć jowialną twarz Dawida Dąbrowskiego, siedział Roman Leśniak.

- Gdzie jest komisarz Dąbrowski? - zapytała, nieco zdyszana.

- Musiał na chwilę wyjść, uzupełniam za niego papiery - odparł praktykant, unosząc w górę stosik kartek. - Coś pilnego?

- Tak, bardzo. Muszę się z nim natychmiast zobaczyć.

- Niestety, to niemożliwe, komisarz pojechał na bardzo ważne spotkanie.

- Ale ja muszę z nim porozmawiać! - krzyknęła Dorota, chwilę później spuszczać wzrok, zawstydzona. - Przepraszam. Po prostu... to jest naprawdę ważne.

Leśniak mierzył ją wzrokiem. Całe szczęście, dziewczyna tego nie zauważyła, gdyż był to wzrok wygłodniałego psa, lustrującego smakowicie wyglądający kawałek mięsa przed pożarciem go. Kiedy podniosła głowę, ten natychmiast przeniósł wzrok gdzie indziej, a potem na jej twarz.

- Co powiesz na to: usiądź, zaparzę ci kawy lub herbaty, a potem pójdę do dyspozytora, żeby skontaktował się z komisarzem?

- Do... dobrze.

- Kawy, herbaty?

- Nie wiem... Kawy.

- Dobrze, za chwilę wrócę. Usiądź tu, poczekaj na mnie.

Leśniak wyszedł, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Dorota siedziała, przebierając nogami i wyłamując sobie palce. Musiała natychmiast porozmawiać z Dąbrowskim. Tomasz mógł być w prawdziwym niebezpieczeństwie, a ona utknęła tu z obleśnym praktykantem, który zaproponował jej kawę, na którą ona wcale nie miała ochoty. Zgodziła się tylko dla zasady, a może z wrodzonej uprzejmości. Miała nadzieję, że Leśniakowi faktycznie uda się skontaktować

z Dąbrowskim.

Roman Leśniak wrócił do pokoju, trzymając w dłoniach dwa duże kubki kawy, które postawił na biurku, przy okazji wylewając nieco zawartości swojego. Dorota wyraźnie widziała, jak drżały mu ręce; nie wiedziała, czy to z nerwów, czy może coś innego było powodem tej reakcji organizmu.

- Komisarz Dąbrowski powinien tu być za jakieś piętnaście, dwadzieścia minut, zajrzy do ciebie, zanim pójdzie przesłuchać Arkadiusza Kuśnierczyka. Prosił mnie, żebym przez ten czas dotrzymał ci towarzystwa - powiedział, podchodząc do drzwi.

Wychylił głowę na korytarz, rozejrzał się w lewo, w prawo, po czym zamknął drzwi i odwrócił się do Doroty.

- To co, może opowiesz mi coś o sobie?

Dłonie drżały mu coraz bardziej.

## II

Dawid Dąbrowski siedział w tym czasie w pokoju przesłuchań, gdzie przygotowywał sobie w głowie pytania, które powinien zadać Kuśnierczykowi. Od czasu do czasu notował coś na leżącej przed nim kartce papieru. Przesłuchanie miało rozpocząć się za pięć minut.

Myślał, że Tomasz się zjawi, lecz z jakiegoś powodu jeszcze go nie było. Dawid nie sądził, żeby Radziejowski przepuścił taką okazję, więc odrobinę się niepokoił. Próbował nawet do niego zadzwonić, lecz telefony w całym Mieście straciły dziś zasięg, jakby przetaczająca się burza uszkodziła wszystkie wieże z przekaźnikami.

- No nic, trzeba zaczynać... - mruknął sam do siebie.

Nacisnął na interkom i powiedział do stojącego w pomieszczeniu obok strażnika, żeby przyprowadził Kuśnierczyka.

„Magnat”, wyglądający żałośnie po niespełna dwudniowym areszcie (taki twardziel), wszedł do pokoju przesłuchań i zasiadł naprzeciw Dąbrowskiego wraz ze swoim, ubranym w lśniący, czarny garnitur i pachnącym drogimi perfumami, adwokatem (drogi i twardy typ, potrafiący wybronić nawet największe szumowiny).

Z czystej grzeczności Dawid uścisnął mu dłoń, po czym odezwał się do Kuśnierczyka:

- Panie Arkadiuszu, prokurator chce postawić panu zarzuty porwania,

usiłowania zabójstwa oraz zabójstwa z premedytacją. Mam zadawać pytania, czy sam opowie mi pan, co wie na temat tych wszystkich zaginięć?

Kuśnierczyk zdawał się być kompletnie zrelaksowany.

A więc znalazłeś sobie pieska obronnego, co? – pomyślał Dąbrowski i jakby w odpowiedzi odezwał się adwokat:

– Po pierwsze, komisarzu, proszę zmienić ton. Mój klient jest poważaną osobą, należy mu się szacunek.

Poważaną. Jasne.

– Po drugie, mój klient odmawia składania zeznań, gdyż jest niewinny i nie ma pojęcia o sprawie, o której pan mówi. Do czasu postawienia mu zarzutów będzie odpowiadał na pytania tylko za moją zgodą i przyzwoleniem. Czy zrozumieliśmy się, komisarzu?

– Oczywiście, ma do tego pełne prawo. Jednak lepiej by było, gdyby z nami współpracował. Jeśli faktycznie nie ma z tym nic wspólnego, to po dzisiejszym przesłuchaniu zostanie zwolniony za kaucją, a w późniejszym czasie sąd oczyści go z zarzutów. Więc jak, panie Arkadiuszu?

Kuśnierczyk tylko spojrział na swojego adwokata, a ten natychmiast zwerbalizował jego gest.

– Mój klient nie będzie odpowiadał na żadne pytania, dopóki nie zostaną mu postawione zarzuty. Do tego czasu może pan porozmawiać ze mną.

Nagle za plecami Dawida huknęły otwierane drzwi.

– A może ze mną będziesz chciał pogadać, co, Kuśnierczyk?

Tomasz stał tam, przemoczony do suchej nitki i blady na twarzy jak kartka papieru. Na jego twarzy widać było furję pomieszaną z obrzydzeniem.

– Kim pan jest?! – zapytał oburzony adwokat. – Jak pan śmie zwracać się takim tonem do mojego klienta? Zaskarżę pana, zobaczy pan...

– Doprawdy? – zapytał mrozącym krew w żyłach, cichym tonem detektyw, a adwokat natychmiast umilkł, jakby wyczuł prawdziwość groźby. – A może najpierw coś ci pokażę, adwokacino. Nie wybronisz swojego klienta. Gdybyśmy żyli w innym kraju, czekałaby na niego strzykawka z trucizną.

Tomasz podszedł do stołu, ignorując zdumione spojrzenie Dawida, i postawił na nim dyktafon.

– Przewinąłem specjalnie do najbardziej interesującego nas w tej chwili fragmentu, niech pan dobrze posłucha. To koniec, Kuśnierczyk – zwrócił się do „Magnata”. – Twoja żona opowiedziała mi wszystko, a ja mam to nagrane.

– Moja żona? – odezwał się w końcu Kuśnierczyk tonem człowieka, który nie do

końca wie, o co chodzi.

- Posłuchajmy tego nagrania, Tomasz - powiedział Dąbrowski.

Tomasz wcisnął przycisk „play” i z miniaturowego głośniczka popłynął całkiem wyraźny głos.

- *On wie? Wie, czym się zajmowałaś? Czym nadal się zajmujesz?*

- A jak wyobrażasz sobie ukrycie czegoś takiego przed kimś, z kim spędzasz niemal całe dni, detektywie? Małżeństwa mają swoje tajemnice. O tak, Arek okazał się ogromną pomocą. To on wybierał dzieci, które ja później sobie... pożyczalam.

- On też ma tak obrzydliwe upodobania?

- Arek? Nie, Arek nigdy nie brał w tym czynnego udziału, choć chętnie przygarniał na konto pieniądze z mojego małego „interesu”. Choć nie będę kłamać, Arek też ma pewną słabość... bardzo lubi bawić się z Marcelinką w kotka i myszkę.

- Kotka i myszkę? - zapytał Dawid, zdziwiony.

- Taak i w wiele innych zabaw, prawda, Kuśnierczyk? Kotkiem jest twoja dłoń, a myszka zawsze jest między nogami twojej córki, nieprawdaż?

Tomasz mierzył siedzącego przed nim człowieka tak nienawistnym spojrzeniem, że Dawid dziwił się, że Kuśnierczykowi nie pali się skóra. Jego ostatnie słowa tak wstrząsnęły komisarzem i adwokatem, że w pokoju przesłuchań zaległa martwa cisza, którą zdecydował się przerwać Radziejowski.

- Małgorzata Kuśnierczyk przyznała się do wszystkiego. Nie patrz tak na mnie, panie adwokat. Twój klient dostanie dożywocie za współudział. I tak, dostaniesz całość tego nagrania. W swoim czasie. Będiesz mógł słuchać do woli, tylko weź przy okazji miskę na rzyganie, bo to, co tam usłyszysz, będzie prawdopodobnie najbardziej obrzydliwym zeznaniem, jakie dotąd słyszałeś.

- Ale...

- A jeśli chcesz się na coś przydać, to pozwól Kuśnierczykowi zadzwonić do przedszkola i szkoły, w których są jego dzieci. A ty, Dawid, wyślij ekipę do jego domu.

- Dlaczego? Co się stało? - zdziwił się Dąbrowski, a Kuśnierczyk uniósł złęczony wzrok, jakby domyślał się, co za chwilę usłyszy.

- Małgorzata Kuśnierczyk nie żyje. Jej dzieciom przydałaby się opieka.



### III

Dawid siedział przy stole w pokoju przesłuchań, wpatrując się we własne dłonie. Strażnik wyprowadził Kuśnierczyka, a Dąbrowski polecił mu przekazać dyspozytorni, żeby wysłała kryminalnych do domu „Magnata”.

Tomasz opadł ciężko na krzesło zajmowane uprzednio przez adwokata i spojrzał na przyjaciela, który najwyraźniej wciąż przetrawiał to, co usłyszał.

- Tobie też dam nagranie, oczywiście - odezwał się Radziejowski. - Jednak uwierz mi... nie będzie to przyjemne.

- Jakim cudem udało ci się to nagrać?

- Sam nie wiem, ale „cud” to dobre słowo - wzruszył ramionami Tomasz. - Zostawiłem dyktafon w kurtce na korytarzu, ale chyba go nie doceniłem, bo włączył się sam, gdy Kuśnierczykowa opowiadała mi swoją historię. Może to dzięki temu, że stała bliżej korytarza, a nie w głębi pokoju? Nie mam pojęcia... Tak czy inaczej, na tym nagraniu jest prawda. Nie taka, jaką życzylibyśmy sobie usłyszeć, Dawid, ale jednak... prawda.

- O „rzezi”?

- Nie tylko. O „rzezi”, o bieżących zaginięciach i o wielu innych, na których ślad policja nawet nie trafiła, lub które zostawały umorzone, a dzieci uznawane za zmarłe. Ta kobieta... mój Boże, za to, co zrobiła... Gdyby przeżyła, ludzie domagaliby się ukrzyżowania. Mówiąc szczerze, z przyjemnością bym na to popatrzył.

- Jak umarła? Zastrzelełeś ją?

- Nie. Niewiele brakowało, a ona zabiłaby mnie moim własnym pistoletem, który jak ostatni nowicjusz zostawiłem w kieszeni kurtki.

- Nie słyszałeś o kaburach?

Tomasz zaśmiał się i ucieszył, widząc, że jego przyjaciel w końcu odzyskuje humor.

- O tym, jak umarła, opowiem ci później. Sam jestem ciekaw, co wykaże sekcja zwłok... A tak swoją drogą, to gdzie masz Dorotę?

Dawid spojrzał na niego zaskoczony.

- Dorotę? A dlaczego miałyby tu być?

Tomasz zerwał się z krzesła.

- Portier powiedział, że przyszła tu jakieś dwadzieścia minut temu, podobno poszła prosto do twojego gabinetu?

- Tomasz, siedzę tu od prawie godziny, nie widziałem jej.

Radziejowskiemu to wystarczyło, żeby rzucić się do biegu. Wypadł na korytarz i przebijając się przez pracowników komendy, którzy nagle, dziwnym trafem wylegli ze swoich biur, pędził do pokoju numer 114, o mało nie zabijając się na schodach, na których ktoś rozlał kawę.

Piętro niżej było o wiele ciszej, więc jego kroki były tylko stłumionymi tupnięciami. Drzwi były wytłumione, więc spoza nich nie dobiegały żadne odgłosy. Tomasz dobiegł do 114, ostrym ruchem pociągnął za klamkę i wpadł do środka.

- Zostaw mnie, powiedziałam ci już, odwal się ode mnie! - krzyczała Dorota.

Tomasz błyskawicznie omiótł wzrokiem całą sytuację; Dorota stała w kącie, przyparta do ściany, a Leśniak jedną ręką ją do niej dociskał, drugą próbując dotykać jej ciała. Radziejowski dopadł do niego, potężnym szarpnięciem odrzucił do tyłu i celnym prawym prostym posłał na podłogę.

- Nic ci nie jest? - zapytał szybko Dorotę.

Ta tylko pokręciła głową, jednak widać było, że jest przestraszona.

- Ja... nie... - bełkotał powalony na ziemię Leśniak.

- Leżeć, psie! - warknął Tomasz, posyłając gramolącego się z podłogi praktykanta z powrotem na dywan wymierzonym w twarz kopniakiem.

Gdy zobaczył, że ten dalej próbował się podnieść, wyszarpnął z kieszeni swoją Berettę 92F, odbezpieczył, po czym nachylił się nad Leśniakiem.

- Mówiłem ci, że jeśli nie będziesz panować nad swoim popędem, to rozwalę ci łeb, prawda?

Roman Leśniak trząśł się ze strachu na podłodze, bełkocząc:

- Ja... ja przecie...

- Co, nic nie zrobiłeś? Tylko trochę za bardzo ci się podobała, prawda? Twój mały nie mógł tego znieść, co? Może ci go odstrzelę, co ty na to? Nie będzie ci sprawiać więcej problemów.

Leśniak rozpaczliwie kręcił głową. Na jego spodniach pojawiała się coraz większa, mokra plama. Tomasz odsunął się, z wyrazem obrzydzenia na twarzy.

- Patrzcie, jaki twardziel - powiedział wściekle. - Wiesz co, przez moment myślałem, że to ty gwałciłeś te wszystkie kobiety... Policja nie mogła dopaść zbrodniarza, bo szukała w złym miejscu, a ty wypisz wymaluj pasowałeś mi do roli seryjnego gwałciciela. Jednak nie powinienem lekceważyć swojego pierwszego wrażenia, Leśniak.

Praktykant patrzył na niego wzrokiem zbitego psa, nie rozumiejąc, co detektyw ma na myśli.

- Jesteś po prostu zbytnią ciotą, żeby zrobić coś takiego. Lejesz w gacie na

widok pistoletu, a pomyślałby kto, że tyle lat w ekipie technicznej powinno cię trochę uodpornić...

Radziejowski zabezpieczył broń i schował ją do kieszeni. W tej samej chwili do pokoju wpadł zdyszany Dąbrowski.

- Tomasz, co... - spojrzał na leżącego na ziemi Leśniaka i trzęsącą się w kącie Dorotę. - Co tu się, do cholery, stało?

- Zabierz to ścierwo z dywanu, Dawid. Gdyby to ode mnie zależało, najchętniej odstrzeliłbym mu łeb tu i teraz, ale wiem, że nie mogę. Wiesz co, przez moment myślałem, że to on gwałcił te wszystkie kobiety, ale jednak... nie. On nie umiałby zrobić czegoś takiego.

Odwrócił się do wciąż rozdygotanej ze strachu Doroty, podszedł do niej i pozwolił jej przywrzeć do siebie, starając się ją uspokoić, gładząc po włosach i tuląc jak najmocniej.

- Chodźmy stąd - wyszeptał jej do ucha, po czym wyprowadził ją na korytarz, a stamtąd zabrał ją prosto do swojego samochodu.

Nie myślał już o Leśniaku. Liczyła się tylko Dorota. Liczyło się tylko to, że już po wszystkim.

# ROZDZIAŁ XIX

## I

Odwiozłem Dorotę do domu ciotki, przez całą drogę starając się ją uspokoić, żeby wchodząc tam, wyglądała na w miarę opanowaną. Nie opowiadałem jej, co wydarzyło się w domu Kuśnierczyków, na to przyjdzie czas później. Pod domem ciotki pożegnałem ją pocałunkiem i odprowadziłem wzrokiem, dopóki nie weszła do środka.

Deszcz ustał, chociaż wciąż wiało. Wrócił zasięg telefonów, a nawet można było posłuchać radia. Włączyłem je na jedną z moich ulubionych stacji i ruszyłem w stronę Lasu Południowego.

Pozostała już tylko ta jedna rzecz. Ostatnie tchnienie tajemnicy, która prześladowała mnie przez ostatnich pięć lat.

Prawda o „rzezi niewiniątek” okazała się okrutna, o wiele bardziej, niż kiedykolwiek mógłbym przypuszczać.

Żyjemy w świecie, w którym ludzie wierzą, że wszystko ma swój cel bądź nie ma żadnego celu, jest tylko chaos. Ja znajdowałem się gdzieś pośrodku tej grupy, a to, czego dowiedziałem się dzisiaj, tylko mnie w tym utwierdziło.

Zawsze jest przyczyna. Niestety, ostatecznie przyczyna rodzi się z chaosu, fanaberii, mylnych przeświadczeń. Najprostsze odpowiedzi są zawsze najlepsze, nawet jeśli się nam nie podobają. Odpowiedź na dręczące mnie przez tyle czasu pytania, którą uzyskałem dzisiaj, była brutalna w swej prostocie; czułem, że sam do niej doszedłem już jakiś czas temu, lecz jej zrodzona z chaosu nagość nie pozwalała mi przyjąć jej do świadomości.

Fanaberia.

Czymże innym jest czynione celowo zło, jeśli nie fanaberią? Kaprysem małego dziecka, które nie może znieść myśli, że może nie dostać tego, czego chce, więc sięga po to mimo wszystko, nie bacząc na środki.

To właśnie fanaberia, chore fantazje i żądze doprowadziły do tak wielu tragedii, niszcząc tak wiele malutkich istnień. To najbardziej pierwotne instynkty stały za całym tym złem.

Małgorzata Kuśnierczyk z początku była tylko jedną z ofiar tych pierwotnych instynktów; później była tylko pośrednikiem. To ci, którzy mieli tak zbereżne i obrzydliwe potrzeby, byli prawdziwie winni.

Myślałem o tym wszystkim, o prawdzie, o okropnościach, które musiała przeżyć Małgorzata Kuśnierczyk. Czy jej współczułem? Tak. Ale nic nie usprawiedliwiało tego, co zrobiła, przenosząc swój ból na innych, zarażając cierpieniem niczym czarną febrą. Zasłużyła na los, który ją spotkał.

Nagle muzyka w radiu zamilkła, a zastąpił ją miękki, choć zdecydowany, kobiecy głos.

„Przerywamy audycję, aby nadać komunikat specjalny. Jak udało się nam ustalić, dziś rano policja zatrzymała sprawcę, który dopuścił się ponad piętnastu brutalnych gwałtów i mordów na młodych kobietach. Szczegóły wciąż pozostają nieznane, wiadomo jednak, że podejrzany jest klerykiem wyższego seminarium duchownego. Komenda główna zapowiedziała na godzinę osiemną konferencję prasową, na której zostanie podanych więcej informacji”.

Kleryk?

Policja naprawdę szukała w złym miejscu.

Zbliżałem się do Lasku Południowego. Zwolniłem jeszcze bardziej i zaparkowałem tuż przed wejściem do lasu, postanawiając przebyć resztę dystansu piechotą. Wsiadłem z wozu, zamknąłem drzwi i ruszyłem przed siebie, wbijając wzrok w ziemię, a dłonie trzymając w kieszeniach.

Po chwili stałem już na małym wzgórzu, u stóp którego niegdyś mieścił się cmentarz, po którym jedyną widoczną pozostałością była ta mała kapliczka, która dla mnie na zawsze miała pozostać symbolem koszmaru.

Podszedłem bliżej. Ostrożnie, niemal z namaszczeniem obszedłem mały budynek dookoła, przyglądając mu się ze wszystkich stron, jakbym chciał przejrzeć drzemiący w nim mrok. W końcu wszedłem do środka.

Prawie nic nie było widać; na zewnątrz wciąż było zbyt szaro, żeby jakiegokolwiek jaśniejsze promienie światła miały szansę wpaść do tego wnętrza przez jedyny w kapliczce witraż. Wyciągnąłem telefon i zapaliłem latarkę, oświetlając ponure wnętrze.

Po pracy policji nie było ani śladu. Taśmę sprzed wejścia zerwał szalejący wiatr, więc każdy mógł tu wejść, nie zdając sobie sprawy, czego ta kapliczka była świadkiem.

Mnie interesował tu już tylko jeden element. Byłem pewien, że nie będę potrzebował żadnych narzędzi. Podszedłem do prostego, drewnianego ołtarza,

obejrzałem go ze wszystkich stron, a potem chwyciłem za blat i podniosłem do góry.

Był niesamowicie ciężki; nie miałem pojęcia, jak Małgorzata Kuśnierczyk zdołała podnieść go sama, lecz musiało jej się jakoś to udać, gdyż pod spodem, zgodnie z jej słowami, zobaczyłem niewielką, kamienną pokrywę z wystającą z niej żeliwną obręczą.

Odsunąłem ołtarz nieco dalej, po czym wziąłem głęboki oddech, pochwyciłem obręcz żeliwną obręcz, odkładając telefon tuż obok, tak, żeby rzucał nieco światła na pokrywę. Z początku nie chciała ustąpić, zabezpieczona starością. Kilka silnych szarpnięć nieco ją poruszyło, aż w końcu udało mi się ją otworzyć. Wyrwawszy ją, upadłem do tyłu.

Nie musiałem nawet zaglądać do środka, żeby wiedzieć, że Kuśnierczyk nie kłamała. Odoru śmierci nie da się pomylić z niczym innym.

Jakim cudem nie było czuć tego zapachu przez tyle lat? Jakim cudem nie było go czuć teraz, gdy pokrywa była zamknięta? Nie wiedziałem, lecz to, co zobaczyłem w świetle latarki na dole malutkiej krypty, skutecznie wyparło wszystko inne z mojej głowy.

Porzucone pod groteskowym kątem, dwa małe ciała leżały tam, w płątaniu kończyn, w ogryzionych przez robactwo ubraniach. Nie zostało z nich zbyt wiele, jednak gdzieś wcióż zachowało się odrobinę zgniłego mięsa i skóry, którymi jeszcze nie zdążyły się pożywić chrząszcze.

Cofnąłem głowę, inaczej wymiotowałbym prosto na zwłoki. Udało mi się jakimś cudem utrzymać treść żołądka na miejscu.

Wstałem z podłogi i wybrałem 997.

## II

Nie czekałem na przyjazd policji, choć dobrze wiedziałem, że powinienem. Powiedziałem im, co i gdzie się znajduje. Reszta należała do nich. Schowałem telefon do kieszeni i ruszyłem do wyjścia, gdy poczułem, że przez skórę przebiega mi dreszcz, a temperatura spada o co najmniej dziesięć stopni. Zadrżałem i obróciłem się w stronę ołtarza, pod którym była otwarta krypta.

Nad otwartym wiekiem klęczała Monika Kropisz, jednak nie upiór, nawiedzający mnie w ostatnim czasie, który zabił co najmniej dwie osoby. Widziałem tam Monikę Kropisz taką, jaką zapamiętałem ją sprzed pięciu lat. Po jej

twarży spływały łzy.

Spojrzała na mnie, a ja chciałem coś powiedzieć, podejść bliżej, pocieszyć tę biedną kobietę, lecz w tej chwili kontury jej ciała zaczęły się rozmywać, a cała stawała się jakby przezroczysta.

Wciąż na mnie patrzyła, gdy ja mogłem spojrzeć przez nią na wylot, widząc przeciwległą ścianę.

- *Dziękuję...* - rozległ się głos w mojej głowie.

Zamrugalem oczami, a Moniki Kropisz już nie było.

- Żegnaj - powiedziałem do pustego pomieszczenia, po czym odwróciłem się i wyszedłem na zewnątrz.

### III

Wsiadłem do samochodu i pojechałem do domu. To już naprawdę był koniec (sprawa zamknięta, drogi Watsonie). W duchu cieszyła mnie ta myśl, choć na pewno minie jeszcze mnóstwo czasu, nim stare rany się ulecą.

Tymczasem czekało mnie wieczorne spotkanie z Dorotą, której obiecałem, że po nią przyjadę. Miałem zamiar zabrać ją gdzieś, gdziekolwiek; do kina, restauracji, gdziekolwiek, byleby tylko pomóc jej zapomnieć o wydarzeniach ostatniego tygodnia.

Wszystko było dobrze.

Zaparkowałem pod domem, wysiadłem z samochodu i postanowiłem jeszcze zajść do biura, żeby zgrać z dyktafonu zdobyte cudem nagranie i schować broń do kasetki.

Przeszedłem na drugą stronę ulicy i stanąłem pod drzwiami, przetrząsając kieszenie w poszukiwaniu kluczy. Udało mi się je w końcu odnaleźć w wewnętrznej kieszeni marynarki i włożyć do zamka. W tej samej chwili za plecami poczułem jakiś ruch, a zza węgła wyłoniły się trzy osoby.

Nim zdążyłem się choćby obrócić, poczułem, jak w tył mojej głowy uderza kij baseballowy. Straciłem świadomość własnego ciała, uderzając bezwładnie o drzwi kamienicy i opadając na ziemię.

Nie poczułem nawet kolejnego uderzenia gdzieś w okolice prawej łopatki, próbując na oślep podźwignąć się z mokrego gruntu.

- I co teraz, szmato?! - darł się łysy dresiarz, jeden z tych, których obiłem parę dni temu. Jednak to nie on trzymał kij.

- Trzeba było z nami nie zadzierać, kutasie! Teraz zobaczysz, co dzieje się z takimi, którzy wchodzą nam w drogę! - krzyknął drugi i wznosił kij nad głowę. Trzeci aż podskakiwał z podniecenia, gdy kij opadał ze świstem.

„Muszę uważać, komu rozdaję swój adres” - zdążyłem pomyśleć.

A potem wszystko spowiła ciemność.



# EPILOG

Pik.

Pik.

Pik.

Ekran maszyny monitorującej funkcje życiowe pacjenta przedstawiał regularnie wznoszącą się i opadającą krzywą, wydając z siebie donośne piknięcie na każdym razem, gdy skurcz serca przetaczał krew przez organizm. Krzywa dobrze obrazowała ludzkie życie; dopóki były wzloty, życie toczyło się dalej. Gdy zdarzały się upadki, krzywa wznosiła się coraz słabiej i słabiej, aż w końcu stawała się prostą kreską, kiedy człowiek leżał na ziemi przygnieciony ciężarem swych niepowodzeń.

Wtedy przychodziła śmierć.

Pik.

Pik.

Pik.

Dorota spała na twardym, drewnianym krześle przy szpitalnym łóżku, w którym z głową owiniętą bandażami leżał Tomasz, wciąż w stanie krytycznym, balansując na krawędzi życia i śmierci. Dzięki komisarzowi Dąbrowskiemu lekarze pozwolili jej zostać przy nim, co zazwyczaj było proceduralnie absolutnie wzbronione, lecz znajomości z ordynatorem i policyjna odznaka zrobiły swoje.

Czuwała przy nim od chwili, gdy dotarła do szpitala, dowiedziawszy się uprzednio od Dąbrowskiego, że detektyw został do niego przewieziony w ciężkim stanie. Lekarze przez długi czas poddawali go różnego rodzaju badaniom; obrażenia głowy, wyglądające z początku paskudnie, okazały się powierzchowne, lecz potrzeba było tomografu i promieni Roentgena, żeby ocenić, jak rozległe były obrażenia wewnętrzne oraz czy nie doszło do uszkodzenia mózgu.

Dorota czuwała pod drzwiami, gdy przeprowadzano zabiegi. Potem pozostawało jej tylko czekać, aż Tomasz odzyska przytomność. Przez większość czasu trzymała go za rękę bądź gładziła po tej części twarzy, której nie okrywał bandaż. W końcu zmorzył ją sen.

Już niemal świtało, gdy Radziejowski otworzył oczy. Nieprędko zorientował się,

gdzie się znajduje. Doskwierało mu to, że nie mógł poruszyć głową, choć nawet gdyby mógł, nieszczęśliwie miał na to ochotę, gdyż czaszka pulsowała bólem tak silnym, jak żaden inny, którego doznał w życiu. Drugie, mniejsze ognisko bólu płonęło pomiędzy łopatkami, a trzecie gdzieś w lewym udzie. Jedyne, co mógł zrobić, to obracać gałkami ocznymi, ogarniając wzrokiem pomieszczenie, w którym leżał.

Typowa sala szpitalna. Przez zaciągnięte, lecz niedomknięte żaluzje leniwie sączyło się światło wschodzącego słońca, stopniowo zalewając pomieszczenie. Po prawej stronie dostrzegł śpiącą Dorotę. Próbował coś powiedzieć, zapytać jej, co tutaj robi, lecz nie był w stanie otworzyć ust, tak bardzo był słaby.

Żył, a jednak czuł się na wpół martwy. Nawet w tym stanie zawieszenia wiedział, że jeszcze nie jest po żadnej ze stron, lecz po każdej z nich może się znaleźć. Również po tej spowitej wiecznym cieniem.

Zmusił swoje gałki oczne do ruchu i spojrzał w stronę drzwi, które zostały na wpół otwarte.

Zamrugął oczami, na tyle, na ile pozwalał mu na to osłabiony organizm, który w tym stanie odmawiał poprawnego wykonywania nawet tych podstawowych funkcji.

Na framudze drzwi widział dziecięcą dłoń. Nieco niżej pojawił się czerwony dziecięcy bucik, za nim drobna noga w białych rajstopach, której towarzyszyła sukienka w szkocką kratę.

Widział już to dziecko, lecz nie był w stanie sobie przypomnieć gdzie.

Dziewczynka stała pośrodku pokoju, nie mówiąc nic. Trzymała ręce spuszczone wzdłuż tułowia i tylko wpatrywała się w leżącego w łóżku Tomasza wzrokiem pełnym żywego zainteresowania, jakby czekała, co się wydarzy.

Detektyw do tego stopnia pochłonięty był odwzajemnianiem spojrzenia dziewczynki, że zupełnie nie zauważył drobnych sylwetek gromadzących się za drzwiami; ich cienie majaczyły w półmroku, gdy stały tak nieruchomo, niczym milczący wartownicy.

Dziewczynka podeszła bliżej, a kilka drobnych postaci weszło do środka.

Dopiero teraz wzrok Tomasza zarejestrował czerwoną linię szwu na szyi dziewczynki. Spojrzał na postaci stojące za nią, lecz w niczym prócz postury nie przypominały mu one dzieci; na ich twarzach brakowało skóry, oczodoły ziały upiorną pustką, a na ich sinych ustach błąkał się uśmiech.

Dziewczynka zbliżyła się jeszcze bardziej. Położyła drobną piąstkę na pościeli Radziejowskiego, spojrzała mu prosto w oczy, po czym powiedziała cichutko:

*- Czekamy na ciebie.*

KONIEC

*Słupsk, wrzesień - grudzień 2013 r.*